



ONE PŁONA

JAŚNIEJ

**Płonący portret tego, jak wygląda feminizm
w większości miejsc na świecie.**

VOGUE

SHOBHA RAO



SHOBHA RAO

ONE PŁONA JAŚNIEJ

tłumaczenie
Joanna Jurewicz


OTWARTE
Kraków 2019

SŁOWO OD TŁUMACZKI

Urodzić się kobietą to wyrok dożywocia. Urodzić się biedną kobietą – to dożywocie podwójne. Biedną i niewykształconą – potrójne. Choć akcja książki Shobhy Rao zaczyna się w małej indyjskiej wiosce, to problem jest wszędzie taki sam: w losach dwóch bohaterek przeglądamy się wszyscy – kobiety i mężczyźni po obu stronach Atlantyku – jak w lustrze. Tylko to, jak ten wyrok wygląda, bywa różne w zależności od miejsca i czasu.

Urodzić się kobietą to dostać szansę. Na szacunek. Na wolność. Na miłość. Wbrew wszystkiemu. Bohaterki niniejszej powieści szukają tych wartości niczym skarbów po całym świecie. I paradoksalnie, im więcej tracą jako obiekty seksualne, tym więcej zyskują jako żywe, czujące ludzkie istoty. Istoty silne i zdecydowane. Niezależne od otoczenia i zmieniające je wedle własnej woli. Zdolne do pokonania największych przeciwności losu. Do ocalenia samych siebie i siebie nawzajem.

Dla Leigh Ann Morlock

INDRAWALLI

Najniezwyklejszą rzecz w świątyni leżącej opodal Indrawalli niełatwo było zobaczyć. Najpierw trzeba było wspiąć się na górę i podejść bliżej, a potem długo i z namysłem przypatrzeć się wejściu. Drzwiom. Nie ich rzeźbionym skrzydłom, nie ich subtelnemu słoju, ale temu, jakie były – odważne, świetliste i samotne. Silne i wysokie tak, jakby wciąż jeszcze były drzewem. Drewno na nie ściągnięto z gaju rosnącego na północny zachód od Indrawalli. Gaj należał do starej bezdzietnej kobiety – mówiono, że ma ponad sto lat. Wcześniej wraz z mężem uprawiała ziemię, ale kiedy zrozumiała, że nigdy nie będzie mieć dzieci, zaczęła hodować drzewa, chcąc pielęgnować coś, co jest delikatne i piękne. Jej mąż otaczał małe sadzonki kolczastymi krzewami, by ochronić je przed dziką zwierzyną, a ona – ponieważ okolica była sucha – nosiła wodę kilometrami, by je odpowiednio podlewać. Ich gaj szczylił się teraz setkami drzew. Wszystkie mocne, kołysane suchym wiatrem.

Pewien dziennikarz z lokalnej gazety przyjechał kiedyś przeprowadzić wywiad ze starą kobietą. Dotarł na miejsce w porze popołudniowej herbaty. Siedzieli w cieniu jednego z drzew, wysoko nad nimi szumiały jego szerokie liście. Pili w milczeniu, nawet dziennikarz, zapomniawszy o wszystkich swoich pytaniach, był pod wrażeniem spokojnej zielonej ciszy i piękna tego miejsca. Słyszał o bezdzietności kobiety, o niedawnej śmierci męża, więc, chcąc ją jakoś delikatnie zagadnąć, rzekł:

– Dotrzymują pani towarzystwa, prawda? Te drzewa?

Szare oczy starej kobiety uśmiechnęły się:

– O tak. Nigdy nie jestem sama. Mam setki dzieci.

Dziennikarz dostrzegł okazję.

– Więc pani traktuje je jak dzieci?

– A jak pan myśli?

Zapadła cisza. Dziennikarz długo, z namysłem przyglądał się drzewom, ich grubym pniom, ich sile – mimo suszy, chorób, owadów, powodzi, głodu – cały czas świecącym złotozielonym światłem. Promiennym nawet w ciężkim upale popołudnia.

– Musi pani być szczęśliwą kobietą – powiedział – skoro ma pani tak wielu synów.

Stara kobieta spojrzała na niego, w jej oczach pojawił się ogień, pomarszczona twarz nabrała blasku dawnej dziewczęcości.

– Jestem szczęśliwa – odparła – ale pan się myli, młody człowieku. To nie są moi synowie. Żadne z nich. To moje córki.

1

Purnima nigdy nie zwróciła uwagi na drzwi świątyni. Podobnie jak Sawitha. Ale świątynia, usadowiona na górze wznoszącej się ponad Indrawalli, przyglądała im się bacznie. Sama wioska leżała niedaleko brzegów rzeki Kryszny, jakieś sto kilometrów w głąb lądu od Zatoki Bengalskiej. Chociaż znajdowała się w dolinie, osłaniała ją jedna z największych gór w Andhra Pradeśu, Indrawalli Konda, ze świątynią w połowie drogi na szczyt na jej wschodnim zboczu. Świątynia była świetlistobiała i przypominała Sawicie wielki kłęb bawełny. Dla Purnimy była bardziej niczym Księżyc w pełni, stale otoczony niebem i gałęziami rosnących wokół drzew.

Purnima miała dziesięć lat, kiedy stojąc przed rodzinną chatą, przyglądała się świątyni. Odwróciła się do ojca siedzącego za nią na splecionej z taśm konopnych pryczy i zapytała:

– Dlaczego ty i amma nadaliście mi imię pełni Księżycy?* – Jej matka siedziała przy krosnach, pogrążona w pracy, więc Purnima nie chciała jej przeszkadzać. Gdyby wiedziała, że za pięć lat nie będzie już wśród żywych, pewnie nie przejęłaby się ani trochę tym, że może jej przeszkodzić, gdy przytula się do jej szyi, wdychając najdrobniejszy ślad jej zapachu. Ale ojciec nawet nie podniósł głowy. Po prostu dalej zwijał tytoń. Może jej nie słyszał. Więc Purnima spróbowała znowu: – Nanna, dlaczego...

– Obiad gotowy?

– Prawie.

– Ile razy mam ci powtarzać, że ma być gotowy, gdy wracam do domu?

– Czy to dlatego, że urodziłam się w noc pełni Księżycy?

Wzruszył ramionami.

– Nie wydaje mi się.

Purnima wyobraziła sobie twarz niemowlęcia i spytała:

– Czy moja twarz była okrągła jak Księżyc w pełni?

Westchnął. W końcu powiedział:

– Twoja matka miała sen, kilka dni przed twoimi narodzinami. We śnie przyszedł do niej *sadhu* i powiedział, że jeśli nazwiemy cię Purnima, następnym naszym dzieckiem będzie chłopiec.

Purnima patrzyła, jak ojciec zapala tytoń, a potem wróciła do chaty. Nigdy więcej nie spytała o swoje imię. W rozświetlone noce księżycowej pełni ze wszystkich sił starała się, żeby nawet nie zerknąć w górę. Przecież to po prostu kamień, tłumaczyła sobie, wielki szary kamień na niebie. Ale trudno jej było zapomnieć o tej rozmowie. Pojawiała się nagle ni stąd, ni zowąd, jakby znikąd. Na przykład kiedy próbowała, czy jest dość soli w sambarze, albo kiedy podawała ojcu herbatę. *Sadhu* miał rację, oczywiście: po niej przyszło na świat jej trzech młodszych braci. Więc co w tym było smutnego? Nie ma żadnego powodu, by się smucić. Czasami nawet czuła dumę i mówiła do siebie, byłam ich nadzieją, która się spełniła. Wyobraź sobie, gdybyś się nie spełniła. Wyobraź sobie, że nie masz nadziei.

Gdy Purnima skończyła piętnaście lat, osiągnęła wiek, w którym nadawała się już do małżeństwa, i przestała chodzić do szkoły prowadzonej przez siostry zakonne. W wolnym czasie siadała przy kołowrotku, *ćarkhce*, aby pomóc w gospodarstwie. Za każdą ukończoną szpulę nici – czasami czerwonej, czasami niebieskiej, czasami srebrnej – otrzymywała dwie rupie, co wydawało jej się fortuną. I w pewnym sensie nią było: gdy w wieku lat piętnastu dostała pierwszej miesięczki, otrzymała najdroższą część garderoby, jaką kiedykolwiek przyszło jej nosić – jedwabną langę wartą sto rupii. Mogę tyle zarobić w mniej niż dwa miesiące, pomyślała z zapartym tchem. A ponadto sam fakt, że ona, dziewczyna, mogła cokolwiek zarobić, w ogóle cokolwiek, dawał jej takie głębokie i silne poczucie znaczenia – poczucie wartości – że siadała za *ćarkhą*, gdy tylko miała

okazję. Budziła się wcześniej rano, by prząść, przędła, kiedy umyła naczynia po śniadaniu, po tym, jak przygotowała i podała obiad, a potem znowu po kolacji. W chacie nie było elektryczności, więc gdy przędła, ścigała się ze słońcem. Noce pełni były też wystarczająco jasne, ale zdarzały się tylko raz w miesiącu. Tak więc przez większość wieczorów, jak tylko słońce zaszło, odkładała ćarkhę i patrzyła niecierpliwie na księżyc – na wążiutki rożek zaraz po nowiu, gdy stawał się półksiężycem i wzbierał dalej, by zaraz potem znów maleć, i rozżalona pytała: „Dlaczego nie możesz być zawsze w pełni?”.

Ale światło słońca i księżyca nie było jedynym powodem troski Purnimy. Drugim, tym głównym, była choroba jej matki. Rak – tyle tylko mógł stwierdzić lekarz w amerykańskim szpitalu w Tenali. Lekarstwa kosztowały dużo, a doktor zalecił dietę z owoców i orzechów – też kosztowną. Jej ojciec, wytwórca samodzielnych bawełnianych sari, z których słynął rejon Gunturu, ledwo mógł utrzymać żonę i piątkę dzieci z rządowych racji ryżu i soczewicy, nie mówiąc już o luksusie owoców i orzechów. Ale Purnima nie dbała o to. Delektowała się – nie, nie po prostu delektowała się, ale napawała się, rozkoszowała – jedzeniem, które codziennie przynosiła matce: dwa banany, maleńkie jabłko i garść orzechów nerkowca. Nie znaczy, że naprawdę je jadła. Nigdy nie ugryzła nawet maleńkiego kęsa, choć raz matka próbowała ją nakłonić, by zjadła orzeszek, ale gdy tylko na moment się odwróciła, Purnima odłożyła go z powrotem na stosik. Nie, Purnima rozkoszowała się, patrząc, jak matka powoli zjada banana; żucie nawet tak miękkiego owocu wyczerpywało ją, ale Purnima patrzyła na nią z takim przekonaniem, z taką nadzieją, że wydawało jej się, że matka staje się silniejsza na jej oczach. Zupełnie jakby siła matki była nasionkiem, a Purnima musiała tylko dorzucić do niego pożywienia za dwie rupie, by potem móc patrzeć, jak kiełkuje.

I doszło do tego, że Purnima robiła nieomal tyle samo co jej ojciec. Otrzymywała zwoje surowej przędzy, niepodzielonej, w zwartych motkach i przy użyciu ćarkhy przędła ją, dopóty nie rozpadała się na osobne nici, wtedy Purnima owijała je wokół metalowego pojemnika. Kiedyś spojrzała na nić oplatającą kanister i pomyślała, że wygląda on zupełnie jak mała drewniana beczka,

o rozmiarach niewiele mniejszych niż głowa jej najmłodszego braciszka. Nić w końcu lądowała na krosnach ojca, na których on tkał sari. Zanim tam dotarła, jeszcze ją obrabiano, ale Purnima zawsze uważała, że umie ocenić długość utkanej przez siebie nici. Rozpoznać kanistry, wokół których ją owijała. Gdyby komukolwiek to powiedziała, roześmiałby się jej w twarz – przecież one wszystkie wyglądają tak samo, powiedziałyby, ale ten ktoś nie miałby racji. Jej dłonie wyczuwały pojemnik, znały jego wgniecenia, zarysy jego kształtu, wzory wyżarte przez rdzę. Trzymała go przecież w ręce, a wydawało jej się, że wszystkie rzeczy, które trzyma się w ręce, tak naprawdę nigdy nie odchodzą. Jak ten nakręcany budzik, który nauczycielka dała jej, gdy odchodziła ze szkoły. Miał okrągły niebieski cyferblat, cztery małe nóżki i dwa dzwonki rozbrzmiewające co godzina. Nauczycielka, stara, zgorzkniała katolicka zakonnica, wręczyła go jej ze słowami:

– Mam nadzieję, że te dzwonki znajdą ci teraz męża. I dziecko co roku przez następnych dziesięć lat. Masz, trzymaj. Trzymaj się go. Nie rozumiesz, o co mi chodzi, ale któregoś dnia będziesz wiedzieć. – Nakręciła zegarek i usłyszały dzwonek. – Pamiętaj – rzekła – to jest twój dźwięk. Nikogo innego. Tylko twój.

Purnima nie miała pojęcia, o czym mówi stara zakonnica, ale pomyślała, że dzwonenie budzika jest najcudowniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszała.

Nosiła go ze sobą wszędzie. Gdy pracowała, stawiała budzik w pobliżu ćarkhy. Gdy jadła, kładła obok talerza. Gdy spała, był przy jej macie. Aż pewnego dnia, takiego zupełnie zwykłego dnia, zegarek przestał dzwonić, a ojciec wykrzyknął:

– Nareszcie! Myślałem, że to coś już nigdy nie przestanie!

Kilka miesięcy po tym, jak budzik się zepsuł, matka Purnimy umarła. Purnima właśnie skończyła szesnaście lat – była najstarsza z piątki dzieci – i patrzeć na to, jak matka odchodzi, było niczym obserwowanie, jak zwiewny błękitny poranek zamienia się w szary. Najbardziej tęskniła za jej głosem. Miękkim, miódopłynnym i ciepłym na tle przeżartych przez szczury ścian małej chatki. Purnimę cieszyło, że ten śliczny głos do niej dochodzi, że przenika długie

godziny, a przecież te wszystkie godziny tak naprawdę sprowadzały się do dwóch bananów, jabłka i garści nerkowców. Głos matki był głosem, który mógł sprawić, że nawet tych kilka rzeczy wydawało się okupem godnym królów. A teraz Purnima straciła zarówno matkę, jak i budzik.

Kiedy matka umarła, Purnima zwolniła bieg ćarkhy, odkładała ją czasem nawet w środku dnia i wpatrywała się w ściany chaty, myśląc, że zapomni jej głos. Może o to chodziło starej zakonnicy: zapomina się dźwięk, którego nie słyszy się codziennie. Teraz wydaje mi się, że nie zapomnę, ale to kiedyś się stanie. I wtedy stracę wszystko. Wtedy zrozumiała, że musi pamiętać coś więcej niż tylko głos, musi pamiętać jakąś chwilę. Wtedy coś jej się przypomniało: w czasie całej swojej choroby matka rano czuła się na tyle dobrze, by móc uczesać Purnimę. Na dworze było jasno i słonecznie, a dotknięcia grzebienia tak delikatne i lekkie, że Purnima czuła, jakby trzymał go nie człowiek, lecz maleńki ptaszek, który przysiadł na jego rączce. Matka przeczesła jej włosy trzy czy cztery razy i nagle przestała. Na moment położyła dłoń na dłoni córki, a gdy Purnima odwróciła się do niej, zobaczyła, że oczy ma pełne łez. Matka odpowiedziała jej spojrzeniem i ze smutkiem, który wydawał się stary i nieskończony, rzekła:

– Purnimo, jestem taka zmęczona. Taka zmęczona.

Jak długo po tym umarła?

Trzy, może cztery miesiące później – przypuszczała Purnima. Pewnego ranka wstali i otwarte oczy matki były puste, bez życia. A Purnima nie mogła się rozpłakać. Ani wtedy, ani później, kiedy pomagała kąpać i ubierać ciało matki. Ani wtedy, kiedy ojciec i bracia nieśli ją, okrytą jaśminem, przez wioskę. Ani nawet wtedy, kiedy stos ciałałpalny zamienił się w zimny popiół. Nie płakała też, kiedy nawlekła ostatnią chryzantemę na girlandę zwieszającą się z jej portretu. Dopiero później, kiedy wyszła w pierwsze chłodne jesienne rano, zaczęła płakać. A raczej – spróbowała płakać. Pamiętała, że niewiele łez popłynęło z jej oczu. Miała wrażenie, że jest złą córką – bo nie płacze, bo nie rozpacza – ale bez względu na to, jak się czuła, była w stanie wycisnąć z siebie najwyżej jedną czy dwie łzy. Lekkie zaczerwienienie oczu.

– Amma – powiedziała, patrząc w niebo. – Wybacz mi. To nie dlatego, że cię nie kocham. Ani że nie tęsknię za tobą. Nie rozumiem tego: wszyscy płaczą. Wokół mnie łzy leją się strumieniami. Ale one nie są jedyną miarą, prawda?

I po kilku miesiącach stało się to, czego tak się obawiała: zapomniała głos matki.

Jednak tym, co wciąż pamiętała, tym, co naprawdę z nią zostało, była ta krótka chwila, kiedy matka, czesząc ją, położyła swoją dłoń na jej dłoni. To było najdelikatniejsze z możliwych dotknięć, a mimo to Purnima je czuła, cały czas: czuła ciężar dłoni matki. Ciężar tak lekki i filigranowy, że przypominał rozprysk kropel deszczu w gorący letni dzień. Ciężar tak mały i tak zmęczony, ale dostatecznie silny, by wzmacniać ją, płynąc w jej żyłach jak krew.

W końcu uznała, że to był najpiękniejszy w świecie ciężar.

Raz w miesiącu Purnima chodziła do świątyni na Indrawalli Kondzie, by pomodlić się za matkę. Stała w przesyconym zapachem kadzidła przedśionku i patrzyła na kapłana z nadzieją, że bogowie do niej przemówią, że powiedzą, że jej amma jest z nimi, chociaż najbardziej chciała dotrzeć do dipy, maleńkiej latarenki umieszczonej na samym szczycie góry. Czasami, w niedzielę czy w dzień święta, stawała przed chatą i patrzyła, a dipa się paliła, daleka, żółta i mrugająca, jak gwiazda.

– Kto ją zapala? – zapytała raz ojca.

– Co zapala?

– Tę latarenkę na szczycie.

Ojciec siedział przed chatą, odpoczywając po kolacji, czuł znużenie w ramionach, ciało miał zgarbione. Spojrzał na Indrawalli Kondę i rzekł:

– Pewnie jakiś kapłan. Albo dziecko.

Purnima przez chwilę milczała, a potem powiedziała:

– Myślę, że to amma zapala.

Ojciec spojrział na nią. Wzrok miał ciemny i pusty, jakby dopiero co wyszedł z płonącego budynku. Poprosił, by przyniosła mu herbaty. Kiedy wręczyła mu kubek, rzekł:

- Jeszcze dziesięć miesięcy.
- Dziesięć miesięcy?
- Do końca rocznej żałoby.

Dopiero teraz Purnima zrozumiała, co miał na myśli. Po śmierci w rodzinie przez rok nie należało organizować żadnej uroczystości, a co dopiero wesela. Od śmierci matki minęły dwa miesiące. Za dziesięć miesięcy, mówił ojciec, Purnima wyjdzie za mąż.

– Rozmawiałem już z Ramajją. Niedaleko stąd mieszka rolnik. Ma kilka hektarów ziemi na własność, pracowity. Dwa bawoły, krowa, kilka kóz. Ale on nie chce czekać. Potrzebuje pieniędzy od zaraz. I martwi się, że nie będziesz chciała być żoną rolnika. Mówiłem Ramajji, popatrz na nią, po prostu popatrz na nią. Jest silna jak wół, ona jest wołem. Daj sobie spokój z wołami, ona może orać pola.

Purnima skinęła głową i poszła na tył chaty. Miała tylko małe ręczne lusterko, nie mogła nawet zobaczyć całej swojej twarzy, chyba że trzymała je na długość wyciągniętego ramienia. Zbliżyła je do siebie, ujrzała oko, nos, potem opuściła do szyi, piersi, bioder. Wół? Ogarnął ją nagły smutek. Nie wiedziała dlaczego. Zresztą to nie miało znaczenia. Tylko dzieci smucą się bez powodu. Wiedziała jedynie, że gdyby jej matka żyła, ona prawdopodobnie już byłaby mężatką. Może nawet byłaby w ciąży albo miała dziecko. To też nie był żaden powód do smutku. A jednak ten rolnik ją niepokoił. Co będzie, jeśli naprawdę każe jej ciągnąć pług? A co, jeśli jej teściowa okaże się okrutna? A co, jeśli będą mieli tylko dziewczynki? I wtedy usłyszała głos ammy. Żadna z tych rzeczy jeszcze się nie zdarzyła, mówiła amma. A potem dodała: „Wszystko jest zapisane w gwiazdach, Purnimo. Przez bogów. Nic nie możemy zmienić. Więc jakie to ma znaczenie? Po co się martwić?”.

Miała oczywiście rację. Ale kiedy tej nocy Purnima leżała na macie, myślała o rolniku, myślała o latarence na szczycie Indrawalli Konda, myślała o piękności. Gdyby miała jaśniejszą skórę, gdyby miała gęstsze włosy albo gdyby jej oczy były większe, ojciec może znalazłby jej lepszą partię: kogoś, kto chciałby żony, a nie wołu. Słyszała kiedyś, jak Ramajja mówił do jej ojca:

– Twoja Purnima dobrze pracuje, ale wiesz, ci dzisiejsi chłopcy szukają nowoczesnych dziewczyn. Chcą mody.

Mody? Pomyślała o swojej matce, o jej ostatnich dniach, kiedy wiła się z bólu, o ciężarze dłoni na dłoni, a potem o dwóch bananach, jabłku, garści nerkowców i wtedy jej serce pękło, jakby to był moment, na który czekało. Wylała tyle łez, że aż myślała, że nigdy nie przestanie. Płakała cicho, by śpiący ojciec, bracia i siostra jej nie usłyszeli, mata, na której leżała, cała przesiąkła łzami, zapach ziemi przebijał się spod niej, jak to bywa po deszczu, w końcu ciało Purnimy tak się wyczerpało łkaniem, tak się wypłukało z uczuć, stało się cudownie puste i Purnima się uśmiechnęła, i zapadła w głęboki sen bez marzeń.

* *Purnimā* znaczy w hindi „Księżyc w pełni, pełnia” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy umarła matka Purnimy, matka Sawithy – która była znacznie starsza niż matka Purnimy i znacznie uboższa, ale która przez całe życie ani jeden dzień nie była chora – przysłała do Sawithy, swojej najstarszej córki, mającej około siedemnastu lat, i wyznała jej, że nie mają jedzenia na kolację.

– Nie ma jedzenia? – spytała zdziwiona Sawitha. – A co się stało z tymi dwudziestoma rupiami, które dostałam za te zwoje?

Tak nazywała zwoje papieru i plastiku, które zbierała na stertach śmieci poza miastem, niedaleko chrześcijańskiego cmentarza. Całe trzy dni pełzała wśród śmierdzących, gnijących i ohydnych resztek, tocząc boje z innymi śmieciarzami, ze świniami i z psami, by zarobić te dwadzieścia rupii.

– Bhima je wziął.

– Jak to „wziął”?

– Wciąż jeszcze jesteśmy mu winni trzydzieści.

Sawitha westchnęła, powoli i jakby od niechcienia, ale jej czujny umysł pracował niczym błyskawica. Pomyślała o trzech młodszych siostrach, które też przetrząsały sterty śmieci, o matce, która sprzątała w domach, o ojcu, który po latach picia poddał się w końcu, kiedy reumatoidalne zapalenie stawów doprowadziło do tego, że nie był w stanie utrzymać szklanki w ręce. Mógłby chyba poprosić o jałmużnę u kapłanów w świątyni, gdzie zebrał nieomal codziennie, ale ona z ledwością starczyłaby dla niego samego, nie mówiąc już o jego żonie i czterech córkach. Sawitha miała też dwóch starszych braci, obaj pojechali do Hajdarabadu w poszukiwaniu pracy, obiecując, że będą przysyłać

pieniądze, ale przez całe dwa lata po ich wyjeździe od żadnego z nich nie przyszedł nawet list.

Stała w swojej nędznej chatce i rozważała wszystkie możliwe sposoby zarobienia pieniędzy: mogła dalej zbierać śmieci, choć to najwyraźniej nie przynosiło wystarczających dochodów, mogła gotować i sprzątać jak jej matka, ale w Indrawalli niewiele było rodzin dostatecznie bogatych, by nawet ona miała zatrudnienie, mogła zająć się przedzeniem i tkaniem, ostatecznie należała do kasty tkaczy, lecz pieniądze z produkcji bawełnianych sari kurczyły się każdego roku i rodziny – jeśli miały córkę czy krosna – na ogół zatrudniały krewnych, by z trudem zarobione pieniądze zachować dla najbliższych. Sawitha spojrzała na swoją córkę, złamaną, pokrytą pajęczynami, wrzuconą w róg chaty jak sterta drewna opałowego czekająca na iskrę. Już od pięciu lat nie mieli pieniędzy, by ją naprawić. Gdyby tylko dało się ją zreperować, pomyślała Sawitha, mogłabym zarobić dla nas pieniądze. Była oczywiście świadoma absurdalności tego pomysłu: potrzebowała pieniędzy, by zarabiać pieniądze.

Ale nić! Gdybym mogła choćby poczuć ją znowu między palcami!

Wciąż pamiętała, gdy jako mała dziewczynka trzymała motek bawełny w małych rączkach, zdziwiona, że taki głupi puch, pełen ciemnych i upartych ziaren, może stać się czymś tak ładnym i gładkim jak sari.

Od motka do krosien, od krosien do tkaniny, od tkaniny do sari, pomyślała.

Wyszła z ciemnej chaty, zostawiając za sobą złamaną córkę wraz z matką apatycznie wpatrującą się w puste garnki i patelnie, i ruszyła do wsi. Minęła chaty praczek, dworzec kolejowy, sklepiki z tytoniem, z pasmanterią, z sari, pracownię krawiecką, przeszła obok świątyni Hanumana stojącej w samym środku Indrawalli, aż znalazła się przed małym zamkniętym wejściem wiodącym do spółdzielni tkackiej. Usłyszała głosy i szum wentylatora. I gdyby przyłożyła twarz do drzwi, poczułaby też delikatny zapach nowej tkaniny, mieszaniny świeżo ugotowanego ryżu, wiosennego deszczu, drzewa tekowego i tych twardych nasionek, tak niechętnie wychodzących z kłębow bawełny. Ten delikatny zapach, tak szybko ginący na wietrze, urzekił ją bardziej niż najwonnejszy kwiat.

Niewiele myśląc, mocnym pchnięciem otworzyła skrzypiące drzwi i weszła do środka.

Ojciec Purnimy miał dwa krosna. Na jednym pracował on, na drugim jego żona. Zrobienie jednego sari zajmowało im dwa–trzy dni, ale teraz, gdy został sam, wytwarzał ich o połowę mniej. A to oznaczało połowę pieniędzy. Purnima była zbyt zajęta pracą przy ćarkhce i domowymi obowiązkami, a jej bracia i siostra jeszcze nie dorośli na tyle, by sięgnąć pedałów krosna, więc ojciec szukał pomocy. Rozpytywał wszystkich znajomych, w herbaciarni, w której często bywał wieczorami, odwiedził spółdzielnię tkacką, gdzie zaoferował jedną czwartą dochodów z każdego sari, wraz z posiłkami. Ale nikt się nie zgłaszał. Wioskę zamieszkiwali głównie wytwórcy sari i większość młodych mężczyzn była zajęta pomocą własnym rodzinom. Indrawalli założono rzekomo w czasach dynastii Ikszwaku i od początku zajmowano się tu tkaniem – kiedyś szat dla dworów królewskich, a teraz zwykłych bawełnianych sari noszonych przez wieśniaczki i, okazjonalnie, przez intelektualną elitę. Ruch *Quit India* wraz z wizerunkiem Gandhiego siedzącego przy ćarkhce, sprzedającego samodiałowe ubrania i wprowadzającego ideę samowystarczalności, znacznie poprawił perspektywy Indrawalli, zwłaszcza w latach tuż przed odzyskaniem niepodległości. Ale teraz był rok 2001, nowe stulecie, i młodzi ludzie z Indrawalli, urodzeni w kaście tkaczy, do których zaliczali się też Purnima i jej krewni, walczyli o wyżywienie własnych rodzin. Wielu z nich porzuciło to zajęcie i podjęło się innych.

– Tkactwo umiera. To jest jego śmierć – powiedział ojciec Purnimy. – Słyszałem, że mają teraz fikuśne maszyny. – Purnima wiedziała, że to dlatego ojciec chciał wydać ją za mąż za rolnika. Zaśmiał się gorzko i dodał: – Mogą wymyślić maszyny robiące ubrania, ale chciałbym zobaczyć, jak wymyślają maszynę do uprawiania jedzenia.

Ona też się zaśmiała. Ale słuchała go jednym uchem. Myślała, że gdyby mogła nakłonić ojca, by kupił więcej nafty, mogłaby tkać w nocy, przy świetle lampy, i wtedy nie trzeba by było nikogo wynajmować.

A w następnym tygodniu w drzwiach chaty pojawiła się jakaś dziewczyna. Purnima podniosła wzrok znad gotowania. Nie widziała jej twarzy – słońce miała za plecami – ale ze sposobu, w jaki wygięła ciało w niskich drzwiach z gracją dorodnej i kołyszącej się palmy, poznała, że dziewczyna jest młoda. Jej głos to potwierdził, chociaż był łagodniejszy i doroślejszy, niż się spodziewała.

– Twój ojciec?

Oczywiście widziała Purnimę.

– Wraca wieczorem – odpowiedziała, mrużąc oczy. – Będzie w domu przed zmrokiem.

Odwróciła się, by zdjąć pokrywkę z garnka, w którym gotował się ryż, i sparzyła sobie palec o jego brzeg. Cofnęła szybko rękę – palec już zaczynał być czerwony – i włożyła go do ust. Gdy się odwróciła z powrotem, dziewczyna wciąż była w chacie. Purnima zawahała się, a obraz palmy powrócił: teraz nieznajoma wyglądała jak młodziutkie drzewko, jedno z tych, które nie są pewne, w którą stronę się skłonić, którądy słońce wschodzi i którądy zachodzi, w jakim kierunku ma dalej rosnąć.

– Tak? – zapytała Purnima, zaskoczona jej obecnością.

Dziewczyna skinęła głową, albo tak się Purnimie wydało, a potem wyszła. Purnima wpatrywała się w miejsce, w którym przed chwilą stała nieznajoma. Dokąd ona poszła? Nieomal wyskoczyła z domu i pobiegła za nią. Zdawało się, jakby swoim odejściem opróżniła wszystko – wejście do chaty i samą chatę. Ale jak? Kim ona była? Nie miała pojęcia, na pewno nie była to jedna z dziewcząt przychodzących po wodę do studni ani żadna znana jej dziewczyna z sąsiedztwa. Pomyślała, że może przyszła ze świątyni z prośbą o darowiznę albo po prostu była obwoźną sprzedawczynią warzyw. A potem poczuła zapach przypalającego się ryżu i zapomniała o niej zupełnie.

Tydzień później dziewczyna siedziała przy krosnach matki Purnimy. Purnima poznała ją, bo chata znów się wypełniła, Purnima nie pamiętała już nawet, że kiedykolwiek była pusta. Chata się wypełniła, ale nie ciałem, nie zapachem czy

obecnością: tym wypełniał ją jej ojciec, siedzący przy drugim krośnie. Nie, dziewczyna wypełniła ją nagłą świadomą jasnością, poczuciem przebudzenia, choć słońce przecież wzeszło już dawno temu. Purnima postawiła kubek z herbatą obok krosna ojca. Spojrzał na nią i rzekł:

– Daj dodatkowy talerz na obiad.

Purnima odwróciła się, by wyjść. Teraz stała za tą dziewczyną. Była ubrana w tanie bawełniane sari, jej bluzka wyblakła od prania, lecz wciąż zachowała ten żywy niebieski kolor, kolor Kryszny w godzinie zmierzchu*. Miała duże okrągłe znamię na prawym przedramieniu, po wewnętrznej stronie nadgarstka. Niezwykle, dokładnie w tym punkcie, gdzie żyły zdają się zbiegać, by potem rozplątać się po dłoni. Znamię zbierało je jak wstążka bukiet kwiatów. Bukiet? Znamię? Purnima odwróciła wzrok zmieszana. Gdy mijala dziewczynę, ta wysunęła bidło w jej stronę i w tym momencie – Purnima nic nie mogła na to poradzić – zobaczyła jej dłoń. O wiele za dużą jak na to chude ciało, bardziej przypominającą męską, ale łagodną tak, jak łagodny był jej głos, chociaż tym, co Purnimę uderzyło najmocniej, była siła i pewność, z którą ta dłoń trzymała bidło – wydawało się, że nigdy go nie wypuści. Jakby ciągnęło je i mocno ścisnęło coś w samym centrum jej ciała. Purnima się zdumiała. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że ręka może być tak zdeterminowana.

Tego wieczoru po kolacji ojciec po raz pierwszy o niej wspomniał. Dipa na Indrawalli Konda była ciemna, a Purnima kładła rodzeństwo spać. Jej najmłodszy braciszek miał tylko siedem lat, siostra – jedenaście i jeszcze była dwójka dwunastoletnich bliźniaków. Dzieci zachowywały się na ogół dość grzecznie, ale czasami Purnima myślała, że matka prawdopodobnie umarła ze zmęczenia. Właśnie rozwijała dzieciom maty do spania, mówiąc zarazem do jednego z bliźniaków, by przestał ciągnąć siostrę za włosy, kiedy ojciec, zwijając tytoń, rzekł:

– Masz z nią jeść. I upewnić się, że nie bierze więcej, niż jej się należy.

Purnima odwróciła się i spytała:

– Kto?

– Sawitha.

Więc tak miała na imię.

Purnima stała spokojnie, z na wpół rozłożoną matą w rękach.

– Nie mogłem nikogo innego znaleźć – powiedział ojciec, usadowił się z powrotem na konopnej pryczy i zaciągnął tytoniowym dymem. – W spółdzielni tkackiej powiedzieli mi, że powinienem dziękować losowi. Jakby moja płaca była niska. Poza tym, to ona powinna być wdzięczna. Jej ojciec, stary Subbudu, z trudem może wyżywić siebie, nie mówiąc o jego biednej żonie i czterech córkach. – Ziewnął. – Mam nadzieję, że nie jest taka słaba, na jaką wygląda.

Purnima uśmiechnęła się w ciemności. Wiedziała, że Sawitha nie jest słaba.

Początkowo Sawitha zachowywała się cicho w obecności Purnimy. Była pewnie rok czy dwa lata starsza, jak przypuszczała Purnima, chociaż żadna z nich nie знаła dokładnie swojego wieku. W wiosce zapisywano tylko daty narodzin chłopców. A jednak, kiedy Purnima w czasie obiadu zapytała ją o wiek, Sawitha powiedziała dokładnie to, co usłyszała od matki: urodziła się w dniu zaćmienia Słońca. Matka mówiła jej, że podczas porodu wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak w środku dnia niebo zaczyna ciemnieć. Sparaliżował ją strach. Była przekonana, że urodzi rakszasi. W tym momencie, wspominała matka, wszystkie bóle porodowe ustąpiły przerażeniu. Co będzie, jeśli urodzi demona? Zaczęła się żarliwie modlić, potem ogarnęło ją drżenie, pragnęła, by dziecko urodziło się martwe. Zastanawiała się, czy nie popełnić samobójstwa. To było lepsze niż wydanie na świat zła. Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo, mówiła matka. Ale kiedy zaćmienie minęło, jej dziecko się urodziło – normalne, słodko gruchające niemowlę.

– Twoja matka musiała poczuć ulgę – rzekła Purnima.

– Niezupełnie. Jednak byłam dziewczynką.

Purnima przytaknęła. Przyglądała się, jak Sawitha jadła. Miała solidny apetyt, ale nie większy niż ktokolwiek inny, kto spędził dwanaście godzin przy krosnach.

– Dlatego nazwała mnie Sawitha.

– A co to znaczy?

– A jak myślisz? Uważała, że jeśli nazwie mnie imieniem słońca, ono już nigdy znowu nie zniknie.

Oblizwała palce z rasamu, zamię na nadgarstku niby hamak kołysało się między jej ustami a talerzem, a potem poprosiła o jeszcze jedną porcję ryżu, by zjeść go z jogurtem.

– Chcesz soli? – spytała Purnima.

– Lubię, jak jest słodki. Prawdę mówiąc, uwielbiam ryż z jogurtem i bananem. Rozgniatam go i mieszam z ryżem. Nie rób takiej miny. Przynajmniej dopóki nie spróbujesz. Smakuje jak najśłodszy, najpiękniejszy poranek. I nie mówię tego z powodu swojego imienia. To po prostu tak smakuje, powinnaś spróbować.

– Ale banany... – zaczęła Purnima, myśląc teraz o swojej matce, o dwóch bananach, które codziennie jej kupowała, i o tym, że koniec końców na niewiele się zdały.

– Wiem. Drogie. Ale na tym to polega, Puri (mogę cię tak nazywać?), nie powinnaś jeść ich do każdego posiłku. To jest zbyt dobre. Zbyt doskonałe. Chciałabyś codziennie oglądać wschód słońca? Chodzi mi o to, że przyzwyczaiłabyś się do kolorów. Tak bardzo, że po prostu odwróciłabyś się do nich tyłem.

– I to samo byłoby z nadmiarem jogurtu z ryżem i bananami? Po prostu odwróciłabym się do niego tyłem?

– Nie. Dalej byś go jadła. Ale po prostu byś o tym nie myślała.

Nie myślałabym o tym?

Nie, teraz już nie jest spokojna, uświadomiła sobie Purnima. Zupełnie nie. Ma dziwną obsesję na punkcie jedzenia: cała ta historia z bananami i ryżem z jogurtem, nazywanie jej Puri, sposób, w jaki oblizywała palce, jakby to był jej ostatni posiłek. Ojciec Purnimy powiedział jej, że rodzina Sawithy jest biedna, biedniejsza niż oni sami kiedykolwiek byli, w co przecież trudno było uwierzyć.

W sumie szóstka dzieci – mówił – stary Subbudu tak słaby, że już dawno przestał siadać do krosien, jej matka musiała sprzątać i gotować dla innych, nie była lepsza od zwykłej służącej – dorzucił drwiąco – a starsi bracia wyjechali do Hajdarabadu, obiecując przysyłać pieniądze, chociaż rodzina nie dostała jeszcze ani jednej pajsy. I cztery córki wciąż niewydane za mąż.

– Cztery! – wykrzyknął, kręcąc głową. – Stary jest skończony! Lepiej by zrobił, gdyby znalazł cztery duże kamienie, dobrą linę i zaprowadził je do najbliższej studni.

– A która jest Sawitha?

– Najstarsza. Z dziewcząt. Nie starczy im nawet na jej posag.

Ach, więc jej małżeństwo opóźnia się, tak samo jak małżeństwo Purnimy. Ojciec zmrużył oczy i spojrzał na nią.

– Nie je za dużo? Odkłada coś dla sióstr?

– Nie – odpowiedziała Purnima. – Właściwie nie.

Poza dłońmi Purnima najbardziej lubiła w Sawicie jej jasną stanowczość. Nigdy nie poznała nikogo, kto byłby tak pełen pewności i przekonania jak Sawitha – nie był taki jej ojciec ani nauczycielka, ani kapłan świątynny. Ale pewności czego? – pytała samą siebie. Bananów w ryżowym jogurcie? Wschodów słońca? Tak, ale Sawitha była pewna czegoś więcej. Swojego uścisku na bidle, swojego kroku, sposobu, w jaki jej sari było związane wokół talii. Wszystkiego, czego Purnima była niepewna, uświadomiła sobie. I w miarę jak mijały tygodnie, Sawitha zaczęła zostawać coraz dłużej po kolacji, przychodziła coraz wcześniej, by pomóc w porannych obowiązkach, chociaż przecież musiała najpierw wykonać obowiązki we własnym domu. Ona i Purnima zaczęły też razem chodzić po wodę do studni.

Gdy jednego razu wracały z takiej wyprawy, z glinianymi dzbanami z wodą kołyszącymi się na ich biodrach, minęły grupkę młodych mężczyzn mniej więcej w ich wieku. Było ich czterech, stali przy sklepiku z *bidi*, paląc. Jeden z nich, na

oko mógł mieć dwadzieścia, może dwadzieścia dwa lata, chudy jak trzcina, ale z gęstą czupryną, dostrzegł je i wskazał towarzyszom.

– Patrzcie – powiedział do nich. – Patrzcie na te biodra. Na te krągłości. Co za świetne ucieleśnienie indyjskiego krajobrazu!

Wtedy drugi z nich gwizdnął, a jeszcze inny, a może ten sam, dodał:

– Nawet sam Gandhi dżi nie zdołałby się temu oprzeć. – Cała czwórka zarechotała. – No, chłopaki – mówił dalej – żółte czy niebieskie?

Purnima zorientowała się, że mówi o kolorach ich sari.

– Niebieskie! – zawołał jeden.

– Żółte! – krzyknął drugi.

– Chciałbym być tym glinianym dzbanem – rzekł jeszcze inny i wszyscy znowu zarechotali. Zdały sobie sprawę, że nie mają jak uciec. Mężczyźni podchodzili coraz bliżej, aż wreszcie otoczyli je kręgiem, wprawdzie nie był szczelny, ale i nie był bezpieczny. Purnima zerknęła na Sawithę, lecz przyjaciółka patrzyła po prostu przez nich, jakby ich tu nie było.

– Co robimy? – wyszeptała Purnima.

– Idź – powiedziała stanowczym głosem, pewnym i tak mocnym, jak świątynia na Indrawalli Kondzie, w której – jak się zdawało – Sawitha utkwiała wzrok. Purnima znowu zerknęła na nią, a potem na jej stopy.

– Nie patrz w dół – rzekła Sawitha. – Podnieś wzrok.

Powoli uniosła głowę i zobaczyła, że mężczyźni tłoczyli się teraz w ciasnym roju. Podskakiwali jak świerszcze, jeden z nich chwycił *pallu* Sawithy i szarpnął je. Uderzyła go w dłoń. To wywołało ich zbiorowy pomruk, ich ruchy stały się jeszcze bardziej taneczne, śmiali się coraz głośniej, jakby uderzenie było zaproszeniem. Purnima mętnie uświadamiała sobie obecność innych kobiet stojących u wejścia chat. Ach, ci chłopcy, myślały sobie pewnie, kręcąc głowami. Czuła narastającą panikę, takie rzeczy często zdarzały się w wiosce, ale zazwyczaj kończyło się na kilku zaczepkach, kilku znaczących mrugnięciach okiem. Ci tutaj szli za nimi. I było ich czterech. Spojrzała na Sawithę. Jej twarz była równie

stanowcza jak wcześniej, dziewczyna wpatrywała się przed siebie, prosto w świątynię i Indrawalli Kondę, jakby chciała przebić je na wylot. Mężczyźni chyba wyczuwali w niej coś – coś jakby opór – i ten opór, ta bezczelność prowokowała ich jeszcze bardziej.

– Hej, maleńka – odezwali się do niej po angielsku, a potem w telugu – dlaczego nie chcesz wybrać któregoś z nas? – zwracali się do Sawithy.

Na to czekała. Na ten sygnał.

Postawiła dzban z wodą, wyprostowała plecy i stanęła w bezruchu. W absolutnym bezruchu. A z jej spokojem nadszedł jeszcze większy spokój. Ludzie stojący w drzwiach chat, zakręt drogi prowadzącej do Indrawalli Kondy, pola ryżowe wokół, nawet stukanie krosien, wszechobecne w wiosce o każdej porze – wszystko stało się dziwnie spokojne i ciche. Nieomal słyszeli oddaloną o kilka kilometrów Kryszeń – chlupot jej nurtu, łopot skrzydeł ptaków wodnych.

– Wiem, którego chcę – rzekła Sawitha.

Pierwszy z nich, ten z grzywą włosów, pokrzykiwał, wołał, skakał wokół kręgu jak dziecko:

– Ona wie! Ona wie! Przykro mi, chłopcy, następnym razem wam się poszczęści!

– Którego chcesz? Którego? – ćwierkali.

Sawitha przyglądała się każdemu z nich, patrzyła im w oczy, zrobiła krok czy dwa w kierunku każdego z nich, jakby drwiąc z nich tym przebieraniem między nimi, a potem uśmiechnęła się. Blask jej zębów był tak świetlisty i szlachetny jak biel dalekiej świątyni. Podeszła do Purnimy, wzięła ją za rękę i rzekła:

– Ją wybieram. – Z tymi słowami podniosła dzban z wodą, pociągnęła Purnimę za ramię i wypchnęła z kręgu.

Mężczyźni pozwolili im odejść, ale gonił je ich syk i warczenie.

– Ją? – jęczeli. – Przecież ona jest brzydsza od ciebie.

Kiedy dotarli do domu, Purnima cała się trzęsła.

– Przestań – powiedziała Sawitha. – Tak nie wolno.

- Nic na to nie poradzę.
- Nie rozumiesz? Mogłam wybrać drzewo. Psa.
- Tak, ale oni mogli zrobić nam krzywdę.
- Nie pozwoliłabym im na to.

Te słowa – tych pięć słów. Były pieśnią, inkantacją. Purnima poczuła jakiś ciężar, okropny, przerażający – rdzewienie. Czy niosła go od czasu śmierci matki? Czy pochodził stąd, że była wołem? A może od czegoś mniej oczywistego, jak upływ czasu albo nieskończone wirowanie jej ćarkhy? Ale czy to wszystko, kiedy o tym teraz myślała, nie było tym samym? To właściwie nie miało znaczenia. Ona i Sawitha stały się tak bliskimi przyjaciółkami, że mogły razem jeść, nie zastanawiając się, czy druga nie wolałaby więcej soli, albo czy lubi brindżał z ziemniakami. Nagle śniadanie stało się ich najmniej ulubionym posiłkiem, a niedziela – najmniej ulubionym dniem. Z zaoszczędzonych tu i tam pajsów Purnima zaczęła kupować banany, kiedy tylko mogła. Po raz pierwszy podała banana Sawicie na kolację, razem z maślanką. Tego ranka nie miała wystarczająco dużo pieniędzy na jogurt. Ale wydawało się, że Sawitha nie przywiązuje do tego żadnej wagi. Wymieszała wodnistą maślankę z ryżem z taką rozkoszą, jakby to był najgęstszy, najbardziej kremowy jogurt, jaki kiedykolwiek jadła. Purnima przyglądała się jej, a potem wyciągnęła banana.

– Jesteś pewna? – zapytała z zapartym tchem Sawitha.

– Oczywiście. Kupiłam go specjalnie dla ciebie.

Była tak oczarowana, że nagle stała się dziwnie onieśmielona.

– Moja matka mówi, że gdybym w życiu jadła mniej bananów, to miałiby pieniądze na mój posag.

Purnima uśmiechnęła się i spuściła wzrok.

Sawitha przestała jeść.

– Kiedy ona umarła?

– Cztery miesiące temu.

Sawitha zmieszała banana z ryżem. Przedtem zdjęła z niego skórkę i wgniotła go kciukiem i palcami w ryż. Teraz bananowe nieapetyczne grudki leżały w mule ryżu niczym ryjące w nim szczury wodne. Obrzydliwa breja.

– I ty to lubisz?

– Spróbuj.

Sawitha wyciągnęła do niej pełną dłoń. Purnima pokręciła gwałtownie głową. Sawitha wzruszyła ramionami i jadła ryżowo-bananową miksturę z wielką rozkoszą, zamykając oczy, gdy ją przeżuwała.

– Wiesz, co jest od tego lepsze?

Purnima zmarszczyła nos.

– Podejrzewam, że większość rzeczy.

Sawitha jej nie słuchała. Pochyliła się ku niej, jakby powierzała jej sekret.

– Nie wiem tego na pewno, słyszałam tylko o tym, ale istnieje pewien owoc, bardzo rzadki. Nieprawdopodobny, Puri. W środku jest różowy, prawie maślany, ale słodki jak cukierek. Słodszy. Lepszy nawet od bananów, lepszy od sapoty. Wiem, wiem, myślisz, że to niemożliwe, ale słyszałam, jak pewna stara kobieta mówiła o nim na targu. Lata temu. Powiedziała, że ten owoc rośnie na pewnej wyspie. A wyspa jest na Brahmaputrze. Nawet sposób, w jaki ją opisywała, był piękny. Patrzyła na mnie, prosto na mnie i powiedziała: „Kojarzysz ten dźwięk, kiedy Kryszna gra na flecie dla Radhy, uwodząc ją o zmierzchu, dokładnie wtedy, gdy krowy wracają do domu? To jest ten dźwięk – dźwięk tej wyspy. Pieśń fletu. Gdziekolwiek byś poszła, będzie ten owoc i będzie pieśń fletu. Podążające za tobą jak kochanek”.

– To wszystko, co powiedziała?

– Tak.

– Jak pieśń fletu?

– Tak

Purnima milczała.

– Jak się nazywa ta wyspa?

– Madźuli.

– Madźuli. – Purnima wypowiedziała to słowo wolno, jakby je smakując. – I uwierzyłaś jej?

– Oczywiście – odparła Sawitha. – Niektórzy, którzy stali tam ze mną, nie uwierzyli, ale ja tak. Powiedzieli, że ona już zupełnie niedołączyła i nigdy nie zaszła na północ dalej niż do opuszczonej zajezdni kolejowej, nie mówiąc już o Brahmapurtrze. Ale powinnaś zobaczyć jej twarz, Puri. Nie dało się jej nie wierzyć. Jaśniała jak gwiazda.

Purnima zastanawiała się chwilę w zakłopotaniu.

– Ale jak wyspa może być jak pieśń fletu? Czy chodziło jej o to, że ona kocha tę wyspę? Jak Krysna kocha Radhę?

– Nie, nie wydaje mi się.

– Więc o co chodzi? W końcu to pieśń miłości.

– Tak – odparła Sawitha. – Ale to też jest pieśń głodu.

Teraz Purnima odczuła jeszcze większe zmieszanie.

– Głodu?

– Może chodziło jej o to, że ta wyspa jest końcem głodu. Albo jego początkiem. Albo że głód nie ma początku. Albo końca. Jak pieśń fletu Krysny.

– Ale co z miłością?

– A czym jest miłość, Puri? – zapytała Sawitha. – Czym jest miłość, jeśli nie głodem?

* Może chodzić zarówno o boga Krysnę, przedstawianego w ikonografii w niebieskim kolorze, jak i o rzekę noszącą taką nazwę.

3

W następnym tygodniu Sawitha zaprosiła Purnimę do swojego domu. Była niedziela. Ojciec Purnimy nie miał nic przeciwko temu, by wyszła, o ile wcześniej ugotuje jedzenie, nakarmi braci i siostry oraz wyniesie jego tytoń i matę przed chatę, gdzie ucinał sobie popołudniową drzemkę. Nadszedł już marzec i musiały kryć się w cieniu przed gorącym – Sawitha z przodu, Purnima tuż za nią – prześlizgując się pod drzewami i zwisającymi strzechami chat, by osłonić się od słońca. Sawitha mieszkała po drugiej stronie wioski, dalej od Indrawalli Kondy, ale bliżej do Kryszny. Właśnie bliskość wody sprawiła, że wielu z tych, którzy należeli do kasty pracy, tak jak rodzina Sawithy, żyło po tej stronie wioski. Odkryto tu również dawne inskrypcje z czasów dynastii Óólów, zarazem jednak – jako że znajdowały się w pobliżu torów kolejowych – tutaj również powstała główna wiejska łazienka, a inskrypcje na ogół ignorowano.

Chatka rodziny Sawithy stała na małym wzniesieniu. Wzdłuż prowadzącej do niej drogi – a raczej brudnej ścieżki – rosły krzaki, ich liście i gałęzie już były zwiędłe i szare od kurzu. Kiedy Purnima schyliła się i dotknęła liścia, opadła z niego jedwabista warstewka szarości, a ona zdała sobie sprawę, że był to popiół z drewna palonego w ogniskach na zewnątrz chat – tutejsi mieszkańcy byli zbyt biedni, by pozwolić sobie nawet na miejsce do gotowania wewnątrz domostw. Przed chatami leżały sterty śmieci, obwąchiwane niekiedy przez bezpańskie psy albo świnie dostatecznie głodne, by wytrzymać w upale. Nadchodził czas podwieczorku, czwarta po południu, ale wydawało się, że w domach nikogo nie ma. Teraz niebo było białe, jaśniejące jak miedziany rondel, podświetlony od środka. Krople potu spływały Purnimie po plecach. Oklejały jej głowę jak wilgotna mgiełka.

Kiedy doszły do chaty Sawithy, Purnima uświadomiła sobie, że jej rodzina jest bogata w porównaniu z rodziną Sawithy. Nie mogli sobie pozwolić nawet na liście palmy, by zrobić z nich dach, chatę pokrywał kawałek starej falistej blachy. Jej zewnętrzne ściany były oklejone krowim nawozem, a przed zaroślami oczyszczono z kurzu niewielki plac, choć i on był zawałony śmieciami – kawałkami starych, pożółkłych gazet, rozpadających się, poczerniałych szmat, skórek z warzyw zbyt zgniłych nawet dla małych prosiaczków wałęsających się swobodnie od chaty do chaty. Purnima przeszła górą nad nimi i gdy weszła za Sawithą do chaty, pierwszą rzeczą, którą poczuła, był zapach. Pachniało tu starymi niewypranymi ubraniami, potem i piklami. Pachniało gnojem, dymem z drewna i brudem. Pachniało biedą. I rozpaczą. Pachniało jak jej umierająca matka.

– Nie mamy mleka do herbaty – powiedziała Sawitha. – Chcesz? – Wyciągnęła puszkę z ciastkami, które najwyraźniej trzymano jedynie dla gości. Purnima ugryzła jedno, było zwietrzałe i rozpadło się w jej ustach w żółtą, miękką breję.

– Gdzie jest twoja matka? Siostry?

– Matka dzisiaj gotuje. Dla rodziny, co mieszka w tym dużym domu obok targu. A moje siostry popołudniami zbierają – odpowiedziała Sawitha.

– Co zbierają?

Sawitha wzruszyła ramionami.

– Zwykle ja też z nimi chodzę.

– Gdzie?

– Na obrzeża miasta. Przy chrześcijańskim cmentarzu.

Purnima wiedziała, że tam są wysypiska śmieci. Nie małe sterty, rozrzucone po wiosce, zalegające praktycznie przy każdych drzwiach, ale ogromne kopce, w sumie trzy czy cztery, gdzie w końcu trafiały wszystkie wiejskie śmieci. Purnima widziała je jedynie z daleka – odległe pasmo górskie, na które wspinali się wyłącznie najbiedniejsi. Szukali wyrzuconych ubrań, papieru, kawałków metalu, jedzenia, plastiku. Najczęściej dzieci, a czasami też dorośli. Ale zawsze ci najbiedniejsi. Przypomniała sobie, jak matka powiedziała raz do niej, gdy

przechodziły obok nich, „nie patrz tam”, a Purnima nie wiedziała, czy miała na myśli cmentarz czy dzieci wspinające się po hałdach. Ale teraz, stojąc w ubogiej chacie Sawithy, kiedy matka nie żyła już od dawna, pomyślała, że rozumie. Matka, mówiąc, żeby nie patrzyła, nie miała na myśli ani cmentarza, ani wysypiska śmieci. „Nie patrz na śmierć – mówiła tak naprawdę – nie patrz na biedę, nie patrz, jak pełzną przez życie, jak czekają na ciebie, prześladują cię, zanim cię wykończą”.

– Chodzisz tam?

– Teraz już nie. Przestałam, gdy zaczęłam pracować z twoim ojcem.

Purnima wyjrzała przez okno chaty. Wychodziło na Indrawalli Kondę. Purnima patrzyła na świątynię i po raz pierwszy czuła dumę z ojca: dał Sawicie środki do życia i wyciągnął ją ze śmietników. Nigdy nie myślała, że jest hojny, ale teraz zdała sobie sprawę, że to może być cecha ukryta, niewidoczna, jakby spowita popiołem tak jak prawdziwy kolor liści na krzakach przy drodze do chaty Sawithy.

– Ale skąd umiesz tkać? – zapytała.

– Moi rodzice tkali. Mama wciąż ma swoją starą ćarkhę. – Sawitha wskazała na kupkę drewna leżącą w rogu. Nad nią przypięty był kalendarz z Śiwą i Parwati trzymającymi na kolanach Ganeśę i Karttikeję. Obok złamanej ćarkhy leżał duży tłumok zawinięty w stary materiał, może w szal. W drugim kącie było kilka pogiętych aluminiowych garnków i patelni pod zwieszającym się ze ściany koszykiem na warzywa ze zbłąkanym ząbkiem czosnku, rozdętą cebulą i okrągłą pomarańczową dynią. Purnima zobaczyła resztki ryżu, po których łaziły muchy. Obok leżała postrzępiona bambusowa mata.

– Kiedyś mieliśmy krosna. Ale mój ojciec je przepił. Mieliśmy też mały sklepik z *bidi*. Nie tutaj. W centrum miasta. Też go przepił.

Purnima nigdy o czymś takim nie słyszała. Alkohol w telugu nazywano *mundhu*, słowem oznaczającym zarówno lekarstwo, jak i truciznę. Nawet wymówienie go było tabu, zwłaszcza przy kobietach i dzieciach. O alkoholikach

mówiono przyciszonymi głosami i traktowano ich jak trędowatych albo gorzej. Mieszkać w domu pijaka, Purnima się wzdrygnęła.

– Gdzie on jest teraz?

Oczy Sawithy powędrowały ku oknu.

– Pewnie tam.

Purnima spojrzała w tym samym kierunku. Tam była Indrawalli Konda, świątynia, niebo.

– Świątynia?

– Chodzi tam i żebrze. Zazwyczaj wzbudza żal kapłanów, więc dają mu pół kokosa, albo, jak ma szczęście, jedno *laddu*. – Bezceremonialność tej wypowiedzi zdumiała Purnimę. – To wystarczy, by utrzymać go przy życiu.

Stały tak, patrząc na świątynię. Opowiadano – a to nie mógł być mit, to się naprawdę działo, Purnima raz sama to widziała – że raz do roku z ust bóstwa nieoczekiwanie zaczynał płynąć nektar. Sam z siebie, słodki i gęsty. Nikt nie wiedział, dlaczego zaczynał płynąć, dlaczego przestawał, ale gdy Purnima rozejrzała się po chacie Sawithy, gdy spojrzała na ten jeden ząbek czosnku, na gnijącą cebulę i tę dynię, o których wiedziała, że to było wszystko, co mieli do jedzenia, może na cały tydzień, pomyślała: powinien płynąć cały czas. Jeśli naprawdę jesteśmy dziećmi Boga, jak mówią kapłani, to dlaczego cały czas nie płynie?

– Nie dam mu własnych zarobków. On myśli, że zbieram na swój posag. Ale to nieprawda. Zbieram na posag siostr. – Sawitha spojrzała na Purnimę. – Nie wyjdę za mąż, póki one nie wyjdą.

– Nie?

Sawitha spojrzała przez nią – jakby w głąb jaskini – i rzekła:

– Nie.

Tymczasem rolnik stracił zainteresowanie małżeństwem. Przesłał wiadomość do ojca Purnimy. Powiedział, że nie może czekać następnych ośmiu miesięcy, a poza tym – dodał – słyszał, że jego córka ma skórę prawie tak ciemną jak

tamaryndowiec. Ojciec Purnimy był załamany. Ramajję, który przyniósł tę wiadomość, nękał kolejnymi pytaniami:

– A co jeszcze powiedział? Jest jakaś szansa, że zmieni zdanie? Tamaryndowiec? Naprawdę? Ona nie jest tak ciemna jak tamaryndowiec. Myślisz, że tak jest? Przekleństwem są córki, ciemność. A jakbym kupił mu jeszcze jedną kozę? Kilka kurcząt?

Ramajja pokręcił głową i powiedział, że to bez sensu. Upił łyk herbaty i dodał:

– Znajdziemy innego. Już nawet mam pewien pomysł.

Oczy ojca Purnimy się zaświeciły.

– Kto?

To był młody mężczyzna, który mieszkał w Repalle. Zdał właśnie egzaminy po dziesiątej klasie i odbywał teraz praktykę w sklepie z sari. Jego rodzice byli tkaczami, ale teraz, kiedy ich syn zaczął pracować i pojawiła się szansa na synową, która wniosłaby, miejmy nadzieję, nie tylko posag, ale i dodatkowy dochód z przedzenia, zwolnili trochę tempo i skupili się na tym, by go ożenić.

– Mają jeszcze młodszą córkę, więc sytuacja jest niejasna – rzekł Ramajja. Chodziło mu oczywiście o to, że młody mężczyzna nie mógł się ożenić, dopóki jego siostra nie wyjdzie za mąż i nie zamieszka w domu teściów. Ale, zdaniem Ramajji, ta młodszą córkę była już zaręczona. Trzeba było tylko ustalić *muhurtum*, najbardziej pomyślny dzień, i godzinę ślubu. Ojciec Purnimy był zachwycony.

– A zatem mamy jeszcze mnóstwo czasu – rzekł, uśmiechając się. – A jak z posagiem?

Ramajja dopił herbatę.

– W naszym zasięgu. Ostatecznie on jest tylko praktykantem. Ale nie wszystko naraz.

Następnego popołudnia, gdy Sawitha przyszła na kolację, Purnima powiedziała jej, co udało jej się podsłuchać. Zawsze jadły po ojcu Purnimy, a on

zażądał dokładki curry z papryki, zostawiając im do spółki tylko małą porcyjkę. Zjadły swój ryż głównie z piklami.

– Powiedziałaś, że to jest gdzie?

– Repalle.

Sawitha milczała przez chwilę.

– To za daleko.

– Gdzie to jest?

– To za Tenali. Nad oceanem.

– Nad oceanem? – Purnima nigdy nie widziała oceanu i wyobrażała go sobie jako pole, pole ryżu, z dalekimi statkami zamiast gór, niebieskie, a nie zielone, a co do fal... to kiedyś rozmawiała o nich z koleżanką, gdy była w trzeciej klasie. „Ale jakie one są? Jak one wyglądają?” Tamta dziewczynka, która też nigdy nie widziała oceanu, powiedziała, że fale są jak fałdy tkaniny i że wyglądają jak przeciągający się kot. Kot? Przeciągający się? Purnima była sceptyczna.

– Odwiedzisz mnie?

– Powiedziałam ci. To za daleko.

– Ale przecież jest pociąg.

Sawitha roześmiała się w głos. Uniosła w dłoni małeńki kawałek papryki.

– Widzisz to? Czy ty to widzisz? – zapytała, wskazując na swój talerz pełen ryżu z resztką zeszłorocznych pikli z pomidorów. – To jest uczta. Jak możesz myśleć, że kiedykolwiek będę mogła sobie pozwolić na bilet na pociąg?

Tej nocy Purnima położyła się na macie i myślała o Sawicie. Chociaż budziło to w niej niejasny niepokój, wydawało jej się, że nie może poślubić człowieka, który mieszka zbyt daleko, by Sawitha mogła ją odwiedzić. Oznaczało to, że Sawitha była dla niej ważniejsza niż mężczyzna, którego miała poślubić. Czy to możliwe? Jak to się stało? Purnima nie wiedziała. Pomyślała o zaciętości, która czasem wypełniała oczy Sawithy. Pomyślała o widoku świątyni z jej okna. Pomyślała o tym, jak ona miesza ryż z maślanką i bananem, i o tym jak – gdy w końcu poprosiła ją o odrobinę – Sawitha z szerokim uśmiechem zwinęła trochę

ociekającego maślanką ryżu w kulkę między palcami i – zamiast podać jej do ręki – nakarmiła ją. Podniosła kulkę do ust Purnimy tak, że dotknęła samymi czubkami palców jej języka. Jakby Purnima była dzieckiem. Jakby to amma ją karmiła. Ale teraz nie było choroby, która mogłaby zmącić ten gest, nie było śmierci, Sawitha była bardziej żywa niż ktokolwiek inny. Sprawiała, że nawet najmniejszy okruczeństwo wydawał się wspaniałym, i dla Purnimy, która zawsze tęskniła za czymś więcej niż wspomnienie grzebienia we włosach, niż dzwonienie niebieskiego budzika albo głosu, który tak często próbowała przywołać, przyglądanie się Sawicie, przyglądanie się jej zachwytowi było karmieniem jej własnego zachwyty. I nawet w czasie codziennych obowiązków – gdy gotowała, szła po wodę do studni, myła naczynia, prała ubrania, siedziała nieskończone godziny przy ćarkhce – odczuwała nagłe, migocące nasycenie. Może nawet radość. Ale najbardziej dziwiło ją, że nie potrafiła już sobie wyobrazić bez niej życia. Z kim ona rozmawiała przy posiłkach, zanim pojawiła się Sawitha? Co robiła w niedziele? Dla kogo gotowała? Jej ojciec, który większości rzeczy nie zauważał, powiedział poprzedniego wieczoru:

– Sawitha wydaje się dobrą dziewczyną. A na pewno ciężko pracuje. – Zaciągnął się dymem i dodał: – Taka dziewczyna nie powinna żyć sama. Powinno się ją wydać za męża. Ile ona ma lat? Tak czy owak, jest zbyt dorosła, by żyć sama. Bez dwóch zdań.

Bez dwóch zdań, powtórzyła Purnima sama do siebie. Bez dwóch zdań o czym?

Ojciec spojrzał na nią.

– Będą tutaj jutro. Prawdopodobnie po południu.

– Kto?

– Chłopak z Repalle. Jego rodzina.

– Jutro?

– Masz. – Ojciec wręczył jej kilka rupii. – Wyślij jutro brata po jakieś przekąski. Może pakory? – Purnima wpatrywała się w niego. – Nie stój jak kołek.

Weź to.

Kiedy następnego ranka Purnima powiedziała to Sawicie, ona się tylko uśmiechnęła.

– Nic z tego nie wyjdzie – rzekła.

– Skąd wiesz?

– Bo te rzeczy zawsze tak robią.

– Jakie rzeczy?

Sawitha wskazała na niebo.

– Rzeczy, które nie są zapisane. Które już są rozbite, zanim się jeszcze staną.

– Ale... oni tu jadą. Gopi poszedł kupić pakorę.

Znowu się uśmiechnęła.

– Kilka dni temu, rano, gdy szłam do twojego domu, przechodziłam przez Old Tenali Road, wiesz, tam gdzie przejeżdżają te wszystkie ciężarówki w kierunku autostrady. Kiedy mijałam sklepik z betelem, usłyszałam uderzenie. Albo raczej jakiś gwałtowny łomot. Odwróciłam się zobaczyć, co się stało, i ujrzałam na jezdni sowę. Z pewnością wpadła pod samochód. Jedno z jej skrzydeł wyglądało źle, po prostu źle. Rozumiesz, co mam na myśli? Wyglądała, jakby nie żyła. Albo spała. Ale nie, ona była przytomna, Puri, przytomna. Bardziej przytomna niż cokolwiek, co w życiu widziałam. Nie wydawała z siebie żadnego dźwięku. Żadnego wołania, żadnego skomlenia. Czy ptaki skomlą? Wszystko jedno. Po prostu siedziała tam, gdzie padła, na samym środku jezdni. Wśród tych wszystkich rowerów, ludzi i ciężarówek. Jedna z nich nawet nad nią przejechała. Ale sowa po prostu siedziała. Jej oko, to, które na mnie patrzyło, było jak marmur. Doskonały czarno-złoty marmur. Odbijający wszystko. Podeszłam do niej, pochyliłam się, zastanawiając się, jak mogę jej pomóc. Ale co mogłam zrobić? To zmiążdżone skrzydło wyglądało okropnie. Jak samotny dzień. Jak głód. Lecz kiedy na nią spojrzałam, uświadomiłam sobie, że ona do mnie mówi. Stara się coś mi powiedzieć. Przysięgam. Wiesz, co to było? Wiesz, co ona chciała mi powiedzieć?

Purnima milczała.

– Sowie rzeczy. Rzeczy, których nie mogłabym zrozumieć. To były umierające słowa, słowa umierania, ale wymawiane w innym języku. Milczące słowa. Ale mówiła też jeszcze coś innego, mówiła do mnie. Mówiła, że człowiek z Repalle nie ma znaczenia. Będziecie razem. (Mówiła oczywiście o tobie i o mnie). To tak jest: jeśli dwoje ludzi chce być razem, znajdą do siebie drogę. Wybiją ją. Może to wydawać się absurdalne, może nawet głupie, żeby tak ciężko pracować nad czymś, co tak naprawdę jest kwestią przypadku, zupełnie dowolne, jak na przykład bycie z kimś (jakby w ogóle słowa „z” i „bez” miały same w sobie znaczenie), ale, powiedziała sowa (i teraz – dodała Sawitha – sowa ciężko oddychała, może nawet charczała, bliska śmierci), ale tak właśnie z wami jest, ludźmi. Myślicie za dużo, prawda?

– Poczekaj – rzekła Purnima – to wszystko powiedziała ci sowa?

– Tak.

– Więc ona mnie zna? Zna ciebie? Zna tego chłopca z Repalle?

– Znała. Teraz pewnie już nie żyje.

– Dobrze. Znała.

– Tak.

– Tak?

Sawitha odpowiedziała jej spojrzeniem i nawet nie mrugnawszy, rzekła:

– Tak.

Tego wieczoru odbyła się pierwsza przedmałżeńska wizyta. Przyjechali trochę po szóstej: narzeczony, który odbywał praktykę w sklepie z sari, razem z matką, ojcem, Ramajją oraz wujem i ciotką. Chociaż może wuj był jego starszym kuzynem, a ciotka – jego żoną. Trudno było to orzec i Purnima nigdy ostatecznie się tego nie dowiedziała. Kiedy przyjechali, była w tkalni, tam gdzie stały krosna. Siostra jej ojca pomagała Purnimie przy nakładaniu sari – bawełnianego, w kolorze kremowym, z zielonym brzegiem, należącego jeszcze do jej matki – i wplataniu girlandy z jaśminów we włosy. Tego ranka Purnima namaściła się

olejkiem kokosowym, jej paznokcie wciąż nim pachniały, a pył kumkumu zostawił na nich cieniutką warstwę, jakby przed chwilą wypuściła z rąk czerwonego motyla. Ciotka ciągnęła ją za włosy, gdy ją czesała, szarpiąc je z taką siłą, że Purnima piszcziała z bólu.

– Cśśś... – skarciła ją. – Już jeden chłopak przepadł. Co za wstyd. Jak myślisz, jak to świadczy o dziewczynie? No? Dzięki niech będą Panu Wisznu, że cię nigdy nie zobaczył. To byłby już koniec. Twój biedny ojciec. Najpierw umiera mu żona, zostaje sam z piątką dzieci, a teraz to. Zdziera sobie palce do kości, by na was zarobić. Ale tym razem się uda. Zobaczysz.

Nałożyła na twarz Purnimy grubą warstwę talku. Ponownie ozdobiła ją kumkumem i kadzalem. A potem zdjęła z rąk złote bransoletki i wcisnęła je na nadgarstki Purnimy.

– Zrobione – powiedziała, odsuwając się o krok czy dwa. – Teraz spuść oczy i odzywaj się tylko wtedy, gdy cię zapytają. Nie bądź zbyt swobodna. Po prostu odpowiadaj na pytania. I spróbuj coś zaśpiewać. Jeśli cię poproszą, zaśpiewaj coś. Najlepiej jakąś pobożną pieśń. Po prostu, nie zepsuj tego.

Purnima skinęła głową.

Ciotka wyprowadziła ją z tkalni, potem przeszły tyłem za główną chatą i weszły do środka, gdzie wszyscy już się zgromadzili. Pchnęła Purnimę na słomianą matę, siedziała na niej też matka narzeczonego oraz ta ciotka czy kuzynka. Mężczyźni usadowili się na krawędzi konopnej pryczy. Wymieniono grzeczności z siostrą ojca Purnimy, którą – jak się zdawało – tamta ciotka czy kuzynka znała. Potem matka narzeczonego wyciągnęła rękę i dotknęła złotych bransolet.

– Nie są zbyt grube – rzekła.

– Ach tak – powiedział beztrąsko Ramajja – to wszystko można omówić później.

Kobieta uśmiechnęła się, niechętnie wypuściła bransoletki z rąk i zapytała:

– Jak masz na imię, moja droga?

Purnima podniosła wzrok na kobietę, która, jak przypuszczała, miała zostać jej przyszlą teściową. Była tęga, dobrze odżywiona, brzuch wystawał jej powyżej talii jak okrągły wilgotny gliniany dzbanek. Miała żółte paznokcie i zęby.

– Purnima – wyszeptała.

Podobało jej się, że nazwała ją „moja droga”. Ale nie spodobał jej się ton głosu kobiety, wydał jej się podejrzany, zbyt szybko przeszła od grubości bransoletek do jej imienia, jakby były jednym i tym samym, jakby były częścią tego samego śledztwa, tego samego pościgu.

– Zapytaj ją o coś, Rawi – odezwała się do narzeczonego ciotka. – Zapytaj ją.

Siedział na krawędzi łóżka, więc Purnima mogła zobaczyć tylko jego buty (brązowe sandały) i mankiety spodni (szare, z prążkami). Kostki – jedyna część ciała Rawiego, którą mogła dostrzec – miał ciemne, porośnięte kręconymi i grubymi włoskami.

– Umiesz śpiewać? – zapytał.

Odchrząknęła. Pobożna pieśń, powiedziała do siebie. Przypomnij sobie jakąś pobożną pieśń. Ale w tym momencie jej umysł opustoszał. Właściwie niezupełnie. Wypełniła go myśl o sowie. O umierającej sowie, która mówiła do Sawithy. Co ona powiedziała? Coś o znalezieniu drogi, o jej wybijaniu. Co ona będzie robić w Repalle, sama, bez Sawithy? To pytanie wydało jej się ważniejsze niż jakiegokolwiek inne, które jej w życiu zadano. Ważniejsze niż wszystkie inne pytania razem wzięte.

– Nie – odpowiedziała – nie umiem.

Ciotka gwałtownie wypuściła powietrze z płuc.

– Oczywiście, że umiesz – powiedziała z nerwowym śmiechem. – Przypomnij sobie tę pieśń, którą śpiewamy w świątyni. O Ramie i Sicie, i...

– Pamiętam ją. Pamiętam ją doskonale. Po prostu nie umiem śpiewać. Tak jak powiedziałam, nie umiem.

Ramajja podniósł się lekko, oczy miał szeroko otwarte.

– Nieśmiała. To wszystko. Taka nieśmiała dziewczyna.

Narzeczonego odchrząknął. Ciotka czy kuzynka rzekła:

– W porządku, nic się nie stało. Śpiewanie nie jest najważniejsze. Umie gotować, prawda? A jak dużo pojemników możesz uprząść na ćarkhce w jeden dzień?

– Cztery, pięć.

– Popatrz – rzekła kobieta – to nie tak źle.

– Swapna może uprząść osiem – powiedziała matka narzeczonego. – I to z dzieckiem.

I w ten sposób toczyła się rozmowa. Wypili herbatę, zjedli wszystkie pakory i większość dżilebi, zostawiając tylko cukrowy syrop na talerzu. Rozmawiali o tym, że wciąż nie ma deszczu, że pociągi z Repalle są zawsze spóźnione, rozmawiali o cenie orzeszków ziemnych, mango i ryżu, a potem o nowym rządzie i o tym, jak spadały ceny, a jakość produktów się poprawiała, kiedy władzę sprawowała Partia Kongresowa. Ciotka pozwoliła Purnimie opuścić pokój. Została potem skarcona tak, jak się tego spodziewała.

– Ty idiotko – powiedziała ciotka. – Kto się ożeni z kimś takim jak ty? Kto poślubi kogoś tak zepsutego? Dzięki niech będą Panu Wisznu, że twojej matki przy tym nie było. To by ją zabiło. Taka okropna córka. Czy ty tego nie widzisz? To nie ma nic wspólnego z tym, czy umiesz śpiewać czy nie, idiotko. Oni chcą być po prostu pewni, że będziesz ich słuchać. Że będziesz posłuszna. A teraz wiedzą. Wiedzą, że jesteś zepsuta.

Kiedy Purnima opowiedziała to Sawicie następnego dnia, ta się roześmiała.

– O to chodzi! Właśnie tak to robimy. – A potem odgarnęła pasmo włosów, które spadło Purnimie na twarz, i dodała: – O to chodzi. Jesteśmy bezpieczne.

W następnych dniach po przedmałżeńskiej wizycie nad Indrawalli nadeszła fala upałów. Purnima wstawiała jeszcze po ciemku, by zdążyć z porannymi obowiązkami. Woda ze studni, jedzenie na cały dzień, zamiatanie i pranie – wszystko musiało być zrobione, zanim wszędzie słońce. Jak tylko musnęło horyzont, jak tylko liznęło jego krawędź, ziemia zaczynała płonąć jak w ogniu. Całe ranki i popołudnia powietrze było gorące, rozpalone, dopiero wieczorami nadpływała delikatna bryza, ale i ona niewiele dawała. Purnima zasiadała przy ćarkhce popołudniami, kręcąc nią apatycznie i czekając na porę kolacji. Nie mogła odwiedzać Sawithy w ciągu dnia, kiedy ta pracowała przy krosnach: jej ojciec też był w tkalni, patrzył na dziewczęta znad swoich krosien. Popołudniami zanosila im herbatę, ale wtedy ona i Sawitha ledwo wymieniały spojrzenia. Poza tym ojciec Purnimy był wściekły. Rodzina z Repalle domagała się teraz większego posagu, dwukrotnie większego niż ten, na który się wcześniej umówili.

– Dwukrotnie – syczał ojciec – z powodu twojej bezczelności.

Żądali także zestawu złotych bransolet dla swojej córki, młodszej siostry narzeczonego.

– Złoto – powtarzał ojciec. – Złoto, złoto, złoto. Rozumiesz? Złoto. Jak ty sobie wyobrażasz, że znajdę pieniądze, żeby kupić złoto? – Wbijał w nią przekrwione i czerwone od upału oczy. – A po tobie jest kolejna. Za ile? Za dwa czy trzy lata? A ta twoja przyjaciółka, Sawitha. Wyobrażasz sobie, o co mnie ostatnio zapytała? Zapytała mnie, czy może używać krosien po pracy. Przyjdzie wcześniej, wyjdzie później. Moich krosien! A zapytała o to tak po prostu, jakbym był to jej winien. – Pokręcił głową, strzepując komara z ręki. – To ta twoja

zuchwałość – dodał. – Ta wasza zuchwałość nowoczesnych dziewczyn przyniesie wam zgubę. Przyniesie mi zgubę.

– Dlaczego? – zapytała Purnima.

– Co „dlaczego”?

– Dlaczego chce dodatkowo przychodzić?

– A skąd mam wiedzieć? – odparł ojciec. – Sama ją zapytaj.

Purnima stała, wpatrując się w niego. Klepnął kolejnego komara.

– No co tak stoisz? Przynieś mi paczkę.

Purnima zapytała Sawithę następnego dnia w czasie obiadu. Powietrze w chacie było płynne, pulsowało bielą i czerwonym gorącem. Muchy brzęczały sennie, wlatując odrobinę nad ziemię, a potem znowu siadały, jakby wyczerpane tym wysiłkiem. Sawithę oblewał pot od siedzenia przy krosnach. Krople płynęły wzdłuż linii jej włosów, perliły się na obojczykach. Purnima czuła zapach jej ciała: leśny, piżmowy. Żadnego, nawet najłżejszego powiewu mydła do prania, odrobiny sandałowego proszku czy nawet talku. Zwierzę – Sawitha pachniała jak zwierzę.

Przestała jeść i patrzyła na Purnimę opowiadającą jej o ludziach z Repalle i o tym, że zażądali większego posagu.

– Czy twój ojciec może go im dać?

– Nie sądzę. Z trudem mógł sobie pozwolić na posag, który im wcześniej zaproponował.

– No to nic z tego nie będzie.

Purnima wzruszyła ramionami.

– Może. Ale wszyscy są wściekli.

– Dlatego, że nie zaśpiewałaś? A kim my jesteśmy? Tresowanymi małpami?

Purnima nie odpowiedziała. Zamiast tego zapytała:

– Dlaczego chcesz pracować dłużej przy krosnach? Dlaczego zapytałaś mojego ojca o pozwolenie?

Sawitha wzięła kęs ryżu z sambarem. Oczy jej zamigotały.

– Robię coś dla ciebie. Robię dla ciebie sari. Dlatego zapytałam twojego ojca, czy mogę używać krosien. Myślisz, że mi pozwoli?

– Sari? Ale jak? Skąd weźmiesz nić? I jak dasz radę robić dwa sari naraz? Nie dasz rady.

– Dlatego chcę przychodzić dodatkowo. Skończę sari dla twojego ojca, pracując po godzinach. A potem mogę zacząć twoje w sobotę, pracować całą niedzielę i mieć je na poniedziałek rano. A nić? Dostałam ze spółdzielni. Mieli dodatkową. Widocznie ktoś ufarbował ją na niewłaściwy kolor. Błękitny. Nie mogą jej przefarbować, więc jej nie chcą. Tak czy owak, sprzedali mi ją za półdarmo.

– Sari w jeden dzień?

– Dwa, jeśli będę pracować dzień i noc.

– To niedorzeczne. Nie możesz pracować bez snu przez dwa dni. A poza tym dlaczego? Dlaczego chcesz mi zrobić sari?

– To będzie mój prezent ślubny dla ciebie. Jak w końcu wyjdiesz za mąż. Nie za tego chłopaka w Repalle. Ale kiedy to się stanie, nie będę mogła sobie pozwolić na nic innego. A poza tym popatrz na to – powiedziała, trzymając w dłoniach garść ryżu. – Nikt nigdy dla mnie nie gotował. Moja mama musiała przecież kiedyś to robić, ale ja tego nie pamiętam. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze gotowałam sama dla siebie, dla rodziców, braci i sióstr. I jeszcze banany. Wiem, że oszczędzasz pieniądze, żeby je dla mnie kupować. Ale tu nie tylko chodzi o gotowanie. Chodzi o wszystko. O wszystko. Począwszy od tego, jak siedzisz i przedziesz przy ćarkhce, jakbyś w ogóle nie przedła nici, lecz najdziwniejsze opowieści, najśłodsze sny. O sposób, w jaki podajesz mi herbatę, kiedy siedzę przy krosnach. I o sposób, w jaki niesiesz dzban z wodą, kiedy wracamy od studni, jakby nic, nic na świecie nie mogło równać się z doskonałą finezją tego dzbana napełnionego wodą. Czy ty tego nie widzisz, Puri? Poza tobą wszystko jest tak wyblakłe, tak pozbawione kolorów. A ten błękit... – Uśmiechnęła się. – Przynajmniej mogę utkać dla ciebie sari. Wiem, jak to zrobić.

A kilka bezsennych nocy nie ma znaczenia. Pomyśl, jak ci będzie w nim do twarzy.

Purnima chciała wstać, odciągnąć Sawithę od talerza i ją przytulić. Nikt nigdy nawet nie pomyślał, żeby coś dla niej zrobić. Oczywiście poza matką, ale ona nie żyła. I ciężar jej dłoni, trzymającej grzebień w jej włosach, był wszystkim, co Purnimie po niej pozostało. Czasami, a właściwie bardzo często chwytiała się tego wspomnienia, tego ciężaru, jakby tylko on mógł prowadzić ją przez ciemne i dzikie ścieżki lasu, by w końcu, jak miała nadzieję, dotrzeć na polanę, ale tak się nigdy nie stało. Te wszystkie wspomnienia mogły jej dać tylko odrobinę pociechy. Kropla po kropli, jak glukoza sącząca się przez igłę wbitą w ramię matki, gdy była w szpitalu. Były niczym. Niczym prawdziwym. Były jak cukier. Cukier, który się w nią wsączał. „Aby utrzymać ją przy siłach” – mówili lekarze. Jakby cukier był lekarstwem na raka. Ale Sawitha... Sawitha chciała jej utkać sari. Sari, które owinie się wokół jej ciała i twarzy. Nie wspomnienie, nie zapach, nie rzecz, która się ulatnia. Sari. Będzie mogła je wziąć i płakać w nie, będzie mogła rozłożyć je na dachu, na gorącym piasku, chodzić w nim nad Krysznę i brodzić w jej wodach, będzie mogła owinać się w jego fałdach, ochronić się nim przed nocą, będzie mogła spać, będzie mogła śnić.

Sowa miała rację: negocjacje z rodziną z Repalle spełzły na niczym. Odmówili obniżenia żądań co do wysokości posagu, chociaż Ramajji udało się ich przekonać, żeby zgodzili się na jedną złotą bransoletkę dla siostry zamiast dwóch.

– Jedna czy dwie? Jakie to ma znaczenie? Nie mogę sobie pozwolić nawet na połowę złotej bransoletki. Stać mnie tylko na posag – mówił jej ojciec.

– Widzieli ją. Na tym polega problem – rzekł Ramajja. Kiedy Purnima przyniosła Ramajji herbatę, spojrział na nią z taką odrazą, aż pomyślała, że wyleje mu tę herbatę na twarz. Odsunęła się. – Nieśmiała – powiedział z niesmakiem. – Ty nie jesteś nieśmiała. Jesteś prostytutką. Ty i twój ojciec macie szczęście, że wciąż chcę wam pomagać. Ale wieści się rozchodzą, wiesz o tym. Każdy, stąd aż do Godawari, wie o tobie. Kto cię zechce?

Kiedy Ramajja wyszedł, ojciec uderzył Purnimę. Mocno. Potem złapał ją za włosy.

– Widzisz? – zapytał. – Widzisz, co zrobiłaś? – Zacisnął dłoń na jej włosach jeszcze mocniej i dodał: – Następnym razem, jak cię ktoś poprosi, byś zaśpiewała, co zrobisz?

Purnima zamruwała oczami. Powstrzymywała łzy. Głowa jej płonęła, włosy zrywały się jak elektryczne przewody. Jej bracia i siostra zgromadzili się przy drzwiach chaty, by popatrzeć.

– Co zrobisz? – zawarczał ojciec. – Powiedz to. Powiedz.

– Zaśpiewam – wyszeptała, wijąc się z bólu. – Będę śpiewać.

Wypuścił ją i popchnął, tak że upadła. Uderzyła się w stalowe naczynia, w których podawała herbatę, i rozcięła sobie dłoń. Jeden z braci pobiegł po szmatkę, owinęła ją sobie wokół ręki. Krew jednak przeciekała, a Purnima

musiała przygotować kolację. Wysłała rodzeństwo, by się pobawiło, i oparła się o ścianę chaty. O wschodnią ścianę. Naprzeciwko niej było wysokie okno. Mogła widzieć przez nie słońce zachodzące za Indrawalli Kondą. Nie samo słońce, ale różowe, żółte i pomarańczowe obłoki, cienkie, ich końce były ostre jak noże, pędziły w kierunku góry, jakby chciały powalić ją na kolana. Co za urojenie, pomyślała, jakby te niepotrzebne puchowe kłębki mogły okaleczyć górę.

Zamknęła oczy. Nie zauważała bólu ani w ręce, ani w głowie, ani na policzku, w który uderzył ją ojciec. Wciąż był, ale ona go już nie czuła. Jej ciało płynęło, powoli, jakby przez wypełnione gęstym mułem morze. To ten upał, pomyślała, choć fala gorąca już minęła. Był kwiecień i chociaż temperatura nieco zelżała (mimo iż wciąż wychodzenie popołudniami na dwór nie było dobrym pomysłem), upał nie zgaśnie aż do lipca, kiedy nadejdzie monsun. Tymczasem powietrze było duszne. Chata była duszna. Purnima z trudem oddychała. Chciała krzyknąć, ale jej ciało było suche jak skorupa kokosa. Upał wyszał wszystko, nawet łzy.

A to był tylko kwiecień.

Kiedy Sawitha przyszła następnego popołudnia na obiad i zobaczyła ranę na jej ręce i siniak na twarzy, wpadła we wściekłość.

– Nie martw się – powiedziała, cała wzburzona.

– O co? – zapytała Purnima.

– O nic. Nie martw się zupełnie o nic. – Potem położyła głowę Purnimy na swoich kolanach, odsunęła jej włosy z twarzy i zapytała: – Chcesz posłuchać historii?

Purnima skinęła głową.

– Jakiej historii?

– To ty zapytałaś.

– Dobrze, ale to ma być stara czy nowa historia?

– Nowa.

– Dlaczego?

Purnima się zastanowiła. Kolana Sawithy były ciepłe, choć trochę nierówne, jakby leżała na nierównym łóżku.

– Ponieważ mam dość starych rzeczy. Takich jak Ramajja. Jak ta chata. – Podniosła rękę do jej twarzy, rana na dłoni wciąż była otwarta. Zakrzywiona jak linia glinianego dzbana. – Chcę coś nowego.

– Skoro tak, to pewnego razu – zaczęła Sawitha – choć nie bardzo dawno temu, skoro chcesz usłyszeć nową historię, więc pewnego razu, słoń i deszcz się posprzeczały. Słoń był dumny. Wędrował dumnie po puszczy. Jadł, co chciał, sięgając wysoko aż po czubki drzew, strasząc inne zwierzęta. Był tak dumny, że kiedyś spojrzął w górę, zobaczył deszcz i powiedział: „Nie potrzebuję ciebie. Nie karmisz mnie. Nie potrzebuję cię wcale”. Deszcz, gdy to usłyszał, spojrzął smutno na słońca i rzekł: „Odejdę i wtedy zobaczysz”. I odszedł. Słoń patrzył, jak odchodzi, i wpadł na pewien pomysł. Zobaczył leżącą w pobliżu lagunę wypełnioną wodą; wiedział, że bez deszczu ona szybko wyschnie.

Tutaj Sawitha przerwała. Purnima podniosła głowę z jej kolan i usiadła.

– I co to było? Co on wymyślił? – zapytała Purnima.

Sawitha odwróciła do niej twarz. Uśmiechnęła się.

– Wiesz, słoń zobaczył biedną, starą wronę idącą leśną ścieżką, szukającą pędraków i przykazał jej pilnować laguny. „Tylko ja mogę z niej pić”, powiedział do wrony. Więc stara wrona usiadła i pilnowała laguny. Przybiegła małpa i zawołała: „Daj mi wody!”, a wrona odpowiedziała: „Ta woda należy do słońca”, więc małpa pokręciła głową i odeszła. Potem przyszła hiena i zawołała: „Daj mi wody!”, a wrona odpowiedziała: „Ta woda należy do słońca”. Potem przyszła kobra i zawołała: „Daj mi wody!”, a wrona odpowiedziała: „Ta woda należy do słońca”. Potem przyszedł kot błotny i zawołał: „Daj mi wody!”, a wrona odpowiedziała: „Ta woda należy do słońca”. Potem przyszli niedźwiedź i krokodyl, i jelen. Prosilili o wodę, a stara wrona dawała im tę samą odpowiedź. Wreszcie przyszedł lew. Zawołał: „Daj mi wody!”, a wrona odpowiedziała: „Ta woda należy do słońca”. Kiedy lew to usłyszał, zaryczał, złapał biedną wronę za

szyję i pobił ją. Pił z laguny długimi odświeżającymi haustami, a potem odszedł do puszczy. Kiedy słoń wrócił, zobaczył, że w lagunie nie ma wody. „Wrono, gdzie jest woda?”, rzekł. Stara wrona spojrzała na niego smutno i powiedziała: „Lew ją wypił”. Słoń wpadł we wściekłość. Powiedział rozgniewany: „Mówiłem ci, żebyś nie pozwoliła nikomu innemu pić z tej laguny. Muszę cię ukarać. Chcesz być przeżuta czy po prostu połknięta w całości?”. „Połknij mnie w całości, proszę”, powiedziała wrona. Więc słoń ją połknął. Ale jak tylko znalazła się w środku słonia, wrona, nasza mała wrona, rozdarła wątrobę, nerki i serce słonia, aż umarł, wijąc się z bólu. A wrona po prostu wyszła z jego ciała i odfrunęła.

Sawitha zamilkła.

Purnima spojrzała na nią.

– A co z deszczem? – zapytała.

– Z deszczem?

– Wrócił? Wypełnił na nowo lagunę?

– Deszcz nie ma znaczenia.

– Nie?

– Nie.

– A co z...

– To nie ma znaczenia.

– Nie ma?

– Nie – rzekła Sawitha. – Znaczenie ma jedna rzecz. Zrozum, Purnimo, lepiej być pożartym w całości niż w kawałkach. Tylko wtedy możesz zwyciężyć. Żaden słoń nie będzie za duży. Tylko wtedy żaden słoń cię nie skrzywdzi.

I obie zamilkły.

Sawitha wróciła do krosien, a Purnima, myjąc naczynia po obiedzie, spojrzała na ranę na dłoni, która otworzyła się od szorowania, i pomyślała o ojcu, pomyślała o starej wronie, a potem pomyślała, proszę, nanna. Jeśli chcesz mnie pożreć, pożryj mnie całą.

6

Sawitha zaczęła pracować coraz dłużej. Pracowała szybko, ale zamówienia w sezonie weselnym były większe, niż się spodziewali. Przychodziła wcześniej rano i wychodziła późno w nocy, harując ciężej niż jakikolwiek mężczyzna znany ojcu Purnimy. Czasami Sawitha chwytła jego chciwe spojrzenie – jakby już liczył monety, które ona dla niego bije. Nie przeszkadzało jej to.

– Płaci mi więcej – powiedziała do Purnimy. – A poza tym, kiedy ten pęd się skończy, będę mogła tkać twoje sari.

Starła się ją pocieszyć, ale Purnima tylko odpowiadała jej smutnym spojrzeniem. Ramajja przychodził każdego wieczoru, by ogłosić kolejną klęskę. Pewnej nocy, mówiła Sawicie, stała za drzwiami chaty i podsłuchiwała.

– Nikt jej nie chce. Nikt – mówił do jej ojca. – Wszyscy słyszeli. W chwili kiedy słyszą jej imię, twoje imię, kręcą głowami i mówią, że nie są zainteresowani. Do tego wszystkiego jest ciemna. W końcu wieści się rozchodzą. Być może będziemy musieli zwiększyć posag. Może w końcu jakiś biedny głupiec będzie potrzebować pieniędzy.

Sawitha rzekła do niej:

– Przyjdź do mnie jutro. Chcę ci coś pokazać.

Kiedy przyszła, Sawitha pokazała jej bele błękitnych nici na sari dla niej.

– Jeszcze nie zapłaciłam za wszystko, ale spółdzielnia dała mi kredyt.

Przyłożyła je do ciała Purnimy.

– Jak nocne niebo – powiedziała z uśmiechem. – Z tobą, Księżycem w pełni.

Purnima zdołała się uśmiechnąć. Sawitha zaproponowała jej herbatę, a gdy odmówiła, Sawitha podeszła do kąta chaty i rzekła:

– Nanna, chcesz trochę?

Purnima się odwróciła. W kącie izby siedział stary człowiek. Skulony. Był cicho przez cały czas, niewidzialny. Purnima dostrzegła jakiś ruch i chciała powiedzieć, nie, proszę nie wstawać z mojego powodu, ale po chwili zobaczyła, że on drżał. Potem usłyszała jakieś chrząknięcie, jakąś złamaną połowę słowa i jakby w odpowiedzi Sawitha naląła trochę herbaty do stalowego kubka. Podeszła do ojca i delikatnie przytrzymała mu głowę, podsuwając kubek pod usta. Złapał spojrzenie Purnimy. Chrapliwym szeptem, ale mocnym, mocniejszym, niż można się było spodziewać po tak słabym człowieku, powiedział:

– Widzisz to? Widzisz świątynię? – Pokazywał Indrawalli Kondę widoczną przez małe okienko. – Oni nas widzą, tak jak my ich. Patrzyłem. Stałem na stopniach świątyni i patrzyłem. Drzwi tej zaszrannej chaty tutaj wyglądają stamtąd tak samo tajemniczo, tak samo zachęcająco jak tamte drzwi stąd.

– Pij – powiedziała Sawitha.

Stary człowiek – zbyt stary, by mógł być ojcem Sawithy, wyglądał bardziej jak jej dziadek – powiedział:

– Zbyt dużo tego robiłem. Zbyt dużo, nie sądzisz?

Sawitha przechyliła kubek. Kropla herbaty wylała się mu na pierś. Wysunął rękę spod koca, instynktownie, i Purnima cofnęła się w przerażeniu. To była wiązka połamanych gałązek, palce miał gładkie, ale pokręcone. Sawitha zobaczyła wyraz twarzy Purnimy.

– Choroba stawów – rzekła.

– To nieprawda. To nie choroba stawów. To byłoby za łatwe. Widzisz to tutaj? – Podniósł rękę i światło słońca dotknęło czubków jego palców, jakby najwyższych gałęzi drzewa. – To wolność. To ludzki duch, doskonały. Gdybyśmy wszyscy urodzili się tacy, nie byłoby wojny. Bylibyśmy jak bracia, bojąc się siebie wzajemnie dotknąć. Czy wiesz, Sawitha, co widziałem któregoś dnia? A ty jak masz na imię? – Kiedy Purnima mu powiedziała, ciągnął dalej: – Czy wiesz, że są na świecie miejsca, gdzie ludzkie imiona nie mają znaczenia? Naprawdę tak jest.

Możesz to sobie wyobrazić? Cóż to mogą być za miejsca? Puste, ot co. Puste i smutne. Imię bez znaczenia to jak noc bez dnia. Są takie miejsca, sam słyszałem. O czym ja właśnie mówiłem? Sawitha, herbata wystygła – powiedział ze śmiechem. – Widzisz. Mówię za dużo. O wiele za dużo. *Mundhu* sprawiało, że milczałem. *Mundhu* trzymało słowa w ciszy, przywiązane do drzewa. Właśnie! Co to ja widziałem tamtego dnia? Dlaczego teraz tego nie pamiętam? – Roześmiał się serdecznie i radośnie, jak dziecko.

Purnima go polubiła. Nie obchodziło jej, co miał na myśli, nie miała też pojęcia, o co mu szło, gdy mówił o słowach przywiązanych do drzewa, ale polubiła go, bo był tak różny od jej ojca. Różny od Ramajji, od wszystkich mężczyzn, których dotąd spotkała. I przez całą drogę do domu nie pamiętała o tym, że jest ciemna, że nie nadaje się do małżeństwa, że nie mają wystarczająco dużo pieniędzy na posag, że istnieje bieda nawet większa niż jej.

Gdy Ramajja odwiedził ich następnego wieczoru, był w świetnym nastroju. Wszedł do chaty nieomal tanecznym krokiem. Zaczynał się maj. Studnie wyschły. Strumienie dusił kurz. Woda w Krysznie opadła tak, że praczki z obu jej brzegów wchodziły aż na środek rzeki, by poplotkować. Po dwóch tygodniach i po śmierci dwojga dzieci z powodu dyzenterii samorząd zaczął przywozić wodę w ogromnych beczkach. Wokół nich ustawiały się kolejki – czasami długie na sto czy dwieście osób. Ludzie patrzyli w niebo za najmniejszym śladem chmur. Nawet najcieńsze, najzwyklejsze ich pasemko sprawiłoby, że wstrzymaliby oddech, czekając na deszcz. Wszyscy wiedzieli, że monsun nie nadejdzie przed czerwcem, a nawet lipcem, ale ktoś słyszał o niewielkich opadach w Wizagu, wystarczających, by napełniły strumienie. Może do nich też dojdą.

Ale Ramajja zdawał się tym nie przejmować.

– Purnima! – zawołał, jak tylko znalazł się w zasięgu jej słuchu. – Przynieś mi szklankę wody, dobrze? Zaschło mi w gardle. I trochę wody, żebym mógł obmyć stopy. Popatrz na ten kurz. Biegłem do was właściwie przez cały czas.

Woda? Purnima się zdumiała. Zajrzała do każdego pustego dzbana na wodę, aż wylała z dna jednego tylko tyle, by napełnić małą szklankę. Kiedy podała ją

Ramajji, on był już pograżony w rozmowie z ojcem.

– Jest idealny. Jeszcze nie rozmawiałem z jego rodziną, ale jest idealny.

– Kto? – zapytała Purnima.

– A jak mylisz? Idź, zajmij się czymś. Znajdź sobie coś do roboty. – Purnima wróciła do chaty, ale stanęła tuż przy drzwiach. – Dasz wiarę? Nawet nie musiałem daleko jechać. Tylko do Namburu. Dziadkowie chłopca byli tkaczami. Jak się zdaje, nieźle sobie radzili. Kupili spory kawałek ziemi nieopodal Namburu. Przed odzyskaniem niepodległości uprawiali ziemię, ale teraz większość jej sprzedali. Nieźle na tym zarobili. Ma dwie młodsze siostry. Szukają partnera dla starszej, w wieku naszej Purnimy, ale ona wydaje się nieco wybredna.

Purnima usłyszała, jak ojciec pyta:

– A co robi chłopak?

– Jest księgowym! – zawołał radośnie Ramajja. – Studiował. Teraz nie robi się pieniędzy na tkaniu. Sam wiesz. Nie da się.

– Ile chcą?

– Ile trzeba, na miarę naszych możliwości. No, prawie. Ale słyszałem, że da się ich namówić, by trochę spuścili.

– Namówić ich?

Teraz Purnima usłyszała szuranie. Kiedy Ramajja w końcu przemówił, jego głos był ściszony.

– Jest z nim coś nie tak. Nic z tych rzeczy. – Znowu szuranie, głos Ramajji jeszcze cichszy.

– Ale co to jest? – Głos ojca Purnimy przepełniała podejrzliwość.

– Nasza dziewczyna nie ma wzięcia, sam wiesz. Więc nie ma potrzeby być takim podejrzliwym. Drobnie odchylenie od normy. Idiosynkrazja. Tak to mi przekazano, a tak naprawdę to kto wie.

Sawitha zapiszczała ze szczęścia. Objęła Purnimę.

– Więc wychodzisz za mąż! A on mieszka w Namburu. To w ogóle nie jest daleko. To jest tuż obok. Dojdę tam na piechotę!

– Tak – rzekła Purnima. – Może. – Przez chwilę milczała. A potem zapytała: – Co znaczy „idiosynkrazja”?

Stała przed domem i patrzyła na palmy. Chwytały lekką bryzę, delikatną, wystarczającą, by ich najwyższe liście zaszeleściły. Inne rośliny otaczające chatę – drzewo nimu, guawa, pnącze zimowej dyni – sprawiały wrażenie znużonych. Chyliły się ku ziemi. Boczyły się w beznadziei upału. A deszcz wciąż nie nadchodził – i absurdem była myśl, że nadejdzie. Jest dopiero środek maja. Rano temperatura rosła do około trzydziestu stopni Celsjusza, popołudniami osiągając czterdzieści czy nawet czterdzieści dwa stopnie. Cień – nazwa nieuchwytnego miejsca – straciła swoje znaczenie. Chata smażyła się jak na rozgrzanej patelni.

Informacje spływały, w miarę jak Ramajja je zdobywał. Rozmawiał z rodzicami, a oni powiedzieli, że ich syn nie będzie gotowy do małżeństwa przez następne dwa tygodnie. Egzaminy – wyjaśnili. Czasowo to się świetnie składa. To będzie dokładnie zaraz po ceremonii kończącej roczną żałobę po matce Purnimy. Chłopak nazywał się Kiśore. Miał dwadzieścia dwa lata.

– Nie widziałem go – mówi Ramajja – ale to nie był ich warunek. Wydaje się idealny. Studia. Księgowy. Na cóż więcej Purnima mogłaby mieć nadzieję?

– Czy oni chcą ją zobaczyć? Przecież muszą chcieć. Nie chcą? – pytał ojciec Purnimy.

– Oczywiście, oczywiście – zapewnił go Ramajja. – Nie wiadomo tylko, kiedy chłopak będzie mógł przyjechać. Tak jak mówiłem, ma teraz egzaminy.

– A posag?

– Ustalony.

Postanowiono, że przyjadą – przynajmniej rodzice – pod koniec maja. Jeśli wizyta przebiegnie dobrze, zostanie jeszcze cały miesiąc na przygotowanie wszystkiego i ślub będzie mógł odbyć się pod koniec czerwca.

– Ale to tak szybko – rzekła Purnima.

Sawitha już robiła mnóstwo planów.

– Właśnie. Bardzo szybko. Ledwie zdążę skończyć wszystkie sari. A jeszcze muszę zrobić twoje. Co myślisz o czerwonym brzegu? Sądzę, że czerwony kolor będzie dobrze pasował do błękitnego. Nie mogę się doczekać. Ty. Mężatką! Czy miałabyś coś przeciwko temu, gdybym spędziła u was kilka nocy? To by mi bardzo ułatwiło sprawę. Mogłabym siedzieć przy krosnach tyle, ile bym chciała.

Purnima zapytała o to ojca później tego wieczoru, a on odparł „Dobrze, dobrze”, ledwo jej słuchając, kiedy zwijał tytoń.

I tak Sawitha zaczęła spędzać u nich noce. Spały razem na jednej macie – rodzina Purnimy nie miała dodatkowej. Mimo iż noce były upalne, Purnima lubiła dotyk ciała Sawithy leżącej obok. Podobało jej się, że Sawitha zdawała się zachwycać i cieszyć się wszystkim, nawet najbardziej codziennymi rzeczami.

– Spójrz na niebo! – potrafiła zawołać. – Widziałaś kiedykolwiek tyle gwiazd?

– Jest za gorąco, by patrzeć w niebo.

Sawitha brała wtedy Purnimę za rękę i ją ścisnęła.

– Moja amma powiedziała, że możemy mieć wystarczająco dużo pieniędzy na przyszły rok. Na posag dla mojej siostry. Po niej są jeszcze dwie następne, ale to już jest coś, prawda?

Purnima skinęła głową w ciemności. Pomyślała, że mogłaby powiedzieć Sawicie o jej matce i budziku z niebieskim cyferblatem, ale milczała. Ojciec mógłby usłyszeć. Leżała cicho, słuchała oddechów braci i siostry, gdy nagle uświadomiła sobie, że pewnie nie spotkałaby Sawithy, gdyby jej matka żyła. Nie widziała w tym zdrady: jej matka umarła, a teraz jest Sawitha. Ale tym, co ją niepokoiło, był Kiśore, jej przyszły mąż. Przysłali jego fotografię. Ramajja przyniósł ją i pokazał im. Ale na niej był on jako chłopiec, w wieku ośmiu czy dziewięciu lat. Stał w rzędzie z siostrami, on w środku między nimi. Ustawiono ich przed malowidłem w atelier ze świecącym białym pałacem, fontannami i ogrodami. Nad nim sierp księżyca. Zbliżały się ku niemu chmury – delikatne i romantyczne. Purnima wpatrywała się uważnie w małą twarz chłopca. Była doskonale owalna. Usta jak mały migdał. Jedna jego dłoń zwisała bezwładnie,

jakby jej palce tęskniły za zabawkami czy szklanymi kulkami albo za cukierkiem, który kazano mu odłożyć. Drugą trzymał za plecami. Miał nieomal twarz dziecka. Łagodną, z wciąż jeszcze widocznymi rysami niemowlęcia. Purnimie to się spodobało. Potem zaczęła studiować jego oczy, próbując do nich zajrzeć, a przynajmniej coś w nich zobaczyć, ale były puste. Jałowe. Jakby patrzyły w otchłań. Na obcą ziemię.

– To tylko zdjęcie – skarciła ją Sawitha. – Czego ty się spodziewasz? Że zobaczysz jego serce?

Tak, chciała odpowiedzieć Purnima. Chcę zobaczyć jego serce.

Tym razem podczas wizyty przedmałżeńskiej Purnimie nie pozwolono na żaden błąd. Zdawała sobie sprawę, że – ubrana znowu w sari swojej matki, chociaż tym razem kwiaty jaśminu były inne, przeplecione rzędem pomarańczowej kankabary – znajdowała się pod ścisłym nadzorem. Ciotka usiadła bliżej niej. Zamiast prowadzić ją pod łokieć, jak było to poprzednim razem, położyła jedną rękę na jej warkoczu, jakby gotowa, by szarpnąć nim w dowolnej chwili. Gdy usiadły na macie, ojciec uśmiechnął się do niej. Uśmiechnął. Ale nie był to uśmiech dodający odwagi, uśmiech pełen miłości czy ojcowskich uczuć. Oznaczał tylko jedną rzecz. Widzę cię. Widzę cię i na pierwszą oznakę buntu – na pierwszy błysk w twoich oczach zapowiadający bunt – zareaguję odpowiednio. Jak? Purnima spuściła głowę i zadrżała na samą myśl o tym.

Równocześnie nie miała zamiaru zniszczyć tej wizyty. Narzeczonego nie było – przygotowywał się do egzaminów, wyjaśnił jego ojciec – ale pojawili się jego rodzice, średnia siostra i daleka kuzynka, która mieszkała w Indrawalli. Purnima podniosła oczy na tyle wysoko, by – po tym, jak spojrzała na swojego ojca – uzmysłowić sobie, że jego ojciec wydaje się tak mały w stosunku do jej ojca, nieśmiały i pełen wahania. Matka, siedząca nieco dalej od Purnimy, była tęga i prostacka, może wydawała się taka z powodu upału, a może z powodu jazdy autobusem z Namburu do Indrawalli; jej oczy były zimne jak krzemień i wymagające. Siostra, która siedziała obok Purnimy, zerknęła na nią z ukosa i właściwie cały czas milczała. Miała takie samo spojrzenie jak jej matka:

badawcze, próżne, niecierpliwe, lodowate. Ale obie były pulchne i Purnimie się to podobało, pulchność oznaczała dla niej jakąś jowialność czy żywiołowość, a z pewnością bogactwo. Siostra wyciągnęła rękę, wzięła dłoń Purnimy i zaczęła pocierać jej palce, jeden za drugim, jakby je liczyła. Potem puściła ją i uśmiechnęła się chłodno. Mężczyźni dalej rozmawiali, a Purnima, milcząca i skrępowana przez resztę wizyty, nieomal objęła przyszłą teściową, kiedy ona tuż przed wyjściem ujęła policzek Purnimy w dłoń – niezbyt delikatnie, Purnima nie mogłaby nazwać tego delikatnym dotknięciem, ale miało w sobie coś, co uznała za prawdziwe uczucie – i powiedziała:

– No nie, nie jesteś aż tak ciemna, jak o tobie mówili.

Siostra prychnęła, a może to był drwiący chichot? A potem odjechali.

Tej nocy opowiedziała przyjaciółce o ich wizycie. Sawitha wcześniej poszła do domu, by pomóc matce w gotowaniu, i wróciła przed zmierzchem. Usiadła przy krosnach jeszcze na godzinę i kiedy wreszcie przyszła na kolację, Purnima była już gotowa z jedzeniem. Przygotowała roti z ziemniaczanym curry. Było trochę jogurtu i resztki ryżu z obiadu.

– Ale nie kazali ci śpiewać – powiedziała Sawitha. – Już ich lubię. Masz trochę pikli?

Kiedy Purnima wstała, by je przynieść, Sawitha rzekła:

– A co z narzeczoną? Co z nim?

– Egzaminy – odparła Purnima. Przez chwilę siedziała w milczeniu, a potem spytała: – A co będzie, jeśli nie będziemy mieli o czym rozmawiać? Chodzi mi o to, że w końcu on studiuje. Pomyśli pewnie, że jestem głupia. Pomyśli, że jestem po prostu wieśniaczką. Prostaczką. A co to jest księgowość? To co on studiuje?

– Liczby – odparła Sawitha. – To są liczby. Twój ojciec daje ci pieniądze, prawda? Żebyś kupiła jedzenie. Ty idziesz na targ i dostajesz resztę. I zapisujesz w zeszycie. Widziałam to. Zapisujesz wszystkie wydatki, żeby co tydzień je

pokazać ojcu. To jest księgowość. Tylko to. A poza tym Namburu jest mniejsze od Indrawalli. On jest większym wieśniakiem niż my.

Purnima nie była przekonana. To nie może polegać tylko na tym.

Zaczęły się przygotowania do ślubu. Trzeba było jeszcze omówić szczegóły dotyczące posagu i ślubnych prezentów, ale Ramajja był pewien, że ich przekona, by zmniejszili żądania. Sawitha spieszyła się z tkaniem sari na zamówienie, by zdążyć z sari dla Purnimy. Egzaminę jej narzeczonego wypadały pod koniec miesiąca. Ale przedtem miała się odbyć uroczystość zakończenia rocznej żałoby. Ustalono ją na początek czerwca. Mieli wyprawić z tej okazji ucztę. Zabiją kozła, a kapłan odprawi pudżę. Ojciec zaś dokona rytualnego zapalenia stosu ciałopalnego. W ciągu następnych dni Purnima patrzyła na ojca z niepokojem: humor mu się pogarszał. Przypuszczała, że to z powodu wspomnień o śmierci matki albo żądań dotyczących posagu. Ale przyczyną było to, że nie zdążali z wypełnieniem zamówień na sari, wyjaśnił jej.

– Czy ona nie wie, że mamy pracę do wykonania? – mówił, gdy Sawitha wychodziła do domu nawet na godzinę czy dwie wieczorami. – Powiedz jej, że zapłacę jej dodatkowo, jeśli zostanie dłużej. Nie mogę sobie na dużo pozwolić. Nie mam prawie żadnych rezerw. Ale coś się znajdzie.

W dniu uroczystości temperatura spadła wzdłuż całego wybrzeża stanu Andhra Pradeś. Purnima obudziła się i uświadomiła sobie, że wieje. Nie była to jeszcze chłodna bryza, ale i tak ją ucieszyła. Matka z pewnością na nią patrzy. Z pewnością mówi do niej. Purnima, jestem szczęśliwa, mówi. Twoje małżeństwo będzie dobre. Z pewnością mówi, ja też za tobą tęsknię. A grzebień cały czas trzymam w dłoni.

Młody kozioł był przywiązany do słupa na zewnątrz chaty. Brązowy i biały; miał białe pręgi, jedną przy tułowiu, wokół każdego kopyta, kolejna łata opadała od czoła i szła między oczami. Purnima próbowała go nakarmić suchą, martwą trawą, którą zebrała przed chatą. Kozioł powąchał zielsko, a potem spojrzał na nią. Jego czarne oczy były okrągłe, a spojrzenie ciekawskie – sprawdzał, czy ma jakieś inne jedzenie – ale gdy zobaczył, że nie, odwrócił wzrok. Purnima

wiedziała, że nie powinna się mu zbyt długo przyglądać, to tylko zwiększy jej sympatię do skazanego, ale trzymał ją przy nim jego zapach: moczu, dzikości i siana.

Pomyślała o jego zapachu, gdy patrzyła, jak go zarzynają. Nóż – najwyraźniej nie dość ostry – musiał wiele razy krajać jego szyję niczym bochenek czerstwego chleba. Aby utrzymać kozła, mężczyźni położyli go na boku i jeden z nich usiadł na tylnej części jego ciała, podczas gdy dwóch innych trzymało każdą parę nóg. Kolejny podstawił pod jego szyję wiadro. Ale to wszystko było niepotrzebne. Po krótkiej walce kozioł, widząc nóż, a może raczej wyczuwając go, bezwładnie opadł na ziemię. Stracił nadzieję, pomyślała Purnima, albo panowanie nad sobą. Przy pierwszych nacięciach zaczął wierzgać w męce, potem przez całe jego ciało przebiegł dreszcz i zwierzę się uspokoiło. Nóż coraz bardziej się zagłębiał, ale kozioł wciąż mrugał oczami, teraz wpatrując się w szarość, jak przypuszczała Purnima, w zapadającą ciemność, jego oczy traciły blask. Machnął po raz ostatni ogonem, stracił władzę nad mięśniami, a mężczyzna, który piłował jego szyję, wsadził mu w pysk kciuk. Purnima zastanawiała się, po co to zrobił, czy chciał mu po raz ostatni sprawić przyjemność, po raz ostatni dać mu palec do ssania, czy to stało się po prostu przypadkiem. Chwilę później kozioł nie żył. Najpierw jego ciało, potem mrugające oczy. Ale Purnimie wydawało się, że jakaś jego część została w nim dłużej, jakaś energia, doznanie życia, a po chwili ono także odeszło.

Ten zapach – zapach kozła, zapach moczu, dzikości i siana – utonął w woni miedzi i innych metali, których Purnima nie umiała nazwać: w zapachu jej rąk, kiedy podnosiła wiadro przy studni, w zapachu świeżo umytych naczyń, w zapachu rzecznej wody i mułu. Ten zapach był też upalny i muchy całymi eskadrami nadlatywały nad kozła. Piły jego krew, piły tak jak wojsko, a potem obsiadły jego ciało.

Tej nocy Purnima leżała bezsennie przez dłuższy czas. Myślała, że nie będzie mogła zasnąć z powodu nawracającego obrazu kozła, czarnych kulek jego oczu, ale się myliła. Cały czas myślała o matce. Kiedy miała dziewięć czy dziesięć lat, pojechały do dziadków Purnimy ze strony matki. Kaza leżała oddalona od

Indrawalli o dwie godziny jazdy autobusem i obie wstały wcześniej, mając nadzieję, że wrócą przed wieczorem. Matka obudziła ją, gdy było jeszcze ciemno, umyła jej włosy, a potem natarła czyszczącym proszkiem, który sprawił, że jej skóra stała się czerwona i miękka. Nałożyła Purnimie jej najlepszą langę, czerwone bransoletki i srebrne łańcuszki na kostki, które przyniosła w posagu. W drodze na przystanek matka zaszalała, kupując dwie róże – różowe jak niebo poranka, i wplotła po jednej w jej warkocze. Autobus ruszył chwilę po siódmej. Był pełen ludzi. Usiadły z przodu, w części dla kobiet, tylna była zarezerwowana dla mężczyzn. Purnima przeszła górą nad kurczakami, nad tobołkami z jakimiś produktami i drewnem na podpałkę zagracającymi przejście, dzieci zawodziły i marudziły. Usiadła obok matki i wyrzała przez okno. Rzadko jeździła autobusem i zachwyciła ją prędkość, z jaką pola przebiegały za oknem. Patrzyła i próbowała policzyć wszystkie psy, świnie i kozy, które mijali. Ale było ich tyle, że straciła rachubę, więc zaczęła liczyć chaty, a kiedy i ich zrobiło się za dużo, roześmiała się i pomyślała, góry, będę liczyć góry.

Ale wtedy, z głośnym brzękiem i zgrzytem, autobus nagle się zatrzymał. Wszyscy popatrzyli po sobie. Kilku mężczyzn siedzących z tyłu wydało głośny okrzyk. Kierowca autobusu, siedząc spokojnie, wyprostowany, ze schludnym wąsem, w świeżo uprasowanym mundurze w kolorze khaki, obrócił kluczyk w stacyjce. Silnik zarzęził kilka razy, ale nie zapalił. Okrzyki z tyłu stawały się coraz donośniejsze:

– *Aré, aré*, może RTC przyśle samochód?

– Jasne, przyśle – zawołał ktoś w odpowiedzi. – Nazywa się Gowri i jak bawół jedzie na trawę.

Kierowca powiedział, żeby się zamknęli.

Potem wysiadł – razem z kilkoma innymi mężczyznami – i zajrzał pod maskę. Purnima słyszała dźwięk klucza czy metalowego młotka uderzającego chyba w silnik, aż nagle zrobiło się cicho. Autobus zgasł. Właściwie zapadł się w siebie, jakby nagle poczuł się zbyt wyczerpany, by jechać dalej. Kobiety także wysiadły. Dzieci były teraz spokojne, czujne.

Tego późnopaździernikowego dnia panował przenikliwy chłód, poranne zimno wciąż jeszcze wisiało w powietrzu.

Purnima wysiadła razem z matką. Kobieta miała ze sobą szal i owinęła nim córkę. Większość matek siedziała już na skraju drogi, ich dzieci biegały i bawiły się w kurzu. Mężczyźni tłoczyli się wokół otwartej maski. Purnima patrzyła w obie strony drogi. W oddali jechał wóz zaprzężony w woły, nieomal niewidoczny w porannej mgiełce, zbliżał się ku nim powoli. Kobiety w kolorowych sari zwiniętych między nogami usiadły na polu ryżu, między wypełnionymi wodą zagonami. Niewielka świątynia świeciła białym blaskiem na tle szmaragdowych łądek. Purnima pomyślała o niej, o czarnym rzeźbionym bóstwie w jej wnętrzu i o prostym darze z kwiatu – może róży w kolorze porannego nieba, takiej, jaką miała we włosach – zostawionym u jego stóp. Potem usadowiła się obok matki. Mężczyźni palili teraz *bidi*, śmiali się, a kobiety pilnowały dzieci. Kolejny autobus miał przyjechać za godzinę czy dwie, wepchną się do niego wszyscy, którzy znajdą w nim miejsce. Część z nich pewnie będzie musiała wspiąć się na dach albo wisieć na klamkach przy drzwiach. Ale tymczasem każdy, siedząc tak tutaj na skraju drogi, wydawał się zupełnie zadowolony. Budzące się słońce było jak mały żółty ptak.

Purnima odwróciła się do matki. Nigdy nie była z nią sama, ojciec, bracia czy siostry zawsze kręcili się w pobliżu. Wysyłano ją po zakupy dla matki, ale nigdy z matką i wcześniej też, gdy jechali do domu jej dziadków, zawsze któreś z rodzeństwa było z nimi. W jakimś objawieniu – w tym porannym świetle, siedząc na czerwonym kurzu na poboczu drogi – zobaczyła, że jej matka jest piękna. Nawet w tłumie innych młodych matek i rozkwitających nastoletnich dziewcząt, świeżych i uroczych, chichoczących między sobą, matka była najpiękniejsza. Jej oczy przypominały głębokie czarne jeziora, z maleńką srebrną rybką, połyskującą w nich, gdy się śmiała. Włosy zwijały się na karku w loki, a usta były różowe jak niebo o poranku. Nawet ciemne obwódki pod oczami miały w sobie jakiś urok, jakby były szarymi półkolami oświetlonymi przez księżyc, przyciągającymi jego światło.

– Jesteś głodna? – zapytała matka, otwierając zawiniątko z ryżem z wczorajszej kolacji, jogurtem z przyprawami i porcją pikli z mango.

– Tak – odparła Purnima.

Wtedy matka bezmyślnie, nawet nie patrząc na Purnimę, ale na daleki horyzont, czekając na kolejny autobus, a może na zbliżający się wóz z wołami, zaczęła brać porcje ryżu, zwijać je w dłoni w kulkę i karmić Purnimę, jakby wciąż była małym dzieckiem. Purnima przeżuwała starannie. Ryż, wykołyszany w dłoni matki, smakował lepiej niż cokolwiek, co w życiu jadła, nie mogła sobie wyobrazić lepszego jedzenia. Matka dalej nie zwracała na nią uwagi. Jej myśli błądziły gdzie indziej. Może wokół męża albo dzieci, które zostawiła, albo obowiązków, których tego dnia nie dopełniła. Jednak teraz, przez te kilka chwil, Purnima myślała, że wystarcza jej po prostu ciało matki. To było więcej, niż mogłaby kiedykolwiek sobie zamarzyć. Być przez nią karmioną, siedzieć obok niej tak blisko, że mogła czuć ciepło jej skóry w chłodzie październikowego poranka i wiedzieć, że życie niedługo je rozdzieli. Ale nie teraz. Teraz, aż do następnego autobusu, jej ciało należało do Purnimy. I kiedy matka w końcu zobaczyła łzy wzbierające w oczach córki, przestała ją karmić, spojrzała na nią zdziwiona, a potem się uśmiechnęła.

– Autobus przyjedzie. Będzie lada chwila. Naprawdę, nie ma powodu płakać. Nie będziemy tu długo siedzieć.

Purnima przytaknęła, a ryż utknął jej w gardle.

Nazajutrz rano, kiedy było jeszcze ciemno, Sawitha potrząsnęła Purnimą, budząc ją ze snu.

– Zrobisz herbaty?

Purnima zwinęła matę. Złożyła koce, położyła na nie poduszkę, potem ustawiła je w kącie pokoju. Jej ojciec i bracia spali.

– Tak wcześnie – powiedziała, ziewając i zwijając włosy w węzeł. – Czemu wstajesz tak wcześnie?

– Sari nie zrobi się samo. A poza tym twój ojciec powiedział, że mogę zrobić dodatkowe, kiedy skończę sześć innych do dnia twojego ślubu.

– Sześć? To jedno na trzy dni.

– Siedem. Przecież jeszcze muszę zrobić to dla ciebie.

Purnima pokręciła głową. Odcięła gałązkę drzewa nim i zaczęła ją żuć. Gdy Sawitha usiadła przy krosnach, Purnima przyniosła jej herbatę. Sawitha upiła łyk. Potem następny.

– Bez cukru?

– Ojciec chowa wszystko na wesele.

– Czy on cię w ogóle widział?

Purnima wzruszyła ramionami.

– Mówiłam ci. Ma egzaminy.

– Egzaminy, Puri? Jak on może o tobie śnić, skoro cię nie widział?

Purnima się zarumieniła. A potem poczuła zmieszanie. Dotąd cały czas zajmowała jej uroczystość zakończenia rocznej żałoby, ale teraz wróciła do rozmyślań. Małżeństwo z kimś, kogo się wcześniej nie widziało czy nawet nie

słyszało, nie było niczym niezwykłym, ale wydało jej się dziwne, że Kiśore, jej narzeczony, nie wykazywał żadnego zainteresowania spotkaniem z nią. Jego rodzice już dwa razy przyjeżdżali na negocjacje w sprawie posagu, kuzynka z Indrawalli wpadła tydzień wcześniej na wieczorną herbatę, za kilka dni ojciec i Ramajja pojedą do Gunturu po zakupy na wesele, a mimo to on nigdy nie przyjechał, nawet wracając do domu w Namburu z koledżu. Ani razu. Mógłby wpaść do Indrawalli po prostu przejazdem. Pokręciła głową. To byłoby miłe, pomyślała, zobaczyć go, ale nie mogła się napraszać. A poza tym jest dobrą partią, jak wszyscy mówili. Wykształcony w koledżu, Purnima doprawdy nie mogła spodziewać się więcej. A jeśli chodzi o tę idiosynkrazję, o której kiedyś napomykał Ramajja, to już nigdy nikt więcej o niej nie wspominał. To prawdopodobnie nic takiego.

Purnima się rozejrzała. Sawitha skończyła herbatę, pusty kubek stał na zakurzonej podłodze chaty. Pracowała przy swoich krosnach. Przez otwarte wschodnie okno wpływało światło słoneczne, a Purnima zastanawiała się, co w tym momencie robi jej narzeczony. Czy patrzył na wschodzące słońce? Czy myślał o niej?

Zastanawiała się też czasami, czy ojciec będzie za nią tęsknił, kiedy ona wyjdzie za mąż i przeniesie się do Namburu, i gdzie jej nowy mąż znajdzie pracę. Bo przyszło jej do głowy, że – wbrew temu, co mówiła Sawitha – istnieje możliwość, że przeniesie się dalej niż do Namburu. Może do Gunturu. Może aż do Wizagu. Tak czy owak, tutaj jej nie będzie. Czy bracia i siostra będą za nią tęsknić? Siostra była już dostatecznie duża, by gotować i sprzątać, miała dwanaście lat i zapewne, po jakimś czasie, będzie mogła zacząć pracę przy ćarkhce. Przynajmniej przez te dwa czy trzy lata, zanim i ona wyjdzie za mąż. Rodzina – to, co wiązało ich wszystkich w jedno – nagle wydała jej się dziwna. Jaka siła zebrała ich razem jak muszelki na plaży? I położyła na parapecie okiennym?

W tygodniach poprzedzających swoje wesele myślała, że zapyta ojca. Nie o to, czy będzie za nią tęsknił – o to oczywiście nie mogła zapytać – ale czy będzie

tęsknił za jej piklami z mango, na przykład, albo za nadziewanym bakłażanem, który przyrządzała, jego ulubionym daniem. Ale potem stwierdziła, że nie musi pytać – znała już odpowiedź. Uświadomiła to sobie, kiedy podsłuchiwała jego rozmowę z Ramajją i ojciec opowiedział mu historię, której Purnima nigdy nie słyszała.

To działo się wtedy, kiedy ona była jeszcze mała, miała niewiele ponad rok i wraz z rodzicami pojechała do świątyni w Widźajawadzie. Cały ranek padało. Był to dzień jej mundanu, ofiarowania włosów dziecka bogom, a po ceremonii znaleźli jakieś osłonięte miejsce, pod szerokimi liśćmi palmy, na brzegu Kryszny. Matka Purnimy wyjęła jedzenie na obiad. Tymczasem deszcz zelżał, opowiadał ojciec Ramajji, ale wciąż było szaro, mgła unosiła się nad rzeką, leżącą dosłownie kilka metrów od nich. I kiedy oni jedli, Purnima im się wymknęła.

– Prosto do wody – mówił ojciec. – Prawdopodobnie poszła za łodzią czy jakimś innym dzieckiem. Często tak robiła. Biegła za wszystkim, co przyciągnęło jej spojrzenie. W ciągu kilku sekund – ciągnął dalej – zanurzyła się po szyję. Jej matka wpadła w panikę. Zerwałem się i pobiegłem tak szybko, jak mogłem. Musiałem zrobić tylko kilka kroków, ale wydawało mi się, że trwa to wieki. Wieki. Miałem ją w polu widzenia, pragnąłem, by tam pozostała. Bałem się, że jeśli powiem, jeśli nawet wyszepczę „nie ruszaj się!”, ona pójdzie dalej. Upadnie. Porwie ją rzeka. Więc nic nie powiedziałem, po prostu patrzyłem na nią i pragnąłem, by stała spokojnie. A ona była tak nieruchoma jak posąg. Jej świeżo ostrzyżona główka lśniła w słońcu, które wyszło na chwilę spośród chmur. A jednak, kiedy dobiegłem do linii wody, zatrzymałem się. Wiem, powinienem był ją złapać i dać jej klapsa, ale nie byłem w stanie. Widzisz, ona wyglądała, jakby była niczym. Po prostu jak kupka śmieci. W tej mgle, w tej szarości, w tym ogromie, w śliskim nurcie wody wyglądała, jakby była niczym. Może jak głowa ryby wrzucona do wody. Albo niewielki kawałek drewna. Patrzyłem na nią, patrzyłem, patrzyłem, słyszałem krzyk jej matki biegnącej ku mnie, ale nie mogłem się ruszyć. Pomyślałem: „To tylko dziewczynka. Niech idzie”. Tymczasem jej matka wybiegła zza mnie i wyciągnęła ją. Purnima płakała, jej

matka też. Może obie wiedziały, o czym myślałem. Może było to wypisane na mojej twarzy – powiedział ojciec. A potem krótko się zaśmiał. – Tak to jest z dziewczynkami, prawda? – dodał. – Kiedy staną na krawędzi czegoś, nie możesz nic poradzić, po prostu nie możesz. Myślisz: pchnij. To takie proste. Jedno lekkie pchnięcie.

Tydzień przed ślubem Ramajja przyniósł pilną wiadomość z Namburu.

– Co to jest? Co to jest? – zapytał ojciec Purnimy, siedząc na brzegu konopnej pryczy z kubkiem słabej gorzkiej herbaty w dłoni; brwi miał uniesione.

– Chodzi o posag – rzekł Ramajja, kręcąc głową. – Chcą dwadzieścia tysięcy więcej.

Herbata Ramajji była posłodzona, ale on wciąż patrzył na Purnimę, jakby to ona była powodem tego nagłego żądania.

– Dwadzieścia tysięcy? Ale dlaczego?

– Musieli coś usłyszeć. Cokolwiek. Może od tych ludzi z Repalle. Kto wie, co oni usłyszeli. Ale teraz wiedzą, że jest za późno. Zobowiązałeś się i będziesz musiał zapłacić.

Ojciec spojrział na Purnimę z takim wstrętem, że cofnęła się w głąb chaty. Pomyślała o matce narzeczonego z Namburu, o tym, jak szybko jej miłe słowa zmieniły się w bezwartościowy pył, pomyślała o rezygnacji w oczach jego ojca i śmiechu jego siostry. Ale gdzie on jest? I co on miałby do powiedzenia na to nagłe, niewytłumaczalne żądanie?

Następnego ranka Sawitha ogłosiła z uśmiechem:

– Zaczynam dziś po południu.

– Nie kłopotz się – mruknęła ponuro Purnima. A potem opowiedziała jej o zwiększonym żądaniu posagu i jak ojciec stwierdził, że gdyby nawet sprzedał swoje oba krosna, to i tak byłoby za mało.

– A on co zrobi?

Purnima wzruszyła ramionami i wyjrzała ku rozplomienionemu światłu późnego poranka.

Po lekkim ochłodzeniu upał znowu się podniósł, niczym ranne zwierzę. Rozlewał się, uderzał, pełzł przez równiny Andhra Pradeśu z tak intensywną nienawiścią, że w poprzednim tygodniu zabił ponad trzysta osób. Już w połowie poranka było zbyt gorąco, by pracować, wszyscy spali z wyczerpania, budząc się zlanymi potem. A mimo to, mimo upału, tego popołudnia Sawitha zaczęła robić sari tak, jak zapowiedziała. Po obiedzie, kiedy wszyscy leżeli na matach, ona naciągnęła na krosna nić w błękitnym kolorze, z czerwoną nicią wzdłuż krawędzi.

– Siądź ze mną – powiedziała do Purnimy. – Przynieś tutaj swoją matę.

Purnima siedziała na jednej z drewnianych żerdek, aż poczuła, że oczy same się jej zamykają, wtedy wciągnęła matę do tkalni. Rozmawiały, Purnima starała się nie zasnąć tak długo, jak mogła, wreszcie powieki zaczęły jej ciążyć jak ołów w piekącym upale południa. Głównie słuchała, jak Sawitha mówi. Opowiadała Purnimie, że jej ojciec jest chory. Bardziej niż dotychczas. Mówiła, że większość dodatkowych pieniędzy, które zarobiła w ciągu ostatnich kilku tygodni, poszła na jego lekarstwa.

– Ale wciąż będziemy mieli wystarczająco na przyszły rok – dodała.

Jej miękka twarz w kolorze ochry była otoczona jasną bielą słońca, warkocz zwinęła w węzeł na plecach. Teraz była skoncentrowana, skupiona na pracy na krosnach.

Purnima słyszała ich powtarzający się, rytmiczny stukot, jakoś przypominający kołysankę. Szmer czółenka był niczym dźwięk wody obmywającej kamienie gdzieś wyżej i Purnima zamknęła oczy. Sawitha coś do niej mówiła. Coś o jednej ze swoich sióstr, o tym, że przypaliła mleko. A potem usłyszała, jak Sawitha mówi, że w Indrawalli mają zbudować kino. Może będziemy mogły pójść na jakiś film, jak przyjedziesz z wizytą, mówiła. Oczywiście, weźmiemy miejsca na podłodze. Ale pomyśl, Puri, kino!

Purnima czuła, że tonie, tonie jak kamień. Wiedziała, że śpi, ale wciąż słyszała głos Sawithy. Wydawało się, że płynie bez końca. Jak szelest wiatru, jak szum deszczu. I słyszała, jak Sawitha mówi, nie zapomnij o niczym. O ani jednej

rzeczy. Bo jeśli zapomnisz, będzie tak, jakbyś się przywiązała do kamienia na dnie morza. Do którego wszyscy jesteśmy przywiązani. Więc zapamiętaj wszystko. Zamknij to. Zamknij to w skrzydłach serca jak kwiat. A kiedy będziesz chciała to obejrzeć, kiedy naprawdę tego będziesz chciała, weź to, Puri, pod światło.

Tej nocy Sawitha pozwoliła Purnimie spać. Siedziała sama przy krosnach. Ustawiła sobie lampkę tak, że światło padało na sari, gotowe już prawie w połowie. Błękitna nić była nocą, przetykała się z niebem, z gwiazdami. Jej dłonie i stopy – dniem obserwującym jej nadejście.

Umysł Sawithy błędził. Stukanie czółenka przeniosło ją gdzieś daleko. Do dzieciństwa. Do tego, co zamknęła w skrzydłach serca. A co teraz trzymała pod światło.

Miała trzy czy cztery lata. Ojciec miał się wtedy dorywczych zajęć i czasami brał ją ze sobą, gdy matka była zajęta sprzątaniami i zbieraniem śmieci. Pewnego dnia pracował dla bogatej rodziny, której córka wychodziła za mąż. Zatrudniono go, by wyrabiał małe cukrowe formy w kształcie ptaszków. Sawitha nie miała pojęcia, do czego mogą się przydać takie ptaszki, niewiele większe od jej ręki (są dekoracją, wyjaśnił jej ojciec, ale Sawicie trudno było w to uwierzyć, wyglądały przecież tak smacznie). Siedziała spokojnie i patrzyła na garnek, a potem na foremki z nadzieją, że może wyleje się z nich choć trochę cukru. Ojcu dano tylko dwanaście foremek, więc co pewien czas musieli czekać, aż kolejna partia stwardnieje, gotując się w garnku stojącym na wolnym ogniu. Potem ojciec ostrożnie wyjmował białe cukrowe ptaszki z rozpostartymi skrzydełkami i kładł je na słońcu, by wyschły. Zastanawiała się, czy mogłaby polizać jednego, tylko raz, żeby nikt nie zauważył, ale kiedy się obejrzała, spostrzegła, że ojciec ją obserwuje. Teraz ptaszków było ponad sto. Gdy siedziała skulona obok nich przez kilka minut, usłyszała, że ojciec wzdycha, oczy miał szeroko otwarte, kiedy obróciła się ku niemu. Wskazał na jedną foremkę:

– Spójrz. Spójrz na tego. Ma złamane skrzydełko.

Sawitha powiodła wzrokiem za jego palcem. Jeden z ptaszków, leżący na samym środku rusztu, naprawdę miał złamane skrzydełko. Przerażona zerwała się na równe nogi.

– Co my zrobimy, nanna? Czy będziemy musieli zapłacić za tego ptaszka?

Ojciec z powagą pokręcił głową.

– Nie, nie sądzę. Ale lepiej go dla pewności zjedzmy.

Sawitha pomyślała o tym, co usłyszała, a potem się uśmiechnęła. Roześmiała się.

– Ja go wezmę, nanna. Ja wezmę ptaszka.

Podbiegła do rusztu i ostrożnie, bardzo ostrożnie pochyliła się nad nim, ale nagle straciła równowagę i upadła, miażdżąc prawie wszystkie ptaszki, poza jednym czy dwoma. Przez moment leżała na ruszcie bez ruchu. Jej oczy napełniły się łzami. Wiedziała, że czeka ją kara, może nawet lanie, a co gorsza, jej ojciec będzie musiał zrobić wszystko jeszcze raz. Gdy wreszcie ostrożnie wstała, ramiona, nogi, sukienkę, nawet buzię obsypywały drobiny cukru. Jej policzki płonęły od łez. Bała się spojrzeć na ojca, podnieść na niego wzrok, ale gdy to zrobiła, ku swojemu zdumieniu zobaczyła, że on się śmieje. Jego oczy jaśniały. Nie mogła tego pojąć.

– Ale, nanna, przecież będziesz musiał je wszystkie zrobić jeszcze raz.

Jej ojciec wciąż się śmiał. Teraz pokazywał na nią.

– I pomyśleć, że ja wcześniej myślałem, że jesteś słodka! – rzekł.

Zajęło jej chwilę, zanim zrozumiała, a kiedy to się stało, pofrunęła w jego ramiona. On śmiał się jeszcze, przytulił ją mocno, a potem wysoko podniósł.

– Zapomnij o tych ptaszkach – powiedział. – To ty, ty, moja dziewczynko, ty jesteś ptaszkiem, który ma skrzydła.

I gdy teraz siedziała przy krosnach, tej gorącej czerwcowej nocy, zastanawiała się nad tymi dwoma cudami: dziewczynką w klejnotach z cukru i słowami „to ty jesteś ptakiem, który ma skrzydła”.

Ciemność zasłoniła światło lampki.

Sawitha odwróciła się i zobaczyła ojca Purnimy. Uśmiechał się, a ona pomyślała, przecież on nigdy się nie uśmiecha. A potem on rzekł:

– Chodź ze mną.

8

Purnima spała, gdy jakiś dźwięk przedarł się do jej snów. Pomyślała, że to może być jakieś zwierzę, zbłąkany pies albo świnia. Nasłuchiwała. Znowu go usłyszała. Płacz.

Skąd? Skąd?

Tkalnia.

Zerwała się. Pobieгла.

Tkalnię zasnuły cienie. Latarenka zgasła.

– Sawitha? – wyszeptała. Najpierw cisza, tylko ciężka, jakby kleista od upału ciemność. A potem cichy jęk. – Sawitha?

Podeszła w jego kierunku. Gdzieś z rogu chaty.

Jej oczy przyzwyczyły się do ciemności i zobaczyła jakiś tłumoczek, cień głębszy niż otaczające go cienie. Przeszła obok obu krosien. W ciemności były ogromne, ponure, jak zgarbione, zgłodniałe olbrzymy. Ale ten tłumoczek... teraz widziała, że on płacze, łka tak cicho, tak boleśnie, że aż zaczęła się zastanawiać, czy to coś przed nią było człowiekiem, czy to stworzenie urodziło się z czymkolwiek innym niż to łkanie.

Potknęła się, a potem schyliła.

A potem ogarnął ją spokój. Przez krótki, ulotny moment pomyślała, może ja śnię. Może zaraz otworzę oczy. Ale kiedy wyciągnęła rękę, dotknęła nagiej skóry. Gorącej, rozgrzanej jak ziemia spalona słońcem. Jak piaskowa pustynia. W tym momencie zobaczyła ubranie Sawithy. Podarte. To tu. To tam. Leżące wokół niej jak poszarpane żagle.

– Sawitha? Co to jest? Co się stało?

Łkanie ustało.

Purnima uklękła i objęła ją. Poczwała kostki. Ich ostrość. Kostki drobnego zwierzątka. Łupina maleńkiej łódki. Sawitha się wzdrygnęła. Wtedy Purnima zobaczyła jej przedziałek we włosach. Lampa oświetlająca rzekę. Warkocz miała rozpleciony, włosy w nieładzie, ale przedziałek nietknięty. Srebro. Wody pulsujące w górskiej przełęczy.

W tym momencie uścisk Sawithy zelżał.

– Kto?

Sawitha, z głową ukrytą w kolanach, wydała z siebie jęk. Niski, miękki, złamany.

– Kto?

Jej oczy wypełniły się łzami.

Sawitha drżała tak mocno, że Purnima przytuliła jej ciało do siebie. Przycisnęła jej głowę do piersi i kołysały się w tym uścisku. Purnima myślała, że mogłaby zawołać po pomoc, obudzić ojca, sąsiadów. Ale ledwo się poruszyła, Sawitha złapała ją za rękę. Ścisnęła ją tak mocno, że Purnima spojrzała na nią zaskoczona.

– Kto?

Ich spojrzenia się spotkały.

– Puri – wyszeptała Sawitha.

I wtedy Purnima zrozumiała. To wtedy pojęła.

Wydała krzyk tak głośny, że przybiegło co najmniej dziesięć osób. Sawitha zwinęła się kłębek. Skryła się jak ranne zwierzę. Strzępy bluzki opadły jej z ramion. Jej ramiona były brązowe, nagie jak dalekie wzgórza. Stali wokół nich – ich pytania, westchnienia i okrzyki przelatywały śpiewnie obok Purnimy jak strzały. Opadła na kolana. Jeden z sąsiadów stanął nad nią i zapytał:

– Co się dzieje? Co się dzieje? Co się wam stało, dziewczęta?

– Przynieście prześcieradło! – zawołał ktoś inny, próbując podnieść Sawithę.

Ale Purnima nie pozwoliła, okryła ją własnym ciałem. Do czego innego nadaje się to ciało, pomyślała, to moje ciało? Do czego innego?

Następnego ranka niebo było białe od gorączki. Powietrze tak gęste i gorące, że smakowało dymem. Purnima, budząc się, zamrugała oczami, powieki miała obolałe, niedowierzające. Sawitha siedziała tak jak wcześniej, z narzuconym na siebie prześcieradłem i Purnima patrzyła na nią w rozpacz, myśląc, nie, to nie sen. Jak mógłby to być sen? Chwilę później brat Purnimy przemknął obok drzwi i odwróciwszy wzrok, powiedział:

– Nanna chce herbaty.

Purnima spojrzała na brata, a kiedy odszedł, spojrzała w puste drzwi.

– Nanna chce herbaty – powtórzyła szeptem, jakby nie tylko te słowa, ale sam język był jej obcy.

Z tymi słowami usiadła, myśląc o każdym z nich, a potem powoli wstała. Sawitha się nie poruszała. Wydawało się, że wciąż śpi, choć oczy miała otwarte.

Purnima poszła przez upał, oślepiona światłem, oszołomiona, z tkalni do głównej chaty i nastawiła wodę. Dodała mleka, cukru, herbaty w proszku. Wpatrywała się w płomień. To wydawało się niemożliwe: wydawało się niemożliwe, że może robić herbatę, coś tak zwyczajnego jak herbatę. Świat zmienił się tej nocy i robienie herbaty, herbaty dla ojca, wydawało jej się w pewien sposób największym przestępstwem, jakie kiedykolwiek popełniła. Patrzyła z odrazą, jak woda zaczyna szumieć, gotować się, a potem niosła kubek daleko od siebie, jakby rana, którą on otworzył, którą on zadał, już ropiała, już gniła, jakby trzymała tę ranę w dłoni.

Siedział na konopnej pryczy tuż przed chatą. Starsi z wioski stali w pewnym oddaleniu od niego i widziała, że on stara się usłyszeć, co mówią. Kiedy ją zobaczył, wyprostował się i wyciągnął ku niej rękę bezdusznym gestem. Wzdrygnęła się, jakby przepłynął przez nią gorący jad. Zrobiła krok ku niemu, ale miała wrażenie, że jej stopy nie natrafiają na nic twardego, na nic solidnego. Ziemia jest tak miękka, pomyślała, tak miękka jak bawełna. Ale wtedy jad

zmienił się w nudności, a upał, oślepiający blask poranka sprawiły, że się zachwiała, przed oczami nagle zaczęły jej tańczyć opalizujące punkciki, popiół trupiego światła.

Była już tylko krok od niego, kiedy jej ciało dało za wygraną, poddało się zawrotom głowy, przyciąganiu ziemi. Potknęła się, prysnęło kilka kropel herbaty, wyciągnęła drugą rękę, by zapobiec upadkowi, i właśnie za tę rękę złapał ją ojciec. Nigdy wcześniej nawet nie dotknął tej ręki, nawet w najgłębszych zakamarkach jej pamięci – tej, której dotykał teraz. Poczowała skwierczenie jego skóry. Wężowe zwoje łap, języków, pazurów. Łuski jak płonące węgle. Odsunęła się z jakąś gwałtownością, przerażeniem i pobiegła z powrotem do tkalni.

Z powrotem do Sawithy.

Przytuliła się do niej, zakopała pod jej ciałem, jakby to ją skrzywdzono. Skrzywdzono? Ojciec tylko chciał podtrzymać córkę. A jednak to, że zrobił to w ten właśnie sposób, w tym właśnie momencie, z tą obrzydliwą nutą serdeczności, wydało się jej większą zniewagą, niż gdyby po prostu pozwolił jej odpłynąć w dal Kryszną lata temu. Dlaczego, chciała zapytać, dlaczego mi nie pozwoliłeś?

I wtedy przyszedł ojciec Sawithy. Nie skrywał już rąk – sękatych palców, pokrzywionych i zniekształconych. Trzymał je przed sobą, jakby o coś błagał. Żebrał. Chwiały się przed nim jak dzikie gałęzie. Wykręcone od uderzeń gromów, od robaków, chorób. Ale jego twarz – jego twarz, Purnima to widziała, była skostniała. Nigdy nie widziała takiej rozpaczy.

– Moja dziewczynka – powiedział po prostu, oczy miał czerwone, rozbiegane. Głos złamany. Próbował podnieść Sawithę, by ją ze sobą zabrać, ale ona uchwyciła się ramienia Purnimy.

– Zostaw ją! – zawołał ktoś od drzwi.

Próbował ją podnieść jeszcze raz, lecz Sawitha trzymała się Purnimy jeszcze mocniej, aż końcu, widząc jego zmagania, Purnima spojrzała na niego jak przez puste pole i rzekła:

– Ona chce, żeby ją zostawić.

Popołudnie przyniosło podmuchy zamętu, szalejącego wzburzenia. Sąsiedzi, starsi, gapie, dzieci uciszane i odsyłane, mężczyźni, wszędzie mężczyźni. Ale Sawitha – Sawitha nie ruszała się z miejsca. Nie ruszyła się od chwili, gdy chwyciła z całej siły rękę Purnimy i odwróciła głowę. Podciągnęła koc aż pod szyję, zamrugła oczami, a potem trwała bez ruchu jak kamień, w który się obróciła. Purnima siedziała obok niej i w pewnym momencie, spanikowana i przerażona jej spokojem, podsunęła palec pod jej nos, by się upewnić, czy jeszcze oddycha. Zroszone ciepło jej oddechu, jego zwiewność przeczyła wszystkim głosom, zgiełkom, niekończącym się ludziom.

Gdzieś po południu czyjeś ręce próbowały odciągnąć Purnimę. Próbowaly oderwać ją od Sawithy. Ale tym razem Purnima przyłgnęła do niej z jakimś szalem, z obłędem. Usłyszała, jak ktoś mówi, nawet nie starając się zniżyć głosu do szeptu:

– To ją skazi. Takie rzeczy kalają. A jej ślub tuż-tuż.

Ktoś inny rzekł:

– Kupa gnoju to kupa gnoju. Jak w nią wejdiesz...

Ale Purnima czuła się jak źdźbło trawy zaciekle łamane przez wiatr. Przemówiła do wiatru. Proszę, powiedziała cicho, proszę, przestań. Ale kiedy wiatr przestał, na jedną chwilę, była ogłuszona ciszą. Bała się. Bała się, że dosięgnie ją przez dym, przez upał, przez odrętwienie i pożre je obie, ją i Sawithę, kawałek po kawałku.

Dzień włókł się dalej. Upał był wciąż dziki. Pazurzasty. Rzuczał się na wszystko. Purnima czuła, że nawet jej język, uszy i głowa są pokryte warstwą kurzu. Nie przejęła się tym. Wieczór dobiegał kresu. Nasłuchiwała. Nasłuchiwała wszystkiego. Starszyzna wioskowa zebrała się na zewnątrz chaty, debatując, co robić dalej. Późnym wieczorem dołączył do nich ojciec Sawithy i od tej chwili Purnima słyszała krzyki przypominające skrzek dziwacznych i przestraszonych ptaków złapanych w sieć.

– Ty. – Usłyszała jakiś głos.

Purnima spojrzała w górę. W drzwiach tkalni stała kobieta, której nie rozpoznała. Ale wydawało się, że ona ją zna.

– Ty – zasyczała. – To twoja wina.

Purnima skuliła się głębiej w rogu chaty. Ściana za nią była twarda, chropowata i niemiłosierna. Teraz już wiedziała: to matka Sawithy.

– Twoja wina. Twoja wina.

– Ja...

– Gdyby nie ty, gdyby nie przyjaźń z tobą, moja Sawitha nigdy by tu nie przyszła. Nigdy by tu nie została. W tym domu demonów. W tym domu. Nigdy. Jesteś demonicą. Twój dom to dom demonów. I to sari. – Łzy popłynęły jej z oczu, głos się załamał. Osunęła się na ziemię. Trzymała się kurczowo drzwi. A potem podpełzła do Purnimy jak zwierzę. – To sari. Robiła je dla ciebie. Inaczej to nigdy by się nie stało.

Teraz przysunęła się tak blisko, że Purnima czuła na twarzy jej oddech. Gorący, zjełczały, zatruty.

– Moje dziecko. Moje dziecko, rozumiesz? Nie. Nie rozumiesz. Nie możesz zrozumieć. Jesteś demonicą.

Ktoś wszedł do środka. Zobaczyli ją. Odciągnęli. Wrzasnęła – rozdzierająco, nieludzko, jakby wbijano jej kołek w serce. Kopała, gdy ją odciągali. Kurz sypał się w oczy Purnimy. Zamrugała. A potem nastąpiła cisza, rozpościerając się całunem nad tkalnią. Nad Sawithą i Purnimą. Wielka cisza. Nie do zniesienia. Jakby matka Sawithy otworzyła jakieś wrota i do środka napłynęło powietrze. I wtedy popłynęły łzy. A kiedy raz zaczęły, Purnima się zorientowała, że będą płynąć bez końca. Nadchodziły w wielkich i niekontrolowanych łkaniach. Jeśli śmierć matki przyniosła burzę, ta nawałnica zatopi ziemię i wszystko, co na niej żyje.

Nikt nie zwracał na nią uwagi. Wchodzili i wychodzili. Najróżniejsi ludzie. Późnym wieczorem jakieś dziecko – mały chłopczyk – zajrzało przez drzwi,

a jeden ze starszyzny wioskowej złapał je za ramię i odciągnął. Upomniął je:

– Co tam jest do oglądania? – I dodał tak głośno, że Purnima usłyszała: – Zepsuty owoc to zepsuty owoc.

Łzy cały czas płynęły.

W pewnym momencie Purnima zadławiła się łkaniem i uświadomiła sobie, że zapomniała oddychać. Zapomniała, że jest taka rzecz jak powietrze. Jakby nie było niczego innego poza bólem.

Podniosła bezwładną dłoń Sawithy i trzymała w swoich – a młodość, wiek dojrzały i starość przebiegły jej przed oczami jak w kinie, w którym nigdy nie była, w kinie, z którego odwiedzin pewnego dnia Sawitha tak się cieszyła.

– Sawitha?

Cisza.

– Sawitha?

Żadnego ruchu. Nawet najmniejszego. Ani drgnięcia, ani oddechu, ani mrugnięcia.

– Powiedz coś.

Późno w nocy starszyzna wioskowa zdecydowała: ojciec Purnimy ożeni się z Sawithą. W ten sposób zostanie ukarany, zgodzili się wszyscy, a kara będzie sprawiedliwa.

Nikt nie zadał sobie trudu, by powiadomić Sawithę o tej decyzji. Purnima usłyszała o niej od Ramajji, który przechodząc obok drzwi tkalni, wysyczał:

– Wyjdzie za mąż przed tobą. Ta zbieraczka śmieci. I nawet bez konieczności dawania posagu twojemu ojcu.

Purnima wpatrywała się w niego. Odwróciła się od drzwi dopiero wtedy, gdy wyczuła jakiś ruch; Sawitha zamrugała oczami. Następną noc znów przesiedziała nieruchomo.

– Sawitha. – Purnima spróbowała raz jeszcze, potrząsając nią, błagając ją o jakieś słowo, o jakiś gest, zanim w końcu zapadła w niespokojny i dręczący sen.

Wypełniony głównie koszmarami, sennymi wizjami i złymi przecuciami. Lecz nagle usłyszała w nim głos Sawithy.

– Pamiętasz? – zapytał jej głos.

Purnima odwróciła głowę we śnie i wymruczała:

– O czym?

– O Madźuli. O pieśni fletu. O doskonałym owocu. Pamiętasz?

– Tak.

A potem znowu cisza. Purnima znów poruszyła się we śnie, szukając skulonego ciała Sawithy, ale znalazła tylko powietrze.

– Mogę być wieloma rzeczami, Puri, ale nie będę twoją macochą.

– Dobrze.

Jakieś szuranie.

– Purnima?

– Tak?

– Jestem ptakiem, który ma skrzydła.

Rano Purnimę obudziły krzyki, wrzaski i nawoływania do poszukiwań. Rozejrzała się po tkalni i zobaczyła, że jest pusta. Sawitha odeszła.

PURNIMA

1

Ślub Purnimy odłożono na czas nieokreślony – strona pana młodego nie zamierzała zrezygnować ze swojego żądania dwudziestu tysięcy rupii więcej. Zwłaszcza teraz, gdy zaczęły krążyć plotki o tej zbiegłej, zepsutej dziewczynie, o jej przyjaźni z Purnimą, a także sugestie – czynione przez ludzi, których Purnima nigdy nie spotkała, którzy nawet nigdy nie byli w Indrawalli – że Purnima pomogła jej uciec. A co można powiedzieć o takiej dziewczynie? – mówili. Czy będzie z niej dobra żona?

A później było jeszcze gorzej, każdego dnia spływało z Namburu coraz więcej szczegółów, które potwierdzały wahania rodziny pana młodego. Jego ojciec przesłał wiadomość, że syn – oprócz dwudziestu tysięcy – będzie potrzebował zegarka i motocykla. Starsza z sióstr pana młodego o imieniu Aruna zastanawiała się głośno, w towarzystwie innych kobiet z Namburu, czy jednak nie będzie jej trudno mieć szwagierkę tak bardzo poniżej siebie. „Poniżej ciebie?” – spytała jedna z kobiet. – „Jak poniżej?” Podobno Aruna spojrzała na nią poważnie i powiedziała: „Tak samo jak małpa jest poniżej mnie”.

A jednak Purnimę najbardziej poruszył komentarz matki. Powiedziała jednej z dalekich kuzynek Purnimy, gdy opłakiwała małżeństwo swojego wykształconego syna z wiejską dziewczyną: „Cóż można poradzić? Tak to jest, jak się ma udanego syna: albo musisz go ożenić z nowoczesną dziewczyną z koledżu, która go zrujnuje swoimi ekscesami i żądaniami makijażu, modnych sari i biżuterii za każdym razem, gdy pierdnie, albo z wiejską prostytutką, czarną jak ziarno gorczycy, o gracji maciory taplającej się w błocie”. Ale czyż ona sama nie powiedziała, że Purnima nie jest tak ciemna, jak wcześniej myślała? Czyż nie ujęła policzka Purnimy w dłoń?

Żałowała, że nie ma tu Sawithy, z którą mogłaby o niej porozmawiać. Sawitha? Jej serce płonęło bólem. A potem zgasło jak świeca.

Minął już miesiąc, odkąd odeszła. Trzydzieści trzy dni. Grupa poszukiwawcza, która wyruszyła, by ją znaleźć – tworzyli ją młodzi ludzie z Indrawalli (na początku był z nimi też lokalny policjant, ale wrócił po dwóch godzinach od rozpoczęcia poszukiwań i oświadczył, wycierając pot z czoła: „Ostatnim razem ponad godzinę szukałem dziewczyny, córki pewnego posła do parlamentu. W końcu znaleźliśmy ją na dnie studni, niecałe dwieście metrów od jego domu. Zawsze jest tak samo, słowo daję. W tym upale daję temu dzień lub dwa. No może trzy. I będzie tam, unosząca się na wodzie, spuchnięta jak *puri*) – doszła aż do Amrawati na zachodzie, Gudiwady na wschodzie, Gunturu na południu i Nuziwidu na północy. I nic. Nie wrócili nawet z najmniejszą plotką na temat możliwego miejsca jej pobytu. Gdzie ona mogła pójść? – zastanawiały się kobiety z Indrawalli. Gdzie można tutaj zniknąć?

Purnima patrzyła w stronę Kryszny i zastanawiała się nad tym samym.

Po jakichś dwóch miesiącach Ramajja i ojciec Purnimy w końcu doszli do porozumienia z rodziną z Namburu. Ojciec Purnimy miał dodać jeszcze dziesięć tysięcy do posagu, pięć tysięcy teraz i pięć tysięcy w ciągu roku od zawarcia małżeństwa, oraz skuter zamiast motocykla – Ramajja przekonał ich, że skuter będzie wygodniejszy, gdy Purnima zacznie mieć dzieci (synów, dodał przezornie). Po pełnym napięcia tygodniu ciszy rodzina z Namburu w końcu się zgodziła, wśród narzekań i lamentów nad hojnością swoich ustępstw. Ramajja nie posiadał się z radości, że w końcu udało się dobić targu, lecz ojciec Purnimy był nieszczęśliwy.

– Za to nie będziesz musiał sprzedawać krosien – rzekł Ramajja, chcąc go pocieszyć. – I pomyśl, została ci już tylko jedna do wydania.

Ojciec Purnimy podniósł na nią ciemne spojrzenie, gdy podawała mu herbatę, i patrzył na nią z pogardą. A Purnima, ku własnemu zaskoczeniu, odpowiedziała mu spojrzeniem prosto w oczy.

Wesele zaplanowano na następny miesiąc. Większość czasu pozostałego do uroczystości Purnima spędziła w chacie. Zaręczona dziewczyna nie powinna była pokazywać się we wsi, chodziło także o złe oko innych wieśniaków, o możliwą klątwę na Purnimę z zazdrości o jej szczęście, jakim było małżeństwo z wykształconym chłopcem.

– A poza tym – powiedziała jej ciotka, która zamieszkała z nimi, by pomóc w przygotowaniach do wesela – nie chcemy, żebyś była jeszcze ciemniejsza.

Dla Purnimy to nie miało żadnego znaczenia: jasno czy ciemno, wewnątrz czy na zewnątrz, nadzieja czy jej brak – wszystko to stopniowo traciło jakąkolwiek wartość.

Czasami, gdy siedziała apatycznie przy ćarkhce albo czesała siostrę, patrzyła w górę przez otwarte drzwi chaty i zastanawiała się, co tam tak świeci. Co to jest, tak bolesne, tak jasne? Ludzie także stracili swoje miejsca w jej umyśle, nie byli już zacumowani do niczego, co Purnima rozpoznawała, nad czym miała kontrolę czy nawet rozumiała jako samą siebie. Pewnego dnia na początku miesiąca jej młodszy braciszek skaleczył się w rękę. Uniósł ją do niej, płacząc, czekał, aż ją zabandażuje, ale Purnima tylko spojrzała na niego i uśmiechnęła się uprzejmie w roztargnieniu. Dała mu pięćdziesięciopajsówkę, wypchnęła go z powrotem przez drzwi, a krople krwi znaczyły jego drogę, po czym rzekła:

– Idź. Banan. Szybko. Sawitha zaraz tu będzie.

Nieco później jej ciotka poprosiła, żeby postawiła na kuchni ryż na kolację, a Purnima spojrzała z rogu, w którym siedziała, przyglądała się ciotce oczami pustymi jak otwarte pole i zapytała:

– Kim jesteś?

Ze dwa, może trzy razy Purnima czuła coś, jakby błysk, jakby ją coś zakłuło, coś, czego nie potrafiła nazwać. Coś jak odłamek przenikliwego zimna lub oślepiającego żaru. Co to było? Co to było?

Myślała, że może jest chora, że może coś złapała. Na przykład malarię. Ale potem to coś się uspokajało. Sadowiło się w jej piersi, po lewej stronie, dokładnie

powyżej serca. Za pierwszym razem tylko trochę sypnęło, jakby kilka ziarenek ryżu potoczyło się po kamiennej podłodze. Musiała je po prostu pozbierać, jedno po drugim. Ale potem sypiący się ryż nabrał ciężaru. Gęstości. Stał się kopcem ryżu. Przyciskała dłoń do piersi, próbując to coś ukoić. Ale nie zwolniło, nie odpuściło, po prostu siedziało tam, zaciśnięte jak pięść. Pomyślała o ciężarze dłoni matki, jak leżała na jej włosach, ale teraz w jej piersiach był zupełnie inny ciężar. Pustoszył ją, nie przywoływał żadnego wspomnienia, żadnej tęsknoty ani utraconego dzieciństwa, ani miodnego głosu, ani dłoni uniesionej, by ją karmić, nie przywoływał niczego, zupełnie niczego, poza dwoma słowami: „Sawitha odeszła”.

Na tydzień przed weselem zaczęło przyjeżdżać coraz więcej wujów i ciotek. Chatę wypełniał gwar. Wzniesiono namiot – niebieski i czerwony, zielony i złoty. Kupiono liście mangowca i spleciono z nich girlandy, rozwieszając je nad drzwiami chaty i wokół nich. Co chwila przychodziły różne rzeczy niezbędne na taką uroczystość – kurkuma, kumkum, orzechy kokosowe, ryż i dale, paczki kamfory, kadzideł i olejków. Wszystko to trzeba było gdzieś położyć, przechować do dnia ślubu. I cały czas gotowano. Ci wszyscy krewni – wedle ostatnich obliczeń Purnimy musiało ich być więcej niż trzydziestka. Wszystkich trzeba było nakarmić, rozłożyć przed nimi zielone liście bananowca jako talerze, brudne zbierano i rzucono świniom. Jej ciotki i kuzynki pomagały, ale co chwila któraś z nich zwracała się do Purnimy – zazwyczaj jedna z młodszych kuzynek – i pytała: „gdzie trzymasz sól?”, albo mówiła: „pomyśl, będziesz żoną bogatego człowieka”, czy: „co się dzieje, czemu tak na mnie patrzysz?”. W odpowiedzi Purnima kładła rękę powyżej serca i myślała o wytrzymałości, o cierpieniu.

Dni mijały.

Poranek weselny nadszedł jak napastnik. Słońce weszło w krzyku kolorów – różowych i fioletowych, pomarańczowych, zielonych – a potem trwało gniewnie nad horyzontem, czekając, aż ziemia, kobiety, wioski staną w ogniu. Wczesnie rano wszystkie krewniaczki Purnimy, razem z przyszłą szwagierką i kilkoma sąsiadkami, przybyły na ceremonię panny młodej. Namaściły jej włosy olejkiem, a potem roztarły kurkumę na całym jej ciele. Każda z nich, po kolei, błogosławiła ją ryżem nasączonym kurkumą, kumkumem i pachnącym drzewem sandałowym. Przed starszymi kobietami Purnima wstawała, a potem pochylała się aż do ziemi, by dotknąć ich stóp. Aruna, siostra pana młodego, która porównała Purnimę do

małpy, stała nieco z boku, przyglądając się, jakby znudzona tym wszystkim. Kiedy nadeszła jej kolej, by pobłogosławić Purnimę i spryskać jej pochyloną głowę ryżem z kurkumą, Purnima miała wrażenie, że ziarenka ją kłują, biją jak grad, ale też budzą, jakby wychodziła z długiego i pogmatwanego snu – tak przekonującego, tak niepodważalnego, że ten świat jawy, świat, w którym otaczało ją dwadzieścia kobiet, uśmiechniętych, z żółtymi zębami, wydał jej się oszustwem – zamrugła i pochyliła głowę jeszcze niżej, zobaczyła, jak sypie się ryż, i pomyślała, ryż. Czy na świecie jest cokolwiek innego poza ryżem?

Muhurtum – dokładny czas rozpoczęcia ceremonii małżeńskiej, oparty na horoskopach panny młodej i pana młodego – ustalono na ósmą szesnaście wieczorem. Było trochę po siódmej i Purnima siedziała na werandzie z kapłanem – bez pana młodego – odprawiającym Gauri Pudżę. Dopiero po jej zakończeniu zaprowadzą ją na mandapam, ślubne podwyższenie, posadzą ją obok Kiśorego, będą następne pudże, potem on będzie musiał zawiązać wokół jej szyi ślubny naszyjnik, mangalsutrę. Purnima siedziała, słuchając kapłana, podążając za jego instrukcjami, ale wszystko wciąż wydawało jej się mirażem, jakimś odległym i nieosiągalnym miejscem. Słuchała brzęczenia jego głosu, wpatrywała się w kolana – głowę spuściła, tak jak przystało pannie młodej, dłonie złożyła w modlitwie.

Miała na sobie czerwono-zielone sari zrobione z ciężkiego jedwabiu. Zdobilo ją niewiele biżuterii, głównie sztucznej lub pożyczonej, na każdym nadgarstku rząd bransoletek migotał w płomieniu kamfory. Ornamenty z henny wiły się w górę jej ramion, po stopach niczym mech, duszne, dławiące.

Wszystko – od porannej ceremonii panny młodej aż po ubieranie się w cieniach chaty z pomocą ciotek, pudże, młodego kapłana ziewającego w trakcie inkantacji, ciągłą gorączkę kolorów, dźwięków, ludzi – to wszystko Purnima tylko obserwowała jakby przez jakieś dalekie okno, niczego nie odczuwając.

W tym oknie widziała, jak kapłan patrzył na Purnimę, która się trochę wierciła, dusił ją dym z kadzideł, potem rzekł: „Uważaj”, i wreszcie dodał „Wstań”, bo był już czas, by pójść na mandapam, gdzie czekał pan młody.

Jej ojciec stał obok niej, by ją tam zaprowadzić. Purnima spojrzała na niego, jego twarz zastygła w jakimś twardym grymasie może z jej powodu, może z powodu teściów podnoszących cenę posagu, a może z powodu własnej słabości – ale ona nic z tego nie widziała, widziała tylko własne szaleństwo. Ojciec powiedział: „Chodźmy”, a ona spytała: „Gdzie?”.

Teraz słońce zaczynało się chować za widnokres, zachodnie niebo płonęło zielenią, różem, czerwienią. Wschodnia linia horyzontu była znowu biała od upału. Dokąd mnie prowadzą? – zastanawiała się Purnima. Dokądkolwiek by to było, stało się to jej obojętne. Zupełnie. Zauważyła zachód słońca, zachwyciła się nim i pomyślała, taki piękny wieczór, mam na sobie takie piękne sari. Wzbudziło to jej radość. To okno, przez które wyglądała: tyle piękna za nim. A mimo to gdzieś głębiej, myślała, nie, nie chcę tego sari. Nie chcę tego dnia. Nie chcę tego ojca. Czego ja chcę – czego ja chcę? Nie była w stanie odpowiedzieć, tymczasem wszystko inne wciąż trwało, a ona szła, udając, że jest zachwycona.

Oczywiście głowę miała spuszczoną. Nie podnosiła wzroku, ale wiedziała, że zbliżają się do namiotu, gdy gorąco, powietrze wokół niej zgęstniało. Jej ojciec chyba tego nie zauważył, wydawał się całkowicie skupiony na podwyższeniu, na które ją prowadził. Powietrze stawało się coraz bardziej duszne, nie było już miłe i Purnima poczuła narastającą panikę. Próbowała go zatrzymać, odepchnąć, ale on trzymał w uścisku jej łokieć i prowadził ku podwyższeniu.

– Chcę się zatrzymać – powiedziała.

Ojciec wzmocnił uścisk na łokciu Purnimy.

– Nie bądź głupia.

Nie bądź głupia, pomyślała Purnima i te słowa wydały jej się całkiem przyzwoite. I tak właśnie Purnima śpiewała do siebie, nie bądź głupia. Nie bądź głupia. Nie bądź głupia. Nie bądź głupia. Nie bądź głupia. Nie bądź głupia. I śpiewała to cały czas, raz za razem, raz za razem, aż doszła do mandapamu, wspięła się na dwa schodki i została posadzona obok pana młodego.

Nie bądź głupia, powiedziała do siebie.

Jej ojciec włożył jej dłoń w dłoń pana młodego. Nie spojrzała na niego. Dlaczego miałaby patrzeć? Kim był ten dziwny człowiek? Zresztą prawie jej nie trzymał. Kolejne pudze. Kapłan wręczył jej dwa banany i jabłko. Dwa banany i jabłko. Purnima spojrzała na nie. Wydawały jej się tak znajome. Tak kuszące. Jakby całe życie czekała na to, by wręczono jej dokładnie tę liczbę i te rodzaje owoców.

Dlaczego?

Chciała zapytać mężczyznę, który siedział obok niej. On mógł wiedzieć. Już miała się do niego obrócić i to zrobić, gdy kapłan, niecierpliwie, jakby mówił to do niej już wiele razy, rzekł:

– Ammai, nie słyszysz? Mówię przecież, daj mu owoc.

Więc Purnima postanowiła, że zapyta go później, po tym jak wręczy mu owoc. Jego ręka zbliżała się, zbliżała, zbliżała i teraz Purnima podniosła oczy. Wystarczająco. Zaparło jej dech. Jego prawa ręka: nie była cała. Brakowało mu dwóch palców. Środkowego i prawie całego wskazującego. Kikut jego palca wskazującego wyglądał jak suche, postrzępione mięso, wciąż różowy, a koniec dłoni, tam, gdzie powinien znajdować się palec środkowy, był zamknięty, odwrócony do wewnątrz, jak usta bezzębnego starca. Odskoczyła.

Czyli to jest, myślała ze wstrętem, to, co nazywali idiosynkrazją. Przypomniała sobie, że знаła kiedyś kogoś jeszcze innego z takimi rękami, z rękami równie groteskowymi (to był czyjś ojciec, ale czyj?). I wtedy pomyślała, ale kim jest ten człowiek? Dlaczego mam mu dać dwa banany i jabłko? Nie chcę wkładać ich do tej ręki, pomyślała, do ręki tak zranionej.

Nie chodziło o owoc. A może właśnie o niego chodziło. Tak czy inaczej, kiedy Kişore zawiązał jej mangalsutrę wokół szyi i przeszli siedem kroków wokół ognia – jej pięć palców w jego trzech (i połowie) – wreszcie zrozumiała. A okno? Zrozumiała, nie było żadnego okna. Nigdy nie było. A jeśli było, zostało rozbite, wpadł przez nie kamień i oto ona teraz wpatrywała się w niego, w odłamki szkła,

w powietrze wchodzące do środka. Zrozumiała, że w tym momencie została mężatką.

3

Dom jej męża w Namburu nie był chatą. To był prawdziwy dom, zrobiony z betonu, piętrowy. Miał cztery pokoje na parterze i jeden duży na piętrze, a pozostała część dachu służyła jako taras. Tutaj wieszano pranie, a w najgorętsze noce lata wszyscy przynosili swoje maty i spali pod gwiazdami. Ale teraz to się miało skończyć. Teraz będą tutaj mieszkać Kişore z Purnimą i tutaj Purnimę odprowadzono na ich pierwszą wspólną noc. Purnimie towarzyszyła jej młodsza kuzynka w charakterze przyzwoitki, a jej nowa teściowa i nowa szwagierka przywitały je u drzwi z zapalonym *arathi*. Purnima spojrzała na palce u stóp.

Grali w jakąś grę, ona i jej nowy mąż, podczas gdy pozostali krewni dodawali im otuchy. To była gra z najdawniejszych czasów: ta sama gra, te same zasady. Mosiężny dzban z wąską szyjką napełniono wodą. Wrzucono do niej pierścień. Chłup. Do wody. Musieli włożyć do środka prawe dłonie, tylko prawe, wygrywał ten, kto pierwszy złapał pierścień. Wąski otwór dzbana był najważniejszy – ręce musiały się spotkać. Palce musiały się spleść. Gra wstępna – między dwojgiem obcych sobie ludzi – miała prowadzić do seksu. Pierwszego seksu. Purnima wyciągnęła rękę i natychmiast poczuła odrazę. Zamiast pięciu dotknęła trzech palców. Kciuk i mały palec trudno nazwać palcami, więc został tylko jeden. I ten jeden ocierał się o jej palec, kciuk drugiego – ocierał się o wskazujący, o ten zmielony – jak wilgotne, surowe mięso. A potem nic, środkowego palca po prostu nie było. Jakieś przeoczenie. Uśmiechnęła się nieśmiało, próbując ukryć odrazę. To jest twój nowy mąż, powiedziała sobie. Twoje nowe życie. I wtedy podniosła oczy. Jej nowy mąż patrzył prosto na nią. Na nią? Może przez nią. Ale w jego spojrzeniu było coś dziwnego. Purnima rozpoznała ten wzrok, co to było? Sięgnęła pamięcią do wspomnień z młodości, z czasów dziewczęcych, z całego

swojego życia i uświadomiła sobie, że to spojrzenie nie było dziwne ani nieznane. Tak naprawdę to było najbardziej znajome spojrzenie ze wszystkich. Spojrzenie mężczyzny: rozbierające ją, drażniące się z jej ubraniami, z jej niewinnością, rozrywające ją zębami, wbijające się w jej delikatne serce, a potem śmiejące się i okrutne, sycące się totalnością swojego ataku, jego potwornością i jego pragnieniem, a ona dalej była – już do połowy zużyta, do połowy zepsuta, do połowy naga.

A ona dalej była: już do połowy pożarta.

I wtedy zaczęły płynąć łzy – zanim zdołała je powstrzymać, podczas gdy jej palce wciąż szukały pierścienia, ale nie na serio, bo już wiedziała, że on wygra, a raczej że ona przegra – ale łzy nie miały znaczenia, ponieważ nikt ich właściwie nie zauważył, a nawet gdyby zauważyli, uznaliby je błędnie za łzy radości.

Tego wieczoru, kiedy skończyło się popołudnie wypełnione grami i subtelnymi igraszkami państwa młodych, Purnimę wykąpano, ubrano w białe sari, a jej włosy ozdobiono kwitnącym jaśminem. Podano jej szklanek ciepłego, pachnącego szafranem mleka dla nowego męża, a ona zaczęła wspinać się po schodach do pokoju na dachu. Wolno. Tak wolno, że jej młoda kuzynka, która jej towarzyszyła razem z kilkoma krewniaczkami Kiśorego, zerknęła na Purnimę i myślała, że znowu zacznie płakać. Kuzynka o imieniu Malli nie wiedziała o niczym, co się stało w Indrawalli – poza tym, że podczas ślubnej ceremonii panowała dziwna cisza, która – jak przypuszczała – była związana z tą wyglądającą na szaloną kobietą skuloną kilka tygodni wcześniej w tkalni, zwiniętą w kłębek w ramionach Purnimy; widziała ją tylko przez moment, chociaż jej kuzyn, któremu udało się przyjrzeć jej lepiej, powiedział, że to była rakszasi pożerająca nowo narodzone dzieci. „Noworodki?” – spytała. „Tak, głupia, takie są najdelikatniejsze”. To brzmiało dorzecznie. „Więc my jesteśmy za twardzi?” Spojrzał na nią i sapnął niecierpliwie. „Ja tak. Nie wiem, jak jest z tobą. Niech sprawdzę”. Uszczypnął ją w ramię i rzekł: „Prawdopodobnie ty byś się nadawała”. Mimo to Malli cieszyła się, że może towarzyszyć Purnimie w czasie jej podróży do Namburu. Taki był zwyczaj – jedna z młodych krewniaczek towarzyszyła

pannie młodej do jej nowego domu, to był sposób, aby ulżyć jej w podróży do tego obcego, nieznanego domu – i Malli natychmiast skorzystała z okazji. Ale teraz, kiedy wchodziła po schodach za Purnimę, za kuzynką, której prawie nie знаła, ale która wyglądała, jakby była pogrążona w jakimś okropnym, dudniącym bólu, Malli zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby, gdyby skorzystała z okazji spotkania rakszasi.

Przed drzwiami do pokoju Malli i inne krewne zostawiły Purnimę, po czym z chichotem zbiegały po schodach.

Purnima patrzyła za nimi.

Spojrzała na drzwi. Wzdłuż górnej framugi wisiała girlanda z młodych zielonych liści mangowca. Same drzwi były pokryte świeżą warstwą zielonej farby i pobłogosławione kropkami czerwonego kumkumu i kurkumy. Stała przed nimi i nasłuchiwała. Nie jakiegoś odgłosu ze strony nowego męża, który – jak wiedziała – czekał za nimi, ale czegoś innego, czegoś, czego nie mogła nazwać. Może głosu prowadzącego ją gdzie indziej, może ku krawędzi dachu, może na samą jego krawędź. Ale panowała cisza. Szklanka z mlekiem, którą trzymała w dłoniach, ostygła. Spojrzała w dół i zobaczyła kożuch na jego powierzchni. Pojawił się znikąd: cienki, pomarszczony, lekki. Przebiegłe. Jak mleko to zrobiło, skąd wiedziało, jak to zrobić, zastanawiała się. Żeby się ochronić? Skąd umie być tak silne?

Postawiła szklankę obok drzwi i wyszła na środek tarasu. Beton parzył jej nagie stopy, ale właściwie tego nie zauważała. Spostrzegła coś świeżącego na środku tarasu, lecz kiedy podeszła bliżej, ujrzała, że to tylko papierek po irysku. Cóż ona sobie wyobrażała, że co to było? Moneta? Klejnot? Purnima nie wiedziała, ale była tak rozczarowana, że siadła obok papierka i wpatrywała się weń.

– Mógłbyś być diamentem – powiedziała do niego. A potem dodała: – Mógłbyś być wszystkim.

Papierek też się w nią wpatrywał. Teraz prawie już zapadł zmierzch. Ochłodziło się trochę, ale popołudnia wciąż paliły gorącem, temperatura sięgała prawie czterdziestu stopni i beton, na którym siedziała Purnima, wciąż był nagrany. Nie obchodziło jej to. Teraz obchodziło ją to, że kiedyś, kiedy miała trzy czy cztery lata – to było jedno z jej najwcześniejszych wspomnień – poszła z matką na targ po warzywa. Kiedy wracały do domu, matka zatrzymała się w sklepie, by kupić gram goździków. Purnima patrzyła na puszki stojące na kontuarze wypełnione czekoladowymi cukierkami, ciasteczkami i iryskami. Poprosiła matkę, żeby kupiła jej jeden. Ona nawet na nią nie spojrzała. Powiedziała: „Nie. Nie mamy pieniędzy”.

Purnima czekała, wpatrzona w puszki.

Wtedy weszła kolejna klientka – gruba pani z grubym synem. Chłopiec – nawet na młode oko Purnimy – najwyraźniej był rozpieszczony. Choć starszy od niej, wydawał się wolniejszy, jakby całe życie karmiono go masłem i pochwałami. On nawet nie poprosił o cukierka. Po prostu wskazał iryski, które chciał, i pociągnął za *pallu* grubej matki. Właściciel zachęcił go, by otworzył sobie puszkę, a potem, śmiejąc się służalczo, rzekł: „Proszę, niech pan weźmie, ile chce, panie Ramana-garu”. Chłopiec wyciągnął całą garść cukierków i wyszedł. Matka Purnimy pochylała się nad dzbanami z przyprawami, oglądając uważnie goździki. Purnima spojrzała z powrotem na puszkę.

Wciąż była otwarta.

Nie zjadła go, dopóki nie doszły do domu. Ścisnęła iryska w małej piątce przez całą drogę, a potem poczekała, aż została sama – matka gotowała kolację, a bracia się bawili – wtedy powoli odwinęła cukierek, czerwony irysek był nieomal tak duży jak jej dłoń, migotał niczym klejnot, gładki i słodki klejnot. Polizała go, raz, drugi, aż nie mogła już dłużej wytrzymać. Wrzuciła go sobie do buzi. Jadła już kiedyś iryski, ale nigdy całe, ich matka zawsze rozbijała je na kawałki, by mogła się nimi podzielić z braćmi. To rozbijanie było najgorsze, pomyślała Purnima: wziąć tak doskonale słodki, okrągły klejnot i rozbić go na kawałki. To było po prostu nieprzyzwoite. Czuła z tego powodu urazę nawet

bardziej do matki niż do braci. Ale ten – ten był cały. Ssała i ssała, aż słodycz wypełniła jej usta, połaskotała w gardle. Już prawie cały zjadła, został tylko maleńki kawałeczek, kiedy usłyszała, że matka ją woła. Połknęła tę resztkę i kiedy wróciła do chaty, gdzie matka gotowała, zaczęła kaszleć od dymu z ognia.

– Co się dzieje? – zapytała matka.

Purnima spojrzała na nią.

– Podejdź bliżej – rozkazała matka.

Purnima zrobiła maleńki kroczek w jej kierunku. Matka złapała córkę za policzki i ścisnęła je. Purnima wydeła usta jak ryba.

– Otwórz buzię – powiedziała matka. – Nie myśl, że cię nie widzę.

Purnima w końcu uchyliła buzię, troszeczkę, a kiedy matka ścisnęła mocniej, otworzyła ją na oścież, czerwoną, świecącą i śliską jak wnętrze granatu.

– Ukradłś to? – zapytała mama.

Purnima nic nie odpowiedziała, w końcu skinęła głową.

Matka westchnęła.

– Kradzież jest złą rzeczą. Przecież to wiesz, Purnimo. Nie powinnaś tego nigdy, przenigdy robić.

Purnima spojrzała na nią i ponownie skinęła głową.

– Już go zjadłś, więc musimy jutro tam pójść i oddać pieniądze. Nie powiem o tym ojcu, rozumiesz, ale to nie należało do ciebie. Zapamiętaj, Purnimo: nigdy nie bierz czegoś, co nie należy do ciebie. Zapamiętasz to?

Purnima zapamiętała, ale już się z tym nie zgadzała. Siedząc na środku tarasu, tego wieczoru przed swoją nocą poślubną, patrzyła na papierek po cukierku i myślała o matce. Myślała o czerwonym irysku, wciąż jeszcze czuła go na języku, czuła jego słodycz, łagodną, przepływającą przez jej gardło. I nie zgadzała się z matką. Amma, powiedziała do papierka, gdybym tylko wzięła to, co do mnie nie należy. Gdybym tylko znalazła chwilę, by nalegać, nalegać na spotkanie z nim przed ślubem, mogłabym policzyć jego palce, jak oni policzyli moje. Gdybym tylko odmówiła. Sprzeciwiła się wszystkiemu: twojej śmierci, śmierci kozła,

temu, że niebieski budzik przestał dzwonić. Gdybym powiedziała: to ty jesteś pieśnią fletu. Podniosła papierek i rzekła, nie widzisz, amma, gdybym tylko umiała brać rzeczy, które nie są dla mnie przeznaczone. Gdybym tylko miała odwagę.

Wyrzuciła papierek i patrzyła, jak odfruva w dal.

Podeszła do drzwi, za którymi czekał jej nowy mąż i pewnie już zasnął, podniosła szklankę zimnego mleka. Widziała drobinki kurzu pływające na pomarszczonym kożuchu. Patrzyła na nie i postanowiła dać się im przekonać. Trzymaj się, mówiły, trzymaj się mocno na powierzchni i pozwól, by niosły cię wody, kremowe, syte, białe wody. Dokąd miałyby ją zanieść? Nie wiedziała, ale za drzwiami był mężczyzna, który nie był jej ojcem. I do którego teraz należała. I już samo to było jakąś poprawą, już samo to było jakimś lepszym miejscem.

W pokoju stały łóżko, drewniana szafa z długim lustrem obramowana wzorem pnący pełnych jagód, biurko i telewizor. Telewizor! Nikt w Indrawalli nie miał telewizora. Kiśore zobaczył, jak ona wpatruje się w niego, i rzekł:

– Nie ekscytuj się tak. Nie działa.

Oderwała wzrok od telewizora i znów spojrzała na szklankę mleka, którą trzymała w rękach. Wziął ją od niej i postawił na małym okrągłym stoliku obok łóżka. Leżące na nim cienkie żółte prześcieradło było okryte płatkami róż ułożonymi w kształt serca i Purnima zastanawiała się, kto to zrobił, kto ułożył je w ten sposób. To był tak czarowny gest, tak nieoczekiwany, że zapragnęła usiąść na krawędzi łóżka – ostrożnie, żeby nie naruszyć płatków – i patrzeć na nie. Po prostu patrzeć. Ale Kiśore nie wydawał się w ogóle zainteresowany sercem, ponieważ bez żadnego wstępu pociągnął ją na łóżko, szarpnął fałdy jej sari i zaczął ryc głową, wilgotnymi wargami w wycięciu jej bluzki, jego palce dźgały jej piersi, jakby to były surowe ziemniaki. W narastającym pomieszaniu Purnima nie dostrzegła, co się w nią wbiło. Wydała skowyt, zbyt przerażona, by krzyczeć, ale teraz Kiśore pochrząkiwał, leżąc na niej. Nie mogła się zdecydować – patrząc na jego twarz, na jego grymasy, jego drgnienia – co bardziej boli, czy kiedy ta rzecz wchodzi w nią, czy kiedy wychodzi. Ale wtedy to się skończyło. Tak po

prostu. Po ostatnim pchnięciu Kişore spojrział na nią i się uśmiechnął. Prawdziwym uśmiechem. A ona pomyślała: tak, koniec końców jesteś człowiekiem, do którego teraz należę. Wtedy on się z niej stoczył i w ciemności, gdy Purnima poczuła aksamit płatków róż, chłodny i przebaczący jak deszcz, on rzekł sennie:

– Lubię wypić dwie filiżanki kawy. Jedną zaraz po wstaniu, a kolejną do drugiego śniadania. Rozumiesz?

Skinęła głową w ciemności. I z całych sił starała się zrozumieć.

W pewną niedzielę, pod koniec pierwszego miesiąca ich małżeństwa Kiśore wziął Purnimę i swoją siedemnastoletnią siostrę Arunę, młodszą od niego o sześć lat, do Widżajawady. Diwja, jego druga, młodszą o dziesięć lat siostra, która widziała Purnimę po raz pierwszy na weselu, nie chciała jechać do Widżajawady z powodu zbliżających się egzaminów. Spokojna i pilna – stanowiła całkowite przeciwieństwo Aruny. Tak więc Purnima, Kiśore i Aruna wyjechali po śniadaniu. Purnima włożyła najlepsze sari, prezent ślubny, pomarańczowe z różową lamówką. W restauracji niedaleko przystanku autobusowego zjedli masala dosy. Arunie i Kiśoremu nie smakowały – ona oświadczyła, że curry było bez smaku, a kelner bezczelny, jej brat dodał, że w restauracji bliżej firmy, w której pracował, na Annie Besant Road, dosy są znacznie lepsze – ale Purnima nie miała ich z czym porównać, nigdy wcześniej nie była w restauracji. A potem Kiśore wziął je do kina.

Tam też Purnima była po raz pierwszy.

Poczuła ciepło łez w oczach, kiedy razem z Aruną czekały, aż Kiśore kupi bilety, wyobrażała sobie, że jest tu z nią Sawitha, tak jak kiedyś planowały, ale kiedy tylko weszli przez drzwi prowadzące na balkon, Purnimie zaparło dech i zupełnie zapomniała o Sawicie. Nigdy nie była w tak wielkiej sali. Miała wrażenie, jakby wchodziła do ogromnej jaskini, ale ta tutaj była rzeźbiona i rzęsiście oświetlona. Stała w zachwycie – patrząc na czerwone pluszowe fotele, niektóre z nich były wytarte, choć nadal luksusowe, na krople złotego światła wzdłuż ścian, na których wisiały lampy, i na tłumy ludzi spieszących się, by znaleźć swoje miejsce. Kiśore i Aruna musieli już być tu wcześniej, bo przepchnęli się obok Purnimy przez rząd foteli na sam środek balkonu.

Kurtyna się podniosła, rozjarzył się ekran i Purnimę znowu ogarnęło zdumienie. Ludzie byli ogromni! Zdawało jej się, że niemal kołyszą się jej nad głową, gotowi się na nią rzucić. Ogarnął ją lekki strach, ale kiedy z ogromniałymi oczami spojrzała z niepokojem na Kiśorego i Arunę, oni już byli całkowicie pochłonięci filmem – smutną historią kochanków rozdzielonych z powodu braku zgody ich rodziców, zwłaszcza rodziców dziewczyny, ponieważ chłopiec był bez grosza i nie miał pracy (przynajmniej tak zrozumiała Purnima), za to był uderzająco przystojny i miał piękny motocykl, mimo iż był biedny. Rodzice dziewczyny, chcąc doprowadzić do ich rozstania, pojechali bardzo daleko i zamknęli ją w górskim domu. Historia była smutna, ale przeplatana piosenkami i sekwencjami tanecznymi kochanków, swawolących na śniegu w Kaszmirze, Śimli i Ryszikeśu. Aktorka miała na sobie tylko migotliwe przezroczyście sari odbijające się błękitem w otaczającej ją bieli i Purnima pochyliła się do Kiśorego, by zapytać:

– Nie jest jej zimno? Czy śnieg nie jest zimny?

On zignorował jej pytanie, a może po prostu nie usłyszał.

Pod koniec filmu główny bohater przekonał do siebie rodziców dziewczyny: uratował ich przed chciwym krewnym, który chciał przejąć ich firmę i wyrzucić z rodzinnej willi. Gdyby nie wykrył spisku i nie trzymał złego krewnego na muszce, rodzina dziewczyny straciłaby wszystko – pieniądze, klejnoty, samochody – i stałaby się bezdomna. W tym momencie rodzice dziewczyny rozpoznali inteligencję i bystrość chłopca, i film skończył się sceną, w której rodzice wkładają dłoń córki w dłoń przyszłego zięcia.

Purnima była tak poruszona świetlistymi twarzami bohatera i bohaterki, wszystkim, przez co musieli przejść i co musieli pokonać, że zaczęła płakać. Kiśore i Aruna spojrzeli na nią i zaczęli się śmiać.

– To nawet nie był dobry film – powiedziała Aruna.

Purnima nie zgodziła się i w drodze do domu, kiedy autobus mijał ciemniejsze pola ryżu i gasnące pola bawełny oraz orzeszków ziemnych rozciągające się

wzdłuż drogi z Widżajawady do Namburu, uświadomiła sobie, że płakała nie z powodu filmu, ale dlatego, że nie zapomniała. Ani na moment. W jakiś sposób była z nią Sawitha, siedziała obok niej. W jakiś sposób była bardziej realna niż znajdujący się przy niej Kişore i Aruna. Widziała to jasno: Sawitha złapałaby ją za rękę, kiedy bohater wyciągnął broń, spodobałby się jej dlatego, że był biedny jak one, i dlatego, że kochał bohaterkę z taką słodyczą, tak szczerym uczuciem. Wyobraź sobie, Puri, powiedziałyby, kręcąc głową, wyobraź sobie, jak zimno musiało być tej biednej dziewczynie w takim cienkim sari. A ten śnieg, dodałaby, wyglądał zupełnie jak ryż z jogurtem, prawda?

W kolejne dni i tygodnie, które upłynęły od wizyty w kinie, Purnima myślała o tym coraz więcej. Nie o samym filmie. Niezupełnie. Myślała o twarzach innych ludzi w kinie, zwłaszcza o twarzy Kişorego i Aruny. Nigdy czegoś podobnego nie widziała: migające światła, zmieniające się kolory, oświetlające zachwycone twarze ludzi na widowni. Nigdy nie widziała nawet świecących się i zmieniających światła telewizora, a co dopiero światła ekranu kinowego. W miarę jak upływały miesiące, zdawało jej się, że to, co się jej przydarza w życiu, jest takie jak to światło – dalekie, a mimo to przeszywające, groźne, a jednak nieszkodliwe.

Na przykład, kiedy pewnego wieczoru gotowała kolację dla całej rodziny, jej teściowa weszła do kuchni (ku zdumieniu Purnimy będącej osobnym pomieszczeniem) i zażądała odpowiedzi, gdzie są jej kolczyki z granatów, te w kształcie kwiatów – chciała je założyć, kiedy będzie szła do świątyni. Stojąca przy kuchni Purnima, która nawet nie wiedziała, że jej teściowa ma kolczyki z granatów, powiedziała, że nie ma pojęcia, gdzie mogą być, i wróciła do przygotowywania curry z bakłażanów i ziemniaków. Teściowa, przyglądając się uważnie, jak Purnima dodaje soli do curry, westchnęła ciężko i wymruczała:

– Biedactwo. Ty nigdy nie masz pojęcia.

Purnima odłożyła łyżkę, popatrzyła na wychodzącą z kuchni teściową i zaczęła się zastanawiać, ty nigdy nie masz pojęcia o czym?

Ale potem światła kina przybliżyły się, stawały się coraz groźniejsze.

Kolejny raz był któregoś niedzielnego popołudnia, kiedy rodzina siedziała przy herbacie i pakorach. Purnima właśnie siadła, by napić się herbaty. Aruna przyjrzała jej się uważnie, po czym odwróciła się do matki i rzekła:

– Ktoś zafarbował mój jedwabny szalwar. Amma, wiesz może, kto to mógł być?

Na szalwarze, w kolorze delikatnego różu, widniały teraz niebieskie i fioletowe plamy. Obie, matka i córka, odwróciły się do Purnimy. Ich oczy przybrały wyraz jakiejś nienawiści, nagłej, przydymionej.

– Namoczyłaś go z czymś niebieskim, prawda? Czy to był ten niebieski ręcznik? Mogę się założyć, że namoczyłaś go z tym ręcznikiem. Dasz wiarę, amma? Zazdrosna jesteś, co? Przy niektórych ludziach po prostu nie da się mieć ładnych rzeczy! Wiem, że namoczyłaś go z tym ręcznikiem. Jak możesz być taka głupia?

Purnima otworzyła usta, aby zaprotestować, ale prawdę mówiąc, nie mogła sobie przypomnieć z całą pewnością. Robiła pranie dla całej rodziny, więc może rzeczywiście namoczyła szalwar z niebieskim ręcznikiem. Ale na pewno nie specjalnie i na pewno nie dlatego, że była zazdrosna. Spojrzała na Kiśorego, lecz on był zajęty jedzeniem pakory z cebulą. Odwróciła się do teścia, który rzadko się odzywał w obecności żony i miał zwyczaj wymykania się z pokoju, kiedy dyskusja stawała się zbyt gorąca albo zaczynała dotyczyć jego. Teraz po prostu siedział ze złożonymi rękami, patrząc na nie jak w głęboką studnię. Tylko Diwja była sojuszniczką – ta poważna dziewczyna, którą Purnima zaczynała lubić. Ona jednak, jako najmłodsza, nie miała prawa głosu i na ogół ją uciszano.

Zanim jednak Purnima zdążyła obrócić się do Diwji, teściowa już była przy niej, szarpiąc ją za warkocz.

– Proś o wybaczenie – warknęła. – Proś!

Purnima była tak zaskoczona, że nie mogła wydobyć z siebie słowa ani nawet krzyknąć. Teściowa w końcu ją puściła i Purnima poprosiła o wybaczenie, ale potem, w nocy, kiedy zasypiała, pomyślała, zachowałam się absurdalnie.

Tchórzliwie. Nigdy nie powinnam prosić o przebaczenie, kiedy nie jestem pewna, czy miałam z tym cokolwiek wspólnego. Nie pamiętam nawet, czy widziałam ten jedwabny szalwar. Co znaczy prosić o przebaczenie, zastanawiała się dalej, jeśli się nie zna przestępstwa ani tego, kto je popełnił. To nic nie znaczy, uświadomiła sobie. Zupełnie nic. I w tym momencie podjęła decyzję – podjęła decyzję, tak, podjęła decyzję, zdziwiona, że może w ogóle robić coś takiego jak podejmowanie decyzji – że już nigdy nie poprosi o przebaczenie za czyny, których nie popełniła, za przestępstwa, których nie pamiętała, by popełniła. A potem uśmiechnięta zapadła w głęboki sen.

Po sześciu miesiącach małżeństwa dni stały się jeszcze ciemniejsze. Ojciec Purnimy dał im pierwszych pięć tysięcy rupii w czasie wesela. Wziął pożyczkę ze spółdzielni tkackiej na bajoński procent, ale udało mu się zatrzymać oba krosna i nawet wynajął chłopca – młodego, z trudem sięgającego do pedałów – by pracował przy jednym z nich. Ale wciąż nie był w stanie kupić Kiśoremu skutera, nie miał też żadnego pomysłu, skąd wziąć pieniądze, by zapłacić pozostałych pięć tysięcy. Purnima nic by o tym nie wiedziała, gdyż z ojcem właściwie nie miała kontaktu, gdyby nie to, że jej teściowie zaczęli o tym napomykać coraz częściej. „Napomykać”? To nie było właściwe słowo. „Prześladować” – to było najodpowiedniejsze określenie. Zaczęli ją za to prześladować.

Początkowo Purnima nawet nie wiedziała, że chodzi o tych pięć tysięcy. Byli wystarczająco ostrożni, by używać na przykład sformułowania „niektórzy ludzie”. Niektórzy ludzie są zbyt leniwi, by spłacić długi. Albo: nikomu nie można wierzyć, a zwłaszcza biednym, tym, co mają córki. Ale dlaczego to my mamy płacić za ich pecha? Albo: kłamcy – jeśli jest ktoś, kogo naprawdę nie mogę znieść, to kłamca. Jednak po kilku tygodniach pomruki stały się bardziej konkretne. Któregoś wieczoru, kiedy Purnima jadła kolację po tym, jak wszyscy już skończyli jeść – najpierw musiała obsłużyć Kiśorego i teścia, potem teściową, Arunę i Diwję – teściowa weszła do kuchni, gdzie Purnima siedziała na podłodze, jedząc, i spytała:

– Czy miałas wystarczająco dużo jedzenia, moja droga?

Purnima spojrzała na nią zdumiona. „Moja droga”?

– Nie, wszystko jest w porządku – mówiła tamta dalej. – Najedz się do syta. Możesz z nas żyć. Pytanie tylko, z kogo my będziemy żyli.

Purnima próbowała porozmawiać o tym z Kiśorem. Podniosła tę kwestię którejś nocy, kiedy weszli do pokoju na piętrze. Noce stały się chłodniejsze. Był styczeń i musieli zamienić cienkie prześcieradła na wełniane koce. Niebo miało odcień głębokiego i dalekiego błękitu, zimowe gwiazdy przebijały przez nie z lodowatą obojętnością. Purnima stała przez chwilę na tarasie, patrząc na inne domy w Namburu, większość z nich krytych strzechami jak chata, w której wyrosła. Złote światło lamp rozpierzchało się po zakurzonych przejściach, pachniało dymem, ogniskami, gdzie gotował się ryż i okrągłe pszeniczne pulki brązowiejące od ich płomieni. Purnima popatrzyła w kierunku Indrawalli, wiedząc, że to samo zimne nocne powietrze wisi teraz także nad jej wioską, dokładnie to samo nocne powietrze, ale ona nie czuła z nim żadnej więzi. Żadnej sympatii. Jakby ziemia zmieniła też porę roku w jej sercu i wypełniła je tylko dymem i dalekimi mroźnymi gwiazdami.

Kiedy weszła, Kiśore zawołał ją do łóżka. Leżał na kołdrze.

– Zdejmij bluzkę – powiedział.

Purnima zdjęła bluzkę i owinęła się *pallu*, ocienione krągłości jej piersi, jej szczupłych ramion rysowały się pod tkaniną sari.

– Nie – powiedział. – Zdejmij to też.

Zrobiła to tak bardzo niechętnie – nieśmiała, nieświadoma (choć minęło już sześć miesięcy ich małżeństwa i Kiśore był na niej prawie każdej nocy) swojego nastoletniego ciała i bezwzględnej brutalności, jakie ono może wywoływać.

– Masuj mi stopy – rzekł.

Stanąła w nogach łóżka. Jej palce już w Indrawalli stały się szorstkie od ćarkhy i domowych obowiązków, ale teraz zrogowaciały i popękały od ciągłej pracy, jakby dłonie były jedyną częścią jej ciała, która wchłaniała codzienne upokorzenia, oskarżenia, powszedniość domowego okrucieństwa. Kiedy podniosła

wzrok, zobaczyła, że Kiśore ma zamknięte oczy, i chociaż czuła zimno w nagiej piersi, nie ośmieliła się nakryć jej ponownie. Pomyślała, że może zasnął, ale kiedy odrobinę zwolniła masaż, zawołał:

– Dalej! Kto ci powiedział, że możesz przestać? – Usłyszała jego lekkie chrapanie, a może chrząknięcie; po chwili rzekł: – Chodź tutaj.

Wziął ją, kiedy leżała na plecach, a potem odwrócił ją na brzuch i znowu ją wziął. Kiedy w końcu doszedł, opadł na nią i leżał na niej tak długo, że Purnima zdążyła zobaczyć, jak trzy różne komary gryzą ją i odlatują, odurzone, ciężkie i nadęte od jej krwi.

Gdy w końcu się z niej zsunął, odczekała chwilę. Wzięła głęboki oddech. Powiedziała:

– Nie mogę nic na to poradzić. Nie mogę nic na to poradzić, że mój ojciec nie ma pieniędzy. – Cisza. Klepnęła kolejnego komara, pokój był teraz ich pełen, przyciąganych ciepłem ich ciał.

– Możesz – odpowiedział.

Purnima zamarła. Wpatrywała się w niego w ciemności.

– Mogę?

Jego głos stał się zimny. Tak samo jak pokój, w którym nagle pochłodziło. Wszystkie komary teraz znikły.

– Powiedz mu, że będzie jeszcze gorzej – powiedział – jeżeli nie zapłaci.

– Jeszcze gorzej? Czyli jak gorzej?

Ale Kiśore nie odpowiedział i po chwili już chrapał. Spał mocnym snem. Purnima leżała bezsennie, wracające komary stały się teraz mile widzianą rozrywką, a utrata krwi – ofiarą.

Nie o taką rozmowę chodziło. A może właśnie o taką? W każdym razie kilka tygodni później Purnima zaczęła wymykać się na górę między obowiązkami albo spieszyła się, by skończyć wcześniej, albo szukała wymówki, by z głównej części domu pobiec na piętro, zamknąć drzwi do ich pokoju i usiąść na krawędzi łóżka. Nigdy się nie kładła, leżenie przypominało jej Kiśorego, a ona nie chciała sobie

o nim przypominać. Nie chciała też sobie przypominać o Sawicie, więc nie zamykała oczu.

Zamiast tego przyglądała się pomieszczeniu. Ściany pomalowano na jasnozielono. Na dwóch były wodne malowidła, ale na pozostałych już nie. Okna po obu stronach drzwi wychodziły na taras, zamocowano na nich kraty i żaluzje dla ochrony przed złodziejami. Można tu tyle ukraść, myślała Purnima: drewniana szafa była taka ładna, nic w jej chacie w Indrawalli nie było takie ładne jak ta szafa. W środku leżały wyjściowe ubrania Kiśorego, jej ślubne sari, jakieś papiery, trochę biżuterii i pieniędzy zamkniętych w metalowym pudełku, lalka owinięta w przezroczystą folię, którą jakiś daleki krewny przywiózł z Ameryki. Była tam także statuetka z brązu – Kiśore dostał ją w nagrodę za to, że był co roku, przez cztery lata najlepszym studentem w koledżu – dobrze ukryta między ubraniami. Wszędzie upchnięto kulki naftaliny przeciw molom. Pod drugą ścianą stały telewizor i biurko. Telewizor wciąż nie działał – Purnima zastanawiała się, czy kiedykolwiek był sprawny – ale pokój wydawał się dzięki niemu zasobny. Kawałek muślinu chronił odbiornik przed kurzem.

Obok telewizora – biurko, a na nim papiery Kiśorego. Były inne niż te w szafce, oznajmił Purnimie. Po prostu jego papiery z pracy, wyjaśnił, podczas gdy te w szafce to obligacje rządowe i książeczki czekowe. Purnima przyglądała się im. Zobaczyła, że leżą w nieładzie, wstała z łóżka i podeszła do biurka, by je uporządkować. Składając je, dostrzegła, że każda z nich jest podzielona na sześć kolumn z wieloma, wieloma rzędami i mnóstwem cyfr i liter, których pewnie nigdy by nie zrozumiała, więc odłożyła je z powrotem na biurko. Ale nagle coś przykuło jej uwagę: pierwszy rząd na leżącej na wierzchu stronie miał jakiś sens. Składał się z samych liczb umieszczonych w drugiej, trzeciej, czwartej i piątej kolumnie, dodanych do siebie i zapisanych w szóstej kolumnie. W pierwszej była po prostu data. To było łatwe, nauczyła się dodawania jeszcze przed piątą klasą, na której zakończyła się jej edukacja szkolna. Potem sprawdziła pozostałe rzędy, były takie same: zwykłe dodawanie, to wszystko.

Czy tym Kişore zajmował się cały dzień? Nieomal roześmiała się w głos. Domagając się masażu stóp, prasowania jego koszul co rano, wołając o szklanekę wody, jak tylko wchodził do domu: jakby przeszedł przez całą pustynię, jakby jego wysiłki całkowicie go wypaliły, a tymczasem naprawdę zajmował się tylko dodawaniem! Ale potem sprawdziła inne kartki i okazało się, że to nie była cała prawda. Liczby na nich nie były do siebie dodane, tutaj działało się coś innego.

Westchnęła i zeszła na dół. Trzeba było umyć naczynia po obiedzie i przygotować kolację. Teściowa i Aruna lubiły wypić herbatę o czwartej po południu, a już było dziesięć po czwartej. Purnima popędziła do kuchni. Ale kiedy gotowała wodę i mleko, spieszenie dosypywała herbatę w proszku i wyjmowała cukierniczkę, myślała o tamtych kartkach. Co te kolumny robiły? Może Sawitha miała rację, myślała. Może, koniec końców, księgowość nie jest znacznie bardziej skomplikowana niż to, kiedy ojciec dawał jej pieniądze, by poszła na targ, odrobinę pieniędzy, a ona musiała kupić wystarczająco dużo warzyw i ryżu dla nich wszystkich i mimo to on żądał, by przyniosła resztę ze szczegółowych wykazem, ile wydała i gdzie. Jeśli kupiła kilo ziemniaków za pięć rupii, mówił, „Ja bym je dostał za cztery”, a kiedy dostała za cztery, mówił, „Są takie małe. Ospowate. Nic dziwnego”.

Gdy wsypywała cukier do kubków, nagle odłożyła łyżkę. Odłożyła ją i spojrzała w górę. Ogarnęło ją zdumienie. Po prostu pomyślała o Sawicie, nie czując tego zwykłego, tępego, ponurego bólu, pomieszania czy tęsknoty, które zawsze odczuwała, nie poczuła nawet tej palącej, ostrej nienawiści do ojca. Zupełnie nic. Tak po prostu i bez żadnego cierpienia pomyślała o Sawicie. Zdarzyło się to po raz pierwszy, a uczucie to było takie, jakby trzymała latawiec na silnym wietrze. Uśmiechnęła się. Ale jej uśmiech natychmiast zgasł. Ponieważ chwilę później wszystko wróciło: pełen rozpaczny smutek, chaos, tajemnica miejsca jej pobytu, to wszystko, co prowadziło ją nocami na taras, gdzie w ukryciu płakała pod rosnącym lub malejącym księżycem, patrzącymi na nią gwiazdami.

A jednak wiedziała o dwóch rzeczach: przez chwilę była wolna, a poza tym te kolumny nie mogły być takie trudne. Dwie rzeczy, co do których miała pewność.

Po raz pierwszy Purnima odgryzła się teściowej w czasie przedmałżeńskiej wizyty Aruny. Dziewczyna była o sześć miesięcy starsza od Purnimy, a jeszcze nie wyszła za mąż. Zdaniem jej samej i jej matki problemem byli chłopcy. Żaden z nich nie był dostatecznie dobry. Jeden miał porządną pracę, nieźle płaćną, w Hajdarabadzie, ale już łysiał. Ojciec kolejnego, wysokiego i przystojnego, mieszkał z inną kobietą, chociaż jego żona wciąż jeszcze żyła – a kto wie, czy bigamia nie jest uwarunkowana genetycznie? Jeszcze inny zdawał się idealny pod każdym względem – praca, gęste włosy, dobra rodzina – ale był tego samego wzrostu co Aruna, a ona lubiła nosić niewysokie obcasy, kiedy wychodziła do kina czy do restauracji.

– I co ja mam robić – mówiła nadąsana – wszędzie chodzić w ćpalach? Jak zwykła wieśniaczka?

Chłopak, który miał dzisiaj przyjechać, mieszkał w Gunturze, pracował dla Tata Consulting i był w Ameryce w ramach jakiegoś projektu, istniała nawet szansa, że pojedzie tam znowu. Był jedynym synem, więc cały rodzinny spadek miał przejść na niego, i wyglądał jak bohater z filmu. Przynajmniej tak to ujął jeden z jego sąsiadów w rozmowie ze swatem, kiedy tamten przyszedł na zwiady.

– Jaki bohater? – zapytała Purnima. – Ten z filmu, który widzieliśmy?

Aruna skrzywiła się i pokręciła głową:

– Nie. Nie z tego, ty głupia *pakszi*! Bohater z dobrego filmu.

Nie miało znaczenia z jakiego filmu. W domu w Namburu rozgardiasz zaczął się już od czwartej rano. Kamienne podłogi umyto i przetarto mopem. Odkurzono wszystkie meble, a poduszki na sofie i krzesłach wywietrzono. Odprawiono małą pudzę – gdy tylko Aruna umyła włosy i się ubrała, złożyła ofiarę dla bogini

Lakszmi i zapaliła kadzidło. Mieli przyjechać o trzeciej po południu, ale nie mówili, czy zostaną na kolacji – co oznaczało, że Purnima musiała przygotować wystarczająco dużo sambaru i curry z pilawem i bhadzi, na wypadek gdyby zostali. Właśnie krajała bakłażany w paski, olej już się rozgrzewał na kuchni, kiedy jej teściowa weszła, wrzeszcząc, by się pospieszyła, przyszedł mleczarz i trzeba było zagotować mleko i nastawić jogurt. Purnima zdjęła patelnię z olejem i postawiła garnek na mleko, kiedy teściowa obejrzała ją od stóp do głów i rzekła:

– Kiedy przyjadą, nie pokazuj im się. Zostań na górze. Coś wymyślimy. Powiemy im, że pojechałaś na jeden dzień do Indrawalli. Cokolwiek. Tylko siedź cicho jak mysz pod miotłą.

Purnima odwróciła się od kuchni.

– Dlaczego? Dlaczego mam zostać na górze?

Teściowa westchnęła ciężko.

– Nie jesteś... hm... nie chcemy chyba obniżyć statusu Aruny, prawda? A poza tym minęło już sześć czy siedem miesięcy, a ty wciąż nie jesteś w ciąży. Nie chcę, żebyś jakoś wpłynęła na moją Arunę. Na jej szanse. Bezpłodne kobiety to zły znak i nie chcę, żebyś była na dole.

Zapadła cisza. Purnima nasłuchiwała. Wyteżęła uszy i usłyszała jedynie cichy spokojny dźwięk oleju, który zaczynał się gotować, ale ten dźwięk tylko nasilał inną ciszę, znacznie większą.

– Skąd wiesz? – zapytała. – Skąd wiesz, czy to twój syn nie jest bezpłodny?

Uderzenie było tak mocne, że Purnimę odrzuciło w tył, zatoczyła się i uderzyła w kuchenkę. Mleko się jeszcze nie zagrzało, ale olej był już gorący. Rozprysnął się na ścianie, spłynął po granitowej ladzie i rozlał się w gęstych, gorących kroplach na podłodze. Kilka z nich spadło na ramię Purnimy, poczuła ich skwierczenie rozchodzące się jak skwierczenie papadu, syczące jak węże. Teściowa patrzyła na nią z prawdziwą nienawiścią, a potem powiedziała:

– Rób tak dalej. No dalej. Będzie jeszcze gorzej. Po prostu rób tak dalej.

Gorzej? Co będzie gorzej? Kişore powiedział to samo. Czy to zbieg okoliczności? A może nie?

Tego popołudnia, kiedy przyjechała rodzina chłopaka, Purnimę wysłano na górę i powiedziano jej, by się nie pokazywała, dopóki jej nie zawołają. Nie obchodziło jej to. Na kilka minut usiadła na środku tarasu, daleko od jego krawędzi, by nikt jej nie zobaczył. Przyjechali po czwartej, w godzinie, w której sprzedawcy kwiatów przechodzili przez wioskę, nawołując i śpiewając o roślinach, które mieli do zaoferowania. Purnima słyszała piosenkę starego człowieka, który sprzedawał girlandy jaśminów, pulchnych jak poduszki, dopiero się otwierających, pachnących tak odurzająco, aż była pewna, że czuje ich zapach na tarasie oddalonym od handlarza dwie, może trzy przecznice.

Teściowa czasem kupowała długą girlandę jaśminów, odcinając najdłuższe pasma – tak długie jak jej przedramię – dla Aruny i Diwji (która nie lubiła nosić jaśminu we włosach i wyciągała kwiaty, jak tylko jej matka odwróciła głowę); krótsze wkładała w niewielki kok, a resztę dawała Purnimie. Purnima, której ojciec od śmierci matki nigdy nie dał jej pieniędzy na kwiaty, namaszczała włosy olejkiem i układała je, myła twarz, potem ponownie nakładała talk, obrysowywała oczy kadzalem i malowała świeżą *bottu* na czole. I dopiero wtedy, kiedy przygotowała się tak, by być godną kwiatów, ich słodyczy, ich piękności, wkładała je we włosy. W te noce, po tym jak Kişore ją brał – nigdy nie komentując ani słowem kwiatów w jej włosach, Purnima zastanawiała się, czy on je w ogóle zauważał – opadała z powrotem na poduszkę, a ich zapach płynął ku niej jak mgiełka, jak mżawka, jak nieznośny smutek tego pokoju na piętrze z mężem odwróconym do niej tyłem, z okiennicami zamkniętymi przed włamywaczami, przez które jednak delikatny wietrzyk wślizgiwał się do środka, szeleszcząc na krawędziach prześcieradła, a ona leżała w ciemności z otwartymi oczami, cała ciepła, zatopiona w zapachu kwiatów.

Głos starego sprzedawcy jaśminowych girland stopniowo słabł. Purnima wstała i przemierzyła taras. Weszła do pokoju i zamknęła drzwi. Papiery były wciąż na biurku w tym samym stosie, na tym samym miejscu co przez ostatnie

dwa tygodnie. Odsunęła wierzchnią kartkę z prostym dodawaniem i spojrzała na następną. Na niej było zapisanych więcej liczb, ale też miała nagłówek na górze. Nagłówek był po angielsku, którego Purnima nie znała, ale inne szczegóły były w telugu. Na przykład pierwsza kolumna zawierała listę różnych pojazdów, takich jak samochody (6), ciężarówki (3), traktory (2), kombajny (2) i tak dalej. Obok każdego pojazdu widniała jakaś kwota. Oceniając po jej wysokości i po tym, że wszystkie cyfry w danej grupie – na przykład w grupie samochodów – były mniej więcej takie same, Purnima odgadła, że każda cyfra odpowiada wartości danego pojazdu. Obok jednego z samochodów zobaczyła napis „wgnieciony”, ten był wyceniony niżej niż pozostałe. Z kolei ciężarówki miały większą wartość niż samochody. Purnima przeszła do następnej strony. Robiła to z nudów, ale w pewnym sensie sprawiało jej to też przyjemność. Nie umiała powiedzieć dlaczego, poza tym że odgadywanie, co oznaczały liczby, jakie znaczenie miały kolumny, dawało jej poczucie spełnienia, jakiejś wygranej. Nie znała tego uczucia, więc rozmyślała, dlaczego nie czuła go, kiedy pracowała przy ćarkhce albo kiedy zrobiła szczególnie smaczny sambar, albo nawet wtedy, gdy kupowała dwa banany, jabłko i garść nerkowców dla mamy. No tak, powód jest oczywisty: mama umarła, sambar został zjedzony, a ćarkha... ćarkha kręciła się, kręciła, kręciła bez końca. Ale to? Ten stos papierów? On do czegoś prowadził, czuła to. Odłożyła tę stronę i przeszła do następnej.

Teściowa i Kişore dręczyli ją coraz bardziej. Małżeństwo Aruny z chłopcem z Gunturu było już prawie ustalone, zostało jeszcze trochę targów dotyczących posagu i ilości biżuterii (mierzonej w uncjach złota), którą każda ze stron dałaby pannie młodej. Rodzina Aruny miała pieniądze na posag, chociaż musiała sprzedać niewielkie gospodarstwo niedaleko Kazy, by móc kupić złoto. Gospodarstwo nie przynosiło wystarczająco dużo dochodów i za każdym razem gdy Purnima wchodziła do pokoju albo z niego wychodziła, teściowa wykrzykiwała za nią:

– Ten twój wstrętny ojciec powiedział, że zapłaci w ciągu roku. Całe pięć tysięcy. Proszę, rok już minął. A my wciąż jesteśmy w tym samym punkcie,

żywiąc ciebie trzy razy dziennie, nawet wnuka ani widu, ani słyhu. Żli ojcowie mają złe córki, ot co. A teraz mój biedny syn, moje książątko, ugrzązł z tobą do końca życia. Nigdy nie powinniśmy zawierać małżeństwa z taką rodziną!

Purnima rzuciła okiem na zmasakrowane palce Kiśorego i pomyślała: kto ugrzązł z kim?

Kiśore dręczył ją w sposób bardziej subtelny, ale też bolesny: seks stawał się coraz brutalniejszy. Mąż chwycił ją za włosy, ciągnął ją za nie po łóżku, bił z taką siłą, że uderzała głową w ścianę. Następnego dnia na jej ciele wykwitwały siniaki, zielone, niebieskie, szare i czarne, pęczniały niczym gniazda, jakby małe ptaszki przychodziły nocą, by je uwić, przynosząc za każdym razem jedno piórko i jedną gałązkę. Po dwóch tygodniach Purnima nie mogła już zobaczyć prawdziwego koloru skóry na nogach i ramionach i wciąż się zastanawiała – przygotowując się każdego wieczoru na powrót Kiśorego z pracy, podając mu kolację z taką ostrożnością i tak powoli, jak tylko było to możliwe, ale równocześnie nie na tyle wolno, by ją zaczął popędzać, myjąc naczynia jeszcze dokładniej, a potem wspinając się schodek po schodku, wiedząc, że on jest tam w pokoju, wiedząc, co przyniesie noc, a czasami nawet zamykając oczy na najwyższym stopniu i modląc się z nadzieją, że kiedy drzwi się otworzą, w środku będzie Sawitha, będzie stać na tarasie, śmiejąc się, powie, chodźmy – wciąż się zastanawiała, zastanawiała, nie mogła przestać zastanawiać się nad tym, czy to właśnie mieli na myśli, mówiąc, że będzie gorzej.

Strony biurowych papierów Kiśorego stały się dla Purnimy swego rodzaju poezją. Mogłaby się w nie wpatrywać całymi godzinami, całymi dniami, gdyby nie obowiązki i gdyby nie ten prosty fakt, że nie wiedziała, co one naprawdę oznaczają. Rozumiała, co znaczy każda strona z osobna, ale nie w całości: pierwsza zawierała po prostu sumujące się opłaty z ostatnich trzech miesięcy dla firmy, w której Kiśore pracował. Druga strona – ta z listami samochodów i ciężarówek – była wykazem aktywów firmy. Trzecia z nich – co Purnima odgadła bez większego trudu na podstawie kolumn z nazwami innych firm i sum przy każdej z nich, niektóre z nich zmniejszały się, inne zwiększały – to były

długi firmy. Ale co te kartki oznaczały wszystkie razem? Dlaczego Kiśore wciąż je przekłada, wbijając liczby w małą maszynkę, narzekając na tę albo tamtą zaległą płatność? Kredyty. Długi. To nie składało się jej w sensowną całość. Przez cały tydzień Purnima wypełniała obowiązki w jakimś oszołomieniu aż do pewnego popołudnia, kiedy wieszala pranie i wiatr zwał na ziemię jedną z bluzek szalwaru Aruny. Aruna podbiegła do niej z tyłu, złapała Purnimę za ramię i obróciła jej twarz do swojej.

– Czy ty wiesz, do kogo to należy? Czy ty wiesz, ile to jest warte?

Purnima spojrzała na nią i nie mogła powstrzymać uśmiechu. To było takie proste. Oczywiście. To musi być to. Te wszystkie papiery, ułożone w stosie na biurku, się sumowały. W to, ile firma jest warta.

I w miarę jak papiery się zmieniały – jedne stosy Kiśore zabierał do pracy, drugie przynosił, całkowicie nieświadomy tego, że Purnima je studiuje, że się z nich uczy – zaczęła widzieć świat inaczej, zaczęła go widzieć z pewną jasnością: tutaj jest to, co jesteś winien, a tam jest to, co możesz sprzedać, by spłacić to, co jesteś winien, a cokolwiek zostaje (jeśli w ogóle zostaje), jest wszystkim, o czym możesz powiedzieć, że jest naprawdę twoje, wszystkim, co naprawdę kochasz.

6

W połowie drugiego roku małżeństwa Purnimy dręczenie zamieniło się w otwartą wrogość. Nie mogła sobie przypomnieć ani jednego dnia, w którym by jej nie uderzono, nie nakrzyczano na nią albo nie kazano przeproszać (za najdrobniejsze rzeczy, na przykład za to, że wylała kilka kropel herbaty na kamienną podłogę). Pięć tysięcy rupii wciąż było niespłacone, teściowa i Kişore przypominali jej o nich za każdym razem, gdy wkładała odrobinę jedzenia do ust albo wypijała szklanę wody.

– Myślisz, że to jest za darmo? – syczała teściowa. – Myślisz, że woda jest za darmo? Ta pompa kosztowała nas trzy tysiące rupii. Żebyś ty nie musiała chodzić do studni. A jak myślisz, skąd mieliśmy te trzy tysiące rupii? Skąd? Nie od twojego ojca, oczywiście, tego złodzieja. Oboje jesteście złodziejami.

Przecież ta pompa została zainstalowana rok przed moim przyjazdem do Namburu, chciała odpowiedzieć Purnima, ale nie odpowiedziała. Nie dlatego, że się bała, strach zaczął tracić znaczenie w jej życiu – był tym, co odczuwała tak długo, najpierw przed ojcem, a teraz przed teściową, Aruną i Kişorem, że zmienił się w monotonię, w codzienność, równie nudną, stwierdziła z zaskoczeniem, jak mycie naczyń czy prasowanie. Dlaczego miałyby się bać? Opuściła dom ojca i nic się nie zmieniło. Może nigdy nic się nie zmienia. Zrozumiała teraz, że Sawitha miała rację, gdy uciekła. Miała rację. Strach nie był niczym dobrym, ale jego monotonia też nie.

Ale potem, zupełnie nagle, wszystko się zmieniło. Po prostu ustało.

Nie było już więcej krzyków, więcej żądań, więcej przemocy. Purnima wypełniała swoje obowiązki, a oni ją po prostu ignorowali. Od czasu do czasu przyłapywała obserwujące ją spojrzenie któregoś z nich, jakby czekali. Ale na co?

Nie wiedziała, choć wiedziała jedną rzecz: powinna prędko zajść w ciążę. Słyszała, że bezpłodne kobiety są zastępowane drugimi żonami. Nie miałyby nic przeciwko temu – nawet by to wolała – ale zarazem domyślała się, że mogą wysłać ją z powrotem do Indrawalli, gdyby pojawiła się druga żona. Czasami śniła, że ją odesłali, a kiedy szła do tkalni, Sawitha siedziała przy krosnach, czekając na nią. Ale to przecież nieprawda, w tkalni był tylko jej ojciec, a ona nie chciała go widzieć. Nawet w dni świąteczne, kiedy córki zazwyczaj wracały do domu, Purnima zostawała w Namburu. Po co miałyby tam jechać?

– Nie – odpowiadała stanowczo. – Nie pojedę.

Na co jej teściowa przeklinała ją pod nosem, mrużąc:

– Nie, oczywiście, że nie pojedziesz. Dzięki temu oszczędzilibyśmy przez tydzień na jedzeniu, więc dlaczego miałybyś pojechać?

Małżeństwo Aruny – z chłopakiem z Gunturu – zostało ostatecznie ustalone na koniec sierpnia. Cała rodzina była szczęśliwa. Nadszedł lipiec i przygotowania rozpoczęły się pełną parą. Trzeba było zrobić zakupy, wysłać zaproszenia, zarezerwować salę weselną. Aruna nie posiadała się z radości. Chwytała Diwję za rękę i kręciła się z nią w kółko, wołając wesoło:

– On jest taki przystojny, Diwi, taki bogaty! I będziemy musieli zamieszkać w Ameryce! Jego ojciec powiedział to nannie, że on będzie musiał tam wrócić, by pracować przy kolejnym projekcie. Och, Diwi! Wyobrażasz to sobie? Ja w Ameryce! Potrzebuję ubrań, amma, potrzebuję ubrań. Nie tych brzydkich szalwarów, ale nowoczesnych ubrań, amma, słyszysz?

Tak było codziennie i Purnima cieszyła się, że wkrótce Aruna opuści dom.

W połowie lipca przygotowania nabrały jeszcze większego tempa, ale pewnego bezwietrznego dnia, późnym popołudniem, w porze herbaty, swat, który nazywał się Baladzi, zastukał do ich drzwi. Z wielkim entuzjazmem poproszono go do środka, jednak gdy teściowa Purnimy rzuciła na niego okiem, odstawiła filiżankę.

– O co chodzi? – zapytała. – Coś jest nie tak?

Swat spojrział na prawie puste filiżanki, a potem na Purnimę:

– Nie stój tak tutaj. Herbata. Przynieś nam herbaty.

Kiedy Purnima wróciła, Aruna płakała.

– Zrywa? Ale dlaczego? – łkała teściowa.

Baladzi nie umiał odpowiedzieć. Powiedzieli mu tylko, że zmienili zdanie.

– Zmienili zdanie? Ale dlaczego? Dlaczego? Daliśmy im wszystko, o co prosili.

Upił łyk herbaty i spojrział smutno na Arunę.

– To ładna dziewczyna. Znajdziemy innego partnera.

– Innego partnera? Idioto! A co się stało z tym? Jak to wygląda?! Już prawie byli przy ołtarzu, a potem oni odwołują. Dlaczego?

Nie mogła nic więcej od niego wyciągnąć poza tym, że najlepiej to wszystko zostawić za sobą. Idź przed siebie, powiedział teściowej Purnimy. Jediną drogą jest droga przed siebie.

Ale zaczęły się rozchodzić plotki.

Przede wszystkim ktoś podobno powiedział rodzinie z Gunturu, że zniekształcona ręka Kiśorego była uwarunkowana genetycznie i że któreś dziecko Aruny mogłoby być podobnie zdeformowane.

– To niedorzeczne – powiedział wściekły Kiśore. – To są debile. *Dongalu*.

Purnima podawała im obiad. Nałożyła mu trochę ryżu na talerz, a potem zapytała:

– A tak jest?

– Co?

– To jest genetycznie uwarunkowane?

Kiśore zbladł, wstał od stołu i opuścił pokój bez słowa.

– Wynoś się! – wrzasnęła teściowa. – Wynoś się z tego domu! To przez ciebie! Przez ciebie odwołali wesele! Jesteś przekleństwem tego domu! To wszystko przez ciebie!

Ja jestem przekleństwem? – myślała mętnie Purnima, wspinając się po schodach na piętro. Nie poszła do sypialni, gdzie jak wiedziała, był Kişore. Zamiast tego stanęła na tarasie i patrzyła na kołyszące się dalekie palmy i na pokryte strzechą dachy stłoczone pod nimi. Potem spojrzała na zachód i obserwowała, jak ostatnie promienie słońca opuszczają niebo, jakby już go nie potrzebowały, i Purnima chciała za nim pójść, pójść za słońcem; myślała, w co zsumowało się moje życie? Co zostało odjęte, a co pozostało? Ile jest warte? – a potem usłyszała kroki. Pomyślała, że to pewnie Kişore, i przygotowała się na to, co nastąpi, ale to była Diwja niosąca talerz ryżu:

– Nic nie jadłaś – rzekła.

Purnima nieomal krzyknęła z wdzięczności.

Diwja odwróciła się i zeszła na dół.

Purnima siedziała beczynn timer na tarasie do później nocy, a potem bezszelestnie wślizgnęła się do sypialni. Kişore był obrócony do ściany, pomyślała, że on śpi, ale nie, jego oddech był przerywany, nierówny. Nie spał i był wściekły. Położyła się na przeciwległym krańcu łóżka i czekała, spodziewając się najgorszego, ale on chyba w końcu zasnął. Albo ona.

Następnego poranka też było dziwnie spokojnie. Diwja poszła do szkoły, Aruna teraz prawie zawsze zostawała w sypialni, którą dzieliła z młodszą siostrą. Kişore też wymówił się od pracy. Powiedział, że czuje się chory, ale zamiast się położyć, zamknął się z matką w pokoju na górze. Po południu teściowa Purnimy zeszła na dół. Spojrzała słodko na Purnimę i rzekła:

– Moja droga, a co byś powiedziała na trochę bhadźi do herbaty? Mam na nie taką ochotę. Nie masz nic przeciwko temu?

Purnima wpatrywała się w nią. Nigdy wcześniej nie słyszała u niej takiego tonu.

W domu były tylko jeden ziemniak i kilka cebul, ale pokroiła je i nastawiła olej, by się nagrzał. Teściowa kręciła się po kuchni i nawet zaoferowała pomoc przy krojeniu, ale Purnima powiedziała, że nie trzeba, da sobie radę sama. Olej

zaczął bulgotać, a potem lekko się dymić. Purnima zanurzyła cebulę w cieście. I właśnie wtedy Kişore wszedł do kuchni. Purnima była zaskoczona – nigdy, ani razu, Kişore nie wszedł do kuchni.

On też uśmiechał się słodko.

Nie, pomyślała w tym momencie. Nie.

Nic tutaj nie miało sensu, a mimo to miało.

Z powrotem wrzuciła cebulę do ciasta i odsunęła się – od nich i od kuchenki. W tym momencie oboje skoczyli: jedno z nich ku niej, drugie ku kuchence.

Purnimie zmaćcił się wzrok. Nie wiedziała, które z nich ją trzyma, ale odepchnęła ich tak mocno, że upadła do tyłu. Leżała na podłodze, a oni teraz już byli przy kuchence.

Dlaczego oni tam stoją? Miała wystarczająco dużo czasu, by pomyśleć, dlaczego stoją obok kuchenki, nim jakaś ręka czegoś z niej nie zsunęła, a Kişore z teściową odskoczyli i pobiegli na drugą stronę kuchni.

Odwróciła za nimi głowę i dlatego, kiedy olej na niej wylądował, rozprysnął się po lewej stronie jej twarzy, dolnej części szyi, a potem rozlał na ramieniu i plecach. Purnima poczuła ogień, a potem znowu ogień i wraz z nim wszystko zniknęło.

Kiśore i teściowa odmówili płacenia za leczenie, więc Purnimę zwolniono ze szpitala następnego dnia. Przyjechali ją zabrać teść z Diwją, a kiedy usiedli w motorykszy, ona, z twarzą, szyją i ramieniem w bandażach, czuła się tak mała, tak bezbronna – jak płód – że dygotała w środku upalnego dnia.

– Możesz u nas zostać dzień czy dwa, ale potem musisz wyjechać – powiedział teść. – Nie jest ci dobrze w Namburu. Nie jest dobrze. Dziś wieczorem kupię ci bilet do Indrawalli.

Purnima niezauważalnie skinęła głową i ten maleńki ruch wywołał wstrząsający ból w lewej stronie jej twarzy.

Kiedy dotarli do domu, teściowa i Kiśore siedzieli w salonie i patrzyli na nią z pogardą. Diwja zaprowadziła ją po schodach, a gdy dotarły do tarasu, Purnima poprosiła ją, żeby weszła pierwsza i zasłoniła lustro na szafie. Sama weszła dopiero potem. Położyła się łóżku. Diwja wróciła wieczorem z talerzem jedzenia. Purnima spojrzała na nie i zaczęła płakać. Po chwili Diwja znowu się pojawiła ze szklanką mleka i zmusiła Purnimę, by je wypiała.

Następnego dnia było to samo. Tylko Diwja wpadała do niej. Ale tym razem przyniosła ze sobą swoje książki, otworzyła jedną z nich i zaczęła się uczyć. Purnima wydała jakiś dźwięk, jakby skowyt. Diwja spojrzała na nią znad książki.

– To mój podręcznik do telugu – powiedziała.

Podręcznik jest z czasów brytyjskich, wyjaśniła Purnimie, mała wiejska szkoła w Namburu nigdy nie miała pieniędzy, by kupić nowe. Purnima spróbowała otworzyć usta, odrobinę, usiłując coś powiedzieć, ale poczuła przeszywający ból.

– Chcesz, żebym ci poczytała na głos?

Purnima mrugnęła oczami.

Historia, którą Diwja zaczęła czytać, była opowiadana z perspektywy marynarza płynącego statkiem we wczesnych latach XX wieku. Nazywał się Kirby. Diwja przerwała i rzekła:

– Nie jest powiedziane, czy to jego nazwisko, czy imię.

A potem czytała dalej.

W tej historii Kirby podróżował na statku z Pondicherry do Afryki. W czasie podróży spotkał innego mężczyznę, który był pułkownikiem portugalskiej armii. Zdaniem Kirby’ego pułkownik podróżował do swojego rodzinnego majątku w Mozambiku. Uprawiali sizal, powiedział pułkownik do Kirby’ego, a potem bez końca opowiadał, jak sizal wygląda (podobny do agawy meksykańskiej, zapisał Kirby, choć ani Purnima, ani Diwja, nawet z pomocą wyjaśnienia w przypisie, dalej nie mogły go sobie wyobrazić), jak się go uprawia, a potem zbiera. Powiedział, że liście sizalu mogą zadać ranę głębszą niż miecz. To jak sobie z nim radzicie? – zapytał Kirby.

Och, my tego nie robimy – odparł pułkownik. – To robią czarni.

Ostatniej nocy, którą spędzał na statku – następnego ranka miał wyjść na ląd w Lourenço Marques – stary pułkownik opowiedział Kirby’emu pewną historię.

To się zdarzyło którejś zimy, zaczął, kiedy stacjonowałem w Wellingtonie, niedaleko Madrasu. Nasza kwatera, zupełnie nagle, została zaatakowana przez szczury. Setki, setki szczurów. Wchodziły do jedzenia, do prycz, wchodziły w działa. I to nie były zwykłe szczury. – Tutaj pułkownik złożył dłonie, by pokazać, że były wielkości talerza obiadowego. – Były ogromne. Nikt nie wiedział, jak się ich pozbyć. Próbowaliśmy trucizny, pułapek, wezwaliśmy nawet z gór plemiennego szamana, pewnego rodzaju eksperta od gryzoni, skorpionów i innych tego typu zwierzątek. I widzi pan, nic nie pomogło. Szczury jadły i srały wszędzie (Tutaj był kolejny przypis wyjaśniający, że pułkownik miał na myśli defekację).

Po jakimś miesiącu, ciągnął dalej pułkownik, zdarzyło się, że kiedy jeden z młodych żołnierzy splunął na podłogę, podbiegł do niego jakiś szczur, powąchał jego plwocinę, a potem spojrzał na niego tak łagodnym i troskliwym wzrokiem,

jakim nikt nigdy na niego nie patrzył. Ten młody człowiek opowiedział nam o tym przy kolacji, nieomal z tego żartując. Ale powiem panu, że był też nieco wstrząśnięty. A lekarz wojskowy, który to usłyszał, tej samej nocy zdiagnozował u niego wczesne stadium gruźlicy.

Tutaj Kirby zauważył, że pułkownik upił łyk szampana (i znowu, Purnima i Diwja wzruszyły ramionami, nie wiedząc, co to jest). Widzi pan, powiedział, odstawiając kieliszek z szampanem, szczury mogą rozpoznać gruźlicę, zanim jeszcze zrobi to nowoczesna medycyna. Ten cholerny szczur właściwie ocalił nasz obóz od epidemii. Nadzwyczajne, prawda?

Najwyraźniej Kirby zapytał wtedy, a co ze szczurami? Co się z nimi stało?

I to było najdziwniejsze, odrzekł pułkownik. Pewnego dnia po prostu odeszły. Zebrały się i znikły. Jakby jedynym ich celem było nas ostrzec. Uratować to, co chciało je zniszczyć.

W tym momencie Kirby, jak zapisał we wspomnieniach, głośno się roześmiał, ale pułkownik tylko zamknął oczy. Na końcu opowiadania w podręczniku do telugu Kirby zanotował, że następnego dnia, wczesnym rankiem, kiedy statek zacumował w Lourenço Marques i kiedy poszli obudzić pułkownika, okazało się, że ten nie żyje. Kirby zapisał, że leżący na wąskiej koi pułkownik był blady, jego skóra nieomal przezroczysta i Kirby nieomal widział, jak krew wypływa mu z serca.

To był koniec opowiadania i kiedy Diwja przestała czytać, Purnima spojrzała na nią. Młoda dziewczyna, w tym samym wieku, w którym były ona i Sawitha, kiedy się spotkały po raz pierwszy. A potem spojrzała w dół na szyję Diwji – brązową jak kora drzewa, jedna z żyłek tętniła, pulsowała, latarnia morska pod skórą – a potem Purnima pomyślała o biednym pułkowniku, szczurach i Mozambiku, gdziekolwiek on leżał, i nie musiała się zastanawiać, jak to wygląda, kiedy komuś krew wypływa z serca.

Następnego dnia była niedziela. Wszyscy byli w domu. Purnima słyszała, jak chodzą na dole, rozmawiają i śmieją się, słyszała, jak sprzedawcy, przede

wszystkim warzyw, stają u kolejnych drzwi, zachwalając głośno swoje towary – bakłazany, fasolkę i paprykę zerwane tego samego ranka. Skórę wciąż jeszcze mieli wilgotną od rosy. Krysna nie przepływała przez Namburu, ale Purnimie zdawało się, że czuje w wietrze jej zapach, że patrzy na sieci unoszące się w jej wodach, kręcące się jak langi. Kiedy zamknęła oczy, widziała sari suszące się na przeciwległym brzegu. We wszystkich kolorach, śpiewające w bryzie rzeki, pola dzikich kwiatów.

Teraz często miała zamknięte oczy. Całe dni leżała w pokoju, schodząc na dół tylko do toalety. Od chwili wypadku nie myślała o jej piźmowaty, zwierzęcy zapach mieszały się z wonią jej potu, gnijących bandaży, miedzi (czy miała teraz miesiączkę? Może. Nie zadała sobie trudu, by sprawdzić) i z zapachem spalonego ciała, który atakował ją cały czas, gdy próbowała zasnąć. Nie zależała jej na śnie. Jak będzie trzeba, nie zaśnie przez całą noc. Poprzedniej nocy teść przyszedł na górę i wręczył jej bilet do Indrawalli. Drugiej klasy zamiast trzeciej, więc będzie podróżować we względnie komfortnie. Nie patrzył jej w oczy, ale widziała, że jest mu przykro. Znała go tak słabo, ale teraz nagle zrozumiała, że całe życie upływało mu w żalu. Przez chwilę stał przy drzwiach, zanim wyszedł, a ona leżała na łóżku i pomyślała, że wyglądają jak dwoje rannych zwierząt kręcących się po ciemnej klatce.

Kiedy wyszedł, Purnima przyjrzała się biletowi, a potem włożyła go pod poduszkę. Pociąg pasażerski do Indrawalli kursował dwa razy dziennie, ten wyjeżdżał z Namburu o wpół do trzeciej po południu i był w Indrawalli za pięć trzecia. Dwadzieścia pięć minut. I to wszystko, co kiedykolwiek się stało.

Pomyślała, że może Kiśore przyjdzie na górę po prostu po to, by się upewnić, że ona wyjeżdża, ale wieczorem przyszła tylko Diwja, przynosząc jej kolację złożoną z ryżu i pappu, ryż ugotowany był na miękko, żeby nie musiała dużo żuć. Kiedy wyszła, Purnima znowu zamknęła oczy. A kiedy je ponownie otworzyła, było już ciemno. Księżyc szedł ku pełni, więc – przyglądając się zacienionemu pokojowi – zobaczyła kształty mebli, połysk kamiennej podłogi, wzory kwiatów na okrywającym ją prześcieradle. Spojrzała na biurko i nawet w tym słabym

księżycowym świetle widziała stos papierów, dokumentów księgowych, których rozszyfrowywanie sprawiało jej tyle przyjemności, dawało jej poczucie spełnienia i sensu. To było niczym, uświadomiła sobie, a serce jej pękało. Wszystko było niczym. Było niczym wobec czegoś tak prostego jak gorący olej.

Podniosła się z trudem w srebrnym świetle księżycy i wyszła na taras. Przyszło jej do głowy, że będzie za nim tęsknić, że to będzie jedyna rzecz z całych tych dwóch lat spędzonych w Namburu, oprócz Diwji, za którą będzie tęsknić. Podeszła do krawędzi tarasu, spojrzała na pierwsze gwiazdy i pomyślała o tych wszystkich latach życia, które jej jeszcze zostały. A może nie ma przed nią już nawet jednego roku. Nie da się tego przewidzieć. Ale jeśli nie umrę tej nocy, jeśli nie umrę w ciągu tego czasu, jaki istota ludzka może bez trudu przewidzieć, może rzetelnie sobie wyobrazić (dzień? tydzień?), to co ja zrobię z tymi wszystkimi latami? Z tymi wszystkimi niezliczonymi latami? Patrzenie przed siebie, zdała sobie sprawę, jest także patrzeniem wstecz. I zobaczyła swoją matkę, taką jak kiedyś była: młodą i żywą. Siedzącą przy krosnach w świetle lampki, pochylającą się nad parującym garnkiem albo opiekującą się którymś z braci Purnimy czy siostrą, wycierającą im twarze, myjącą ich, wyjmującą im z oczu kosmyki włosów. Wszystko, co pamiętała o matce, było pracą: pracą dla kogoś innego. Nawet najczulsze wspomnienia Purnimy – gdy ją karmiła z ręki w czasie podróży autobusem do jej dziadków, albo ciężar tej ręki na jej włosach, gdy ją czesała – przywoływały matkę robiącą coś dla dziecka, nigdy dla siebie. Czy to tak ona sama ma spędzić swoje życie? Czy to tak należy je spędzać?

Teraz Purnima spojrzała w przyszłość. Zobaczyła siebie wracającą do Indrawalli. Następnego dnia, za pięć trzecia, wysiądzie z pociągu pasażerskiego, pójdzie do domu ojca i wejdzie do środka. Widziała go wyraźnie, jak siedzi na werandzie, na konopnej pryczy, paląc tytoń, i patrzy na nią. Po prostu na nią patrzy. Może jej rodzeństwo też będzie, a może ich nie będzie. Ale tym, co najwyraźniej widziała w przyszłości – jeszcze wyraźniej niż obraz ojca – był obraz pola bitwy. I żadne pole bitwy, wszystkie historie ludzkości nie mogły równać się z tym, które Purnima widziała teraz: było przesiąknięte krwią i pokryte

– czym? Podeszła bliżej, uklękła, by zobaczyć, i oczy jej się rozszerzyły: było pokryte częściami jej ciała, jej organami, jej stopami, dłońmi, jej zerwanymi włosami i nawet jej skórą poszarpaną, porozrywaną jak przez psy.

Purnima zamruwała, ale w odpowiedzi nie popłynęły łzy. A zatem co? Nie wiedziała, ale mogła to dostrzec – unosiło się w powietrzu wokół niej, dławiące, wirujące jak popiół.

Weszła z powrotem do pokoju, wyjęła bilet spod poduszki i przedarła go na pół, potem na ćwiartki, na ósemki i rozrzuciła maleńkie kawałki na podłogę jak confetti. Patrzyła na nie z jakimś zachwytem, a potem odwróciła się do szafy, otworzyła ją i wyjęła z niej zamknięte pudełko. Nigdzie obok nie było klucza, pewnie jej teściowa miała go na tym breloczku wiszącym na pasku przy jej sari. Purnima zupełnie spokojnie wzięła statuetkę – tę, którą Kişore otrzymał za pierwsze miejsce w nauce – i uderzyła nią w zamek. Pękł, podobnie jak statuetka, w miejscu, gdzie figurka (ptaka wlatującego z gałęzi) była przyspawana do wygrawerowanej podstawy. Wrzuciła obie części statuetki z powrotem do szafy. Papiery w pudełku nie interesowały Purnimy, ale biżuterię – tylko cienki złoty łańcuszek i dwie bransoletki, resztę Kişore trzymał w sejfie w banku – przywiązała do węzła na końcu *pallu*, które wsunęła za pas własnego sari; pieniądze (niewiele więcej niż pięćset rupii) włożyła sobie za bluzkę, obok lewej piersi. Wrzuciła pudełko do szafy, zamknęła drzwi i stanęła przed nią.

Lustro było wciąż zakryte kawałkiem tkaniny i Purnima stała, patrząc na nią, jakby miało dla niej jakąś odpowiedź. Jakiś znak. Ale ono milczało, to była tylko tkanina. Zerwała ją z taką siłą, że w pokoju podniósł się wiatr, włosy zatańczyły jej wokół twarzy, jakby wpatrywała się w morze. Ale Purnima nic z tego nie czuła, ani wiatru, ani morza. Stała doskonale spokojna przed lustrem – widziała znacznie więcej siebie niż kiedykolwiek w życiu. Lustro w Indrawalli było ręcznym lusterkiem, a w Namburu, chociaż żyła tutaj prawie dwa lata, nigdy nie stanęła przed tym lustrem. Ani żadnym innym. Ale teraz stała. Zobaczyła, że już nie jest dziewczynką. I nawet jeśli kiedyś może była ładna, teraz już z pewnością taka nie była. Podeszła bliżej, a potem podniosła ręce do twarzy i zdjęła bandaż, jeden za

drugim. Lewa strona twarzy i szyja były dokładnie takie, jak sobie wyobrażała, albo jeszcze gorsze: płonące czerwienią, pokryte bąblami, szare i czarne na krawędziach rozległego poparzenia, lewy policzek był zapadnięty, różowy, srebrzysty i wilgotny, jakby odwrócił się wnętrzem na zewnątrz. Ale lewe ramię i bark nie wyglądały tak źle, jak myślała. Krople oleju tylko je opryskały i ranki zaczynały się już chyba goić. Wiedziała jednak, że musi bardzo pilnować, by nie doszło do zakażenia, co oznaczało konieczność zdobycia czystych bandaży i jodyny. Bez bandaży wyglądała jeszcze bardziej groteskowo niż z nimi. Przypomniała sobie, co mówił doktor, kiedy tonęła we mgle morfiny:

– Masz szczęście, że to nie dostało się poniżej szyi. – Zwróciła na niego senne spojrzenie. – Twój mąż cię nie zostawi. Dopóki piersi masz w porządku, żaden mężczyzna cię nie zostawi.

Gdyby nie była oszołomiona opiatami, gdyby nie zadowalało jej po prostu leżenie z zamkniętymi oczami, odpowiedziałaby mu: więc żałuję, że to nie dosięgło też piersi.

Położyła się i czekała. Czekała na najciemniejszą część nocy, a potem przebrała się w czyste sari, wypila szklankę wody, którą Diwja dla niej zostawiła, i przemknęła się po schodach w dół, opuszczając dom, opuszczając Namburu, a to wszystko czyniła szokująco podstępnie, precyzyjnie i z zimną krwią, ponieważ oczywiście doskonale wiedziała, co zamierza zrobić, bez względu na to, ile czasu jej to zajmie i jak trudna będzie ta podróż. Wiedziała doskonale, dokąd to wszystko od zawsze prowadziło.

Zamierzała znaleźć Sawithę.

Purnima dokonała zgrubnych obliczeń i doszła do wniosku, że Sawitha uciekła przed świtem, koło czwartej. Uznała tak, ponieważ, jak pamiętała, tej ostatniej nocy zasnęła w jej objęciach, a kiedy się obudziła wraz ze słońcem, Sawithy już nie było. Kiedy wzeszło? Może w pół do siódmej albo o siódmej? Jeśli tak, to Sawitha musiała uciec znacznie wcześniej, aby jej nie znaleźli, więc pewnie wyruszyła koło czwartej lub piątej nad ranem. Raczej bliżej czwartej, myślała Purnima. A dlaczego nie wcześniej? Na przykład o drugiej czy trzeciej? To było możliwe, zastanawiała się Purnima, ale dokąd by wtedy poszła? O tej porze nie kursują ani autobusy, ani pociągi, a łapanie okazji na autostradzie było zbyt ryzykowne. A poza tym, jeśli to zrobiła, jeśli wsiadła do jakiejś ciężarówki na Tenali Road, mogłaby teraz być gdziekolwiek. Mogłaby być w Asamie czy Kerali, Radżastanie czy Kaszmirze. Albo gdziekolwiek indziej. W dowolnym miejscu. A tego Purnima po prostu nie zamierzała brać pod uwagę.

Nie zamierzała również brać pod uwagę, że prawie dwa lata minęły od czasu, kiedy Sawitha zniknęła, i że te dwa lata również mogły ponieść ją gdziekolwiek. Ale i to Purnima postanowiła zignorować. Ostatecznie, powiedziała sobie, czas jest prosty. Czas nie jest żadną tajemnicą. Jest nagi i nie mruga oczami. Jak bawół orzący pole – posuwa się wolno do przodu, bez wahania i bez żadnej myśli. Czas tworzył jej wszystkie dni w Namburu i wszystkie wcześniejsze. Ale geografia? Geografia była dla Purnimy tajemnicą. Jej góry, jej rzeki, jej rozległe, nieskończone równiny, jej morza, których nigdy nie widziała. Geografia była tym, co nieznanne.

A zatem postanowione: jeśli wyruszy około czwartej, ma do wyboru tylko dwa autobusy. Bo tylko dwa autobusy jeżdżą tak wcześnie rano. Jeden na południe, do

Tirupati, a drugi na północ, do Widżajawady. I tutaj tkwiła kolejna geograficzna tajemnica: którą drogę wybrała?

Purnima rozmyślała nad tą kwestią i nagle coś jej się przypomniało. Coś tak delikatnego, coś tak podobnego do mgiełki, że trudno było to nawet nazwać myślą, choćby okruczem myśli, ale było, z całą pewnością gdzieś było, a ona odkurzała tę niby pajęczynę, utkaną w najgłębszych zakamarkach jej umysłu. Dotarła już na obrzeża Namburu. Zamierzała pójść na dworzec autobusowy przy autostradzie, a nie na przystanek w Namburu, żeby nikt nie mógł jej zobaczyć. Gdy zbliżała się do dworca, ujrzała reklamę olejku z amlı. Na billboardzie widniał zielony owoc, wyciekał z niego migocący olejek rozświetlony słońcem, prosto do jasnozielonej butelki. Obok butelki było zdjęcie kobiety z gęstymi, lśniącościami włosami zrobione w chwili, gdy odwracała głowę, a jej rozwiane pukle kierowały się w stronę patrzącego. Prawdopodobnie to właśnie olejek z amlı sprawił, że były tak błyszczące i gęste. Purnima wpatrywała się w reklamę – przyglądała się doskonałemu owocowi, kroplom olejku, kobiecie – a potem znowu spojrzała na owoc amlı. Doskonały owoc. Rozsunęła pajęczą sieć i już wiedziała. Wiedziała, dokąd Sawitha poszła: do Madżuli. Musiała tam pójść.

Purnima uśmiechnęła się, cała jej twarz pękała z bólu, ale i tak się uśmiechnęła. A gdzie jest Madżuli? Przypomniała sobie, jak Sawitha mówiła, że to wyspa na Brahmaputrze, a Purnima знаła się na geografii na tyle, by wiedzieć, że Brahmaputra znajduje się na północy. Dwadzieścia minut później zatrzymała autobus jadący na północ, do Widżajawady i nawet nie zauważyła, że kierowca, konduktor i jakaś stara kobieta, obok której usiadła, obrzucili ją dziwnym spojrzeniem, pełnym obrzydzenia, kiedy patrzyli na jej twarz, na jej poparzenia, teraz odkryte, surowe i różowe jak wschód słońca.

Kiedy dojechała do Widżajawady, najpierw poszła do apteki kupić bandaże i jodynę. Dowiedziała się, jak opatrywać oparzenia, od pracującego tam sprzedawcy – starszego mężczyzny w okularach, który w ogóle nie spytał jej, skąd one się wzięły, jakby codziennie widział kobiety z takimi właśnie ranami, a Purnima pomyślała, że pewnie tak właśnie jest. Pomyślała też, że może go

interesować tylko to, czy to był olej czy kwas solny. Ale on nawet o to nie zapytał, chociaż przypuszczała, że pewnie po prostu to odgadł po wyglądzie poparzeń. Tak czy owak, spodobał jej się, spodobało jej się, z jaką delikatnością pokazywał jej, jak owijać bandaż wokół szyi i policzka i jak je wiązać, żeby przylegały, ale nie za ciasno.

– Potrzebuje powietrza – powiedział, mając na myśli poparzenie, a potem dodał: – A pani czego jeszcze potrzebuje?

Purnima odpowiedziała, że wskazówek, jak dotrzeć na dworzec kolejowy, a on skinął głową. Tego również musiał się spodziewać.

To kawałek drogi stąd, powiedział, więc lepiej pojechać autobusem. Tak czy owak, Purnima postanowiła pójść piechotą i po drodze kupiła paczkę *idli*, bo tylko je była w stanie żuć. Potem wypiła filiżankę herbaty, stojąc obok herbaciarni, a wszyscy mężczyźni wokół przyglądali się jej otwarcie lub dyskretnie, ale zawsze z odrazą, bo wiedzieli, co jest pod bandażami, choć może jeden czy dwóch – z zawstyżeniem.

Kiedy Purnima dotarła do dworca po jakiejś godzinie marszu, niebo właśnie zaczynało się rozjaśniać. Białe marmurowe podłogi, zasłane śpiącymi ciałami, już zaczynały połyskiwać między rzędami ramion i nóg. Szła, ostrożnie mijając śpiących, aż weszła do poczekalni, gdzie zaczęła czytać rozkład jazdy. Oczywiście, Madźuli tu nie będzie, bo to jest wyspa, ale poszuka pociągów jadących na północ. Nie było żadnego. Przynajmniej żadnego, który wyruszałby z Widźajawady.

Wpatrywała się i wpatrywała w rozkład, myśląc, że może się pomyliła, ale żaden z nich nie jechał dalej niż do Eluru. Odwróciła się i poszła do poczekalni dla kobiet. Nie była jeszcze otwarta i nie miała być przez najbliższe dwie godziny. Purnima najpierw chciała poczekać w głównej hali, ale potem przyszło jej do głowy, że może uzyskać więcej informacji na peronie.

Zapłaciła pięć rupii za peronówkę, a gdy weszła na peron pierwszy, okazało się, że panuje tam wielki rwetes. Właśnie przyjechał nocny pociąg z Ćennaju. Nad

stoiskami z kawą i herbatą unosiła się para, sprzedawcy *puri* krzyczeli do wnętrza wagonów przez okna, biegając wzdłuż pociągu w jedną i drugą stronę, paczki z wadą i idli leżały w wysokich stosach, otwarte były nawet sklepiki z gazetami, papierosami i ciastkami, podobnie jak stoisko z tłoczarką soku z trzciny cukrowej; wokół niego już zbierali się kupujący. Tłumy kłębiły się też obok małej fontanny z wodą pitną, każdy się pchał, próbując dostać się do jednego z jej sześciu kraników.

Purnima nigdy nie widziała tylu ludzi. Zatrzymała się na chwilę zdezorientowana, a potem zdała sobie sprawę, że musi poszukać kogoś, kogo mogłaby zapytać o pociągi jadące na północ. Setki tragarzy uwijały się wokół niej, byli chyba wszędzie, w swoich ceglanych koszulach, ale żaden z nich nie zwracał na nią uwagi, a nawet raz czy drugi zepchnęli ją na bok, gdy zastawiała im drogę. Podeszła do ściany, odsuwając się od pociągu, i czekała. W końcu, po jakichś dwudziestu minutach, pociąg ruszył i wszystko, zupełnie nagle, ucichło. Teraz tragarze, ci, których nie wynajęto, stali beczynnie, pijąc herbatę czy kawę i czekając na następny pociąg. Purnima naciągnęła *pallu* na głowę i podeszła do trzech stojących w pobliżu szerokich dźwigarów. Nie rozmawiali ze sobą, ale z pewnością byli razem.

– Wiecie cokolwiek o pociągach na północ? – zapytała Purnima.

Najmniejszy z nich, niewiele starszy od nastolatka, zlustrował ją od stóp do głów, by zatrzymać się dokładnie na jej twarzy. Zapytał:

– Czy ja wyglądam na punkt informacyjny?

– Jest zamknięty.

– Więc poczekaj – rzekł drugi z nich.

– Ale nie ma żadnego pociągu, który jechałby na północ. Jadą najdalej do Eluru. Wiecie coś o tym? – spytała, zwracając się do trzeciego mężczyzny, starszego, z siwiejącymi włosami i gęstą czupryną szpakowatych włosów.

On też przyglądał się Purnimie, głównie jej zabandażowanej twarzy, którą starała się bezskutecznie ukryć.

– Naksalici. Wysadzili tory za Eluru – odparł w końcu.

– Więc nie ma żadnych pociągów?

– Słyszałaś, co mówię?

– Ale żadnych nie ma? Żadnych? Jak to możliwe?

Młody człowiek się roześmiał.

– Zwróć się z tym do Indian Railways. Jestem pewien, że chętnie wszystko ci wyjaśnią.

Purnima zostawiła tragarzy i wróciła na swoje miejsce pod ścianą. A potem osunęła się na ziemię.

Na jak długo wystarczy jej te pięćset rupii? Nie na bardzo długo. A było jeszcze za wcześnie, by sprzedawać biżuterię. Postanowiła zostać na dworcu, spać w poczekalni, razem z innymi, albo na którymś z torów, może tych położonych najdalej od biura dróżnika, dopóki nie naprawią zniszczeń albo jej nie wyrzucą. Może się myć przy kranach, jeść na stoiskach, a jeśli chodzi o toalety... przecież i tak załatwia się na torach. Dlaczego nie wzięłam ze sobą koca, pomyślała, czując złość na samą siebie.

Mimo to, kiedy już postanowiła tam zostać, pierwszą rzeczą, jaką kupiła, był mały pojemnik na wodę do mycia, a potem siadła niedaleko stoiska księgarni Higginbothama i próbowała sprawiać wrażenie, jakby była na swoim miejscu, jakby czekała na pociąg albo na kogoś – kogoś kochanego, kogoś, kto przyjedzie pociągiem. Zaraz za stojakiem z gazetami i komiksami była wnęka i Purnima odkryła, że świetnie się w niej mieści, o ile skuli nogi przy piersiach, i że nikt jej tam nie zauważy. Z tej perspektywy patrzyła w górę zdumiona, jak niewielu ludzi patrzy pod nogi. Właściwie nikt, a przynajmniej tak można było sądzić na podstawie tych pierwszych kilku godzin, które spędziła we wnęce.

Po pewnym czasie wstała, by wyciągnąć nogi, przeszła się w górę i w dół po schodach wiodących na kładkę rozciągającą się nad kolejnymi peronami. Widziała stamtąd długie ścięgna przyjeżdżających i odjeżdżających pociągów, dachy nad każdym peronem i tory – ile ich było? Może dwadzieścia, może więcej, nigdy

czegoś takiego nie widziała, nie zdawała sobie nawet sprawy, że na świecie jest tak dużo handlu, tak dużo ludzi, tak dużo podróżnych biegnących w każdym kierunku jak linie papilarne na dłoni.

Od teraz taki był jej rozkład dnia: spała na jednym z peronów albo w poczekalni, rano najpierw sprawdzała odjazdy pociągów, czy któryś nie jedzie dalej za Eluru i jeśli żaden nie jechał, kupowała sobie paczkę idli i kubek kawy albo herbaty, w zależności od nastroju, a potem się przechadzała albo chowała skulona we wnęce za stoiskiem Higginbothama.

Dopiero na początku drugiego tygodnia spotkała Rysiego. To był szczupły chłopiec mniej więcej w jej wieku, może odrobinę młodszy. Zauważyła go już wcześniej, jak czał się na peronach, przy ich samej krawędzi i przyglądał się wszystkim, którzy go mijali. Tak uważnie, że zastanawiała się, czy chce ich narysować, czy okraść. Nigdy tego nie zrobił, przynajmniej Purnima tego nie widziała. Był tam codziennie, tak samo jak ona. Raz czy dwa przyjrzał jej się wnikliwie, choć ona go zignorowała i szła dalej swoją drogą. A jednak musiał wiedzieć, że ona głównie przebywa za stoiskiem, gdyż któregoś popołudnia przyszedł i zaczął przeglądać stojak z gazetami i komiksami. Wyjął *Pańćatantrę* i przekartkował ją. Potem wyciągnął magazyn filmowy, na którego okładce było zdjęcie kobiety w czerwonej sukience. Kiedy odłożył go na podstawkę przy stojaku, ktoś, kogo Purnima nie widziała, zawołał:

– Hej! Hej, ty! Albo kupujesz, albo nie! Ale nie zostawiaj wszędzie śladów swoich zatłuszczonych paluchów, dobra?

Chłopiec odsunął się od stojaka – Purnima widziała jego obutą w sandał nogę robiącą krok w tył – ale potem przekręcił głowę i spojrzał prosto na nią.

Purnima podskoczyła. Serce jej zamarło. Czy on był z policji?

– Co ci się stało w twarz? – zapytał.

Purnima naciągnęła *pallu* na czoło, nieomal na same oczy i nie odpowiedziała.

– Jesteś głucha?

Wzruszyła ramionami.

– Daj mi zobaczyć. – Podeszedł do niej, a Purnima wcisnęła się głębiej w ścianę. Ukląkł lekko, delikatnie, z jakimś wdziękiem. Nie był z policji, przynajmniej tyle Purnima zrozumiała, choć wciąż trzymała twarz spuszczoną i podniosła tylko wzrok. Spojrzał jej prosto w oczy, a potem rzekł: – Szyja też? Twój ojciec czy mąż?

Purnima przez chwilę milczała, jakby próbowała zdecydować, co odpowiedzieć:

– Żaden z nich. To był wypadek.

Chłopiec skinął głową, a potem stwierdził:

– Jak zawsze. Nazywam się Ryszi. A ty?

Czemu z nią rozmawiał? Czego chciał? Widać było po niej, że nie ma pieniędzy, a on nie wydawał się groźny. Właściwie w sposobie, w jaki się do niej odnosił, najbardziej przypominał jej brata. A jednak wciąż nie odpowiadała, a on ociągał się przez kilka chwil, aż wreszcie wzruszył ramionami i odszedł. Patrzyła za nim: szedł przed siebie, tam, gdzie Purnima mogła go wciąż widzieć, potem porozmawiał z kimś, kto rozładowywał worki jutowe z pociągu towarowego, wreszcie kupił sobie kubek herbaty. Raz czy dwa spojrzął w kierunku Purnimy, wydawało się, że sprawdzał, czy ona wciąż tam jest, a potem, gdy skończył herbatę, pomachał do niej, jakby znał ją całe życie, jakby była jego dobrą przyjaciółką, którą odprowadzał na stację kolejową, aż wreszcie minął ją i wyszedł z dworca.

Jednak następnego dnia wrócił. I następnego. I jeszcze następnego. Za każdym razem kiedy przychodził rano, machał do Purnimy, i tak samo machał, gdy odchodził wieczorem. Ku swojemu zaskoczeniu zaczęła na niego czekać. Jeśli zdarzyło mu się przejść obok niej w środku dnia, jak często to robił, gdy widział, że idą tym samym peronem, wtedy nie machał, nawet na nią nie patrzył. Raz o mały włos na siebie nie wpadli, na kładce dla pasażerów nad jednym z peronów, ale on nie dał po sobie poznać, że już widzieli się wcześniej. Jakie to dziwne, pomyślała. Tego wieczoru – po tym, jak wpadli na siebie na kładce – zerwała się,

gdy zobaczyła, że zbliża się ku wyjściu, tam gdzie szedł zawsze w nocy, i powiedziała:

– Purnima.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się, a ją zalało uczucie ulgi i ciepła.

Od tego czasu chodzili razem i rozmawiali ze sobą prawie codziennie. Opowiedziała mu o Kiśorem, o teściowej, nawet o Indrawalli i odrobinę o swoim ojcu. A potem zapytała:

– Dokąd chodzisz każdej nocy?

Wyprostował się, a jego głos stał się poważny:

– Mam bardzo odpowiedzialną pracę.

– Naprawdę? Ale cały dzień jesteś tutaj. To nocna praca?

Wydawało się, że zastanawia się nad tym przez chwilę, aż w końcu rzekł:

– Pracuję tutaj. Teraz pracuję. Wieczorami składam raporty szefowi.

– Pracujesz? Ale ty po prostu spacerujesz!

– To tylko tak wygląda. Nie znasz się.

Może rzeczywiście się nie znam, pomyślała Purnima, ale widziała, kiedy ktoś pracuje, a Ryszi z pewnością tego nie robił.

– Więc co robisz?

– Znajduję ludzi.

– Jakich ludzi? Zaginionych?

Wzruszył ramionami.

– Jak długo zamierzasz tu zostać? W tej wnęce za księgarnią?

– Aż zaczną kursować pociągi na północ.

– Naksalici wysadzili tory.

– Jak myślisz, dlaczego tu jestem?

– Masz kogoś na północy? Ktoś na ciebie czeka? – zapytał, w jego głosie była dziwna ciekawość.

– Tak, w pewnym sensie.

– Naprawa torów może zająć tygodnie, miesiące. Nie możesz tu cały czas siedzieć.

To nigdy nie przyszło Purnimie do głowy. Dlaczego? Coś tak prostego?

– Kłamiesz – powiedział.

– Nie kłamię. O czym miałabym kłamać? – zapytała.

– Nikt na ciebie nie czeka. Widzę to przecież. Widzę, że jesteś sama.

Purnima podrapała się po bandażach. Oparzenie zaczynało ją swędzieć i z trudem mogła spać, jeść albo robić cokolwiek innego, bo swędzenie doprowadzało ją do szału.

– Skąd wiesz?

– Pomagam dziewczynom takim jak ty – odparł. – Dziewczynom, które są same. Pomagam im, żeby były bezpieczne i zarobiły pieniądze. Aż do chwili, gdy gotowe są odejść. Na przykład kiedy tory zostaną naprawione. Ale większość z nich nigdy nie odchodzi, tak im się tam podoba. – Zapytał ją, czy chce herbaty, a ona powiedziała, że tak.

– A co one robią?

– Pracują w biurze. Jak sekretarki. Albo w eleganckim sklepie. Albo w sklepie z sari.

– I pomogłeś już wielu dziewczynom?

Ryszi skinął głową.

– O tak. Setkom. Pewnie nawet większej liczbie. Znam każdą dziewczynę, która była na tym dworcu. Pamiętam każdą z nich. Znam je wszystkie. I wiem, które z nich mogą wykonywać taką pracę.

Purnima milczała. A potem spytała:

– Każdą dziewczynę?

– Zauważam każdą, czy wysiada z pociągu czy do niego wsiada. Zapamiętuję jej twarz. Nigdy jej nie zapominam. Czasami lubię sobie z nimi porozmawiać, tak jak teraz z tobą, a one, kiedy dostaną już pracę, zawsze starają się przyjść tutaj, znaleźć mnie i mi za nią podziękować.

– Nigdy nie widziałam, żeby jakaś dziewczyna ci dziękowała.

Roześmiał się głośno. A potem powiedział:

– A jak miałybyś widzieć? Siedzisz jak kret w tej wnęce. Wszystko jedno, mam teraz coś do zrobienia. Nie mogę stać tutaj i rozmawiać z tobą cały dzień. Odnieś to, jak wypijesz herbatę – dodał, wskazując na jej kubek. Obrócił się, ale jakoś bez przekonania. Zaczął iść wzdłuż peronu.

– Zaczekaj! – zawołała za nim Purnima. Stał oddalony o niej o jakiś metr czy dwa i pomyślała, że chyba się uśmiecha, ale nie była pewna. Takie miała niejasne wrażenie. Bo niby dlaczego miałyby się uśmiechać?

Kiedy spojrzał na nią, twarz miał poważną. Zapytał:

– O co chodzi? Mam coś do zrobienia.

– Każdą dziewczynę?

– Tak. To właśnie mówiłem.

– Jak długo tu jesteś? Na tym dworcu?

– A dlaczego pytasz?

– Po prostu jestem ciekawa.

Pomyślał przez chwilę.

– Ze trzy lata. Może cztery.

Purnima poczuła, że przeszywa ją dreszcz. A jeśli on ją widział?

A jeśli on naprawdę ją widział?

– Czy przypadkiem nie widziałeś pewnej dziewczyny niecałe dwa lata temu? Jest odrobinę ode mnie wyższa. Miała na sobie niebieskie sari w pawie oczka. I piękny uśmiech. Z Indrawalli.

Ryszi zamyślił się przez dłuższą chwilę. Jego oczy zaczęły się świecić.

– I co jeszcze?

– Była szczupła, ale nie taka chuda jak ja. Proste włosy, z maleńkimi loczkami nad czołem. Prawdopodobnie ona też jechała na północ.

– Czy miała ładne usta? I mówisz, że miała niebieskie sari?

Oczy Purnimy także zajaśniały.

– Tak! Ma na imię Sawitha. Widziałeś ją?

– Sawitha? Powiedziałaś Sawitha? – Ryszi uśmiechnął się, szeroki uśmiech wybrzuszył jego chudą twarz, jakby policzki wyrastały mu prosto z tego uśmiechu. – Dlaczego nie powiedziałaś tego wcześniej? Oczywiście, że znam Sawithę.

– Znasz ją?

– Tak, to musiało być jakieś dwa lata temu. Teraz ją sobie przypominam. Jest z Indrawalli. Ty też stamtąd jesteś?

– Co mówiła? Dokąd pojechała?

– Nie na północ. Skąd ci przyszło do głowy, że pojechała na północ? Ona jest tutaj. W Widżajawadzie. Znalazłem jej pracę.

– Tutaj? W Widżajawadzie?

– Tak. Dokładnie tutaj. Chodź, zaprowadzę cię do niej. – Znowu się uśmiechnął.

Tym razem Purnima zauważyła, że jeden z jego dolnych przednich zębów był odbarwiony. Popatrzyła na niego i zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem Ryszi nie kłamie.

Wyszli z dworca tym samym wyjściem, którym Purnima weszła dwa tygodnie wcześniej. Szli bardzo długo, wydawało jej się, że godzinami, przez Green Park Colony i Ćittinagar, wreszcie weszli do części miasta pełnej zapuszczonych domów i podupadających chat. Herbaciarnie wydawały się brudniejsze, a oczy mężczyzn, którzy szli za nimi, okalały czerwone obwódki. Szybko odwracali wzrok, widząc bandaże Purnimy.

– Musisz je mieć? – zapytał.

– Co?

– Te bandaże.

Jak tylko pomyślała o bandażach, od razu poczuła nieodpartą chęć podrapania się.

– Oczywiście, że muszę.

– Sawicie mogą przeszkadzać.

– Ale dlaczego?

Szli dalej. Zapuszczone domy znikły, teraz mijali tylko puste parcele. Purnima poznała, że oddalają się od Kryszny. Mieszkały tu jedynie świnie, zdiczące psy, wszędzie leżały stosy śmieci. Na skraju jednego pokrytego odpadami pola stał wielki dom, znacznie większy niż cokolwiek innego w okolicy i znacznie lepiej utrzymany.

Skręcili na podjazd.

– Sawitha naprawdę jest tutaj? Pracuje tutaj?

– W pewnym sensie – odpowiedział enigmatycznie.

Ryszi nie zadzwonił, po prostu weszli do środka. W tej samej chwili Purnima usłyszała jakieś szuranie dochodzące z drugiego piętra. Spojrzała w górę na otwarty balkon i zobaczyła pięć czy sześć dziewcząt, w jej wieku albo nawet i młodszych tłoczących się tam, po chwili odwróciły się i znikły. Nie widziała jednak wśród nich Sawithy.

– Chodź – rzekł Ryszi i poprowadził ją w głąb korytarza.

Na jego końcu były drzwi i kiedy weszli – tym razem stukając – Purnima zobaczyła chudego mężczyznę w dużych okularach siedzącego za biurkiem. Jego skóra miała fakturę owocu chlebowca, może z powodu jakiejś choroby, którą przeszedł w dzieciństwie, pomyślała. Podniósł wzrok, spojrzał na nią i wyraz jego twarzy przeszedł od znudzenia do wstrętu. Ale na granicy jego spojrzenia było coś więcej niż wstręt i Purnima nieomal się cofnęła, widząc tak wyraźne i bezpośrednie okrucieństwo.

– Co to jest? – zapytał, nie patrząc na Rysziego, ale wyraźnie zwracając się do niego.

– Dworzec, Guru.

– Głupi jesteś?

– Mówiłeś, że mamy braki, Guru. Więc pomyślałem sobie, że może...

– Naprawdę? Tak sobie pomyślałeś?

Ryszi spuścił głowę i przytaknął.

– To teraz zabierz to – warknął mężczyzna. – Jest brzydka. I te bandaże. Kto za to zapłaci? Rozumu nie masz? Nikt nie ma. Właśnie na tym polega problem. Zgadnij, co zrobił Samuel? Odszedł bez słowa. I wziął dziewczynę ze sobą. I co ja mam teraz zrobić? Straciłem księgowego i dziewczynę. A teraz jeszcze ty. Przyrowadzasz coś takiego. Pozbądź się tego. Natychmiast.

Purnima przeniosła wzrok z Rysziego na mężczyznę za biurkiem. Pomyślała o swoich pieniądzach, o biżuterii i o tym, że druga szansa może już nigdy nie być jej dana.

– Czy pan zna moją przyjaciółkę? Ryszi powiedział... – zaczęła.

Mężczyzna gryzmolił coś w jakiejś księdze, czymś w rodzaju dziennika, a kiedy Purnima się odezwała, podniósł wzrok jakby głęboko zaskoczony, zdumiony faktem, że ona w ogóle mówi. Powoli zacisnął pięści.

– Powiedziałem, żebyś ją stąd zabrał.

– On mówił, że pan ją zna.

Teraz odłożył długopis i widziała, jak narasta w nim gniew. Jak ściąga mu usta, nos i wreszcie oczy w szpilki wściekłości.

– Wiesz, widziałem mały ładniejsze od ciebie.

Ryszi złapał ją za ramię, jakby chciał ją wyciągnąć z pokoju. Purnima strząsnęła z siebie jego rękę. Pomyślała o tkalni, o poranku następnego dnia po tym, jak Sawitha odeszła, i myślała, jak ona szła, całkiem sama, w noc. Zastanawiała się, czy obejrzała się za siebie tuż przed odejściem i zatrzymała w drzwiach, szukając jakiegoś powodu, by zostać, i jak żadnego nie znalazła. Nic nigdy nie było dla Purnimy bardziej puste od tej myśli.

– Mogę się tym zająć. Księgowość. Nauczyłam się.

Mężczyzna roześmiał się i rzekł:

– Odkąd to dziewczyny ze wsi uczą się księgowości? Mówiłaś, że skąd jesteś?

– Umiem. Mogę panu pokazać.

Mężczyzna spojrział na Rysziego, a Ryszi na niego. Potem obaj spojrzeli na Purnimę. Mężczyzna obrócił księgę, tak by Purnima ją widziała:

– No to dawaj – powiedział.

Purnima zaczęła się wpatrywać w kartki. Na początku wydało jej się, że widzi tylko gmatwaninę cyfr z literami na początku większości kolumn i z czymś, co musiało być datami w kolumnie położonej najbardziej na lewo. Ale im dłużej się przyglądała, tym jaśniej widziała, że jest w tym jakiś porządek: cyfry pod niektórymi literami były większe. I zobaczyła, że daty są datami z poprzedniego miesiąca. Wtedy uświadomiła sobie, czym są litery: to były inicjały. Trzy z nich to „S”, a po nich cyfra. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. „Czy nie byłoby lepiej, gdybyś wiedziała więcej? Na przykład, czy za każdym razem to był ten

sam mężczyzna? I w które dni przychodził? I czy przychodził do tej samej dziewczyny? Gdybyś to wysłedziła, mogłabyś zażądać więcej”.

W pokoju panowała cisza. Zaszczekał jakiś pies.

– A więc rzeczywiście umiesz – powiedział mężczyzna. I spojrzał na nią, jakby widział ją po raz pierwszy. – Co jeszcze umiesz?

– Gotować, sprzątać i pracować na ćarkhce.

Guru ruchem ręki wskazał Rysziem, by wyszedł. Potem spojrzał na nią z nagłym zainteresowaniem, ale przetykanym okrucieństwem, zimną kalkulacją.

– Guru – rzekł. – Tak się nazywam. Mamy tego więcej. Jeszcze sześć. Będziesz musiała zająć się wszystkimi. Gdzie mieszkasz?

– Na dworcu.

– Na tyłach domu jest pokój. Możesz tu zostać. Nic w tym pokoju do ciebie nie należy, ale kilka dni możesz zostać, na próbę. Chcesz spróbować? – jego głos stał się ostry, wbijał się w nią i Purnima zdała sobie sprawę, że nie mówi teraz o księgach czy rachunkowości. Skinęła głową.

– Co ci się stało w twarz? – zapytał.

– Nic – odpowiedziała. – Miałam wypadek.

Guru uśmiechnął się przerażająco. Odchylił się na krześle.

– Olej? Czy kwas solny?

Dostała pokój bez okien na tyłach domu, na pierwszym piętrze, na podłodze stało składane łóżko, nad drzwiami wisiał obrazek przedstawiający Ganeśę, a w jednym rogu znajdowała się lodówka. Obok pokoju była łazienka z toaletą, umywalka z bieżącą wodą i wiadrem do kąpieli, wysoko jaśniał wąski pasek okna, do którego Purnima nie mogła sięgnąć. Stała i wpatrywała się w niedostępny prostokąt światła. Potem obejrzała łazienkę, nigdy dotąd nie była w pokoju z toaletą czy bieżącą wodą. Schowała pieniądze i biżuterię pod łóżkiem i poszła wziąć kąpiel.

Kiedy wyszła z łazienki i próbowała otworzyć zewnętrzne drzwi, spostrzegła, że są zamknięte. Naciskała na nie, waliła w nie i krzyczała, ale po drugiej stronie

nie było słycać nic. Odsunęła się i wpatrywała się w drzwi. Może zatrzasnęły się przez przypadek? Ale to było niemożliwe, widziała metalowy pręt na klamce i wiedziała, jak trzeba go wsunąć do rzędu rowków, żeby je zamknąć

Co to znaczyło? Czy oni ją uwięzili? Uwięzili? Ta myśl wyrwała krzyk z jej gardła tak głośny, że obrazek Ganeśi spadł ze ściany. Uwiesiła się drzwi. Zachryła od krzyku i wołania, ręce ją piekły od łomotania w ich twardą powierzchnię. Nic. Żadnego dźwięku z zewnątrz. Oparła się o nią i zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, zobaczyła lodówkę po przeciwnej stronie pokoju. Niepewnie wstała i zajrzała do środka. Były tam dwie butelki wody i miska lśniących owoców: guawy, jabłka, sapoty i winogrona. Zamknęła lodówkę i znowu walnęła w drzwi. Wciąż nic. Kiedy ogarnęło ją wyczerpanie, położyła się na łóżku i zmusiła się, by zasnąć.

Gdy się przebudziła, nie miała pojęcia, ile czasu minęło. Przez moment czuła strach. Strach przed czym? – zapytała samą siebie. Że jest zamknięta? Że drzwi się nigdy znowu nie otworzą? Że drzwi się otworzą? Ostatecznie to wszystko nie różniło się tak bardzo od tych lat, które spędziła w Namburu, więc podeszła znowu do lodówki i z wahaniem upiła łyk wody z jednej z butelek. Potem następny, nieco dłuższy. Była głodna, więc sięgnęła po owoc, ale wtedy jej ręka, sama z siebie, po prostu się zatrzymała. Zamarła. Właśnie w chwili, gdy dotknęła jabłka. Trzymała przy nim dłoń bez ruchu, zastanawiając się, czemu go nie bierze, i w tym momencie wróciły do niej słowa Guru: nic w tym pokoju nie należy do ciebie. Dlaczego to powiedział? To dziwne, myślała wciąż z ręką nad owocem, że tak powiedział. O co mu chodziło? A może to jakaś próba, pomyślała w nagłym olśnieniu. Może chce sprawdzić, czy ona weźmie choć jeden z tych owoców. To wydawało się całkowicie uzasadnioną próbą wobec księgowej: zobaczyć, czy ukradnie coś pracodawcy. Czy weźmie to, o czym jasno jej powiedziano, że do niej nie należy. Ale była głodna i przez moment pomyślała, że weźmie ten owoc, lecz potem przyszła jej inna myśl, jeśli Sawitha jest tutaj, zjedzenie jabłka – jabłka – może zniszczyć tę moją jedyną okazję, by ją znaleźć. Zamknęła drzwi lodówki.

Siedziała w pokoju przez trzy dni, nic nie jedząc. Na początku czuła powolny, rosnący głód, który wkrótce zaczął się jej wgryzać w żołądek. Zwijała się z bólu. A potem nadeszła słabość. Głód był dzikim zwierzęciem, a ona chciała go uspokoić, zamykając się w łóżku, jakby przywiązana do niego łańcuchem, i pijąc wielkimi łykami wodę. Spała niespokojnie, ale i tak cały ranek przeleżała. W połowie drugiego dnia jej skóra była gorąca i rozpalona gorączką. Woda nie przynosiła ulgi. Zastanawiała się, czy się nie rozchorowała. Potem zaczęła poważnie rozważać zjedzenie owoców – a co będzie, jeśli oni nigdy nie otworzą tych drzwi? – ale pomyślała o Sawicie. Była tutaj. Purnima musiała tylko przejść tę próbę. Ona tu była. Usiadła z powrotem na łóżku i zaczęła myśleć o jedzeniu. To też nie pomogło. Więc zaczęła myśleć o głodzie. W Indrawalli było mnóstwo dni, kiedy była głodna, bo oddawała swoją porcję braciom i siostrze, ale dla niej coś zawsze zostawało, nawet jeśli to była garść ryżu i pikli. Ten głód... ten głód był jak splądrowana ziemia.

Słabość się rozlewała. Purnimę męczył wysiłek, jaki musiała włożyć w pójście do łazienki, w podniesienie butelki z wodą. Trzeciego dnia jej skóra przestała funkcjonować. Na ramię spadła jej kropla wody, a całe jej ciało aż drgnęło od tego uderzenia. Jakby nie miała już skóry, a woda kapnęła na surową, obnażoną tkankę. Trzeciego dnia nie dała rady się wykąpać. Z trudem utrzymywała się na nogach. Jej ciało zaczęło śmierdzieć. Pomyślała, że może jej poparzenia się zakaziły albo bandaże zaczęły gnić, ale nie: ten odór wydzielaly jej pory. To nie był jej normalny zapach potu, zapach, który znała. Ten był ostrzejszy, intensywny, piołunowy. Prześcieradło na łóżku lepiło się od niego, a jednak przez tę osobliwą woń jej wygłodniałego ciała każdego z jej rozpalonych członków głód zaczął się zdawać Purnimie stanem najbardziej naturalnym, najprawdziwszym. Właściwie już nie chciała jeść, jedzenie stało się abstrakcyjną rzeczą, wspomnieniem, które wywoływało w niej głównie apatię, a czasem nienawiść.

Czwartego dnia rano drzwi się otworzyły.

Leżąc na łóżku, Purnima otworzyła oczy, nie zadała sobie trudu, by wstać. To był Guru. Spojrzał na nią z wyraźnym obrzydzeniem i spytał:

– Co tu tak śmierdzi?

Purnima cały czas patrzyła na niego, a potem zamknęła oczy.

– Nie zjadłam ich – powiedziała.

Podszedł do lodówki, zajrzał do środka i powiedział:

– Ach, więc jednak nie zjadłaś – a potem odwrócił się do niej. – Mogłaś zjeść, wszystko mi jedno.

Znowu otworzyła oczy.

– Myślisz, że na tym mi zależało? Sprawdzić, czy zjesz te owoce? – Roześmiał się. – Wy, dziewczyny ze wsi, jesteście tak zabawnie głupie. Przecież i tak nie nadawałyby się do jedzenia już po pierwszym dniu. Nie – dodał. – Nie, chciałem, żebyś doceniła to, co należy do mnie.

Purnima, zdezorientowana, zaczęła siadać, ale on powiedział:

– Nie, nie siadaj z mojego powodu. Właściwie to połóż się na brzuchu.

Położyła się znowu, ale na plecach, patrząc na niego.

– Jeśli masz dla mnie pracować, musisz zrozumieć, co posiadam. Posiadam ciebie – zaczął. – Posiadam jedzenie, które jesz. Posiadam twój pot, twój smród. Posiadam twoją słabość. Ale przede wszystkim posiadam twój głód. – Stał teraz nad nią, patrząc w dół. – Rozumiesz? Posiadam twój głód. A teraz – dodał, rozpinając pasek u spodni – obróć się. Nie lubię twarzy. Zwłaszcza twojej.

Następnego dnia zaczęła u niego pracować. Jej biurko stało obok jego biurka, mniejsze, tak, żeby mógł jej pilnować. Ale rzadko bywał w tym pokoju. Na ogół siedziała sama i zostawiała drzwi otwarte, przyglądając się każdej dziewczynce, która je mijała.

Żadna z nich nie była Sawithą. Przynajmniej żadna z tego domu. Purnimie nie wolno było z nimi rozmawiać – Guru obserwował ją uważnie, a kiedy go nie było, robił to jego kucharz imieniem Radżu – mimo to za każdym razem, kiedy któraś z dziewcząt schodziła na dół, Purnima kiwała jej głową albo się uśmiechała. One na ogół ją ignorowały. Niektóre z młodszych albo z nowo przybyłych odpowiadały jej smutnym lub odważnym spojrzeniem, a potem szły na górę. W domu

mieszkało trzynaście dziewczynek. Ale czy to były dziewczynki, rozmyślała Purnima. Oczywiście, że tak. Żadna z nich prawdopodobnie nie miała więcej niż szesnaście lat. Ale czegoś im brakowało, opuściła je jakaś istota dziewczęcości. Co to było? Purnima rozmyślała nad tym codziennie przez pierwsze tygodnie swojego pobytu w burdelu. Oczywiście, niewinność – to było jasne. Zostały też uszkodzone. To też było jasne. Ale chodziło o coś jeszcze innego. Coś znacznie subtelniejszego.

A w końcu to zrozumiała. Uświadomiła to sobie, kiedy któregoś popołudnia zobaczyła jedną z nich, jak człapie chwilę po wstaniu, w drodze do toalety. Tarła oczy, twarz miała spuchniętą od snu, a może od zmęczenia. Jej spojrzenie było tępe, obojętne, gdy tak stała przy tylnych drzwiach, wyglądając na zewnątrz domu. I kiedy Purnima zobaczyła to spojrzenie, tę obojętność, zrozumiała: dziewczyna straciła zmysł światła. Dla niej, dla wszystkich dziewcząt w tym domu nie było różnicy między światłem i ciemnością, nocą i porankiem. Ale uświadomiła sobie też, że nie chodzi tu o zewnętrzne światło. Chodzi o to w środku. Więc tym była ta utracona istota dziewczęcości: zmysłem własnego światła.

Purnima pomyślała o świetle, a potem o Sawicie. Miała do przejrzania sześć ksiąg rachunkowych, w których dokonywała bilansu i kontroli przychodów. Dali jej nawet jedną z takich małych liczących maszynek, których używał Kiśore. Robiła wszystko znacznie, znacznie szybciej. Mimo to Purnima sama też pracowała pilnie, cały czas próbując znaleźć sposób, by pójść do innych burdeli, zobaczyć inne dziewczyny. Teraz wiedziała, że Ryszi wtedy na dworcu kłamał, kiedy spytała go, czy znał Sawithę, ale Guru prowadził nieomal wszystkie burdele w Widżajawadzie i Purnima zdecydowała, że nie może ruszyć na północ, dopóki nie będzie zupełnie pewna, że Sawithy nie ma w żadnym z nich. Więc została. Została i czekała.

Po dziewięciu miesiącach pracy Purnimie udało się odwiedzić tylko dwa inne miejsca; poprosiła Guru, aby wziął ją ze sobą, kiedy jechał zbierać pieniądze.

– Nie jestem jedną z tych dziewczyn – powiedziała. – Chciałabym się trochę przewietrzyć.

Zgodził się niechętnie, choć czuła, że w końcu jej zaufał. Nigdy nie ukradła żadnych pieniędzy, nigdy nie poprosiła o nie ani nigdy nie zrobiła pomyłki w księgach. Niekiedy się jej zwierzał, a z czasem zaczął nawet wypłacać małą pensję. Uświadomiła sobie, że to jego zaufanie, jakkolwiek niewielkie, wynikało z powodu jej blizny. To było dziwne, ale prawdziwe. Nie nosiła już bandaży, oparzenie się zagoiło i zostawiło rozległą bliznę pokrytą cieniutką warstwą świecącej, jaskraworóżowej skóry. Dzięki niej Purnima wyglądała na wyniszczoną, nieszkodliwą i – co najważniejsze – żalowaną.

Pewnego dnia Guru zaczął wyrzekać na ceny jedzenia, ubrań i innych drobiazgów dla prawie stu kobiet i dziewcząt w burdelach.

– Co miesiąc wydaję tysiące rupii. Tysiące! Jedyne, co one umieją robić, to jeść.

Purnima nic nie powiedziała. Wiedziała z całą pewnością, że na jednej dziewczynie zarabia ponad sto tysięcy rupii miesięcznie. W ciągu kilku miesięcy potrafił zarobić dwa lakhy.

– Na przykład kilka dni temu jedna z dziewczyn powiedziała mi, że są jej urodziny i że mógłbym kupić jej coś słodkiego. Urodziny! Dostaniesz coś słodkiego, powiedziałem, jak przyjmiesz dziesięciu mężczyzn w ciągu jednej nocy. Wtedy dostaniesz coś słodkiego.

Purnima skinęła głową.

– Codziennie. Codziennie tylko jedzą i jedzą.

Wróciła do swojej pracy; Guru narzekał często, a ona coraz bardziej się do tego przyzwyczajała.

– A jakie są bezczelne! Innego dnia ta sama mówi do mnie, że chciałaby banana. Więc mówię jej, kupię ci ryżu. To masz jeść. I wiesz, co ona powiedziała?

– Nie. Co? – Purnima ledwo podniosła oczy.

– Powiedziała: ale ja lubię jeść banany z ryżem. Z jogurtowym ryżem. Możesz w to uwierzyć? Banan! Co za bezczelność!

Głowa Purnimy wystrzeliła znad księgi. Ale natychmiast uspokoiła myśli:

– Aha – powiedziała obojętnym głosem. A potem dodała: – A co się stało z tą dziewczyną? Z tą, co prosiła o banana?

Guru wzruszył ramionami:

– Sprzedaliśmy ją.

– Sprzedaliście? Komu?

Guru spojrzał na nią. Oczy mu się zwężyły.

– Czy ty myślisz, że te gówniane burdele są wszystkim, co mamy? Myślisz, że robisz całą księgowość? Nasz główny dochód pochodzi ze sprzedaży dziewczyn. Bogatym mężczyznom. Mężczyznom w Arabii Saudyjskiej. W Dubaju.

Purnima wzięła oddech. Powiedziała sobie, nie pozwól, by się zorientował. Nic ci wtedy nie powie.

– A ta dziewczyna – powiedziała swobodnym tonem – ta od tego banana. Gdzie ją sprzedaliście?

– Mam wrażenie, że była częścią tej dużej przesyłki, którą zrealizowaliśmy... rok temu? Jakiś bogaty człowiek w Ameryce. Dasz wiarę? Chciał dziewczyny do sprzątanania mieszkań. Widocznie tam wynajęcie sprzątaczy sporo kosztuje. Sprzątaczy! Zwykłych dalitów! Było mu taniej ich kupić. Miał ich setki. Mam na myśli mieszkań. Gdzieś w jakimś miejscu... Seetle, Sattle. Nie wiem. Ale dobrze za nie zapłacił.

Purnima poczuła, jak powietrze wokół niej robi się coraz chłodniejsze. I jak wielkie drewniane drzwi otwierają się ze skrzypieniem.

– Jak tam się można dostać?

Guru ryknął śmiechem.

– To daleko. Bardzo, bardzo daleko. Nigdy tam się nie dostaniesz.

Purnima śmiała się razem z nim, ale wiedziała, że się tam dostanie.

SAWITHA

1

Sawitha wiedziała, że nie dostanie banana, a przynajmniej nie od razu. Ale co jest potrzebne, by zdobyć coś tak prostego, tak małego jak banan?

Dowie się tego.

Wiedziała też, że musi zawrzeć układ z szefem tej bandy, zwanym Guru. Z nikim innym. Od czasu do czasu przychodził, aby przejrzeć swoje ruchomości, jak nazywał dziewczęta. Pierwszy raz pojawił się kilka tygodni po jej przyjeździe. Opuściła Indrawalli we wczesnych godzinach porannych, tego samego dnia, kiedy miała wyjść za mąż za ojca Purnimy. Bolało ją całe ciało. Trzy dni spędziła skurczona w kącie tkalni. Nie płakała, nawet nie mrugała oczami (co nie znaczy, że straciła świadomość), nie żywiła nadziei, nie modliła się, nie czuła bólu, żadna myśl nie pojawiła się w jej głowie. Ani jedna. No dobrze, może jedna. Jej jedyną myślą było, co jest lepsze – być? umrzeć? A może to jedno i to samo? Nim opuściła tkalnię i śpiącą Purnimę, odwiązała wszystkie małe węzłki na sari, które dla niej przygotowywała, niezrobionym nawet w połowie, rozpostartym na krosnach jak całun, złożyła je w ósemki, a potem wsunęła tkaninę pod bluzkę przy swoich płaskich piersiach.

Potem opuściła Indrawalli. Wiedziała, że na zawsze.

Kiedy doszła na przystanek – ten na autostradzie, nie w wiosce – pierwszy autobus, który się zatrzymał, jechał do Widżajawady. Nie było w nim nikogo poza konduktorem. Nawet rolnicy jeszcze nie wyruszyli na targ. Sawitha nie miała pieniędzy, nawet jednej pajsy, więc kiedy drzwi się otworzyły, spojrzała na kierowcę – nie prosząco, lecz surowo i zdecydowanie:

– Nikt się nie dowie, że mnie podwiozłeś.

Kierowca obejrzał ją od stóp do głów, a potem roześmiał się, zamknął drzwi i odjechał. Teraz jedyną jej szansą stały się ciężarówki. Czekwała kilka minut, zanim jakaś pojawiła się w polu widzenia. Przejechała obok niej, nawet nie zwalniając, podobnie zignorowały ją cztery następne. Szósta ciężarówka była misternie wymalowana. Na górze przedniej szyby widniał Ganeśa, na masce – scena przedstawiająca spokojne jezioro z chatą i krowami po jednej stronie i bukietem róż po drugiej. Z przedniego zderzaka zwieszały się dwie świeże limonki na szczęście. Wzdłuż wewnętrznej strony przedniej szyby leżały czerwone serpentyny, błyszczące nawet w porannym mdłym, pozbawionym słońca świetle. Zamachała, podchodząc do krawędzi drogi, a kiedy ciężarówka zwolniła, Sawitha spostrzegła, że kierowca jest młody, niewiele starszy od niej. Z bliska, kiedy wspięła się do szoferki, ujrzała jego zęby świecące najjaśniejszą bielą, jaką kiedykolwiek widziała, bielszą nawet niż świątynia na Indrawalli Kondzie, chociaż jego oczy były zapuchnięte, czerwone, może od braku snu, może od kurzu, a może od alkoholu.

– Dokąd jedziesz?

– To zależy – odpowiedziała. – A ty jak daleko jedziesz?

– Do Puny.

– A więc ja też tam jadę.

Uśmiechnął się i tym razem Sawitha nie była już tak pewna świetlistości jego zębów. Bieli – tak, ale nie świetlistości.

Nie minęło nawet dziesięć minut jazdy po wyboistej Trunk Road, obok przydrożnych herbaciarni, ciemnych chat, zamglonych pól ryżu, śpiących psów, jak kierowca puścił jedną ręką kierownicę. Nie położył jej na siedzeniu obok siebie, zgodnie ze spodziewaniem Sawithy, ale po prostu przesunął ją tak, że wylądowała na jej udzie.

– Nie spiesz mi się – powiedział. – A tobie?

Sawitha wzięła głęboki oddech.

Dokładnie w tym momencie zrozumiała, że otworzyły się przed nią jakieś drzwi. Nie dzisiaj, ale trzy dni temu. Co to były za drzwi? Dlaczego nigdy wcześniej nie wiedziała, że one tam są? Nie umiała na to odpowiedzieć. Albo może nie chciała znać odpowiedzi. Tak czy owak, teraz były otwarte, a ona przez nie przeszła. Oczywiście, ojciec Purnimy był tym, który je otworzył, tym, który ją przez nie przepchnął, i czuła wściekłość, potężną, straszną wściekłość na niego – z tego tylko powodu, że nie zapytał jej, czego ona by chciała. Nie powiedział jej, tutaj są drzwi. Widzisz je? Chcesz, żebym je otworzył? Chcesz zobaczyć, co jest po drugiej stronie? Ale to już się stało. I teraz, uświadomiła sobie: tym zostanie zawsze w oczach mężczyzn – rzeczą do otworzenia, do zamieszkania na chwilę, by zaraz potem ją opuścić.

Jechali dalej. Ręka kierowcy przesuwiała się powoli w górę jej uda. Przejechali Krysznę i skręcili na krajową autostradę.

Dobrze, jeśli to było prawdą, to coś innego też powinno być prawdą. Nie musiała długo się zastanawiać, by zrozumieć, co to było – jakby czekało na nią cały czas, tutaj, w każdym miejscu tej drogi. A tym były jeszcze jedne drzwi. Mniejsze, lecz cudowniejsze. Ukryte. Wiedziała, że to za nimi leżą prawdziwe skarby: jej miłość do Purnimy, jej miłość do rodziców i sióstr. Te skarby się świeciły – muśnięcie tkaniny, sari na jej piersiach, ale tak naprawdę muśnięcie każdej tkaniny. Sposób, w jaki dotykała twojej skóry jak dłoń (nie jak dłoń kierowcy, ale pełna czułości i niczego nieoczekująca), która cię osłania i mięknie z upływem czasu. Te skarby świeciły się nocami: wspomnienie (już wspomnienie) rąk jej ojca, sposób, w jaki sięgały przed siebie z takim strachem, z taką tęsknotą, smak jogurtowego ryżu z bananem, sposób, w jaki był kremowy i słodki zarazem, napełnianie się jej serca, sposób, w jaki ono wzbierało, choć nigdy nie pękło.

– Zatrzymaj się tutaj – powiedziała.

Ręka kierowcy zamarła, już prawie przy jej kroczu.

– Tutaj?

– Dokładnie tutaj.

– Ale my ledwo minęliśmy Widżajawadę. Mówiłaś, że jedziesz do Puny.

Spojrzała na niego, na jego ciemne wargi, górna była nieomal cała zakryta wąsami. Potem uśmiechnął się tak, jakby myślał, że ona też odpowie mu uśmiechem. Ale Sawitha tylko patrzyła na niego – na czerwień jego oczu i biel jego zębów. Zwolnił, ale się nie zatrzymał. Wyjrzała przez okno. Parchaty pies leżał niedaleko góry śmieci, nieco dalej kurczęta grzebały w odpadkach. Skręcił, aby je ominąć, pomyślała. Każdy by tak zrobił. A potem pomyślała, już wiem.

Podniosła jego dłoń ze swojego uda i wykręciła ją w nadgarstku, mocno. Wciągnął gwałtownie powietrze, uderzył po hamulcach. Ciężarówka zakołysała się, a potem ze zgrzytem stanęła.

– Ty suko! *Pakszi!* Wsiadaj!

Kiedy wyskoczyła z kabiny, ciężarówka odjechała z głośnym piskiem, w kłębach kurzu. Sawitha stała na krajowej autostradzie, patrzyła na wschód i na zachód. Na wschodzie widziała przedmieścia Widżajawady. Praktycznie już wyjechali z miasta, ale bez kłopotu może tam wrócić. Wrócić. To nie wydawało się zbyt sprytnym pomysłem. Na zachodzie był Hajdarabad, potem Karnataka, potem Maharasztra, a potem Morze Arabskie. Sawitha nic o nich nie wiedziała, jedynie to, że Puna leży na zachód i że za nią rozciąga się morze. Tak jak stała, usiadła w kurzu, na poboczu autostrady i zastanawiała się, co robić. Teraz było więcej pojazdów, głównie ciężarówek. Mogła zamachać na następną z nadzieją na lepszego mężczyznę. Prawdopodobnie każda z nich zabrałaby ją do Puny, jeśli to właśnie do Puny chciała jechać. Jakim językiem tam mówią? Oczywiście marathi. Którego oczywiście w ogóle nie zna. A co by było, gdyby poprosiła, żeby zawieźli ją do Bangaluru? Tam mówią w kannada. Języku bliskim telugu, choć niezupełnie. Odwróciła głowę i ponownie spojrzała w kierunku Widżajawady. Mądrzej zrobię, jak wrócę, zdecydowała. Lepiej jest najpierw zarobić trochę pieniędzy, a żeby je zarobić, powinna zostać tam, gdzie zna język. I doprawdy, jeśli ktokolwiek w Indrawalli wyruszyłby na jej poszukiwania, w co zresztą wątpiła, tak oczywiste miejsce jak Widżajawada byłoby ostatnim, w którym by szukali. Przynajmniej tak przypuszczała. Ale z pewnością wiedziała jedno: lepiej być mądrym niż sprytnym.

Wszyscy nazywali go Szeferem albo Guru, choć jego prawdziwe imię było zapewne inne. Nosił ogromne okulary, był chudy, żylasty i wydawał się słaby, ale jego fizyczny wygląd nie oddawał tego, kim był w rzeczywistości. Sawitha widziała to wyraźnie w jego oczach. Przewiercały się przez nią jakby przez skałę, jakby przez górę, jakby przez Himalaje, nie szukając ani metali, ani minerałów czy drogich kamieni, ale dziewcząt, biednych, lecz ładnych dziewcząt, które – jak prędko zrozumiała – były po prostu kolejnym wyrazem określającym zysk.

Kiedy po raz pierwszy przyszedł do Sawithy, wciąż jeszcze była odurzona. Tak bardzo ułatwiła im sprawę; to było nieomal śmieszne. Wróciła do Widżajawady. Przez trzy tygodnie chodziła po różnych pracowniach krawieckich i szwalniach w poszukiwaniu pracy, a nocami spała niedaleko rynsztoku w dzielnicy złotników w ciągu dnia przenikniętej zapachem węglowych piecyków, na których przetwarzano świecący metal, a nocami pełnej szczurów i świń. Którejś nocy, kiedy spała, jakiś szczur próbował oskubać jej ucho. Jadła wszystko, co znalazła: wnętrza wyrzuconych skórek banana, na wpół zjedzone roti, kawałek kokosa ze świątyni Kanaka Durgi. Pod koniec pierwszego miesiąca swojego pobytu w mieście wybrała się do herbaciarni w wąskiej uliczce odchodzącej od Annie Besant Road i stanęła niedaleko grupy mężczyzn. Patrzyła na pokryte brudem ściany pobliskich budynków, na wąski pasek nieba rozświetlonego wschodem słońca i na sznurki na bieliznę przecinające się między budynkami, krojące na plasterki poranne światło. Zastanawiała się, co robić dalej. W pewnym momencie jakiś mężczyzna zaszedł ją od tyłu, nawet go nie zauważyła w zbitej grupce innych, i zaproponował jej herbatę. Spojrzała na kubek pełen parującej słodyczy, a potem na niego. Był w średnim wieku, dobrze ubrany, w czystych spodniach i koszuli, jego włosy były porządnie namaszczone olejkiem i uczesane.

– No dalej. Weź to.

Zawahała się.

– Czekasz na kogoś?

– Tak. Na męża.

– A gdzie twoja mangalsutra?

Wzruszyła ramionami, a on się roześmiał. I wtedy zrozumiała swój błąd – instynktownie powędrowała dłońmi do swojej szyi. Ale on śmiał się jeszcze chwilę dobrodusznie, a potem dodał:

– Pij. Ta herbaciarnia serwuje najlepszą herbatę w mieście.

Upiła łyk, potem następny, potem jeszcze następny. A potem wypła duszkiem całą szklanekę. Na początku poczuła się oszołomiona, pomyślała, że to z powodu braku jedzenia, ale kiedy znowu otworzyła oczy, była przywiązana do konopnej pryczy w pachnącym wilgocią, betonowym pokoju bez okien. Przywiązano ją za nadgarstki i kostki u nóg. I bez względu na to, jak się napinała i krzyczała, nikt nie przyszedł, a węzły nie puszczały. Po jakimś czasie, który wydawał jej się dniami, ktoś wszedł do pokoju, jakiś chłopak, jak pomyślała, ale nie była pewna, bo było ciemno zarówno w pokoju, jak i poza nim. Przebiegł dłońmi po łóżku, a potem po jej twarzy. Znalazłszy ją, ścisnął jej nos tak mocno, aż otworzyła usta, a wtedy wlał do nich jakiś gorzki napój, tym razem pozbawiony dobrodziejstwa smaku herbaty.

Ponownie zapadła w głęboki sen.

Jakieś trzy czy cztery dni później, a może miesiąc później drzwi otworzyły się ponownie. Tym razem wpadała zza nich strużka żółtego światła i Sawitha zobaczyła małą dziewczynkę. Niosła wiadro, zbyt ciężkie dla niej, rozlewała wodę po podłodze i na przód swojej podartej sukienki. Myśli Sawithy były wciąż mgliste, jej ciało wciąż zwiotczałe, ale powiedziała sobie, zagadaj do niej. Zagadaj do tej dziewczynki. Powiedz, że zrobisz wszystko, wszystko, co zechce. Otworzyła usta, a przynajmniej tak jej się wydawało, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Sawitha nateżyła się jeszcze bardziej, zamknęła oczy, skupiła się na mgle, na ciężarze i powiedziała do siebie, mów. W końcu udało jej się wyszeptać:

– Rozwiąż mnie. Proszę.

Wydawało się, że dziewczynka nie słyszy. Mokrą szmatką przejechała po nogach Sawithy, po jej kroczu, przedramionach, piersiach. Moje piersi, pomyślała

Sawitha. Czy jest tam nadal kawałek sari Purnimy? Jest?

– Materiał – zaskrzeczała. – Jest?

Tymczasem dziewczynka go znalazła. Podniosła go do twarzy, chyba powąchała i rzuciła w kąt. Sawitha wydała długi jęk. Zwierzęcy. Zraniony. Dziewczynka nie zwracała na nią uwagi. Pracowała cały czas, mokrą szmatką wycierała teraz szyję Sawithy, jej ramiona. Kiedy doszła do dłoni, Sawitha złapała jej przedramię. Przyciągnęła ją bliżej, żeby móc zobaczyć twarz dziecka w nikłym świetle półprzymkniętych drzwi. Spojrzała dziewczynce w oczy, a ona odpowiedziała jej spojrzeniem, ale jej oczy nie poruszały się, były wyblakłe, szare, jakby beton pokoju rozerwał się w wybuchu i jego pył osadził się w jej tęczęwkach. Przerazenie Sawithy przebiło się przez gęste warstwy dezorientacji, gniewu, chaosu i ognia.

– Słyszysz mnie? – jęknęła.

Dziewczynka odpowiedziała własnym jękiem, był on jeszcze bardziej zwierzęcy, jeszcze bardziej zraniony. I wtedy, słysząc ten dźwięk, Sawitha w pełni zaczęła rozumieć swoje zamknięcie, swoje uwięzienie, totalność jego pomysłu i domknięcie jej losu. I zrozumiała, że nie była ani mądra, ani sprytna: dziewczynka jest głuchoniema, a chłopiec ślepy.

Miotła się. Napinała nadgarstki i kostki, doprowadzając jedynie do tego, że węzły stawały się jeszcze mocniejsze. Biła głową w pryczę, krzyczała, płakała. Szarpała zębami sznur. Był zbyt gruby, by mogła go przegryźć, ale złapała jego końcówki i żuła je, aż dziąsła zaczęły jej krwawić, poczuła smak miedzi i pomyślała, dobrze. A potem pomyślała, ile czasu trzeba, żeby się wykrwawić na śmierć. Przez dziąsła? Narkotyki, które wypływała przez knebel, powodowały mdłości za każdym razem, gdy chłopiec siłą wlewał jej je do ust. Wtedy zaczął je Sawicie wstrzykiwać – głównie w brzuch, ale jeśli za bardzo się wiała, wbijał igłę prosto w bok jej pośladka. Ale nawet w tym oszołomieniu, w tej dezorientacji, ona wyraźnie widziała granice łóżka, ciemne rogi pokoju i – w wilgoci ścian pozbawionych okien – piękno, które utraciła: światło słońca, wiatr, wodę.

Pomiędzy nawrotami snu, pocenia się, budzenia i wymiotowania przychodziły do niej wspomnienia, wpływały i odpływały, wzwyż, poza nią, jak oddech. Było tam lśnienie świątyni na Indrawalli Kondzie, aromat świeżo ugotowanego ryżu, wołania sprzedawców kwiatów, sypiących płatki na ulicach, były słowa jakiejś sowy, dotyk krosien, nici, formy, nabierania kształtu, stawania się czymś. Mogła utkać rzekę, mogła utkać morze. Dlaczego tutaj leżała? Dlaczego?

Niedługo po tym, jak dziewczynka znów ją umyła, drzwi otworzyły się ponownie. Tym razem wszedł mężczyzna, którego wcześniej nie widziała. Chociaż równie dobrze to mógł być jej ojciec – oczy przecież miała tak zapuchnięte, była tak słaba, otepiała i odurzona, a wszystkie części jej ciała zastygły w jakiejś drętwości.

Ale to nie był jej ojciec.

Ten mężczyzna – o którym później się dowiedziała, że nazywano go Guru – wpuścił odrobinę światła. Sawitha zmrużyła oczy. Zbliżył się do łóżka z lekkim uśmiechem. Na jego krawędzi położył nóż, tuż poza jej zasięgiem. Pomimo słabości odłamek jakiejś dzikości, okruch czegoś jasnego przebił się przez jej świadomość. Sawitha rzuciła się na ostrze, nieomal przewracając łóżko. Kołysała się gwałtownie z boku na bok, z boku na bok, aż nóż zleciał z brzękiem na podłogę. Guru ją ignorował. Podszedł do rogu pokoju, gdzie wciąż leżało nieukończone sari Purnimy, i pchnął je czubkiem buta. Pochylił się nieco, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Odwrócił od niego twarz, jakby materiał był gnijącym mięsem, a potem uśmiechnął się i rzekł:

– Znam ten splot. Jest tak charakterystyczny. Jesteś z Indrawalli, prawda?

Sawitha nic nie odpowiedziała. Podszedł znowu do łóżka. Uśmiechał się coraz szerzej. Patrzyła na niego, wyzywała, błagała, czuła, co nadchodzi.

– Śmierdzisz – powiedział spokojnie. A potem dodał: – Nie ma nic gorszego niż cuchnąca kobieta.

Podniósł nóż. Długo i uważnie przyglądał się jego ostrzu. Wreszcie rzekł:

– Może jest jedna rzecz. Tylko jedna. Kobieta, która nie jest posłuszna.

Opuścił ostrze noża i przejechał czubkiem po jej policzku, po jej szyi. Szarpnął fałdy jej sari, bluzka opadła w strzępach. Przeciągał krawędzią noża po jej piersiach, pod nimi, pomiędzy nimi.

– Nie masz tutaj za dużo – powiedział. – Będziesz posłuszna, prawda? Prawda, moja droga?

Spojrzał jej w oczy, nieomal uprzejmie, a potem splunął jej w twarz. Jego ślina – kiedy w oszołomieniu, strachu, obracała głowę, by zrobić unik – wylądowała w kąciku jej ust i na policzku. Guru rozsmarował ją po jej twarzy.

– No i plama, widzisz? – powiedział lekko, potem wstał i wyszedł.

Gruba grudka wyschła, marszcząc się na policzku Sawithy. Żuł betel – czuła jego zapach godzinami.

Rozwiązali ją, ale trzymali zamkniętą w pokoju. Upewnili się, że jest uzależniona – jeśli chłopiec z igłą spóźniał się nawet kilka minut, waliła w drzwi, dygocąca, błagająca, szalona, jej skóra rozpalała się, płonęła, a kiedy już była w ciągu, zaserwowali jej odwyk.

Kiedy w końcu ją wypuścili (miesiąc później, dwa?), Sawitha straciła prawie dziesięć kilogramów, twarz miała wychudzoną i szarą. Włosy wypadały jej garściami. Cała była w siniakach, a nadgarstki i kostki miała zaognione, jeszcze nie zdążyły się zagoić. Madame rzuciła na nią okiem i cmoknęła z dezaprobatą, jakby Sawitha była niegrzecznym, źle zachowującym się dzieckiem, które spóźniło się na kolację.

Sawitha spuściła głowę, wierząc, że jest dzieckiem.

Jej pierwszym klientem był mężczyzna w średnim wieku, około czterdziestu czy czterdziestu pięciu lat. Pracował w biurze, Sawitha rozpoznała to od pierwszego rzutu oka, spodnie, schludna koszula, złoty zegarek, czyste palce u stóp. W poprzek jego czoła ciągnęła się wyblakła smużka popiołu – tego ranka odprawił pudzę czy był ze swoją żoną?

Na początku mężczyzna trochę się czał, ale potem siadł obok niej na krawędzi łóżka i zapytał:

– Pocałujesz mnie?

Sawitha spojrzała na niego.

– Nie wiem jak – odparła.

Ta odpowiedź była tak niewinna, że wydawało się, iż słysząc to, mężczyzna całkiem zgasł.

– Tutaj – powiedział w końcu. – Pokażę ci.

Po tym pierwszym razie wpadła w rutynę wyznaczaną przez tryby tej maszyny: od pięciu do sześciu klientów dziennie, ciągłe zrządzenie i oskarżenia ze strony madame, rozmowy, śmiechy, dokuczanie i milczenie innych dziewcząt, których imion Sawitha nie mogła zapamiętać, jakby jej umysł stawał się galaretą, wiotczał, zanikał. Rezygnował z czegoś najbardziej podstawowego – z królestwa, z poddanych, z tronu – a w jej żyłach krew zastygała, nie chcąc już dłużej dźwigać potworności wspomnień, smutku nowych imion.

A jednak coś pozostało, coś niezmiennego, jakieś pocieszenie: tkanina, na której leżała. Kiedy mężczyźni wpychali się w nią, przyciskali jej twarz do prześcieradła – szorstkiego, taniego, kupionego na jednym z tandetnych straganów na Gowernorpecie – Sawitha zamykała oczy i wciskała twarz, plecy, kolana, dłonie coraz głębiej i głębiej, i głębiej. Zapach tkanego materiału, wytartego od użycia, zmieszany z zapachem spermy, wypełniał jej nozdrza. Powstrzymywała łzy. Powstrzymywała myśli o Purnimie. Powstrzymywała myśli o swoim dzieciństwie zmarnowanym na wysypiskach śmieci. Powstrzymywała myśli o ojcu, matce, siostrach, utraconych braciach. Powstrzymywała wspomnienia ilastego zapachu Kryszny, śmiejących się praczek, migocącej świątynnej dipy, ciemności tkalni pogrążonej w wiecznej żałobie. Choć tym, co uwolniła, tym, czemu dała się wzbić jak ptakowi z klatki, był lot jej rąk, lot tkania.

Pozwoliła sobie na wspomnienie tej jednej rzeczy.

Pewnego razu, kiedy była jeszcze małą dziewczynką, poszła na pola bawełny leżące za Indrawalli, przy drodze do Gunturu. Jej matka pracowała tam latem, a Sawitha dreptała za nią, podskakując do kłębków bawełny, aby jej pomóc. Była

jednak za niska, by ich dosięgnąć. Ale nagle jeden z kłębków wypadł matce z rąk. Sawitha złapała go i zapiszczała z zachwytem, jakby schwyciła kawałek pierzastej chmury. Kiedy pociągnęła matkę za *pallu* i podała jej kłębek niby nagrodę, matka ledwo na nią spojrzała:

– Weź to – rzekła. – Z tego zrobiona jest twoja sukienka.

Na te słowa Sawitha stanęła bez ruchu na środku pól bawełny, zgrzana pod letnim słońcem, i patrzyła na kłębek, który trzymała w dłoni, miękki, pełen nasion, a potem patrzyła, jak inne ciągną się za rzędem, okrągłe białe księżyce wznoszące się wysoko w niebo, tak doskonałe, tak niedosięgłe. Wreszcie spojrzała na swoją sukienkę, na jej wyblakły róż, postrzępioną u dołu, brudną, ale jednak sukienkę. Ale jak to, pomyślała. Jak ten kawałeczek puchu z małymi brązowymi nasionami stał się moją sukienką? Przyszło jej do głowy, że to tajemnica, tajemnica ukrywana przez dorosłych. Albo, co bardziej prawdopodobne, czary. Jednak wciąż tajemnica. I to pozostało tajemnicą, nawet gdy dorosła i zaczęła siedzieć przy *ćarkhce*, a potem przy krosnach obok Purnimy, a potem przy samej Purnimie, gdy razem jadły kolację, przy jedzeniu, jedzeniu, które można było kupić dzięki jej tkaniu, przynajmniej w jakiejś części. A zatem jeszcze większa tajemnica: od kłębka to tkaniny, od tkaniny do jedzenia, od jedzenia do przyjaciółki.

I ta tajemnica z nią pozostała. Przez te wszystkie lata. Do teraz. Trzymała ją blisko siebie w burdelu, wciśniętą w poduszkę. Razem z niedokończonym sari Purnimy (w jednym ze swoich ponarkotycznych ataków szału wrzeszczała za nim tak, że ktoś – nie żeby był aż tak uprzejmy, ale żeby się zamknęła – znalazł je w kącie betonowego pokoju, podniósł czubkami palców i rzucił jej na twarz).

Czyli to tutaj kryje się tajemnica tkaniny i sama tkanina. Czuła je obie, czuła, jak płoną – jak to zwykle bywa z tajemnicami – wewnątrz jej poduszki.

2

Po raz drugi zobaczyła Guru kilka miesięcy później. Jedna z dziewcząt dostała jakiegoś zakażenia. Zaraziła się od klienta i teraz leżała z wysoką gorączką, na udach i w kroczu miała rozległą wysypkę. Nie była w stanie przełknąć choćby łyka maślanki. Dziewczęta tłoczyły się wokół niej. Lekarza!, zawołała jedna z nich. Przytruchtała madame. Przepchała się do przodu i stanęła nad łóżkiem dziewczyny.

– Dzisiaj jest niedziela – powiedziała bez specjalnego żalu. – Trzeba będzie zapłacić ekstra.

Niedziela.

Jest coś takiego jak niedziela, zdała sobie nagle sprawę Sawitha. Jest coś takiego jak czas. W umyśle poczuła mrowienie. Coś maleńkiego, niedostrzegalnego zeszywniało.

Guru zjawił się tego samego popołudnia. Madame zadzwoniła do niego i poprosiła, by przyszedł. Dziewczęta znowu się zbiły w stadko wokół chorej. Tym razem, jak zauważyła Sawitha, jego buty miały niewielkie obcasy, a betel pokolorował jego zęby na pomarańczowo.

– Wezwałaś mnie tylko po to? – zapytał.

Madame nerwowo ugniatała dłonie.

– To najgorsza, jaką kiedykolwiek widziałam.

Przyjrzał się bladej twarzy dziewczyny, jej wargi pękły i krwawiły od gorączki.

– Czy to jedna z tych cieszących się wzięciem?

– Tak – odpowiedziała madame.

Guru przyjrzał się jej jeszcze raz, obrócił się na niewielkich obcasach, podszedł do drzwi i rzekł:

– Daj jej umrzeć.

Sawitha patrzyła, jak wychodził z pokoju. Dziewczyna szeptała przez sen, jakby słyszała jakieś słowa. Choć prawdopodobnie nie mogła nic słyszeć. Nie przez te wszystkie warstwy gorąca, obumierania i jałowości. Daj jej umrzeć. Te słowa zawisły w powietrzu na chwilę, a potem rozpoczęły nową podróż, tym razem przeciskając się przez jej warstwy gorąca, obumierania i jałowości. Jej oczy się rozszerzyły, pragnęły światła. Są drzwi, przypomniała sobie, ukryte. Za którymi leżą wszystkie skarby. I są wciąż blisko niej, mimo herbaciarni, betonowego pokoju, narkotyków, mimo mężczyzn, mężczyzn, mężczyzn. I to przez te drzwi słowa znalazły drogę.

Rozejrzała się po pokoju.

Wydało jej się teraz, że one wszystkie są po prostu dziećmi czekającymi na śmierć. A w następnym momencie pomyślała, nie. Nie, jesteśmy stare. Stare, stare kobiety, spustoszone przez czas, oczekujące śmierci.

I ta myśl przyniosła inne. Lawinę innych – nie w ich liczbie, ale w ich precyzji.

Pierwszą z nich było to, że nie może tu zostać. To nie była oczywista myśl, nie dla niej. Od kiedy ojciec Purnimy ją zgwałcił, brnęła przez coś w rodzaju życia, które nie było życiem. Spadła na nią zasłona, kiedy położył dłoń na jej ustach. Otoczyła ją szarość, kiedy rozsunął jej nogi. Złamała się gałąź – gałąź, z której wyrastają wszystkie rzeczy, z której kiełkował każdy banan, każda nadzieja, każdy śmiech – kiedy patrzyła na jego twarz, widząc zarazem, choć w niewielkim stopniu, twarz przyjaciółki. Po tym wszystkim jakie miało znaczenie to, gdzie żyła, co jadła albo czy oddychała swoim gasnącym oddechem? Czy kiedykolwiek była tu jakaś różnica? Więc teraz, kiedy przyszła do niej ta myśl, że powinna odejść, że musi odejść, uświadomiła sobie ze zdziwieniem, iż znowu zaczyna żyć. To miało znaczenie. To znowu było życie.

Nadeszła druga myśl: by odejść, musi przejść obok Guru. Przypomniała sobie, jak kilka miesięcy temu jeden z klientów chciał użyć drewnianego tłuczka, a kiedy Sawitha wypadła z pokoju, przerażona, madame wepchnęła ją z powrotem do środka.

– Szkoda byłoby, gdyby twojemu ojcu ktoś wyrwał palce, prawda? Albo gdyby twoje siostry skończyły tutaj, jak ty.

Madame nie wpadła na to sama. To były pomysły Guru. Przynajmniej tyle Sawitha wiedziała. I chociaż miała niewielką świadomość tego, co działo się przez ostatnich kilka miesięcy, dochodziło do niej dość, by dostrzegła, że nie był to jedyny dom, jedyna madame czy jedyne przedsięwzięcie. Wręcz przeciwnie. Dowódcą był tutaj Guru, miał swoich poruczników jak madame oraz piechurów jak mężczyzna, który poczęstował ją herbatą, chłopiec, który dawał jej zastrzyki, dziewczynka, która ją myła, i ten ktoś, kto pojechał do Indrawalli, rozpytał wokół i upewnił się, że nikt jej nie szuka, a przynajmniej nikt nie ma pieniędzy albo władzy, albo siły (co na jedno wychodzi), żeby jej szukać.

Jej trzecia i ostatnia myśl: potrzebuję czegoś, co da mi przewagę. Na świecie było tylko kilka takich rzeczy. Pieniądzy, oczywiście, nie miała, jej jedyną umiejętnością było tkanie, ledwo umiała czytać i pisać. Została jej tylko jedna rzecz: ciało. Moje ciało, moje ciało, pomyślała, patrząc na tę zużytą łuskę dziewczyny, którą kiedyś była, pierś wciąż płaską, dłonie wciąż duże, skórę wciąż ciemną. Podeszła do lustra – małego okrągłego lustra obramowanego zielonym plastikiem, wiszącego na gwoździu na ścianie naprzeciwko łóżka. Nieraz w nie patrzyła, nieraz, ale teraz zdjęła je i przyjrzała się swojej twarzy. Jej oczy, jej wargi, jej nos. Krągłość policzków, trzepot rzęs. Przysunęła lusterko bliżej, potem odsunęła. Przechylała je, prostowała. Patrzyła. I tam, właśnie tam. Co to było?

– Stop – powiedziała głośno w pustce pokoju. – Trzymaj je tam.

Więc trzymała lusterko nieporuszona. I wtedy ją zobaczyła. Zawsze tam była? Ta lampa świecąca z wewnątrz? Jak ona przetrwała te wszystkie miesiące? Jak się tam utrzymała? Tak czy owak, była większa niż jej ciało, większa niż cokolwiek

innego. Na jej widok Sawitha się roześmiała, chyba po raz pierwszy od tamtej nocy w tkalni. Roześmiała się, gdy zrozumiała, że ta lampa należy do niej.

Przez kilka następnych dni przyglądała się innym dziewczynom z burdelu, wpatrywała się w ich twarze, ich oczy, tych, które były tu dłużej niż ona, tych, które przyszły tu ostatniego miesiąca. I żadna z nich jej nie miała. Żadna. Ich lampy zgasły. Ale jej, jej...

Więc miała dwa atuty: swoje ciało i swoje światło. Czekwała cierpliwie na swój czas. W nocie pełni księżyca patrzyła w niebo.

Zajęło jej to większą część roku, ale pewnego zimowego wieczoru, kiedy Guru przyszedł sprawdzić księgi rachunkowe, czekała na niego przed drzwiami madame. Guru opowiadał coś, że najął kogoś do księgowości, osobę godną zaufania, jak sądził, potem roześmiał się i reszta rozmowy była przytłumiona. Kiedy wyszedł, Sawitha stanęła przed nim. Guru był zaskoczony, a przynajmniej tak przypuszczała, widząc lekkie drzenie w kąciку jego warg, chociaż nie powiedział ani nie zrobił nic, co zdradzałoby jego zdziwienie.

– Czy ja cię znam?

Miał tyle dziewcząt, więcej niż mógł to spamiętać.

– Sawitha.

– Sawitha?

– Jestem tą, na którą naplułeś.

Wydawał się, że rozważa to oświadczenie, rozważa słowa i sam fakt, że je w ogóle wypowiedziano. Do niego.

– Chciałabym banana – powiedziała.

Teraz madame podeszła do drzwi. Jej oczy płonęły. Roześmiała się nerwowo.

– Dowcipna, prawda? To miłe, jak któraś z nich jest zabawna.

Sawitha mocno wsparła się stopami na podłodze. Chciała, by jej ciało było napięte jak struna. Jej oczy też płonęły. Guru wydawał się rozbawiony. Kołysał się na butach na obcasach, oko w oko z Sawithą:

– Dostajesz wystarczająco dużo ryżu.

– Tak. Ale chciałabym banana, żeby go zjeść razem z ryżem. Z ryżem i jogurtem.

Śmiał się głośno, przez dłuższą chwilę. A kiedy skończył, jego głos nagle się zniżył; zapadł się jak kamień w studni.

– Chodź ze mną. Pokażę ci, jak możesz dostać tego banana.

Weszła za nim do środka. Wyprosił madame na korytarz i zamknął za nią drzwi. Potem podszedł do biurka stojącego w środku pokoju i otworzył jedną z wielkich ksiąg ułożonych w odległym rogu. Sawitha nigdy nie widziała takiej wielkiej księgi, jej strony były wypełnione kolumnami, cyframi i wszelkiego rodzaju gryzmołami.

– Widzisz to? – zapytał, wskazując na rząd w samym środku strony. Pochyliła się. Nie, nie widziała. Dla niej to wyglądało jak przypadkowe znaki. – Tyle zarabiasz w miesiąc. A widzisz to? Te cyfry pokazują, ile mnie kosztujesz. Różnica to mój zysk. Widzisz?

Sawitha przytaknęła.

– Świetnie. Więc musisz widzieć też, że za każdego banana, którego chcesz, musisz mieć jednego klienta więcej. Jeden banan, jeden klient. Rozumiesz? – Spojrzał na nią.

Sawitha odpowiedziała mu spojrzeniem.

– Rozumiem. Chciałabym też wiedzieć, jak stąd wyjść – odparła.

Usiadł na krześle stojącym za biurkiem. Złożył dłonie. W spojrzeniu miał smutek albo może słodycz.

– Zapomnij, co mówiłem o kobiecie, która nie jest posłuszna. Najgorsza rzecz to kobieta, która wie, czego chce. – Wstał powoli i obszedł biurko. Jego obcasy stuknęły po kamiennej podłodze. – Zacznijmy od tego – podprowadził ją do łóżka stojącego w rogu pokoju. Sawitha położyła się na plecach, ale on obrócił ją na brzuch i wziął ją od tyłu. – Nie lubię twarzy.

Przez następnych kilka miesięcy Guru szukał jej za każdym razem, kiedy przychodził do burdelu. Nie zdarzało się to często, zazwyczaj księgi odnoszono do

głównego budynku, gdzie prowadzono księgowość. Gdzieś poza miastem, jak powiedziano Sawicie. Prosił o nią po imieniu.

Za każdym razem pytał, ile bananów zarobiła w miesiącu. Sześć, odpowiadała, albo pięć. Tak bardzo je lubisz? – pytał. Pozwalają mi zapomnieć, odpowiadała. Zapomnieć o czym? Sawitha tylko uśmiechała się i płonęła coraz jaśniej.

Na wiosnę tego samego roku Guru wezwał Sawithę do biura. Minęły już prawie dwa lata, odkąd opuściła Indrawalli. Tym razem, gdy rozejrzała się po pokoju, zobaczyła, że księgi zniknęły, był tylko on, siedzący za biurkiem, czekający.

– Siadaj – rozkazał. A gdy usiadła, powiedział: – Jest pewien saudyjski książę.

– Saudyjski?

– To taki kraj.

– Czy to jakaś opowieść?

– W pewnym sensie. Tak, to jest opowieść. On chce kupić dziewczynę. Młodą, ale nie za młodą. Mogłabyś się nadać.

Sawitha słuchała.

– Lakh rupii. Podzielimy się na pół. Spędzisz tam rok lub dwa i będziesz wolna.

Oczy Sawithy się rozszerzyły. Pięćdziesiąt tysięcy rupii! Mogłaby wydać za mąż wszystkie siostry, mogłaby kupić dom rodzicom, pałac! Ale zaraz... Dlaczego on miałby się podzielić z nią pieniędzmi? Dlaczego miałby dać jej choćby jedną pajkę?

– Chodzi o to... – ciągnął z wahaniem Guru, chociaż Sawitha nigdy wcześniej nie widziała, żeby się wahał. – Chodzi o to, że on ma dość ciekawy gust.

– Jaki?

– Lubi amputowane.

– Co to znaczy „amputowany”?

– To ktoś, kto nie ma kończyny.

Sawitha pokręciła głową zdezorientowana.

– Ale ja mam wszystkie kończyny.

Spojrzał na nią. Długim, okrutnym spojrzeniem.

– Nie. – Roześmiała się. Zmroziło ją, gdy zrozumiała, co Guru sugerował. – Nigdy.

Ale on dalej patrzył. Czekał. Zerwała się, oddychając z wysiłkiem.

– Jesteś dla mnie warta ćwiartkę tego – rzekł. – Powiedzmy, dwadzieścia pięć tysięcy. Czy wiesz, jak długo zajmie ci, żeby się stąd wykupić?

Sawitha pomyślała o księgach, o znakach, o figurach. Pomyślała o tym, ile kosztuje banan.

– Nie obchodzi mnie to. Nie jestem...

– Więc pytanie jest takie – przerwał jej Guru – czy chcesz być warta dla mnie tyle, ile jesteś, czy chcesz być warta więcej?

Wydawało się, że nie ma ważniejszego pytania na świecie.

Sawitha spojrzała na swoje dłonie – jakby prorocza w tym spojrzeniu – i zapytała:

– Która kończyna?

– Którakolwiek. Załóżmy, że ręką. Nieważne która. Ty wybierasz.

Operację zaplanowano na dwa dni później, ale potem przesunięto ją o dzień wcześniej. Mniej czasu na zmianę decyzji, pomyślała Sawitha. Nie zważając na to, leżała w łóżku całą noc, przytulając lewą rękę, pozwalając, by wędrowała po grzbietach jej ciała. Jak oni mogą zabrać rękę? Jak ręką może być zabrana? – myślała. Dłoń, palce, półksiężycy na ich czubkach. Ciepło krwi pod skórą, już stłumione, stracone. Krańce ciała równie piękne jak jego bijące centrum. Zdecydowała w tym momencie, stanowczo, leżąc w łóżku, nie, nie zrobię tego, nie pozwolę im. Ale potem spojrzała w ciemność pokoju, w mroczną niepamięć jej wciąż czekających sióstr, ich wciąż czekających posagów, wiedząc, że to zrobi. Wiedząc, że musi to zrobić. Pozwoli im ją kupić – jej rękę; nie zostało jej nic innego do sprzedania.

3

Nazywali to znieczuleniem ogólnym, ale Sawitha odczuła je tak, jakby zgasło światło, jakby noc uderzyła w nią jak kowadło. Kiedy się obudziła, kikut jej lewej ręki był zabandażowany.

Doktor promieniał z dumy, gdy mówił:

– Najczystszy, jaki kiedykolwiek widziałem. Wygląda nieomal ładnie.

Gdy zdjęto bandaż, Sawitha usiadła w swoim pokoju i wpatrywała się w kikut. Co oni zrobili z moją dłonią? – myślała. Dokąd ją zabrali? Jeśli ktoś zapłacił za kikut, to może ktoś inny zapłacił za dłoń?

Tak czy owak, w końcu, uświadomiła sobie, w końcu to wszystko musiało sprowadzić się do ciała.

Powstrzymała łzy. Już nigdy nie usiądzie przy krosnach albo przy ćarkhce . Ale dlaczego właściwie miałyby to robić? Z pięćdziesięcioma tysiącami rupii będzie mogła kupić wszystkie ubrania na świecie. Jedwabie i szyfony, i sari ze złotym *pallu*. Sari, jakich nigdy wcześniej sobie nawet nie wyobrażała, a jakie teraz będzie mogła kupić w prezencie ślubnym siostrze. Z tą myślą sięgnęła do poduszki i wyjęła niedokończone sari Purnimy. Przytuliła je do piersi, schowała głowę w jego fałdach. Dlaczego miałyby się smucić? To tylko dłoń. Wyobraź sobie zaskoczenie nanny. Wyobraź sobie jego radość. Te wszystkie pieniądze. A jednak, a jednak wiedziała, że ten kawałek sari, który teraz przytulała do siebie – ta wiedza ukryta w grocie jej serca, w cichej zatoczce, dokąd docierały tylko ciemniejsze wody, te spokojniejsze – był najprawdziwszą ofiarą. Jakie miały znaczenie te, które pojawią się w przyszłości? Jakie to miało dla niej znaczenie? Jakie miało znaczenie to, że kiedyś, dawno temu, linia błękitnej nici spotykała się z linią czerwoną i razem płynęły w czymś pięknym. W czymś odważnym.

Podniosła głowę i dostrzegła wilgoć. Płakała. A bawełna, jak to bawełna, wchłonęła jej łzy.

Sawitha czekała, aż przyślą bilet do Arabii Saudyjskiej. Próbowwała znaleźć mapę, ale nie mogła. Kiedy zapytała madame, gdzie to jest, ta odparła, że na pustyni. Więc Arabia Saudyjska leżała blisko Radżastanu. Nie tak daleko. Choć przyszło jej na myśl, że daleko byłoby najlepszym miejscem na świecie. Żle zrobiła, wracając do Widżajawady, gdzie wciąż, gdy wiał odpowiedni wiatr, mogła poczuć zapach wód Krysny. Pogrążał ją w przerażającym, kamiennym zrozumieniu, jak bardzo nie dała sobie rady, jak bardzo wykoleił się jej los: w sumie odeszła od Indrawalli ze dwadzieścia kilometrów. Co by się z nią stało, gdyby pojechała do Puny? Spojrzała na puste miejsce na końcu lewej ręki i pomyślała, czy wciąż miałabym ciebie? Ale teraz jedzie znacznie dalej, a żeby pojechać tak daleko i potem wrócić, z pieniędzmi, trzeba zrobić to, co wrona powiedziała jej tamtego dawnego dnia: pozwól, żeby cię zjedli, pozwól, ale pamiętaj, by potem ich zjeść od środka.

Pieniądze. Pieniądze pozwolą ci ich zjeść od środka.

Nie była już traktowana jako jedna ze zwykłych prostytutek, stała się jedną z tych specjalnych. Co to oznaczało? Sawitha nie była całkiem pewna. Po pierwsze, nie miała już tak wielu klientów, przede wszystkim dlatego, jak się okazało, że fascynacja osobami po amputacji nie była powszechna; większość mężczyzn wolała którąś z dziewcząt z dwiema całymi rękami. Mimo to klienci naprawdę płacili więcej i byli znacznie bardziej rozmowni niż przedtem, jakby jej brakująca ręka stała się kosztownym tematem do rozmów, jakby udzieliła jej dodatkowej zdolności rozumienia ich najgłębszej istoty, ich najmroczniejszych lęków. Sawitha chętnie słuchała. W rzeczywistości stała się tak dobrą słuchaczką, że mogła wyczuć smutek mężczyzny – jego źródło – w chwili gdy wchodził do pokoju. To było łatwe. Mężczyzna, który miał swarliwą żonę, wchodząc, trzymał głowę nienaturalnie wysoko. Mężczyzna, którego w dzieciństwie nie kochano, czekał, aż ona się pierwsza odezwie. Mężczyzna, który nie miał pieniędzy – który

prawdopodobnie ostatnie środki wydawał na nią – trzymał się klamki dłużej, niż powinien.

Raz miała klienta, który wyznał jej, że był w więzieniu. Za to, że zabiłem brata, dodał, choć nic więcej o tym nie powiedział. Ale opisał jej, jak po trzecim roku spędzonym w więzieniu uciekł i żył jako zbieg przez ponad dwadzieścia lat. W dżungli, w Meghalaji. Opowiadał, że był rozpieszczonym najstarszym synem w bogatej rodzinie. Handlarzy pszenicą. Nie miałem pojęcia, jak ugotować ryż, a co dopiero mówić o życiu na odludziu. Ale nauczył się, jak odnaleźć się w lesie, co więcej, zaczął uświadamiać sobie pewne rzeczy.

– Na przykład? – zapytała Sawitha.

Ale w tym momencie opowieści zamilkł. Sawitha czekała. Patrzyła na niego. Nie wyglądał jak zbieg, chociaż nie miała pojęcia, jak zbieg wygląda. Spodziewała się, że będzie miał dziki wygląd, w jakiś sposób nawiedzony, ale ten mężczyzna sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego, nawet zadowolonego, jakby właśnie odbył odświeżającą kąpiel i zjadł dobre śniadanie.

Siedzieli w milczeniu prawie dziesięć minut; w końcu ten mężczyzna, o siwiejących włosach i ciemnych oczach – tunelach, które po chwili stawały się gładkimi zboczami urwisk – rzekł:

– Podczas piątego roku w lesie zrozumiałem, że już nic nie czuję. Nie chodzi tylko o to, że nie czułem bólu, samotności czy pożądania. Ja nawet nie czułem własnego serca. Rozumiesz? Ono biło, ale równie dobrze to mógł być kamień bijący o inny kamień. – W jedenastym albo w dwunastym roku, powiedział, nie był już człowiekiem. – Mogłem złapać zwierzę w pułapkę czy za pomocą prymitywnego łuku i zabić je bez żadnej myśli. Zadusić je, złamać mu kark, patrząc mu w oczy, i mimo to nic nie czuć. Nawet nie mieć poczucia zwycięstwa. Gołą ręką miażdżyłem mu głowę, jakbym miażdżył orzechy.

Gdy zbliżał się dwudziesty rok, nie pamiętał już innego życia niż życie zbiega. Choć miał jakieś niejasne wspomnienia z czasów, zanim nim się stał. Mętne

wspomnienia z pobytu w więzieniu jeszcze bardziej mętne z bycia synem, z bycia bratem.

– To było tak, jak gdyby... – powiedział – tak, jakbym po to się urodził: by stać się zbiegiem. Nie, nie całkiem tak. Jakbym urodził się zbiegiem. Rozumiesz?

Tym razem Sawitha zrozumiała, trochę.

– Co jakiś czas spotykałem innych zbiegów. Czasami ludzi z plemion. Ale na ogół zostawiali mnie samego. Nie zadawali żadnych pytań. Pytania zadaje się żywym, a oni widzieli jasno, że jestem martwy. Kiedy zaczynał się mój dwudziesty czwarty rok – ciągnął – zacząłem mówić do świata. Nie po prostu mówiłem, ale rozkazywałem. Mogłem rozdzielać chmury. Mogłem sprawić, że ryby do mnie płynęły, wpływały mi w dłoń, w której nie miałem nic poza pragnieniem. Mogłem powstrzymać wiatr. Pamiętam jedną noc, głęboko w lesie. W okolicy nie było żadnej strażnicy, żadnej wioski, nawet najmniejszej. Spałem i obudził mnie dziwny szelest. Kiedy usiadłem i rozejrzałem się wokół, zobaczyłem kobrę. Patrzyła prosto na mnie. Zrobiłem sobie coś w rodzaju toporka, więc sięgnąłem po niego. Ale kobra była szybsza. Złapała mnie w chwili, kiedy dotknąłem narzędzia, i powiedziała, „Nie możesz mnie zabić dwa razy”, i wtedy zrozumiałem, że to jest mój brat. Powiedział: „Dowiedz się czegoś dla mnie”. Czekałem. Myślałem, że będzie chciał wiedzieć, czy nasi rodzice mają dobrze, czy los i przypadek były ze sobą w starciu, czy w zмовie, czy nasz krąg cierpienia kiedyś naprawdę się skończy, ale kobra rzekła: „Dowiedz się, jaka jest głębokość dna lasu”. „Głębokość?”, zapytałem. „Tak. Wiesz, ja sam próbowałem. Próbowałem się dostać na sam dół, w końcu to jest to, co my, węże, stale robimy. Ale nie mogę znaleźć dna. Jakbym wciąż mógł iść głębiej i głębiej, i głębiej. Może ono w ogóle nie ma końca? Ale przecież musi być. Może dochodzi do jądra ziemi, a może nawet gdzieś, gdzie jest jeszcze ciemniej. Albo goręcej. Nie sądzisz?” „Nie, nie sądzę”. „Ja też tak nie sądzę”, rzekła kobra i wyślizgnęła się w las. – W tym momencie ten mężczyzna, mężczyzna, który wyraźnie nie był już zbiegiem, kiedy tak siedział w pokoju Sawithy, spojrział na nią, być może po raz pierwszy. – Wtedy wyszedłem z puszczy. Następnego ranka. Bo wiesz, kobra nie

chciała odpowiedzi. Kobra nie chciała niczego, a na pewno nie chciała znać głębokości dna puszczy. Chciała mi objawić, że nie ma końca winy, nie ma końca kosztów, które płacimy, że jesteśmy puszczą, a nasza świadomość, nasze piekło to jej dno.

Spojrzał na nią. Pomyślała, że on może czeka, by ona coś powiedziała, ale nie, on po prostu na nią patrzył.

– Tego ranka poszedłem do najbliższej strażnicy. Dokładnie tego ranka. Wszedłem tam i powiedziałem im, kim jestem i co zrobiłem. Na początku mi nie wierzyli. Jakiś facet, który mówi im, że żył w puszczy dwadzieścia lat. Dlaczego mieliby uwierzyć? Nie przypuszczali, że to w ogóle możliwe. Ale po krótkiej rozmowie między sobą wzięli mnie na posterunek w Śilangu. I tamci musieli gdzieś zadzwonić. Więc zadzwonili na policję w Gunturze, ale tam im powiedzieli, że stary gmach sądu, gdzie były przechowywane wszystkie akta spraw karnych, spłonął dawno temu, lata temu, i że ich akta z tego czasu, umieszczone w pudełkach w zatęchłym pokoju na zapleczu, zostały zżarte przez szczury, więc tak naprawdę nigdzie nie ma żadnego śladu o mnie. Nigdzie. Policjant odłożył słuchawkę, spojrzał na mnie i opowiedział wszystko, co mu powiedziała policja z Gunturu, nieomal przeprasząc. A potem oświadczył, że jestem wolny.

– I co wtedy zrobiłeś? – zapytała.

– Wróciłem do domu – odpowiedział. – Ale moi rodzice już nie żyli. Serce im pękło, mówili niektórzy. Ludzie chcą w takie rzeczy wierzyć. To bardziej romantyczne. Gdybym to ja miał zgadywać, powiedziałbym, że mój ojciec umarł z wściekłości, a matka z nudów. Pod koniec życia byli bezdziejni, oni, którzy mieli przecież dwóch synów. Chciałbym móc ich za to przeprosić. Przeprosić za wiele rzeczy. Ale oni też musieli szukać dna puszczy.

W tym momencie były zbieg, który teraz był klientem i który jeszcze nie dotknął Sawithy, twarz miał spokojną jak ciche jezioro, zapytał:

– Więc jak straciłaś dłoń?

Bilet do Arabii Saudyjskiej nigdy nie przyszedł. Trzy miesiące po operacji Guru wezwał Sawithę do biura i powiedział, że księżę znalazł kogoś odpowiedniejszego. Odpowiedniejszego? – spytała Sawitha. Co znaczy „odpowiedniejszego”?

– Widać chodziło o brak nogi.

– Powiedział ci to?

– On mi nic nie powiedział. Wiem to od jego ludzi.

Jej lewa dłoń – fantom, który cały czas czuła – zacisnęła się. Zasysała fantomową krew.

– A co z pieniędzmi?

– Zapomnij o tym nędznym lakhu. Mam lepszy interes na oku.

Sawitha siedziała przy jego biurku, ale czuła, że się zapada. Była zmęczona. Była zmęczona interesami. Każdy moment w życiu kobiety jest interesem, w którym stawka to jej ciało: najpierw jego rozkwit, potem jego wędnięcie, najpierw jej krwawienie, potem jej dziewictwo, potem jej ciąży (liczą się jedynie synowie), aż wreszcie jej wdowieństwo.

– Ale to jest dalej – dodał, obracając długopis w dłoni.

Czekała, aż jej wyczerpanie, jej rozpacz miną. A potem rzekła:

– Dalej jest lepiej.

– Pierwsza rzecz do załatwienia to wiza tymczasowa. Potem wymyślą jakiś sposób, żebyś tam została. Albo możesz wrócić, jeśli chcesz.

– Po co oni mnie chcą? – zapytała, bojąc się odpowiedzi.

– Żebyś sprzątała w domach. W mieszkaniach. Widać muszą płacić tamtejszym sprzątaczkom tyle, że bardziej im się opłaca kupować je stąd.

– Ale jak ja... – zaczęła, ale Guru przerwał jej, zanim zdążyła dokończyć:

– Powiedziałem im, że pracujesz dwa razy szybciej.

– Gdzie?

– Ameryka. Jakieś Sattle. I dobre pieniądze.

W przeciwieństwie do Arabii Saudyjskiej wiedziała, co to Ameryka. Każdy to wiedział. I to było rzeczywiście daleko. Bardzo, bardzo daleko. Po drugiej stronie ziemi, jak ktoś kiedyś powiedział.

– Ile?

– Dwadzieścia tysięcy. Dziesięć dla ciebie, dziesięć dla mnie.

– To prawie nic! Sam powiedziałaś, że jestem więcej warta!

Guru odłożył długopis. Odchylił się na krześle i uśmiechnął:

– Dolarów, moja droga. Dolarów.

Ale dlaczego Guru miałby podzielić się ze mną pieniędzmi? Dlaczego w ogóle miałby to zrobić? To była pierwsza rzecz, która przemknęła jej przez głowę, gdy siedziała naprzeciwko niego, obserwując skąpstwo w jego oczach. Druga myśl szepnęła: oczywiście, nigdy się nie podzieli. A jednak tym, co ją obchodziło w tym momencie, nie było to, że on kłamie, to naprawdę nie miało znaczenia, ani to, że tak dużo czasu jej zajęło, by jego kłamstwa dostrzec, ale to, że ona, ona sama powiedziała słowo „warta”.

Jak Sawitha się dowiedziała, kupił ją jakiś człowiek mówiący w telugu. W tym mieście w Ameryce miał setki mieszkań, kilka restauracji, a nawet kino. Może w końcu uda mi się pójść do kina, pomyślała nie z ekscytacją czy goryczą, ale z jakimś rodzajem wstydu. Musiałaby zawsze siedzieć po lewej stronie Purnimy, żeby w czasie strasznych scen mogły trzymać się za ręce. Ten człowiek w Ameryce miał dwóch synów i córkę. Córka wyszła za mąż za doktora, za sławnego doktora, który sprawiał, że piersi kobiet stawały się większe, a nosy mniejsze. Sawitha nigdy nie słyszała o czymś takim, nigdy nie wiedziała, że są

lekarze, którzy robią takie rzeczy, ale zastanawiała się, czy dodatkowe kawałki nosa szły do tego samego miejsca, gdzie jej dłoń, i czy dodatkowe kawałki piersi też stamtąd pochodzą. Obaj synowie pomagali ojcu w prowadzeniu biznesu i Sawitha nie wiedziała, czy mają żony. Nowy właściciel Sawithy miał żonę – pochodziła z Widżajawady, dzięki czemu poznali Guru – nadzwyczaj pobożną. Zajmowała się dobroczynnością w całym mieście, dawała pieniądze biednym i chorym, a co roku przekazywała dziesięć lakhów rupii dla świątyni Kanaka Durgi wraz z nowymi złotymi ornamentami dla bóstwa.

Na tym interesie Guru zarobi trzynaście lakhów rupii. Takiej sumy Sawitha nie mogła sobie nawet wyobrazić i uśmiechnęła się wraz z nim, gdy powiedział:

– Moglibyśmy kupić Indrawalli, ty i ja.

Po chwili zapytała go, dlaczego ona, dlaczego ktoś z jedną ręką, dlaczego nie inna dziewczyna z dwiema dłońmi, każda z pewnością zgodziłaby się pojechać do Ameryki i z pewnością byłaby lepszą sprzątaczką. Oczy Guru się zaświeciły:

– Na tym polega całe piękno tej transakcji – odpowiedział. – Tylko ty możesz jechać.

Najwyraźniej to wszystko miało coś wspólnego z tym, o czym Guru wspomniał wcześniej, z tym, co nazywało się wiza. Były różne rodzaje wiz, takie, które pozwalały pojechać do danego kraju, takie, które pozwalały tam pracować, a jeszcze inne umożliwiały studia. I był jeszcze jeden rodzaj – na leczenie.

– Jakie leczenie? – zapytała Sawitha.

– To, które przejdiesz – powiedział Guru. – Przynajmniej tak będą mówić. Każdemu urzędnikowi, który o to zapyta.

Potem skinął głową w kierunku spoczywającego na jej kolanach kikuta lewej ręki.

– Powiedzą, że jedziesz do Ameryki na specjalną operację, którą można przeprowadzić tylko u nich. Jeden lekarz tu, drugi lekarz tam, może ich zięć, poręczy za konieczność leczenia w Ameryce. A gdy już się tam znajdziesz, reszta będzie prosta.

– Ale przejdę operację? Dadzą mi nową dłoń?

Popatrzył na nią, jakby czegoś nie rozumiał, może nawet ze śladem pogardy.

– Oczywiście że nie, głupia. Nie będzie żadnej operacji. Jedziesz sprzątać domy.

Więc jedzie sprzątać domy. W porządku. To było lepsze niż spanie z mężczyznami. Ale coś z tego, co Guru powiedział, odbijało się w niej echem. Nie, echo oznaczałoby, że słyszy jego głos. A tak nie było. To był jej głos, który powtarzał raz za razem: tylko ty możesz jechać.

Tylko ty możesz jechać. Co oznaczały te słowa? Oznaczały dokładnie tyle: ze wszystkich dziewcząt w domach Guru tylko ona może jechać. Dlaczego? Bo jest jedyną, która nie ma dłoni – inne mogą być ładniejsze, silniejsze, słodsze, mogą mieć jaśniejszą skórę, większe piersi, dłuższe i gęstsze włosy, bardziej krągłe i pełniejsze biodra, ale tylko ona może jechać.

Ale co to znaczy?

Sawitha się uśmiechnęła.

Oznaczało to, że ma kartę przetargową. Oznaczało to, że ma władzę.

– Nie jadę – powiedziała do Guru tydzień później.

Oczy rozszerzyły mu się w lekkim popłochu. Zaśmiał się nerwowo.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie jedziesz? Pomyśl o tych wszystkich pieniądzach!

– Właśnie o nich myślę.

Jest zwierzęciem czającym się w ciemności, pomyślała. Jego oczy przeczesywały nocną puszcę w poszukiwaniu ruchu, dźwięku.

– Boisz się, że ci ich nie dam? Jak możesz? To normalne, że nie dostaniesz pieniędzy, dopóki tam nie dojedziesz. Wtedy wystawię fakturę. To jest jak z towarami, rozumiesz?

To nie jest jak z towarami, pomyślała.

– Pojadę pod jednym warunkiem.

Teraz się odprężył, oparł na krześle. Uniósł dłoń w geście szczodrości.

– Moje małe siostry. Chcę, żebyś dał moim rodzicom dość pieniędzy na ich posagi. Chcę, żebyś dał im dość pieniędzy na nowy dom. Chcę, żebyś dał im dość pieniędzy na resztę ich życia.

Ryknął śmiechem. Ona siedziała zupełnie nieruchomo. Spojrzał na jej twarz, a potem na siłę, z jaką trzymała kikut na kolanach, i jego śmiech ucichł.

– Zgoda.

– Chcę, żebyś to zrobił, zanim wyjadę. I nie chcę, żeby wiedzieli, że ja mam cokolwiek z tym wspólnego.

Skinął głową.

– I jeszcze jedna rzecz – dodała. – Chcę, żebyś wynajął mi samochód.

– Po co?

– Ponieważ, kiedy powiesz, że to zrobiłeś, chcę się o tym przekonać na własne oczy.

Pojechała tam w środku nocy. Poprosiła kierowcę, żeby podjechał do Old Tenali Road, a potem kazała mu się zatrzymać kilkaset metrów przed chatą jej rodziców. Jak się o tym przekonam? – zastanawiała się. Jak się dowiem, czy on dał im pieniądze? Wystarczy, że spojrzę na wiszący kosz na warzywa, pomyślała.

Wspięła się na śmierzący pagórek, trzymając się z dala od głównej drogi, by jej nikt nie zobaczył, i ruszyła ścieżką, obchodząc chaty z tyłu.

Z oddali wynurzyła się Indrawalli Konda. Świątynia unosiła się w samym jej środku, samotne, bijące serce. Jej kolory zmieniały się w świetle księżyca, zgodnie z jego przebłyskami: maślanka, pumeks, potem macica perłowa, a potem morska piana. Dipa była zgaszona, więc reszta góry, jej zarysy zatracaly się w niebie. Kiedy przeszła obok jednej z chat, śpiący pies obudził się na odgłos jej kroków i zawarczał w noc. Wynędzniały kozioł, przywiązany do wynędzniałego drzewa, zamarł w przerażeniu.

Księżyc był już wysoko, kiedy w końcu dotarła do chaty rodziców – chaty, w której ona, wszyscy jej bracia i siostry się urodzili – przekradła się cicho z tyłu, chcąc tylko zerknąć do środka, ale nie musiała. Chata była pusta.

Ona też zamarła. A potem uciekła. W dół wzgórza. Oddech walił pięścią w jej ciele. Kiedy biegła, wszystkie myśli w jej głowie zbiegały się w jednym punkcie: nie żyją, zabili ich, żeby im nie płacić.

Z hukiem zatrzasnęła drzwi, gdy wsiadła do auta. Kierowca drgnął, obudzony.

– Zapytaj! Idź i zapytaj! – zasyczała. – Zapytaj, co się stało!

Przeklął swój pech, który kazał mu być dzisiaj w nocy na służbie, a potem ruszyli w kierunku autostrady. Była tam herbaciarnia, wciąż otwarta. W środku, za fałszywymi drzwiami, sprzedawano whisky i bimber.

– Wściekła suka – wymruczał.

Wysiadł, zadał kilka pytań i wrócił do samochodu.

Siedziała pochylona na tylnym siedzeniu, żeby nikt jej nie zauważył, ale – gdy wsiadł – nieomal stanęła na baczność, jak sprężyna.

– I co powiedzieli? Co?

– Przenieśli się – odparł, zapach whisky napełnił przód auta, a potem jego tył.

Zapуścił motor. Znowu pojechali, tym razem dalej Old Tenali Road, do drugiej części wioski. Dosłownie kilka minut drogi dalej, a domy już były bogatsze, większe, niekryte strzechą, z betonu. Zatrzymał się na końcu drogi, którą Sawitha tylko przechodziła, nawet nie znając nikogo dostatecznie bogatego, kto mieszkałby w jednym z tych domów z dhabą.

– Ten – powiedział kierowca, pokazując na trzeci dom z lewej strony, pomalowany na różowo, zielono i żółto, z wiecznie zielonymi liśćmi mangowca rozciągającymi się nad frontowymi drzwiami.

Furtka była zamknięta, więc Sawitha stanęła na zewnątrz i zobaczyła postać śpiącą na werandzie, na konopnej pryczy, nakrytą cienkim kocem. Przez otwarte drzwi było widać trzy inne postaci śpiące na łózkach. Na łózkach!

Kiedy wróciła do samochodu, powiedziała:

– To nie oni. W domu są tylko cztery osoby.

– Twoja siostra już wyszła za mąż. W zeszłym tygodniu.

– Wyszła za mąż?

Powiedziała mu, żeby poczekał jeszcze chwilę, i wróciła pod furtkę. Przyglądała się ciemnemu wnętrzu werandy, bogatej światłem księżycą marmurowej podłodze, śpiącym postaciom – cały czas sceptyczna. Przemknął lekki wietrzyk i w jego poszumie jedna ze śpiących postaci na werandzie odrzuciła koc. I w tym momencie zobaczyła palce – powykrzywiane, szlachetne i urzekające, bardziej piękne niż ułomne. I wtedy już wiedziała.

Kierowca skręcił w stronę Widzajawady, ale ona kazała mu zawrócić – było jeszcze jedno miejsce, w które musiała pojechać. Westchnął głośno, kierując samochód z powrotem. Purnima jest już mężatką, tego Sawitha była pewna. Pomyślała mętnie, czy nie kazać kierowcy zawieźć się do Namburu, ale nie wiedziała, gdzie ona dokładnie mieszka, nie wiedziała nawet, czy w końcu wyszła za tego chłopca.

Ale chata była wciąż taka sama. Ta sama strzecha, ta sama brudna podłoga, te same zakurzone i karłowate drzewa. Cztery małe figurki spały na podłodze, na tych samych matach, pod tym samymi cienkimi prześcieradłami i tymi samymi samotnymi ścianami majaczącymi nad nimi, nędznymi nawet w świetle księżycy. Inna, większa postać spała na pryczy i Sawitha odwróciła od niej oczy, pozwalając im zatrzymać się przez moment na tym, co stało bliżej niej – na tkalni. Spojrzała na nią z nagłym wzruszeniem, może nawet z tęsknotą za tym, co tam zostawiła, a potem odwróciła się do kierowcy i powiedziała:

– Jedziemy.

Wyjechała do Ameryki dwa miesiące później. Wszystkie konieczne dokumenty zostały sporządzone w obecności świadków, uwierzytelnione przez notariusza, przez odcisk jej palca i na wszystkie inne sposoby, o których Sawitha nigdy wcześniej nie słyszała.

Guru zabrał ją do Cennaju i odtąd miała jej towarzyszyć jakaś starsza kobieta, udając jej matkę. Prawdopodobnie faktycznie była w wieku jej matki, może nawet odrobinę starsza. Sawitha nigdy do końca nie zrozumiała, kim ona była i jaki miała związek z ludźmi z Ameryki, dlaczego zgodziła się jej towarzyszyć, ale na swój sposób to był idealny wybór: była tęga, miała na sobie proste, skromne sari, choć nadzwyczaj pięknie utkane, okrągłe okulary nadawały jej poważny i – co ważniejsze – zatroskany wygląd, a to było dokładnie tym, co powinna czuć matka do ukochanej córki jadącej przez pół świata na operację ręki.

W Cennaju rękę Sawithy włożono w gips, aby nikt nie zobaczył, że kikut już zupełnie się zagoił, a potem wsiadły do samolotu. Guru wyjaśnił Sawicie: będzie podróżować do Ameryki długim autobusem, który może latać w powietrzu. Była zdezorientowana i pozostała w tym stanie nawet wtedy, gdy samolot kołował w kierunku pasa startowego. I potem: wzniósł się w powietrze.

Starsza kobieta, która miała być jej matką, siedziała obok niej. Właściwie nie rozmawiała z Sawithą, ograniczając się do skinięcia głową, kiedy się pierwszy raz spotkały, a teraz, w samolocie, włożyła sobie do uszu coś, co wyglądało jak małe kłębki bawełny z wychodzącymi z nich drucikami, i wydawała się zupełnie pogrążona w myślach albo spała, a może po prostu źle się czuła – jej oczy zamknęły się w momencie, gdy obie usiadły. Sawitha pomyślała, że może przechodziła zapalenie ucha. Jedna z jej siostr miała skłonności do zapaleń ucha,

gdy była małym dzieckiem, i wciąż musiała nosić wciśnięte w uszy kłębki bawełny nasączone olejem kokosowym, które miały zmniejszyć jej ból i płacz. Ale teraz, kiedy samolot wznosił się w powietrze, Sawitha złapała kobietę za rękę i patrzyła z obłędem w oczach to na nią, to na okno, to znowu na nią. Samolot wznosił się wyżej i wyżej, a Sawitha starała się powstrzymać rozpedzone serce. Kobieta otworzyła oczy, spojrzała na swoją rękę, drugą wyjęła jeden z kłębków bawełny z ucha i strząsnęła dłoń Sawithy, jakby to była mucha. A potem powiedziała bez śladu uśmiechu, jej telugu miało lekki tamilski akcent:

– To najlepsza część. Ciesz się nią.

Co chciała przez to powiedzieć? Że to najlepsza część lotu samolotem czy że to najlepsza część z tego, co ją czeka? Może miała na myśli wszystko: lot, to, co nadejdzie, i to, co już nadeszło.

Tak czy owak, po kolejnej godzinie przyglądania się bez mrugnięcia okiem każdej chmurze unoszącej się w owalnym okienku Sawitha oparła się o siedzenie i głęboko zasnęła.

Kiedy wylądowały na Heathrow, pierwszą rzeczą, którą Sawitha zauważyła, było to, że niczym tu nie pachniało, zupełnie niczym – jakby żadne zwierzę tu nigdy nie przechodziło, żaden kwiat nigdy nie zakwitł. A potem poczuła zimno. Jakby wylewało się ze ścian, unosiło z podłogi. Zapytała kobietę, czy są już w Ameryce. Ta odpowiedziała: nie, jesteśmy w Anglii. Czemu się zatrzymałyśmy, zapytała Sawitha. Bo to jest w połowie drogi między Indiami a Ameryką, odparła. Usiadły w terminalu transferowym, który w oczach Sawithy wyglądał jak długi zatłoczony pokój z rzędami pomarańczowych krzeseł. Było też tam kilka sklepów oświetlonych tak jasno, że ją to przerażało. Siedziała na jednym z pomarańczowych krzeseł i patrzyła na pasażerów czekających na kolejny lot. Oni też ją przerażali. Zauważyła kilku Indusów, ale inni otaczający ją ludzie – śpiący, jedzący, czytający czy rozmawiający – wydali jej się olbrzymami. Wysocy, ociężali i tłuści. Niektórzy z nich byli bladzi, inni opaleni i czerstwi, ale wszyscy górowali nad nią, nawet nad kobietą, która udawała jej matkę. Skąd oni pochodzili? Dokąd jechali? Sawicie wydawało się, jakby cały świat był pełen tych

olbrzymów, nagle i że ona, ta starsza kobieta, Indrawalli i Widżajawada były tylko ich zabawkami, trzymanymi w zamkniętym pudełku w góręszej części świata.

Potem weszły na pokład kolejnego samolotu, znowu płynęły godziny, podczas których Sawitha budziła się i mrugała w ciemność samolotu i w ciemność świata na zewnątrz. Myślała, że może już umarła, że może na tym polega życie po śmierci: w długim autobusie wszyscy jechali do tego, co na nich czeka, czymkolwiek to było, a wokół nich i poza nimi trwał tylko bezruch, gwiazdy, a znacznie, znacznie niżej jakaś ogromna przesuwająca się masa, czasami biała, czasami szara, a potem znowu czarna, odbijająca gwiazdy, ale ciemniejsza, bardziej gniewna niż jakiegokolwiek nocne niebo; i kiedy pokazała to kobiecie i przerażona zapytała ją, co to jest, ta, nawet nie wyjmując bawełnianych kulek, ledwie zerknęła przez okno i zamykając znowu oczy, odparła:

– Woda.

Wylądowały następnego ranka albo w czasie, o którym Sawitha przypuszczała, że jest porankiem, bo kobieta powiedziała: idź umyj zęby. Tym razem kiedy Sawitha zapytała, czy to jest Ameryka, kobieta odparła, tak.

Były na JFK.

Stały w jednej długiej kolejce, potem w drugiej. Potem znowu usiadły w innym terminalu transferowym, tym razem z niebieskimi krzesłami. Poza tym hala była dokładnie taka sama jak poprzednia: ten sam brak zapachu, to samo zimno, ci sami olbrzymi ludzie.

– W jakim mieście jesteśmy? – zapytała Sawitha. – W Sattle?

– Nie – odpowiedziała kobieta. – W Nowym Jorku.

Potem kazała jej siedzieć tutaj, nie ruszać się z miejsca, a sama poszła zadzwonić. Sawitha widziała ją z oddali, jak stała przy słupie z przyczepionym do niego telefonem. Kobieta włożyła coś do aparatu, nacisnęła kilka guzików i zaczęła mówić.

Sawitha odczuwała mdłości, a może po prostu samotność, więc zamknęła oczy i starała się myśleć o Purnimie, swoich siostrach i ojcu, o czymkolwiek, co

pachniało, co mogła wąchać. Kręciło jej się w głowie i była tak zmęczona, tak ogołocoła z pamięci, że nie mogła sobie nic przypomnieć. Zupełnie nic. Pochyliła się, otworzyła walizkę, którą dał jej Guru, by miała w co zapakować kilka swoich rzeczy, wyjęła niedokończone sari Purnimy i przyłożyła je do nosa. Wciągnęła powietrze. I tam, choć przebyła całą tę drogę na drugą stronę ziemi, był zapach krosien. Zapach jego bidła. Zapach skrobi ryżowej używanej do zwilżania nici, zapach ćarkhy, zapach skaleczonych o wrzeczono palców, przesycony kurkumą, solą i ziarnami gorczycy. I tutaj, tutaj był zapach Indrawalli Kondy, zapach dipy, wolno płonącego oleju oblewającego zanurzony w nim knot jak deszcz, jak burza. Zanurzyła twarz jeszcze głębiej i poczuła zapach Krysny szukającej sobie drogi przez góry, przez doliny aż do morza.

Kiedy podniosła głowę, jakaś kobieta siedząca naprzeciwko przyglądała się jej uważnie.

Sawitha odwróciła wzrok, ale nieznajoma wciąż na nią patrzyła.

Wyglądało na to, że kobieta, która udawała, że jest jej matką, niebawem skończy połączenie. Sawitha chciała, żeby szybko wróciła, ale w tym momencie rozmowa chyba zeszła na inny tor i tamta zaczęła znowu coś mówić z ożywieniem. Sawitha spojrzała wyżej i wtedy ta dziwna kobieta siedząca naprzeciwko niej, jedna z tych olbrzymek o włosach w kolorze dżilebi i z okrągłymi plamami na twarzy jak dojrzały banan, pochyliła się ku Sawicie, spojrzała na gips na jej ręce, a potem w jej oczy i zapytała:

– Czy pani dobrze się czuje? Potrzebuje pani pomocy?

Sawitha nie miała pojęcia, co ona powiedziała, więc tylko pokręciła głową, potem skinęła i czekała z nadzieją, że to zadowoli kobietę o włosach w kolorze dżilebi i że ją zostawi. Zaczęła się zastanawiać, czy nie wstać i nie podejść do kobiety, która udawała, że jest jej matką, ale przecież tamta wyraźnie powiedziała Sawicie, że ma siedzieć tutaj i pilnować ich bagaży.

– Pani rozumie po angielsku?

Sawitha uśmiechnęła się i znowu przytaknęła.

Kobieta też się uśmiechnęła. I wtedy to się stało – kiedy ona się uśmiechnęła, kiedy odsłoniła zęby, wcale nie olbrzymie, lecz drobne świetliste perełki, jakby tworząca je ostrzyga była zakochana – wtedy Sawitha zobaczyła, jak łagodna jest ta pani o włosach w kolorze dżilebi, jak zatroskana. Łagodniejsza i bardziej zatroskana niż ktokolwiek, kogo Sawitha spotkała od bardzo dawna. Może od zawsze. I Sawitha pomyślała, może odjechałam wystarczająco daleko. Może jestem w dobrym kraju. Może jestem w życzliwym kraju. I właśnie w tym momencie dało się słyszeć jakąś głośną zapowiedź przez megafony i Sawitha aż podskoczyła, ale kobieta nie wydawała się przestraszona; sięgnęła do torebki, wyjęła z niej mały prostokąt papieru i dała go Sawicie. Sawitha go wzięła, nie wiedząc, co ma innego zrobić, a potem kobieta podniosła torebkę i walizkę i weszła w tłum ludzi, którzy zgromadzili się, kiedy usłyszeli zapowiedź. Sawitha patrzyła na nią, w niewytłumaczalny sposób smutna z powodu jej odejścia, a potem spojrzała na karteczkę. Były na niej litery, może jej imię, a potem znowu jakieś litery. Wpatrywała się w nie i wpatrywała, a kiedy podniosła wzrok, kobieta, która udawała, że jest jej matką, szła w jej kierunku. Sawitha nie rozumiała, co oznaczają te litery, ale rozumiała wystarczająco dużo, by wsunąć kartonik pod gips.

6

Kiedy wylądowały w Seattle, odebrał je jakiś mężczyzna. W samolocie z Nowego Jorku Sawitha wyglądała przez okno i widziała przed sobą niebo pomalowane jak pędzlem w ciemnopomarańczowe, różowe i rdzawe pasma, a kiedy spojrzała w tył, było tak samo. Chociaż przed nią było jaśniej, czerwień mocniejsza. Zachód. Leciały na zachód.

Sawitha przeszła przez przesuwane drzwi wprost na dwór (po czasie, który wydawał się trwać całe życie) i zobaczyła, że jest środek dnia. Słońce było wysoko na niebie, ciepłe. Sznury samochodów, świecących i cichych, sunęły obok niej; kilka z nich się zatrzymało, a obok stała jedna czy dwie osoby, ładując bagaże, obejmując się albo po prostu czekając. Jakaś para nawet się pocałowała i Sawitha spojrzała w inną stronę, zażenowana. Kilka osób stało na drugim końcu, paląc papierosy. Poza tym panowała pustka. Nie było słychać hałasu, krzyków, wołań tragarzy, klaksonów. Nie było policjanta gwizdzącego w gwizdek, popędzającego ludzi, żeby przechodzili, nikogo targującego się z taksówkarzem, śmiejącego się albo jedzącego orzeszki ziemne z rożka i rzucającego łupinki na ziemię, ptaków dziobiących jedzenie, psów wachających fruujące opakowania i porzucone skórki pomarańczy czy mango, nawet bezczynnych młodych mężczyzn, stojących grupkami, przyglądających się kobietom, palących *bidi* i plujących betelem. Czekających na życie. Tutaj nie było nic poza cichą, lśniąca elegancją.

Spojrzała znowu na słońce.

Ono też było spokojne. Nie płonące, bezczelne, gniewne, awanturnicze jak tamto w Indrawalli, ale dobrze ułożone, wykastrowane. Nie wiedziała, czy je lubi. Zastanawiała się, czy jest tym samym słońcem co tamto.

W tym momencie podjechał do nich czarny samochód z oknami tak czystymi, że lśniły jak lustro. Wsiadł z niego mężczyzna, który po nie przyjechał, imieniem Mohan. Był starszy niż Sawitha, miał może trzydzieści lat, choć nie wiedziała na pewno, bo też był olbrzymi. Pierwszy indyjski olbrzym, jakiego spotkała. Nie był tęgi czy pulchny, ale wyraźnie w twarzy miał coś z cherubina. Zarazem był muskularny, jak bohaterzy filmów, których Sawitha widziała na plakatach, kiedy czasami przechodziła obok Apsary czy Alankaru. Teraz widziała je znowu – te męskie mięśnie na ramionach Mohana, na jego piersi, zaokrąglone, twarde, podczas gdy jego szyja i dłonie były napięte od mocy, od siły, nieomal spłoszone, w miarę jak wznosiły się i opadały. To zdrowie, ta ekstrawagancja, tak dobrze odżywiona, dobrze utrzymana, sprawiły, że Sawitha poczuła zakłopotanie. A jednak tym, co uderzyło ją w Mohanie najbardziej, była jego melancholia. Oczy i wargi opadały w jakimś smutku, w jakiejś niedokładności, jakieś smutne nachylenie było w jego ruchach, kiedy wnosił do samochodu ich nieliczne bagaże. Jego wzrok zatrzymał się na gipsie Sawithy, a potem przebiegł po jej brzuchu i piersiach aż do twarzy.

– To wszystko? – zapytał w telugu.

Kobieta, która udawała, że jest jej matką, przytaknęła i wsiedli do samochodu.

Pachniało w nim cytryną.

A zaraz potem – kawą. Oba mocne i gorzkie, pomyślała Sawitha. Rozejrzała się po samochodzie i zobaczyła biały kubek z białą pokrywką. Dłoń Mohana błędziła obok niego nawet, kiedy prowadził: najpierw po krętej drodze wyjazdowej z lotniska, a potem dalej, szeroką jezdnią, najczarniejszą, jaką Sawitha kiedykolwiek widziała, z tyloma samochodami, jakich też nigdy nie widziała. Jechali w milczeniu – starsza kobieta siedziała obok Mohana, a Sawitha z tyłu za nią. Po kilku minutach Mohan włączył radio. Sawitha nigdy nie słyszała takiej muzyki, nie miała słów. Chwilami szybowwała na wysoki szczyt, jakby sam szczyt Indrawalli Kondy, a potem znów opadała łagodna, w ryzach, jak woda pluszcząca wśród kamieni. Chciała zapytać, co to za muzyka, ale zdało jej się, że cisza w samochodzie także jest w ryzach, nieporuszona.

Po jakichś dwudziestu minutach Mohan skręcił z wielopasmowej drogi na mniejszą. Przy niej Sawitha zauważyła niskie, płaskie budynki, samochody parkowały wzdłuż ulicy, a witryny sklepowe (tak przynajmniej przypuszczała na podstawie ich eleganckich okien) były zupełnie inne niż w Indiach. W Indiach witryny dławily się od kolorowych serpentyn, okna były zavalone towarami, a sklepy zatłoczone krzyczącymi do siebie, przepychającymi się i kłębiącymi się wszędzie ludźmi. Tutaj wydawały się niemal puste. Ich jasno oświetlone wnętrza odsłaniały nielicznych klientów, jedyny znak życia. W połowie drogi Mohan zatrzymał samochód przed długim budynkiem z wieloma drzwiami, a on i kobieta wysiedli. Kobieta pochyliła się do wnętrza samochodu – kiedy Mohan wyciągał jej bagaże – i powiedziała:

– Zostań tutaj. – A potem, jakby zastanawiając się lub wahając, z poczuciem jakiegoś dyskomfortu albo winy, dodała: – Uważaj.

Uważaj na co? – pomyślała Sawitha.

Patrzyła na nich. Co to za miejsce, dziwiła się, z tym rzędem drzwi, chociaż kobieta i Mohan minęli je wszystkie i weszli przez jedyne szklane drzwi, bardziej eleganckie niż inne. Byli tam może przez dziesięć minut, a potem Mohan odprowadził kobietę do jednych z tych zwykłych drzwi i rzekł:

– Do jutra.

Kiedy wrócił do samochodu, spojrzął nieśmiało na Sawithę i rzekł:

– Możesz siąść z przodu, jeśli chcesz.

Usiadła na przednim siedzeniu i teraz dopiero odczuła prawdziwy ogrom tego nowego kraju. Można to było poczuć dopiero na przednim siedzeniu, uświadomiła sobie, tylko przez to szerokie okno, tylko w tym niezakłóconym świetle.

Muzyka zagrała znowu.

Przejechali przez most, chociaż z siedzenia Sawithy wyglądał on raczej jak bela rzuconego jedwabiu, rozwijającego się ponad warstwą mgły. Nad Sawithą, z małego lusterka, w które Mohan zaglądał wcześniej, rzucając przelotne spojrzenia na nią, zwieszała się cienka żółta ozdoba w kształcie drzewa. Cytryna!

To stąd pochodził ten zapach. Droga skręcała łukiem i nagle, przed Sawithą, pojawiły się najwyższe i najjaśniejsze budynki, jakie kiedykolwiek widziała, najbardziej błękitna woda i najbardziej zielone góry.

– Czy to jest Sattle? – zapytała.

– See-attle – poprawił ją.

Zbliżali się do budynków wznoszących się z ziemi jak płonące prostokąty, odbijając słońce, a potem przecięli je wzdłuż ich prawego boku, aż dotarli do kolejnej czarnej jezdni z wieloma pasami i jechali, cichy kilometr za cichym kilometrem, aż Mohan zapytał:

– Jesteś głodna? Możemy się zatrzymać.

– Tak.

– Tylko nie na długo. Tutaj jest McDonald's, Taco Bell tam, nieco dalej. – Sawitha spojrzała w kierunku, który wskazywał. Dostrzegł wyraz jej twarzy i dodał: – Nie, to nie jest indyjskie jedzenie, ale niezłe.

Sawitha odwróciła się do niego:

– Mają tam banany?

Był zaskoczony tym pytaniem, pomyślała, bo zwolnił, a potem napotkał jej spojrzenie. Nie przywykł do patrzenia na kobiety. Może nie na wszystkie, uświadomiła sobie po chwili, może po prostu na kobiety z jakąś otwartością, z pewnym rodzajem ciekawości, może nawet z tym światłem, które dostrzegła dawno temu, trwającym gdzieś w głębi jej oczu jak kruszejąca twierdza, jak pokonana armia. Zatrzymali się przed wielkim budynkiem, przed którym parkowało mnóstwo samochodów, on wszedł do środka, a kiedy wrócił, wręczył jej torbę.

W środku były banany.

Sześć bananów. Największych, jakie kiedykolwiek widziała, godnych olbrzymów. Wzięła jeden z nich i podała mu torbę z pozostałymi.

– Są twoje – rzekł.

W całym swoim życiu Sawitha nigdy nie miała tylu bananów naraz.

Pierwszego zjadła w samochodzie. Mając jedną rękę, nauczyła się, jak używać zębów, by zerwać skórkę na czubku owocu, tym bez łyżki, a kiedy to robiła, czuła, że Mohan się jej przygląda. zaproponowała mu jednego, ale odmówił. Już miała zjeść drugiego, z niejasnym poczuciem zdumienia, zachwytu, przesytu na myśl, że po prostu może go zjeść, kiedy Mohan zatrzymał samochód. Zaparkował przed czteropiętrowym budynkiem pomalowanym na kremowo, z łuszczącymi się brązowymi parapetami, z brązowym dachem. Wiele okien było otwartych, a w nich świeciły się wszystkie kolory firanek. Niektóre wyglądały jak prześcieradła, miejscami podarte, pofarbowane nierówno, inne łopotały jak flagi, w kilku oknach widniały połamane żaluzje. Niewielka poszarpana markiza nad zapadającymi się drzwiami pośrodku budynku wskazywała na wejście. Obok drzwi wisały w trzech rzędach jakieś skrytki, metalowe klapki niektórych z nich były pogieęte albo pordzewiałe.

– Co to jest? – spytała Sawitha.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Skrzynki na listy – odpowiedział po angielsku.

– Po co one są?

– Na listy.

Przyjrzała się skrytkom, z wielu z nich wysypywały się zbrązowiałe koperty, które wyglądały, jakby przeleżały na słońcu i w deszczu całymi tygodniami, miesiącami.

– Ale dlaczego oni nie biorą tych listów? Nie chcą ich czytać?

– Nie. Tych nie chcą.

Co to były za listy, zastanawiała się. Sawitha nigdy nie dostała żadnego listu (od kogo miałyby dostać i dlaczego, ledwo umiała czytać), ale pomyślała, że gdyby dostała, nie zostawiłaby go na słońcu i deszczu, rozdarłaby kopertę i przyglądałaby mu się, rozkoszując się nachyleniem liter, sposobem, w jaki piszą jej imię (wiedziała, jak je czytać i pisać, odkąd skończyła trzy lata), dotykiem papieru, o którym wiedziała, że byłby zupełnie inny niż skrawki papieru, które

zbierała na wysypisku śmieci, kolorem i pięknem atramentu. Ale kiedy weszli do środka, marzenia Sawithy się skończyły. Wspięli się po zatęchłych schodach i weszli do zatęchłego korytarza. Mohan niósł jej jedyną walizkę – chociaż była właściwie pusta; co miałyby do niej włożyć? – a Sawitha niosła torebkę z bananami. Mohan otworzył drzwi znajdujące się na końcu korytarza, z pewnością wiedział, że będą otwarte, jakby tutaj mieszkał, a w środku pokoju znajdował się kolejny mężczyzna, też Indus, ale starszy. Oglądał coś w telewizji, trzymając w ręce szklankę – krzesło, na którym siedział, szklanka, mały stolik, na którym mógł postawić szklankę, i telewizor, w który patrzył, były jedynymi czterema rzeczami w tym pokoju. Podniósł wzrok, kiedy weszli, spojrzał na Sawithę ze słabo skrywaną pogardą, a potem rzekł w telugu (czy naprawdę każdy w tym kraju mówi w telugu?):

– Jednoręka do sprzątnięcia. Mam wrażenie, że następnym razem kupi jednonogiego do jazdy na rowerze.

Mohan wyjąkał coś w zakłopotaniu i spojrzał na nią, przez moment Sawitha poczuła, jakby był na wojnie albo właśnie z niej wrócił, a potem wyszedł. Nie widziała go przez następne trzy miesiące.

Starszy człowiek zaprowadził ją na kolejne piętro. Rzucił okiem na jej walizkę i torbę z bananami, a potem odwrócił wzrok bez słowa. Sawitha niosła walizkę w prawej ręce, a banany w zagięciu lewego ramienia. U szczytu schodów mężczyzna otworzył drzwi, które prowadziły do pokoju mniejszego niż jego własny. Podłoga była wyłożona nadpleśniałym i śmierdzącym stęchlizną beżowym dywanem, stały tam trzy polowe łóżka. Mężczyzna wskazał na najdalsze z nich, pod ścianą po przeciwnej stronie od wejścia, i powiedział:

– To twoje – a potem dodał – to wszystko, co jest twoje. – I zamknął za nią drzwi.

Sawitha podeszła dwa kroki na środek pokoju – wciąż trzymając walizkę i torbę z pięcioma bananami (i skórka tego, którego zjadła) – i zobaczyła, że w rogu pokoju jest maleńka kuchenka, a w drugim – drzwi do łazienki. Spojrzała na łóżka. Ustawiono je w kształcie litery U, to pośrodku stało poniżej jedyne okno w pokoju, jedno było za nią, pod ścianą z drzwiami wyjściowymi, a jej – blisko drzwi do łazienki. Łóżko przy głównych drzwiach było starannie zasłane, z ubitą poduszką na środku, a w jego nogach stała mała tania walizka podobna do jej własnej. Prześcieradła na środkowym łóżku były w zupełnym nieładzie, poduszka rzucona byle jak, nie widać było walizki, tylko ubrania, przybory toaletowe i do czesania rozsypane wszędzie, jakby to był wrak statku, a beżowy dywan – morzem.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było wyjęcie niedokończonego sari Purnimy z walizki i obejrzenie go. Od kłębka do krosien, od krosien do sari, pomyślała. A potem dodała w myślach, zrobiłam cię. Wepchnęła tkaninę do poszewki na poduszkę. Zsunęła gips i włożyła do niego małą prostokątną karteczkę, a sam gips

położyła pod ścianą. Po jakimś czasie – kiedy próbowała znaleźć kubeł do mycia, ale nie było widać żadnego, tylko długi biały prostokątny otwór (czy wszystko w tym kraju jest białe i prostokątne?) – wymyła twarz, wypła szklanę wody i zjadła jeszcze jednego banana. Położyła się na łóżku i wtedy usłyszała jakiś dźwięk przy drzwiach. Weszła dziewczyna, a Sawitha zapytała:

– Kim jesteś?

Dziewczyna miała na imię Gita, skrót od Gitańdźali; była bardzo rozmowna.

– Imię mam z filmu – zaczęła w telugu. – Widziałas go? – Sawitha pokręciła głową. – Moja amma widziała go kilka miesięcy przed moimi narodzinami. To był pierwszy film w jej życiu. Powiedziała, że nie do końca rozumiała, o co w nim chodzi – miała wtedy trzynaście czy czternaście lat – ale kiedy wyszła z kina z powrotem na świat, wydawał się jej nowy. Wypolerowany. Jakby stał się innym światem i wszystko mogło się zdarzyć. Opowiadała, że całą drogę do domu właściwie skakała. Z powrotem do tej małej chaty, w której mieszkała z moim nanną, na skraju pola jutowego, ani chata, ani pole do nich nie należały. Mówiła też, że czuła to samo, kiedy się urodziłam, że świat stał się w jakiś sposób nowy. Że ja go uczyniłam nowym. Dlatego nazwała mnie Gitańdźali. Czy to nie jest ładne?

Sawitha musiała się z tym zgodzić.

A potem Gita się roześmiała. Jakimś brzęczącym śmiechem, który przebił się przez zmęczenie Sawity, przez mgłę długiej podróży samolotem.

– Zabawne, prawda? To wciąż jest ten sam stary świat. Oni wciąż są w tej samej chacie, wynajmując to samo pole. A ja jestem tutaj, sprzątaczką i dziwka.

Sawitha zamrugnęła oczami. Podniosła się z łóżka, nogi miała miękkie. Dziwka?

– Nie powiedzieli ci tego? Może rzeczywiście nie. Tak czy owak, tutaj dużo pada. Deszcz jest jedynym dźwiękiem w tym kraju. Jeśli ty wydasz jakikolwiek inny, jeśli odezwiesz się do kogoś, jeśli tylko otworzysz usta, by się odezwać, przyjdą po ciebie.

– Kto?

– Kto przywiózł cię z lotniska?

– Mohan.

– Nic dziwnego – rzekła porozumiewawczo Gita, znowu się śmiejąc. – Masz szczęście. To jest ten sympatyczny.

Wyjaśniła Sawicie, że Mohan był młodszym z synów. Starszy miał na imię Sureś i był bardziej jak ojciec, okrutny, bijący na lewo i prawo, by pokazać im, kto tu jest szefem, jakby tego nie wiedziały, kazał im pracować długie godziny, czasem po nocach, jeśli mieszkanie albo biurowiec miał być wysprzątany na rano, a oni nie chcieli mieć nawet jednodniowej straty w czynszu, jakby w banku nie mieli dziesiątek tysięcy, może nawet lakhów dolarów, mówiła Gita; Sureś przychodził, kiedy tylko miał na to ochotę, miał swoje ulubienice, ale przyjdzie na pewno przynajmniej raz, żeby cię wypróbować. Spojrzała na jej kikut, a potem na gips i dodała, no tak, może ciebie nie będzie chciał.

A potem opowiedziała jej historię. Historię o Mohanie i Padmie.

– Kim jest Padma? – spytała Sawitha.

Gita skinęła w stronę trzeciego łóżka, tego nieposłanego.

– Mówi, że mogą jej kazać sprzątać toalety innych ludzi, ale nie zmuszą jej do sprząkania u siebie. Ale ona jest najładniejsza. Mogłaby być gwiazdą filmową.

Okazało się, że Padma zakochała się w Mohanie.

– To głupie. Idiotyczne. Jakie ona ma u niego szanse? U syna człowieka, który nas posiada.

– Jak on się nazywa?

– Kto?

– Jego ojciec.

– Gopalradżu. Dasz mi skończyć?

To się stało jakieś sześć miesięcy temu. Gita właśnie przyjechała. Sawitha chciała zapytać skąd, ale pomyślała, że z tym poczeka. Padma była tutaj ponad rok i zdążyła się bez pamięci zakochać w Mohanie. Problem (pomijając te

oczywiste, związane z kastą, klasą, posiadaniem, zniewoleniem i możliwościami) polegał na tym: Mohan nie chciał z nią spać. Ojciec i starszy syn już się z nią przespali, ale młodszy syn nawet na nią nie spojrział. Ale dlaczego? Dlaczego, płakała Padma. Spróbowały wszystkiego: Padma pożyczyła nowe spinki do włosów Gity, te, które matka dała jej, zanim Gita wyjechała do Ameryki, oddarła rękawy bluzek i obrębiła je na brzegach, chcąc pokazać ładne ramiona, próbowała rozpuszczać włosy tak jak amerykańskie dziewczyny, które widziały na ulicach, kiedy wieszono je i przywożono z pracy, ale nie miały szamponu, za to miały zakaz odwiedzania sklepów albo jakichkolwiek innych tego typu miejsc, więc jej włosy zwisały jak tłuste końce niechlujnej miotły, i nikt tego nie zauważył, a najmniej Mohan, ale ona wciąż się starała, pełna nadziei, dopóki Wasu (ten człowiek, co mieszkał piętro niżej, zarządzał budynkiem, ale przede wszystkim dziewczętami) nie powiedział do niej: zwiąż je, chyba że zamierzasz nimi wycierać podłogi. I tak płynęły dni, Padma próbowała uwieść Mohana coraz bardziej i bardziej desperacko, upuszczając rzeczy na ziemię i schylając się po nie wolno, śmiesznie wolno, w głęboko wyciętych bluzkach, albo nakładając upiorną jasnopomarańczową szminkę, którą znalazły porzuconą w jednym z mieszkań. Robiła z siebie orangutana, powiedziała Gita, śmiejąc się. I wiesz, nic nie pomagało, aż do pewnego dnia, kiedy przyszedł do mieszkania pijany. Zjawił się tu tylko po to, żeby nas zabrać na kolejne sprzątanie. Normalnie czekał na nas w samochodzie, ale tego wieczoru wszedł na górę, obrzucił nas długim spojrzeniem, jedną, drugą, a potem potknął się, padł na moje łóżko i zaczął płakać.

– Płakać? – zapytała Sawitha.

– Płakać. Właściwie to bardziej łkać – odparła Gita.

Kiedy skończył – podczas gdy Gita i Padma zaczęły wpadać w panikę, zastanawiając się, co zrobiły złego, a jeśli tak, to czy Gopalradźu pójdzie i zażąda pieniędzy od ich rodziców, które im za nie zapłacił, pieniędzy, o których wiedziały, że już dawno zostały wydane, wydane na spłatę długów albo posagów

na inne córki – on usiadł i poprosił o szklanę wody. Padma popędziła, by mu jej nalać. On wypił ją, a potem zapytał:

– Macie trochę wódki?

A co to jest? – zapytały, a on odparł, nieważne.

W tym momencie Gita zamilkła.

– I co było dalej? – zapytała Sawitha.

– Nic – odparła Gita. – Nic, dopóki nie dojechaliśmy do budynku, gdzie miałyśmy sprzątać. Był środek nocy. Dał mi klucz i powiedział, idź na górę. Więc poszłam. Ale rozglądałam się za Padmą, zastanawiając się, co się dzieje, ale zarazem wiedząc, co się dzieje, a kiedy ona w końcu przyszła, rozczochrana, może dwadzieścia minut później, zapytałam, co się stało, a ona odpowiedziała, wziął mnie. Na tylnym siedzeniu. Ale wcale nie wyglądała na szczęśliwą, gdy to mówiła. To znaczy – powiedziała Gita – ja wiem, że on ją zmusił do tego, wiem, że nie kochał się z nią, ale myślałam, że będzie szczęśliwsza. Więc zapytałam ją. Powiedziałam, myślałam, że go chcesz. Tak, odparła, ale było ciasno, a jego oddech był okropny. On cuchnął. A potem dodała, jest jeszcze jedna rzecz: kiedy to zrobił, wyciągnął mnie z samochodu, ledwo miałam możliwość, żeby się ubrać. Wyciągnął mnie z samochodu, popchnął na ziemię i stał, patrząc na mnie. Myślałam, że mnie kopnie, ale on padł na kolana, tuż obok miejsca, gdzie upadłam, ale nie patrzył na mnie, tylko na ziemię obok mnie, a potem gdzieś w ciemność, a potem przysunął się do mnie i wziął każdy guzik mojej koszuli, rozpiętej, ponieważ zdążyłam tylko wciągnąć spodnie, i zaczął je zapinać. Jeden po drugim. Delikatnie, jakby to nie były guziki, ale krople deszczu. Nawet moja matka, mówiła Padma, nigdy nie była taka delikatna.

– A potem co się stało? – zapytała Sawitha.

– Nic – odpowiedziała Gita. – Zaczęłyśmy sprzątać.

– Ale co z Padmą? – pytała Sawitha. – Dalej go kocha?

Gita roześmiała się, a potem odparła:

– Kocha go nawet jeszcze mocniej.

Kiedy późną nocą przyszła Padma, którą przywieziono ze sprzątaniam w Redmond, rzuciła okiem na Sawithę i zapytała:

– Nowa dziewczyna?

Sawitha przytaknęła.

Była naprawdę ładna. I wiedziała o tym. Powiedziała tylko „Aha” i weszła do łazienki, zamykając za sobą drzwi.

Następnego ranka dokładnie tak, jak Gita przepowiedziała, padało. Sawithę wzięto razem z pozostałymi. Kiedy wyszła z łazienki (Gita pokazała jej, jak obsługiwać prysznic, i wyjaśniła, że w tym kraju jest tyle wody, że nikt nie używa kubła do mycia) ubrana w jedno ze swoich dwóch sari, które ze sobą przywiozła, Padma roześmiała się, a Gita powiedziała:

– Nie chcą, żebyśmy je nosili. Za bardzo się wyróżniamy.

Pożyczyła jej parę elastycznych spodni i szaro-różową koszulę w kratę. Koszula, jak zauważyła Sawitha, była bawełniana i przyjemnie leżała na skórze. Sprawdziła splot, mimo że wyraźnie był maszynowy. Kiedy wręczyły jej parę starych adidasów, Sawitha spojrzała na nie, a potem na Gitę i Sawithę. Odpowiedziały jej spojrzeniem.

– Ona ich nie zawiąże! – oznajmiła Padma radośnie, jakby wyjaśniła zagadkę. Gita zawiązała sznurowadła i powiedziała, że znajdzie dla niej jej buty z rzepami.

– Co to jest? – zapytała Sawitha.

– Zobaczysz. Będiesz mogła zawiązywać buty zębami – odpowiedziała Gita, śmiejąc się.

Moje zęby, pomyślała Sawitha i zaczęła się zastanawiać, czy zawiązywanie butów będzie podobne do obierania banana.

Przywieziono je pod budynek i każda z nich poszła sprzątać inne mieszkania. Padma i Gita najpierw pokazały Sawicie, jak używać różnych mopów, mioteł i szczotek, spryskiwaczy i odkurzacza. Żadna z tych czynności nie była trudna – sprzątanie odkurzaczem było nawet zabawne – ale trudno było to robić jedną ręką. Sawitha była bardzo powolna. Kiedy Padma i Gita przyszły po nią po godzinie,

ona ledwie zaczęła. Ale po tygodniu była nieomal równie szybka jak one. A pod koniec dwóch tygodni, pamiętając, co mówił Guru, że będzie musiała pracować dwa razy szybciej, Sawitha czasami kończyła przed nimi.

Mieszkania były zawsze puste. To ułatwiało sprzątanie. Najemcy, którzy się wyprowadzili, zazwyczaj studenci uniwersytetu, opuszczali lokale najwyżej dzień wcześniej, czasami nawet tylko kilka godzin przed jej przyjściem i Sawitha zawsze, gdy weszła, zatrzymywała się na ich progu. Stała bez ruchu i wciągała powietrze. Domy w Indrawalli nigdy nie pachniały, ponieważ okna, drzwi i werandy były zawsze otwarte na świat i każdy zapach świata był ich zapachem, z kolei małe pozbawione okien chaty zawsze pachniały tym samym – ubóstwem. Ale tutaj zapachy były subtelniejsze. Łatwo było powiedzieć, czy mieszkał tu chłopak, czy dziewczyna. Ale głębiej. Głębiej było o wiele więcej. Co oni jedli, jak często byli w domu, jak często się kąpali, czy lubili kwiaty, czy lubili deszcz. Umiała nawet czasami powiedzieć, co studiowali. Przypuszczała, że pewien chłopak uczył się gwiazd, bo były opisane ze szczegółami na jego ścianach na wysokości, do której sięgał. Lubił mleko, ser, nabiał, podejrzewała, i nie kąpał się zbyt często. Inna dziewczyna chyba studiowała malarstwo, poznała to po zapachu farb i olei, musiała też lubić deszcz i słońce, bo wszystkie okna były otwarte.

To wszystko Sawitha zgadywała w ciągu kilku minut od wejścia do mieszkania.

Pod koniec miesiąca sprzątała ich prawie tuzin dziennie, ale już nie bawiło ją zgadywanie, kim byli ich wcześniejsi mieszkańcy. Zawsze czekały kolejne do sprzątanego, a potem wracały do domu na talerz ryżu czy pikli, czasem pappu, jeśli któraś z nich miała siłę je zrobić – jej jedyna ręka drżała z wyczerpania, niezdolna nawet do podniesienia odrobiny ryżu do ust – a potem szły spać. Teraz wchodząc do pustego mieszkania, szybko przebiegała je wzrokiem, oceniając od razu, ile wymaga pracy. Widziała – na dywanach i ścianach, czasem na półkach – miejsca, gdzie kiedyś były meble czy obrazy, rośliny doniczkowe czy książki, a gdy je zabrano, zostawał po nich jaśniejszy kwadrat, koło czy prostokąt, nietknięty ludzką stopą, brudem, zniszczeniem, jaśniejszy niż przestrzeń wokół nich.

Sawitha przyglądała się tym plamom światła w samym środku nudnego, szarego pokoju i chciała być jedną z nich, pod ochroną. Zamiast tego, pod koniec kilku tygodni, po wysprzątaniu wielu mieszkań zrozumiała, że ona jest tą spłowiałą, pozbawioną koloru częścią. Była tym, co wchłaniało brud i cierpienie. Tym, co jest zmęczone słońcem. Co niczym ręka zasłania jasność.

Była w Seattle już dwa miesiące, ale nigdy wcześniej nie widziała mężczyzny, który w sobotnią grudniową noc przyjechał po nią jasnoczerwonym samochodem. Dotąd tylko Wasu odwoził je i przywoził. A z każdym mijającym dniem ściany mieszkań się zacieśniały, coraz mniej było w nich powietrza. Biegła otworzyć okna i wystawiała głowę na zewnątrz, wygłodniała chłodu, uczucia, nadejścia deszczu.

W przeciwieństwie do Wasu mężczyzna w jasnoczerwonym samochodzie był wysoki, na skroniach miał kilka srebrnych włosów. Widać było u niego zaczątki brzucha i chociaż nie był tak samo muskularny, nie było wątpliwości, że był bratem Mohana. Powiedział w telugu „wsiadaj” i zawiózł ją do niskiego budynku w jakiejś bocznej ulicy. Sawitha próbowała nauczyć się liter, czytając nazwy ulic i studiując znaki drogowe, ale teraz żadnych nie widziała, było zbyt mroczno albo okolica była zbyt uprzemysłowiona. Niepewne białe światło sączyło się z odległej lampy ulicznej i gdy Sureś wyłączył reflektory, otoczyła ich głęboka ciemność. Jej oczy przyzwyczyły się do niej i zobaczyła, że między drzwiami a chodnikiem budynku, przed którym zaparkowali, biegnie cienka linia światła. Błyszczała w ciemności jak nóż.

Przeszli przez przedpokój wyłożony jakimiś pudełkami aż do drzwi położonych w tyle, z lewej strony korytarza. Sureś zastukał i jakiś głos powiedział „wejść” i jeszcze zanim go zobaczyła, wiedziała, że to jest ojciec, Gopalradźu, ten, który ją kupił. Nie był tak stary, jak się spodziewała, jego włosy były nienaturalnie czarne, aż granatowe, wyraźnie ufarbowane, ale twarz miał szeroką i czujną, płonąca tym samym szczególnym surowym, zimnym światłem, które przychodziło razem z sukcesem i bogactwem, tym samym, jakie widziała u Guru,

tyle że twarz Gopalradżu była nawet ostrzejsza, bardziej wyrachowana. Patrzył na nią dłuższą chwilę, a potem z fałszywą czułością rzekł:

– Radzisz sobie ze wszystkim?

Skinęła głową, chociaż wiedziała, że to nie było prawdziwe pytanie. Nie miało wyrazić zatroskania. Dokładnie rzecz ujmując, wiedziała, że to jest stwierdzenie, za którym pójdzie zupełnie inne pytanie. To stwierdzenie brzmiało, poradzisz sobie ze wszystkim. A głębiej leżało jeszcze inne, dokładnie tak jak mówiła Gita: Gdybyś, tak zupełnie przypadkiem, nie radziła sobie ze wszystkim, gdybyś, tak zupełnie przypadkiem, miała ochotę rozmawiać, opowiadać, biegać, krzyczeć, gdybyś przypadkiem poczuła nadejście jakiejś rozpacz czy niesmaku, gdybyś poczuła potrzebę znalezienia telefonu, zatrzymania kogoś na ulicy, poszukania jakiegoś policjanta, gdybyś poczuła, że ogarnia cię duszność, szaleństwo, pragnienie ujawnienia się, wtedy już nie będziesz sobie radzić ze wszystkim. I tak brzmiało prawdziwe pytanie. Rozumiesz? – pytał. Na pewno?

I wtedy zobaczył jej kikut.

Jego wargi nieznacznie skrzywiły się z tym, o czym wiedziała, że było obrzydzeniem, na chwilę zamknął oczy i w tym momencie wyglądał prawie jak jakiś kapłan czy święty, aż Sawitha pomyślała, że po prostu pozwoli jej odejść, z powrotem do jej pustego łóżka, do jej poduszki wypchanej niedokończonym sari, do małego prostokątka papieru, do mieszkania, gdzie Padma i Gita spały, śniły...

– Uważaj. Może wybić ci oko – powiedział w końcu, wciąż patrząc na Sawithę, ale wyraźnie zwracając się do Sureśa.

Odwróciła się do niego, a on się śmiał i wtedy zrozumiała, że nie pozwoli jej odejść, że tym, co jest przed nią, są kolejne drzwi, te za Gopalradżu, przez które Sureś wepchnął ją do jakiegoś pomieszczenia. Było tam ciemno, a kiedy zapalił światło, zobaczyła, że znajdują się tam z grubsza posłane łóżko, przysadzista lodówka i kilka butelek porozrzucanych na stojącym w kącie stoliku. Z jednej strony była mała łazienka. W tym pozbawionym okien pokoju unosił się zapach

zatechnego piwa, którego Sawitha nie rozpoznała, choć rozpoznała inne zapachy: niewypranych prześcieradeł, gówna, nasienia, soli, potu, papierosów, jakiegoś udręczenia, jakiejś apatii, jakiegoś przygnębienia, to wszystko miało jakiś kształt, to wszystko siedziało skulone w kątach tego małego pokoju.

Powiedział jej, żeby się położyła na łóżku. Potem on zrobił to samo. Kiedy ułożyła się na plecach, powiedział, nie, będziesz robiła co innego. Więc się obróciła, ale on powiedział, nie, to nie to mam na myśli. Sawitha spojrzała na niego zdezorientowana, a wtedy pokazał jej, co ma robić. Wyjął butelkę czegoś czystego, czym posmarował jej kikut, a potem jej pokazał. W ten sposób, powiedział, wszedł na łóżko i stanął na czworakach. Kazał jej wkładać i wyjmować, a kiedy to robiła, mówił, o tak, w ten sposób, w ten sposób. Gdzieś za oczami uderzył ją ból i odwróciła wzrok. Ale ból był gromem, uderzał, rozbijał. A on mówił, tak, o tak, dokładnie w ten sposób. Zaczęła krzyczeć, pragnąc, by to się skończyło. Modląc się, by to się skończyło. Ale on powiedział, nie przestawaj. Więc nie przestawała, a grom wciąż uderzał.

Zamknęła drzwi do małej łazienki. Zakręciło jej się w głowie od światła, musiała je zgasić. Po omacku odnalazła drogę do umywalki i wymyła się, szorując się i szorując małym kawałkiem mydła, jej brązowa skóra zaczerwieniła się aż do ramienia. Zakręciła wodę i właśnie miała wyjść, kiedy coś usłyszała. Co to było? Zaczęła słuchać. To dochodziło z muszli klozetowej, jakby coś w niej cicho nuciło. Pochyliła się niżej i słuchała dalej. I rzeczywiście. Muszla nuciła! Właśnie dla niej. Nuciła prostą piosenkę, dziecinną piosenkę, ale nuciła dla niej. Sawitha uśmiechnęła się w ciemności, a potem uklękła obok muszli i objęła ją. Nuciła razem z nią. Taka prosta piosenka, takie proste nuty, a mimo to tak doskonałe. Chłód porcelany i jej piosenka; chłód rzeki i jej chlupot.

Leżał na łóżku i palił. Ledwo stała na nogach i może on to zobaczył, bo powiedział do niej w telugu:

– Chodź tutaj. Usiądź.

Więc podeszła do łóżka i siadła na jego brzegu. Patrzył na nią dłuższą chwilę, a potem rzekł po angielsku, jakby mogła go zrozumieć:

– Wiesz, nie wychowałem się tutaj. Wychowałem się w Ohio. Wiesz, gdzie to jest? Byłem w drużynie wyścigowej. Wiesz, jak mnie nazywali? Curry in a Hurry. Mohan był w drużynie zapaśniczej i nazywali go Curry Up. Te dzieciaki nie miały nic złego na myśli. A ja śmiałem się głośno. W tamtych czasach śmialiśmy się z byle czego. Ale ja chciałem im też przywalić. Za każdym razem, jak któreś to powiedziało, ja się też śmiałem, a zarazem wpatrywałem się w ich usta i wyobrażałem sobie, jak łapię je w kącikach i rozdzieram wszerek. Ładnie, na oścież. – Upił łyk z butelki, która stała na narożnym stoliku. Opadł głębiej na łóżko z zadowolonym westchnieniem i odezwał się znowu po angielsku: – A tak przy okazji, jak straciłaś rękę? – Na chwilę zamknął powieki, a kiedy je otworzył, usiadł wyprostowany jak struna. Jego oczy się rozszerzyły, a on rzekł w telugu: – Hej, popatrz na to.

Po stoliku łaziła mucha. To tu, to tam. Zaczął ją uważnie obserwować, a Sawitha razem z nim. Wyjął papierosa z ust. Trzymał go nad stołem, nie za blisko muchy, w niewielkim oddaleniu, jakby wiedział, kiedy ona zmieni kierunek. I tak się rzeczywiście stało. Mucha pomalutku zbliżała się prosto do jego ręki, która wciąż była niczym posąg. Sawitha nigdy nie widziała człowieka tak nieruchomego. Czekał na nią tak cierpliwie. Na co? Nie wiedziała, ale ten jego bezruch wydał jej się jakimś stanem upadłej łaski. Jakąś formą mrocznego kultu. A potem, błyskawicznie, jego ręka opadła i złapała muchę: uwięziła ją pod żarzącym się papierosem. Sawitha zamrugła oczami. Nie mógł tego zrobić. Popatrzyła jeszcze raz, by się upewnić: mucha tam była, słyszała jej lekkie skwierczenie, widziała jeszcze drgnienie tej czy tamtej nóżki, a po chwili stała się nieruchoma. Tak nieruchoma jak przed chwilą ręka Sureśa.

Roześmiał się głośno.

– Nikt inny tego nie potrafi. Nikt. Nauczyłem się tego, jak skończyłem pięć lat. – Spojrzał na nią. – Cały myk polega na tym, żeby twoja ręka poruszyła się, zanim twój umysł zdąży powiedzieć jej, by to zrobiła. To jedyny sposób, żeby zabić muchę.

Podniósł papieros, mucha wciąż była przyczepiona do jego końca, jej ciało już się od niego nie różniło, i wrzucił niedopałek do popielniczki. Jego uśmiech też zniknął, gdy mówił:

– Chodźmy.

A gdy odwiózł ją pod jej dom, dodał:

– Wrócę za jakiś tydzień lub dwa.

Weszła do mieszkania. Stała na moment i popatrzyła na śpiące twarze Padmy i Gity.

Kiedyś byłyśmy dziećmi, pomyślała, kiedyś byłyśmy małymi dziewczynkami. Kiedyś bawiłyśmy się w kurzu w cieniu drzewa.

Potem odwróciła się, mdłości wzbierały jej w gardle. Wzięła prysznic. Czowała zapach spalonego ciała – chociaż czy muchy było wystarczająco dużo, żeby móc ją nazwać ciałem? Nie wiedziała i przestała o tym myśleć. Umyła się, wypila szklankę wody, poszła do łóżka i wyjęła niedokończone sari Purnimy. Popatrzyła na nie, popatrzyła na nie twardo i pomyślała, za tydzień lub dwa. Wróci za tydzień lub dwa. A potem pomyślała, oczywiście, że jest jej wystarczająco dużo. Musi być. Wszystkiego jest wystarczająco dużo, by móc to nazwać ciałem. Nawet najmniejszej istoty. Najbiedniejszej. Najbardziej samotnej. A mimo to... A mimo to on wróci za tydzień lub dwa. Spojrzała na fragment sari w dłoni i pomyślała, nie jestem tą dziewczyną w tym pokoju. Nie jestem. Jestem tym sari, jestem błękitem i czerwienią. A żeby być tutaj za tydzień lub dwa i za następny tydzień lub dwa, i za jeszcze następny, trzeba się poddać temu, przed czym ostrzegła wrona, przed czym zawsze ostrzegła – trzeba się poddać i dać się zjeść po kawałku.

Tej nocy nie spała. Myślała. Myślała też cały następny dzień: gdy sprzątała w mieszkaniach i na jednym piętrze biurowca, i w kilku pokojach jakiegoś hotelu. Gdy wróciła do mieszkania i później tego samego wieczoru, gdy jadła w zamyśleniu. Padma przysłała do domu zaraz po niej. Wciąż urocza po całym dniu sprzątania, pomyślała Sawitha, ale jej uroda na nic się zdała. Po prostu

wymyślona dziewczyna z ustami pomalowanymi pomarańczową szminką, z ciężkim kadzalem na powiekach, sprzątająca domy obcych ludzi i czekająca na mężczyznę, który nigdy nie przyjdzie.

Sawitha była spokojna i Padma musiała coś zauważyć, bo spytała:

– Co z tobą?

Sawitha spojrzała na nią, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

– Co cię powstrzymuje przed ucieczką stąd?

– A dokąd miałabym pójść?

– Z powrotem do Indii.

– A skąd wzięłabym pieniądze? A poza tym co by mi z tego przyszło?

W Indiach nic nie ma. Mój ojciec wydał pieniądze, które za mnie dostał, żeby kupić sobie motocykl.

Sawitha milczała.

– Dlaczego pytasz? Myślisz o tym?

– Ale, ale ty... Jesteś taka ładna.

To sprawiło, że się uśmiechnęła, dotknęła palcami włosów i Sawitha odpowiedziała uśmiechem, wyobrażając sobie, że Padma jej uwierzyła.

Nie miała racji.

Kiedy następnego razu wyjęła niedokończone sari Purnimy, zabrakło jej tchu: oderwano od niego długie pasmo. Oddarto na siłę, sploty były poszarpane, brzeg nierówny. Kto mógł coś takiego zrobić? Poszukała w poszewce poduszki, a potem w łóżku. Spojrzała na to, co pozostało z sari: brakowało co najmniej jednej trzeciej. Zniknęła. Usiadła na chwilę, a potem zerwała się i przetrząsnęła całe mieszkanie: szafki kuchenne, łazienkę, szafę w przedpokoju, rzeczy Gity i Padmy. Padma! Musiała komuś powiedzieć, że Sawitha pytała o Indie, o wyjazd. A oni... oni co? Znowu opadła na łóżko. Zabrali kawałek jedynej rzeczy, na której jej zależało. Ale dlaczego to zrobili? Dlaczego nie wzięli całego sari?

– Dlaczego? – zapytała ścian.

Ale ściany nie odpowiedziały.

Muszę być ostrożniejsza, postanowiła. O wiele ostrożniejsza. Niebo się chyba z nią zgodziło: deszcz się wzmaczał, powietrze stawało się coraz cięższe.

W ciągu następnych tygodni każdej nocy leżała w łóżku i myślała o podróży z Indii do Seattle. Analizowała każdy moment, każdy dokument. Kiedy ona i kobieta, która udawała, że jest jej matką, przyjechały na lotnisko w Ćennaju, kobieta wyjęła dwa paski papieru i dwie małe niebieskie książeczki i podała je pani siedzącej za kontuarem. Paski papieru to najpewniej były ich bilety, ponieważ pani za kontuarem podstemplowała je i podała im je z powrotem. Do niebieskich książeczek tylko zajrzała. A potem? Potem nic, aż przyjechały do Nowego Jorku. Tutaj cały proces się odwrócił. Tutaj, jak pamiętała Sawitha, stały w długiej kolejce i tym razem stara kobieta pokazała bilety i dwie małe niebieskie książeczki jakiemuś mężczyźnie. Mężczyzna podstemplował niebieskie książeczki, ale biletów nie. Co to były za książeczki? Sawitha nie miała pojęcia, ale wiedziała, że jednej z nich będzie potrzebować: jednej z tych niebieskich książeczek. Wiedziała też, że będzie potrzebować biletu. A jak mieć obie te rzeczy? Wiedziała, że będzie potrzebować pieniędzy.

Serce jej zamarło.

Gdyż zdała sobie sprawę, że nawet z pieniędzmi i z biletem, i z niebieską książeczką nie będzie mogła stąd wyjechać. W żaden sposób. Znali jej rodzinę, wiedzieli, że mieszka w Indrawalli i że gdyby wyjechała, mogłoby przydarzyć im się wszystko. Gopalradźu zapłacił za nią dużo pieniędzy, więcej, niż sobie mogła wyobrazić – była jego inwestycją, czymś, co Sawitha dotąd słyszała tylko w odniesieniu do krów, kóz i kurczaków. A dlaczego ktoś miałby pozwolić krowie, kozie czy kurczętom po prostu odejść? Nikt by nie pozwolił. Nigdy. A jeśli chodzi o jej rodzinę: mogli ją zabić. Wiedziała to tak samo, jak wiedziała, że ją kocha: gdzieś w głębi brzucha. A zatem zostanie.

Pod koniec trzeciego miesiąca pobytu w Seattle usłyszała stukanie do drzwi. Wpadła w panikę. Wasu zwykle wchodził bez pukania, miał swój klucz. Była środowa noc, a Padma i Gita jeszcze nie wróciły. A co, jeśli to był Sureś? Ale on zazwyczaj zawoził ją do któregoś z budynków, w których miała sprzątać, zabierał ją do pokoju i dawał jej tę tubkę z przezroczystym płynem. W te noce wracała bardzo późno, kiedy Padma i Gita już spały. Kilka razy, kiedy on już odjechał, zwymiotowała na chodnik, a kiedyś przez jakiś czas trzymała kikut nad płomieniem.

Kolejne stukanie. Kto to mógł być?

Stała przy drzwiach i nasłuchiwała. Nic. A potem szuranie stóp. Nie odchodzących, jeszcze nie. Czekala. Nie miały wizjera, chociaż w części mieszkań, w których sprzątała, zauważyła dziurkę w drzwiach. Teraz chciałaby mieć taką samą.

Przy trzecim stukaniu obróciła klamką cicho, tak cicho, jak to było możliwe, i wyjrzała przez szczelinę.

To był Mohan.

Otworzyła drzwi szerzej, on stał za nimi, zakłopotany, nie ruszał się. Czekala przy otwartych drzwiach, zastanawiając się, czy on też przyjechał, by zabrać ją do pokoju.

Uśmiechnął się nieśmiało, może nawet smutno, a potem wręczył jej brązową papierową torebkę. Kiedy ją otworzyła, zobaczyła w środku sześć bananów. Ich widok – gładkość ich żółtej skórki, ich czupurna jędrność, ich subtelne piękno sprawiły, że roześmiała się z zadowolenia. Patrzyła na nie i patrzyła, a kiedy w końcu podniosła wzrok, Mohan też patrzył na nią.

– W Ameryce kroimy je wzdłuż i do środka wkładamy lody – powiedział.

Próbowała to sobie wyobrazić, ale nie mogła.

– Ja je lubię z jogurtowym ryżem – odparła.

Stali tak przez chwilę, a potem ona zaprosiła go do środka (choć czuła się przy tym śmiesznie, w końcu to był budynek jego ojca). Odpowiedział, dziękuję,

może innym razem. Może w przyszłym tygodniu, dodał i odszedł.

Tej nocy Sawitha zjadła dwie porcje ryżu, jogurtu i bananów. Pierwsza była tak słodka, tak kremowa, tak boska, że łzy spłynęły jej po twarzy. Gita roześmiała się i dała jej trochę własnego ryżu. Druga porcja – życzliwość Gity, życzliwość Mohana – sprawiły, że pomyślała o Purnimie i jeszcze więcej łez napłynęło jej do oczu, chociaż wiedziała, że te były z innego powodu.

– Chodźmy – rzekł Mohan.

Przyszedł do mieszkania, w którym sprzątała, stał teraz w drzwiach, jakby dywan był mokry, choć tak nie było, albo jakby w środku byli inni ludzie, choć tak też nie było.

– Ale jeszcze nie skończyłam – odparła Sawitha.

Rozejrzył się po oświetlonym pokoju, jego wzrok przebiegł pobieżnie od jednego końca do drugiego, a potem rzekł:

– Jest w porządku.

Wsiadła do tego samego samochodu, którym przywiózł je z lotniska. Wciąż wypełniał go zapach cytryny. Nie wiedziała, dokąd ją zabiera, ale on ruszył w przeciwnym kierunku niż jej mieszkanie. Był spokojny, prawie posępny, ale ona właściwie tego nie zauważyła. Wyglądała przez okno na nocne ulice miasta. Dotąd tylko przywożono ją z pracy do mieszkania i z powrotem, trwało to za każdym razem dziesięć albo dwadzieścia minut, ale teraz czuła, że lecieli, nigdy nie łączyła tego wyrazu z własnym życiem, nigdy nie łączyła go z życiem, życiem, które było nieustanną pracą, pracą po to, by jeść, by spać, by przeżyć. Ale teraz, teraz, na tej szerokiej ulicy, w tej dalekiej, dżdżystej nocy, szybowanie pod światłami na skrzyżowaniach i patrzenie na ludzi w jasno oświetlonych pokojach – wyobrażanie sobie ich zapachu, ich ciepła, ich paplaniny albo paplaniny telewizora, albo ciszy, po prostu ciszy – wyobrażanie sobie tego, gdy siedziała w eleganckim, pachnącym cytryną samochodzie, gdy przed nią nic nie ma, za nią właściwie też nic, wystarczało, by serce Sawithy wezbrało, wystarczało, by poczuło ból z czymś przypominającym szczęście.

W końcu skręcili z szerokiej głównej ulicy i zaczęli wjeżdżać na wzgórze. Przebijali się przez ciemne ulice. Wiatr się wzmaczał, więc spytała, czy może otworzyć okno, a kiedy Mohan nic nie odpowiedział, może nie usłyszał, pomajstrowała przy jakichś guzikach w drzwiach samochodu, aż szyba opadła z gładką, ekscytującą lekkością, wiatr podniósł jej rozpuszczone włosy (nie mogła już robić sobie warkocza z jedną ręką), a mżawka rozprysnęła się na jej twarzy, sprawiając, że zadrżała z zachwytu, ocienione liście kołysały się nad nią i za nią, kiedy jechali dalej, jakby odjeżdżały w przeszłość, poruszając się, jakby poślubione nocy, jakby tańczyły z wiatrem.

Nie, nie mogła przypomnieć sobie tak cudownej nocy, ani tutaj, ani gdziekolwiek indziej i kiedy obróciła się do Mohana, prawie ze śmiechem zobaczyła, że odkręca małą buteleczkę i kiedy zobaczyła ten złoty, przechylający się w środku płyn, kiedy zobaczyła, jak mężczyzna krzywił się z pierwszym łykiem, wiedziała, że się pomyliła. Nic z tego nie było prawdziwe. Zupełnie nic. Ta noc, ta mżawka, ta jazda pod górę. Nic z tego do niej nie należało. Należało do niego. On ją posiadał i to była jedyna prawdziwa rzecz.

Zamknęła okno z powrotem, ściany zamknęły się znowu, ona zamknęła oczy.

Kiedy je otworzyła, ulice były jeszcze ciemniejsze, a oni wciąż jechali pod górę. W końcu Mohan wjechał na niewielkie wzniesienie obok drogi i wyłączył silnik. Upił długi łyk z butelki, a kiedy zobaczył, że Sawitha się mu przygląda, wyciągnął butelkę w jej kierunku. Pomyślała o swoim ojcu, a potem o ojcu Purnimy, a potem wzięła ją do ręki. Płyn spłynął w dół jej ciała jak ogień – smak jej pierwszej whisky – i zakaszłała, prychnęła, aż Mohan się roześmiał i wziął od niej butelkę. Pomyślała wtedy, że musi być nieprzyzwyczajony do śmiechu, przynajmniej do śmiechu, którego nie barwił smutek. Whisky dotarła do jej żołądka, a potem wzrok jej popłynął, kołysał się w ciepłym morzu. Kiedy go wyostrzyła, zobaczyła, że są na wysokim grzbiecie, a poniżej nich, za nimi, wszędzie, aż do ciemnego horyzontu było pole świateł. Światła rozsypane były jak koraliki na ciemnym aksamicie.

– Na którą stronę patrzymy? – spytała.

– Na zachód.

Zachód, zachód.

Przyglądała się światłom, a potem pomyślała, że gdzieś poniżej, zupełnie poniżej jest jej mieszkanie. Daleko, za światłami, daleko, widniało pasmo czerni.

– Co to za smuga bez świateł?

Podniósł wzrok, wyraźnie pijany, co poznała po sposobie, w jaki kiwała mu się głowa, i zapytał gdzie.

Wskazała na dal. Podążył wzrokiem za jej ramieniem i odparł.

– Woda. To jest woda.

Pamiętała ten most, przez który przejeżdżali, a jednak po trzech miesiącach pobytu w Seattle zapomniała, że są tak blisko wody. Jediną rzeczą, którą znała, były ściany. Nawet w słoneczne dni światło było szare, wpadało bolesnymi ukosami do brudnych mieszkań. Pyłki kurzu wirowały w miejscu, nie miały gdzie polecieć. Wpatrywała się teraz w czarną masę przed sobą, w ten rozległy pas mroku i chociaż wiedziała teraz wszystko o pralkach automatycznych, zastanawiała się, czy na brzegach tej czarnej wstęgi kiedykolwiek były praczki, czy kiedykolwiek powiewały tam sari jak chorągwie.

– Wiesz, kiedy pierwszy raz piłem alkohol? – zapytał w telugu. Upiła kolejny łyk z butelki. – Miałem jedenaście lat. Prawie dwanaście. Za karuzelą na targach państwowych. – Mieszał teraz telugu z angielskim i Sawitha ze wszystkich sił starała się go zrozumieć. – Byłem tam ze swoim przyjacielem Robbiem i jego tatą. Jego tata uznał, że nadszedł już nasz czas, więc kupił nam piwo. – Milczał przez długą chwilę. – Następnego roku przenieśliśmy się tutaj. Nanna sprzedał motel, kupił dwa nowe. Zbudował dla nas imperium. Imperium! – Spojrzał na Sawithę i dodał: – Przypuszczam, że ty nim jesteś. Przypuszczam, że ty jesteś tym imperium.

Whisky się skończyła. Mohan cisnął butelkę na tylne siedzenie i opuścił oparcie swojego. Jak on to zrobił? – zastanawiała się Sawitha, opierając się na swoim tak, by ono też się obniżyło.

– Otwórz to – powiedział, wskazując na schowek przed przednim siedzeniem.

Podłubała przy zamku, a kiedy odskoczył, zobaczyła, że w środku leżała kolejna butelka. Podała mu ją, a on trzymał ją w dłoniach zamkniętą, nie otwierając jej, jakby była jakimś talizmanem, bardzo pięknym przedmiotem.

W ciszy, jaka panowała w aucie, powiedział:

– Przestałem uprawiać zapasy, kiedy miałem szesnaście lat. Po prostu przestałem. Sureś pytał mnie o to z milion razy. Do dziś o to pyta. Dlaczego? Dlaczego przestałeś? Byłeś dobry, Mo, naprawdę dobry. Mogłeś dotrzeć do finałów stanowych. Krajowych. – Przerwał i spojrzał na Sawithę: – Rozumiesz angielski? – Pokręciła przecząco głową. On mówił dalej, teraz tylko po angielsku. – Pewnego razu odebrał mnie ze szkoły. Jeden jedyny raz. Na tylnym siedzeniu była dziewczyna, jakoś w moim wieku. Spojrzałem na nią i zapytałem, kto to jest. Nawet nie odwrócił głowy. „Po prostu tam wejdiesz, Mo. Wejdiesz z nią, poczekasz na nią i wtedy wróćcie. Nic trudnego”. Tymczasem podjechaliśmy pod szpital i stanęliśmy na parkingu. Cała nasza trójka. Wtedy już zrozumiałem. Zapytałem, dlaczego on sam tam nie wejdzie. On czekał. Myślałem, że nie odpowie, a jednak odparł: „Mogliby mnie rozpoznać”. Więc zabrałem dziewczynę. Porozmawiałem z pielęgniarką. Wiedziałem, co ona myśli, ze sposobu, w jaki na mnie patrzyła. Dała mi ulotki o antykoncepcji, abstynencji i takie tam. Musiałem być czerwony jak burak. Kiedy dziewczyna wróciła, niosła takie same ulotki. Nie mówiła ani słowa po angielsku, ale ścisnęła te broszury, jakby mogły jej jakoś pomóc. Nie patrzyła na mnie. Nie podniosła głowy. Nie wiedziałem, co mam powiedzieć. W końcu byłem jeszcze dzieckiem. Oboje byliśmy. W końcu wymamrotałem coś, że przyniosę jej wody, a ona odpowiedziała, „Nie, dziękuję, proszę pana”. Możesz to sobie wyobrazić? Byłem szesnastolatkiem, a ona mówi do mnie „proszę pana”. – Roześmiał się. – Kiedy ją odwieźliśmy, zapytałem: „Kim ona, do cholery, jest? Co ona robi w naszym domu? Co ty masz z nią wspólnego?”. Patrzył na mnie długo i surowo, a potem rzekł: „A ty jak myślisz, co ona może robić w naszym domu? No? Jak myślisz, co my robimy, Mo? Jak myślisz, w jaki sposób doszliśmy do czegoś w tym kraju?

W jaki sposób osiągnęliśmy tak wielki sukces? Myślisz, że tata dałby radę to wszystko zrobić bez dziewczyn takich jak ona?” – Mżawka zamieniła się w deszcz. – Bez dziewczyn takich jak ona – powtórzył i umilkł. A potem zapytał w telugu: – Co rozumiałaś?

Sawitha odpowiedziała uczciwie:

– Rozumiałam słowo „dziewczyny”.

Spojrzał na nią z wyrazem twarzy, który rozumiała jako tęsknotę albo prawdziwą samotność, a potem jego palce przebiegły wolno po jej policzku. Szepnął po angielsku:

– Jesteś imperium. Jesteś więcej niż imperium.

Sawitha spojrzała na niego i w tym momencie zapragnęła powiedzieć mu wszystko, absolutnie wszystko, ale zamiast tego wzięła butelkę z jego rąk, zobaczyła, jak płyn kołysze się na tle kropli deszczu, na tle dalekich świateł, napiła się tak, jak napiłby się jej ojciec, a potem się uśmiechnęła.

Przyszedł kolejny tydzień. I przyszedł Mohan, do innego mieszkania, na Brooklyn Avenue i bez słowa położył ją na dywanie. Całował jej ramiona, potem szyję, potem usta, a ona, choć była całowana wiele razy wcześniej, pomyślała, więc to tak jest... więc to tak jest być całowaną. Pod plecami czuła miękkość dywanu, a on odgarnął włosy z jej twarzy, a potem rozpiął bluzkę. Nie zsunęła się z niej całkowicie, opadła tylko z jednej strony, a on z tej właśnie strony wziął jej pierś do ust. Sawitha kołysała jego głowę w ręce i dostrzegła w spokojnej czerni jego włosów pierwszą szorstką szarość. Nad ich głowami chwiało się okno, a potem gęsta chmura zmieniła się i do pokoju wlało się światło, padło na jej twarz. Zdjął z niej spodnie i majtki, jedno i drugie za duże, ponieważ musiały się dzielić ubraniami, a Gita była większa niż ona, ale on chyba tego nie zauważył, nie dbał o to, bo całował jej brzuch. Położył na nim głowę, jakby słuchał jakichś głosów, a ona znowu nią kołysała, zapalając się do niego, chcąc, by szedł dalej, ale on się zatrzymał. Jeszcze nie, powiedział. Poczwała najpierw niecierpliwość, a potem rozpacz. Nieomal powiedziała po angielsku, w telugu, „proszę”. Ale on

czekał, opierał się nad nią na rękach, patrząc w dół. Nie, powtórzył, nie, chcę najpierw na ciebie popatrzeć. Na ten pełny ognisty brązowy blask – blask ciebie. Odchyliła głowę, a on ją trzymał w tej pozycji, uniesiony nad nią w idealnej równowadze, doskonale, bez serca, a za nią drżało światło, pełne słodczy, pełne życia.

A potem siedzieli razem w gasnącej jasności dnia. Pod oknem, na podłodze, z nogami wyciągniętymi, dotykającymi się. Żadne z nich nie odezwało się słowem. Sawitha chciała wziąć go za rękę, ale on siedział po jej lewej stronie. Spojrzała na kikut spoczywający na jej udzie, chociaż wydawało się, że Mohan właściwie go nie dostrzega. Zamiast tego sięgnął po spodnie, wyjął portfel i rzekł:

– Chcę ci coś pokazać.

To była mała fotografia, pognieciona, pożółkła, lecz Sawitha natychmiast rozpoznała, że są na niej Mohan i Sureś jako chłopcy.

– Ile lat wtedy mieliście?

– Osiem i czternaście.

Przyglądała się im: za długie włosy, okrągłe oczy, wyraz niepohamowanego zachwytu na twarzy Mohana, przechylonego w połowie w kierunku starszego brata, w połowie w kierunku aparatu, ze śmiałym i pewnym uśmiechem; i Sureś, w ogóle się nieuśmiechający, pełen nastoletniej powagi, a może nastoletniego uporu, ale wciąż obejmujący ramieniem młodszego braciszka, trzymający go blisko siebie, ale nie za blisko.

– Gdzie jest twoja siostra?

– To ona je zrobiła. Byliśmy na wakacjach. Jedynych, na jakich byliśmy kiedykolwiek. Tata chciał pokazać nam Mount Rushmore. To było wtedy, gdy mieszkaliśmy w Ohio. „Na tym polega wielkość, dzieci – rzekł – gdy waszą twarz wyrzeźbią w zboczu góry”. Nie pamiętam tego dobrze. Mam na myśli Mount Rushmore. Ale pamiętam to miejsce – dodał, wskazując na fotografię.

Sawitha spojrzała w jej głąb, za Mohana i Sureśa, na drzewa za nimi i na jakąś niedaleką rzekę czy jezioro.

– Co to jest?

– Spearfish Canyon. Tylko przejechaliśmy obok niego, ale pamiętam, że był doskonały. Najdoskonalsze miejsce, w jakim kiedykolwiek byłem.

Przyglądała się dalej zdjęciu. Nie mogła dostrzec tej doskonałości, nawet w połowie nie budził takiego zachwytu jak Indrawalli Konda.

– Jak doskonałe?

Milczał. A potem podniósł ramię i objął palcami prawej ręki jej kikut, tak zupełnie i tak naturalnie, jakby ona też miała dłoń.

– Nie ma sposobu – odparł – nie ma sposobu, żeby opisać rzecz, która jest doskonała.

Sawitha znów przyjrzała się fotografii.

– Był jak pieśń fletu?

– Co?

– To miejsce. Było jak pieśń fletu?

Maleńki uśmiech zagrał w kącikach jego ust.

– Tak. W pewnym sensie tak – odpowiedział. – Nigdy o nim w ten sposób nie myślałem. Ale tak, był pieśnią fletu.

– Jak on się nazywa?

– Spearfish Canyon.

Rozbiła słowa na części i powiedziała je do siebie po cichu. Spear. Fish. Can. Yon. A potem wypowiedziała je głośno.

– A jak to się pisze?

– Jest po drugiej stronie – rzekł.

Na odwrocie zdjęcia zobaczyła napis niebieskim atramentem: S-P-E-A-R-F-I-S-H C-A-N-Y-O-N. Kiedy mu je oddawała, on dodał:

– Może pojedziemy tam pewnego dnia.

Nieomal się roześmiała. Nie umiałaby powiedzieć dlaczego, tyle tylko że nie czuła radości.

Była już w Seattle ponad rok. Czasami, kiedy Wasu przewoził ją z mieszkania do mieszkania, przejeżdżali obok uniwersytetu i Sawitha patrzyła z okna jego starego beżowego samochodu na czekających, spacerujących, śmiejących się studentów, przede wszystkim na dziewczęta. Były w jej wieku, niektóre starsze, a ona patrzyła na ich skórę, na opadające włosy, na ich krągłe ramiona, na ich obie dłonie i pytała w myśli: jak się nazywasz? Gdzie mieszkasz? Czy tam, gdzie sprzątałam?

Gdyby Mohan wiedział o Sureśu, o pokoju, o butelce przezroczystego płynu, nie pozwoliłby na to wszystko. Zazwyczaj milczał, niekiedy opowiadał jej jakieś historie po angielsku albo się z nią kochał, a potem przyrządzał jej kawę. Nawet jeśli byli w pustym mieszkaniu bez garnka czy patelni w zasięgu wzroku, biegł do sklepiku na rogu, kupował kawę rozpuszczalną, gotował wodę w mikrofalówce, a potem siadał z Sawithą na podłodze i pili kawę ze styropianowego kubka, który znalazł w samochodzie.

Kiedyś nie znalazł ani garnka, ani kubków, ale poprzedni najemca zostawił małą plastikową doniczkę na jednym z parapetów. Sawitha dostrzegła, że Mohan na nią patrzy, i powiedziała, nie, to obrzydliwe. Ale on wymył ją w zlewie, zagotował wodę i podawali ją sobie nawzajem, lekki zapach ziemi mieszał się z mocnym zapachem kawy.

Oczywiście, nie powiedziała Gicie i Padmie ani o Mohanie, ani o Sureśu. Żadna z nich nie opowiadała wiele o którymkolwiek z braci. Ale pewnej nocy znalazły torebkę z na wpół zgniłą papryką przy drzwiach, Gita wycięła niejadalne kawałki i zrobiła curry z papryką i ziemniakami. Zjadły je z ryżem, a potem jadły jogurt i kiedy Sawitha obierała banana, Padma spytała:

– Skąd go masz?

Nie mogła powiedzieć prawdy, więc odparła:

– Leżał za drzwiami. Tak samo jak papryka.

Zjadły w ciszy, a potem się umyły, położyły na pryczach i Sawitha usłyszała dalekie buczenie, więc zapytała:

– Co to jest?

– To przeciw mgle. Żeby ostrzec statki.

– Mgle?

Gęstej mgle, wyjaśniły. Statki mogą w niej zgubić drogę. Sawitha przypomniała sobie wczesnoporanne mgły na Krysznie; można je było wybierać łyżką, jak sambar. A potem pomyślała o statkach. Przypuszczała, że gdzieś tu niedaleko jest port, są marynarze, kapitanowie, pasażerowie i cudowne rzeczy z całego świata przywożone do tego portu. Jak przyprawy, albo może złoto.

– Mohan był tu wcześniej – powiedziała Gita do Sawithy. – Powiedział, że musi cię zabrać do pracy w Ravennie. Mówiłam mu, że ja mogę pojechać, ale nie chciał, powiedział, że to może poczekać.

Sawitha leżała cicho, ale Padma westchnęła w ciemności.

– Ty powinnaś mu to powiedzieć – dodała Gita, chichocząc, jakby były uczennicami.

Padma obróciła się na pryczy, wzdychając ponownie, wyraźnie bez humoru. Ich oddechy stawały się coraz głębsze i wtedy w ciemności odezwała się Gita, teraz głos miała poważny:

– Czego ty się boisz? Chodzi mi o to, czy najgorsza rzecz już się nie stała?

Odpowiedziała jej cisza. Sawitha pomacała w poszukiwaniu niedokończonego sari Purnimy, zastanawiała się bez przerwy, gdzie mogłaby dobrze je schować, nim rano wyjdzie do pracy. Zastanawiała się, dlaczego to robi.

Padma i Gita zapadły w końcu w niespokojny sen. Ale Sawitha leżała, nie śpiąc. Słowa Gity zapadły jej w myśli, wisiły nad pokojem, jak ciężar. Noc też była ciężarem. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie jest zazdrosna, nie o Padmę,

oczywiście, ale o to, co musiało nadejść. Wiedziała, że Sureś był żonaty, ale Mohan nie. Wiedziała, że prędzej czy później się ożeni z jakąś odpowiednią dziewczyną z odpowiednio bogatej rodziny. Jej ojczystym językiem będzie telugu, a ona sama będzie urocza. To też wiedziała. Ale nie była zazdrosna. Znała warunki ich uczucia. Uczucia? Nie, nie uczucia... ale czy to była miłość? Może to jest miłość – i zasmuciła ją ta myśl, gdy ją sobie uświadomiła, leżąc na łóżku w tej obskurnej kawalerce. Odwróciła się od niej, fizycznie się odwróciła od tej myśli, twarzą do ściany.

Przypomniała sobie historię, jaką ojciec opowiedział jej wiele lat temu. Była wtedy tylko dziewczynką i całymi dniami bawiła się wśród skarłowaciałych drzew w pobliżu chaty, patrzyła, jak praczki przechodzą obok niej, tłumoki poskładanych ubrań kołysały się na ich głowach. Zapadł wieczór, wszystkie prace domowe były zrobione i nawet jej amma przyszła i siadła na ziemi, w nogach łóżka swojego męża, namaszczając włosy Sawithy olejkiem (nie mieli wtedy jeszcze innych córek). W tej historii nanna był w wieku Sawithy, a może jeszcze młodszy i za mały, by zacząć pracę przy krosnach albo na ćarkhce, zamiast tego codziennie wysyłano go do domu mleczarza. A ten, opowiadał ojciec, był oddalony od ich domu o prawie cztery kilometry, a oni nie mieli pieniędzy na rykszę czy autobus, więc musiał iść piechotą.

– Byłem śpiący, zawsze śpiący, ledwo trzymałem się na nogach – mówił – ale moją ulubioną częścią tej drogi było przywitanie się z krowami. Zawsze na mnie czekały, z mokrymi nosami przytkniętymi do zagrody i właśnie wtedy, dokładnie w tym momencie wschodziło słońce, a końcówki ich kędzierzawych, śmiesznych uszu były całe rozświetlone, jak małe kopczyki podświetlone od tyłu. We dnie – mówił dalej – to był przyjemny spacer. Przez pola w kierunku rzeki. Ale rano, wcześniej rano, kiedy jeszcze noc wisiała nad światem, może o trzeciej rano, może o czwartej – tak by mógł dostać najlepsze jogurty ze zniżką dla niego, ponieważ mleczarz żałował małego chłopca, który musiał iść tak daleko – pola były okropne. Okropne i przerażające.

– Ale dlaczego? – zapytała Sawitha, zapach olejku kokosowego mieszał się z nocnym powietrzem.

– Bo byłem po prostu chłopcem – odpowiedział ojciec – bo było ciemno, a właśnie kiedy jest ciemno, wtedy wszystkie strachy wychodzą na jaw, kiedy jesteś chłopcem czy dziewczynką – dodał, klepiąc ją po głowie. – Tak czy owak, pewnego dnia szedłem do domu mleczarza jak zwykle i nagle się zatrzymałem. Po prostu stanąłem na środku drogi. Wiesz, dlaczego się zatrzymałem? – zapytał Sawithę. Pokręciła głową, oczy miała ogromne. – Ponieważ zobaczyłem niedźwiedzia. Albo tygrysa. Widzisz, nie byłem pewien. Jak mówiłem, było ciemno i chociaż mogłem go nieomal dotknąć dziecinną rączką, nie ośmieliłem się. Ale on trzymał mnie, trzymał spojrzeniem. Widziałem jego oczy, były żółte i nie mrugały albo mrugały w tym samym momencie, kiedy ja mrugałem. Tak czy owak, zamarłem w tym jego spojrzeniu. Byłem absolutnie przerażony. I kiedy tak stałem bez ruchu, on też stał bez ruchu. Po prostu tam stał. Czekał, żeby mnie zjeść.

Sawitha wstrzymała oddech:

– I co się potem stało, nanna?

– Cóż – ciągnął ojciec – staliśmy, patrząc na siebie, oddychając i się nie poruszając, jego żółte ślepia powoli robiły się czerwone. Najpierw pomarańczowe, a potem czerwone. Coraz czerwiejsze. W tym momencie zobaczyłem tuż obok jakieś zagłębienie w ziemi, dosłownie kilka kroków ode mnie, więc najciszej jak umiałem, odsunąłem się od tego niedźwiedzia czy tygrysa i skuliłem w tym dołku. Postanowiłem, że poczekam na wschód słońca, a potem ucieknę. Lub, co było nawet bardziej prawdopodobne, liczyłem na to, że on sobie pójdzie, że chłopci zaczną wychodzić na pola, a może któryś z nich będzie miał jakiś kij, którym go odpędzi. Takie myśli przebiegały mi przez głowę, ale większość czasu nie było żadnych myśli, tylko strach. – A potem, ku wielkiemu zdumieniu Sawithy, ojciec roześmiał się głośno. – I wiesz, co stało się potem? – Sawitha wpatrywała się w niego. – Wzeszło słońce. Oto co się stało. A wiesz, co się stało potem? Zobaczyłem, że ten wielki niedźwiedź czy tygrys, czy jakiś inny potwór, którego

sobie wyobraziłem, był po prostu drzewem. Drzewem! Po prostu drzewem! Uschłym drzewem. – Śmiał się dalej. – Widzisz, było ciemno. To była moja wyobraźnia.

– Więc nie było niedźwiedzia? Ani tygrysa? – zapytała Sawitha, lekko rozczarowana.

– Nie, *laddu*, mój cukiereczku – odpowiedział. – To było tylko drzewo. Było niczym, jak większość naszych lęków. Niczym.

Sawitha leżała w ciemności i myślała o tej historii. Nie pamiętała jej przez lata, ale teraz przypomniała jej się i uświadomiła sobie: ale moje lęki nie są niczym. Moje lęki o rodzinę, o jej dobrobyt, są realne. One naprawdę są niedźwiedziem. Tygrysem. I gdybym odeszła... nie mogła skończyć tej myśli. Ale dlaczego przypomniałam sobie opowieść, kiedy tylko pomyślałam o miłości? Czy to nie oczywiste? Jasne, że tak. Nigdy nie doświadczyła jednego bez drugiego, zawsze bała się o zdrowie ojca, o jego picie, o małżeństwa sióstr, o niekończące się dni pracy jej matki. A z Mohanem? Tak, z Mohanem to nawet jest wyraźniejsze – nie mogło być miłości bez strachu. Dla niej te dwa uczucia od zawsze były związane, lęk i miłość, od zawsze, ale teraz, na granicy jawy i snu, nadpłynęła jeszcze jedna myśl, jakby z tej tkaniny schowanej w poduszce: że może był jeden wyjątek. Może raz jeden, przez krótki czas, kiedy była dziewczynką, te uczucia się rozdzieliły. Przez krótki czas (już chrapała, zaczynając śnić) kochała Purnimę i w tej miłości nie czuła lęku.

Przyszedł Sureś i wziął ją, potem przyszedł Mohan, potem znowu Sureś. Potem znowu Mohan, kochali się w jakimś pustym mieszkaniu, w biurowcu. Ten rytm towarzyszył jej jak przybłąkany pies. Mijały miesiące. Kiedyś siedziała na krawędzi łóżka i patrzyła, jak Sureś otwiera butelkę piwa. Zapytała:

– Mogę też prosić o jedną?

Spojrzał na nią zaskoczony – prawdopodobnie tym, że się w ogóle odezwała, unikała tego, wciąż jeszcze rozbita jego obecnością, pokojem, przezroczystym płynem i samym aktem – a potem podał jej piwo. I oto jeszcze jeden rytm: piwo

z Suresem, whisky albo kawa z Mohanem. Pewnej nocy znalazła się sama w jakiejś kawalerce i nie mogła usiedzieć spokojnie. Przeszła od okna w pokoju do kuchni, potem do łazienki, potem znowu wróciła do kuchni i zdała sobie sprawę, że chce się napić. Ta myśl ją zmroziła. Stała przy oknie i myślała o swoim ojcu, o jego destrukcji, a potem pomyślała o niewidomym chłopcu i o tym, jak leżała na pryczy, wpatrując się w zamknięte drzwi, czekając, aż nadejdzie z igłą. W tym momencie sobie przysięgła. Na zawsze. I już nigdy nawet nie tknęła piwa czy whisky, kiedy ją częstowano.

Pod koniec lipca, ciepłego i pochmurnego popołudnia Mohan przyjechał po nią i rzekł:

– Mam niespodziankę.

Znowu jechali szeroką jezdnią, tym razem w pobliże wody, a potem on zaparkował na zatłoczonej ulicy, między niebieskim a czerwonym samochodem. Będzie o tym zawsze pamiętać: zaparkował między niebieskim a czerwonym samochodem. Restauracja, do której ją zabrał, była najbardziej kolorowym pomieszczeniem, jakie Sawitha kiedykolwiek widziała. Ściany boksów ze stolikami były jaskrawo czerwone, na ścianach wisiały plakaty filmowe, a kontuar miał kolor niebieski. Znowu niebieski i czerwony, pomyślała. Kiedy usiedli – Sawitha wciąż oszołomiona, bo nigdy wcześniej nie przywiózł jej w miejsce publiczne, co więcej, nigdy nie była w restauracji, z Mohanem czy bez niego. Rozejrzała się po innych klientach, śmiejących się i rozmawiających, wyraźnie czujących się swobodnie, i wbiła się w róg krzesła. Ukradkiem podwinęła bluzkę, żeby nikt nie widział, jak bardzo jest na nią za duża, schowała kikut pod stołem i przyglądała się wszystkiemu, co dzieje się wokół niej, słyszała brzęk sztućców, rozmowy, widziała parujące talerze jedzenia niesione przez kelnerów, gdy mijali ich stolik, przyglądała się temu z jakimś szacunkiem, z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Kiedy kelnerka przyszła, by odebrać zamówienie, obrzuciła ją spojrzeniem pełnym – jak jej się wydało – kpiny, a może współczucia, a potem zwróciła się do Mohana. Zamówił coś, czego Sawitha nie zrozumiała, a potem

kelnerka wróciła z płytką owalną salaterką, którą postawiła między nimi, na samym środku stołu.

Sawitha spojrzała na naczynie.

– Co to jest?

– Nie pamiętasz? Mówiłem ci o tym. To deser lodowo-bananowy, nazywa się banana split.

Przyjrzała się uważnie i rzeczywiście, jest! Banan!

– Ale co to jest?

– Lody.

– Nie, to na górze.

– Czekolada. A to jest bita śmietana.

– A to?

– Polewa truskawkowa.

– A to wygląda jak kawałki orzeszków ziemnych.

– Tak.

– A co jest na samej górze?

– Wiśnia. Jadłaś kiedykolwiek wiśnię?

Sawitha pokręciła głową, więc on nalegał, żeby zjadła pierwsza, a kiedy spróbowała, uznała, że ma najdziwniejszy smak ze wszystkich rzeczy, które kiedykolwiek jadła. Konsystencję miała jak liczi, ale smakowała bardziej jak słodki, gęsty alkohol. Potem wzięła kęs banana z odrobiną lodów i czekolady, zanurzywszy czubek łyżeczki w polewie truskawkowej, żeby móc spróbować wszystkiego razem. Wzięła też trochę tej białej, puchatej, lekkiej substancji – to wszystko zajęło chwilę – a potem zamknęła oczy. To była najlepsza rzecz, jaką w życiu jadła. Lepsza niż banan z jogurtowym ryżem? Nie, ale bardziej ekstrawagancka. Nawet nie bardzo dało się je ze sobą porównać. Jogurtowy ryż z bananem był jak życie, prosty, rzetelny, podczas gdy ten deser z lodami w rozciętym bananie był jak śmierć, złożony, przeniknięty jakąś tajemnicą, która była poza jej zrozumieniem i każdy kęs wprawiał w osłupienie, jak każda śmierć.

Mohan obserwował ją uważnie, sam zjadł jedną czy dwie łyżeczki, a potem powiedział:

– Trudno cię zostawić w takiej chwili jak ta.

– To znaczy w jakiej?

Nie odpowiedział. Zamiast tego wyciągnął rękę i wytarł czekoladowy ślad z policzka Sawithy.

– Muszę niedługo jechać na lotnisko.

– Och – powiedziała Sawitha, ledwo go słuchając, cała skupiona na deserze.

– Nowa dziewczyna.

Sawitha podniosła wzrok. Teraz zaczęła słuchać.

– Chyba zajęcza warga.

A więc nowa wiza medyczna.

– Skąd ona jest?

– Nie mam pojęcia.

– Chodzi mi o to, czy jest z Andhra Pradeśu. Mówi w telugu?

– Prawdopodobnie. Ale staramy się nie wiedzieć.

Sawitha poczuła przypływ zimnego powietrza. Trzymała łyżkę nieruchomo.

– Nie rozumiem. Staracie się nie wiedzieć?

Ściszył głos do szeptu, chociaż wiedziała, że obok nich nikt nie siedział. A poza tym rozmawiali w telugu. Któż mógłby ich zrozumieć?

– W przeciwnym wypadku – odparł – w przeciwnym wypadku w razie kłopotów... – Przerwał, a potem dodał: – Nie tutaj.

Skończyła deser, Mohan zapłacił rachunek i kiedy wsiedli z powrotem do samochodu, Sawitha spytała:

– Więc mówisz...

– Tyle tylko, że w razie kłopotów nikt nikogo nie zna. Nikt nie może nic od nas wyciągnąć.

– Więc nie wiesz, skąd ta dziewczyna... skąd pochodzi? Z jakiej wioski?

- Nie.
- Z jakiej rodziny?
- Nie.
- To jak twój ojciec je zdobywa?
- Przez pośredników. Świat jest pełen pośredników.
- A co z tą kobietą? Tą, która udawała, że jest moją matką?
- Nawet ona nie wie – odparł. – Ona wie najmniej ze wszystkich.

Sawitha z powrotem opadła na siedzenie.

Jej myśli wirowały, potrzebuję pieniędzy, skąd je wezmę i jak, jak stąd ucieknę, ta mała niebieska książeczka, mała niebieska książeczka, wizy medyczne, idiotka, idiotka, dlaczego nie zwracałam większej uwagi na znaki, na drogi, na angielski, dziewczyna z zajęczą wargą, nanna, jesteś bezpieczny, nanna, miałeś rację, to nie był niedźwiedź, to nie był tygrys, to wszystko było w mojej głowie, powinnam powiedzieć Padmie i Gicie, nie mogę, nie mogę, pamiętam, że któraś dziewczyna miała zajęczą wargę, córka jednej z praczek, raczkując, przez przypadek wpadła do studni, czy to ona? Lotnisko, muszę jechać na lotnisko, deser z lodami w bananie, śmierć, bycie tutaj jest jak śmierć, ta mała niebieska książeczka, idiotka, dlaczego tego lepiej nie zaplanowałam, ale, nanna, nie wiedziałam, nie wiedziałam, że to nie jest niedźwiedź, nie jest tygrys, dopóki nie wzeszło słońce, aż do tego momentu nie wiedziałam.

Jej myśli wirowały i wirowały, kręciły się w wielkich podmuchach, ale w ich centrum, dokładnie w ich doskonałym centrum panował absolutny spokój i w tym spokoju była tylko jedna myśl: mogę stąd odejść.

Czekała. Uspokoila myśli i czekała.

Z Mohanem spotkała się dwa tygodnie później. Przyszedł do mieszkania, które sprzątała, kawalerki takiej jak jej, ale znacznie przyjemniejszej, z ładnymi drewnianymi drzwiami i błyszczącymi białymi szafkami. Zrobił jej kawę. Upiła łyk, zaczekała, potem następny, i spytała:

– Odebrałeś ją?

– Kogo? – zapytał nieuważnie, dłubiąc przy luźnym kranie w kuchni. Nie widziała jego twarzy, ale mogła dostrzec jego ręce, więc skupiła się na nich.

– Tę dziewczynę. Tę z zajęczą wargą.

– Jeszcze nie. Przełożyli. Jakieś problemy z wizą.

Patrzyła na jego dłonie, a potem rozejrzała się po mieszkaniu.

– To ładne miejsce, prawda? Chciałabym tutaj mieszkać.

Mohan odwrócił do niej twarz.

– Mogę spróbować załatwić, żebyś tu mieszkała. Mogę porozmawiać z nanną.

Sawitha prawie że do niego podeszła. Prawie że krzyknęła. Miłość, pomyślała, to jest miłość.

Dosłownie kilka dni później, kiedy przyszła do domu i podgrzewała ryż, usłyszała stukanie do drzwi. Odstawiła garnek, wymyła rękę i poszła otworzyć. Sureś. Przeszył ją ból. Kiedy dotarli do magazynu, Sawitha spojrzała jeszcze raz na biurko, gdzie Gopalradźu siedział po raz pierwszy, kiedy przyjechała. Tym razem krzesło było puste, wsunięte pod blat, a wszystkie papiery porządnie ułożone obok dużego komputera. Zauważyła, że po jednej stronie biurka są trzy szuflady. Żadna z nich nie miała zamka.

Kiedy weszli do pokoju, pocałował ją szorstko, a potem podał jej butelkę z przezroczystym płynem. Nasmarowała sobie kikut, a potem zamknęła oczy. Przechodziła przez to już tyle razy, że mogła to robić na wycucie. Ale pod zamkniętymi powiekami widziała coś innego. Widziała zwalony budynek. Nie widziała, co sprawiło, że się zawalił, ale widziała, że nie tylko ten budynek, ale wszystkie inne, które go otaczały, i wszystkie domy wokół tych budynków też się zawaliły. I to szło dalej, za domami znajdowały się slumsy i one też były rumowiskiem. A potem były fabryki, wysypiska śmieci i pola zrównane z ziemią. Nie wiedziała, co spowodowało te zniszczenia, nie musiała. Musiała tylko patrzeć na te ruiny, znać je i wiedzieć, że nigdy się nie skończą.

Kiedy Sureś poszedł do łazienki, wymknęła się z pokoju i przeszukała pierwszą szufladę biurka. A potem drugą i trzecią. Nic. Żadnych małych niebieskich książeczek. Gdzie one mogły być? Wszędzie. Są miliony innych miejsc. Najprawdopodobniej nawet ich nie ma w magazynie. Pędem wróciła do pokoju, a kiedy tam się znalazła, Sureś właśnie wychodził z łazienki. Spojrzał na nią, a potem na otwarte drzwi.

– Gdzie byłaś? – zapytał spokojnym głosem.

– Usłyszałam jakiś dźwięk.

Przebiegł obok niej i sprawdził magazyn, potem wyjrzał na zewnątrz. Gdy wrócił, rzekł:

– Nic.

Przyglądał jej się podejrzliwie, surowo, a potem podszedł dwa kroki, stanął obok niej i uderzył ją, mocno:

– Następnym razem, jak usłyszysz jakiś dźwięk, ja będę sprawdzał, co to jest.

Kiedy wróciła do mieszkania, siedziała na pryczy przez dłuższą chwilę. Słuchała odgłosów nocy: oddechy Padmy i Gity, szum samochodów, szmer liści, palenie się gwiazd. Potem wyjęła ostatni kawałek niedokończonego sari Purnimy i przytuliła go do twarzy. Rozpłakała się.

Gita usiadła na pryczy.

– Co? Co to jest?

Sawitha schowała przed nią tkaninę.

– Nic. Zły sen.

Padma się nie obudziła. Sawitha patrzyła to na nią, to na Gitę, która z powrotem opadła na poduszkę, a potem znowu je wyjęła: nawet w ciemności było dobrze widać – kolejny kawałek. Zniknął. Teraz było niewiele większe od ręcznika. I wtedy zrozumiała. Już wiedziała. Te kawałki były ostrzeżeniem. Były wiadomością: „przestań”. Ale jak? Jak oni się dowiedzieli? I ile jeszcze kawałków jej zostało? Ile do ostatniego?

Spojrzała na tkaninę, jakby szukając tam odpowiedzi. „Od kłębka do nici, od nici do krosien, od krosien do teraz”, wyszeptała do niej. A potem jeszcze, „Uciekamy, ty i ja”.

Czekała. Zastanawiała się nad niebieską książeczką.

Następnego dnia zapytała o nią szeptem Gitę, kiedy Padma już wyszła.

– Potrzebujesz jej, żeby dokądś pojechać? Dokąd?

– Skąd mogę wiedzieć?

– Wtedy, kiedy Wasu nie może mnie podwieźć? Kiedy muszę jechać autobusem?

– Nie, nie o to chodzi. Potrzebujesz jej, gdy masz lecieć samolotem. Do innego kraju.

Sawitha była zdziwiona. Poczowała ulgę. Spojrzała na Gitę.

– Ile czasu tu jesteś?

– Pięć lat.

– A ile masz lat?

– Siedemnaście – odparła.

Sawitha skinęła głową. Byłam mniej więcej w tym samym wieku, kiedy poznałam Purnimę, pomyślała. A potem spytała samą siebie, ale dokąd ja pojedę? Z pewnością nie z powrotem do Indii, na to nie miała pieniędzy. Ani niebieskiej książeczki. Ale nikogo tutaj nie znała. Nikogo. Poza... była ta pani, ta pani

o włosach w kolorze dżilebi, z perłowymi zębami. To już coś, a raczej ktoś. Kiedy Gita poszła pod prysznic, Sawitha wyjęła biały prostokącik papieru i przyjrzała się mu. Miała na imię Katie, Katie Jakaśtam. A pod imieniem był ciąg liter. Nie było numeru telefonu, ale odczytała adres: Nowy Jork, Nowy Jork. Dwa razy. Na wschód.

Kilka dni później zobaczyła młodą kobietę z miłą twarzą wychodzącą z jednego z mieszkań i pokazała jej ciąg liter.

– Co... proszę... – powiedziała.

Młoda kobieta spojrzała na nią z zakłopotaniem.

– Przepraszam?

– Co jest?

Młoda kobieta spojrzała na karteczkę.

– To adres mejlowy.

Teraz Sawitha była zakłopotana.

– Ma pani komputer?

Ach tak. Sawitha skinęła głową i podziękowała jej.

Komputer.

Oczywiście, nie miała komputera ani nie mogła jechać na zachód, Mohan powiedział jej, że na zachód jest tylko ocean. A na północ? Na południe? Co jest na północy i na południu? Nie miała pojęcia. Ale wschód. To musi być na wschodzie.

Zaczęła nosić niedokończone sari Purnimy ze sobą. Codziennie. Mohan kiedyś je zauważył, bezchmurnego, chłodnego dnia w połowie września.

– Co to jest? – zapytał.

– Nic – odparła, wpychając je z powrotem do kieszeni. – Po prostu ktoś to zostawił w jednym z mieszkań.

Spojrzał na nią, spieszenie się ubierając, i dodał:

– Muszę jechać. Mam ją odebrać.

– Kogo?

– Dziewczynę z zajęczą wargą.

Sawitha skinęła głową. Kiedy pojechał na lotnisko, wyjęła niedokończone sari, składała je i rozkładała, wygładzała je jedną ręką. Była teraz jeszcze ostrożniejsza. Ścisnęła je w ręce, gdy spała, ani na chwilę nie spuszczała go z oka, nawet kiedy była pod prysznicem. Wciąż nic. Nic. Ale wiedziała, że to musi nadejść niedługo.

Któregoś czwartkowego wieczoru, w drugiej połowie września, Mohan znowu po nią przyjechał. Zabrał ją ponownie do parku, tego z widokiem na światła, na krople i na wstęgę wody, a potem zapytał, które mieszkania dzisiaj sprzątała, i zabrał ją do tego na Phinney Ridge. Teraz nauczyła się nazw części ulic i nauczyła się czytać kilku znaków, jak Stop, Wyjście i *Merge*. *Merge* – dźwięk tego znaku najbardziej jej się podobał. Nauczył ją też cyfr, jak pisać swoje imię angielskimi literami, zapytała też Mohana, jak się je literuje, zapytała też, jak się literuje Seattle. Nie posunęli się w nauce wiele dalej.

Patrzyła teraz na niego, jak w kuchni przyrządza kawę. Pamiętała pierwszy raz, kiedy go zobaczyła, jak on przyglądał się jej gipsowi, wiedząc, że jest fałszywy, ale z prawdziwą troską i ciekawością. I jak kupił jej pierwsze amerykańskie banany. I jak ją uwiódł w tym miejscu, w charakterystyczny dla siebie sposób. Przez następne lata, choć tak niewiele o nim wiedziała – ponieważ większość jego opowieści była po angielsku – doszła do wniosku, że krzyczy w nim jakaś krucha istota, jakieś samotne i złamane stworzenie, bijące skrzydłami o samotne i złamane serce. A gdyby miała zgadywać, powiedziałyby, że on nie ma pojęcia, co z nią zrobić, co z tym zrobić. Ale to także było takie, jakie powinno być. Nie ma odpowiedzi. Został wychowany do innych rzeczy. Do innych celów. Rzeczy, których może nawet by nie zrozumiała. Ale ona? Ona wiedziała, że została wychowana – nawet z jedną ręką to wiedziała – została wychowana do krosien, to tkaniny, do magii nici, do wspaniałości tworzenia rzeczy, owijania jej, jak kochanka, wokół ciała.

I w tym momencie – właściwie bez żadnego wahania – sięgnęła po jego spodnie i wyciągnęła z nich portfel. Po co dłużej czekać? Było tam niewiele

więcej niż sto dolarów. Ponad sześć tysięcy rupii! Z pewnością wystarczy jej, żeby dojechać do Nowego Jorku. Musi wystarczyć.

Kiedy wciskała plik banknotów do kieszeni, zauważyła umieszczone pomiędzy nimi zdjęcie, które jej kiedyś pokazał, to ze Spearfish Canyon. Zastanowiła się tylko przez moment, zanim przedarła je na pół i wsunęła tę połówkę z Suresem z powrotem do jego kieszeni. A połówkę z Mohanem, razem z pieniędzmi, do swojej.

Odwiózł ją. Tym razem, tak jak nigdy wcześniej, nie pocałowali się na pożegnanie.

Musiała uciec tej nocy, dokładnie tej nocy, zanim Mohan otworzy portfel, zanim zatrzyma ją miłość.

I tak zrobiła. Wymknęła się z mieszkania – po tym, jak upewniła się, że Gita i Padma śpią – i zeszła po schodach. Gdy przechodziła obok mieszkania Wasu, zobaczyła, że szpara pod drzwiami jest ciemna. Mimo to dygotała, kiedy je mijała. Lewa stopa. Prawa stopa. Skrzypnięcie.

Światło.

Sawitha stanęła. Wstrzymała oddech. Kroki. Idź – idź teraz. Rzuciła się w dół schodów. Z trzaskiem otworzyła drzwi frontowe.

Wiedziała, gdzie jest wschód. Wschód – to wiedziała. Pobiegła.

PURNIMA

1

Purnimie niełatwo przyszło zostać przewoźniczką – pasterką, jak Guru ich nazywał – dziewczyny z zajęczą wargą sprzedanej do Seattle. Wręcz przeciwnie, musiała pokonać wiele trudności. I wymagało to tak drobiazgowego planowania, perswazji i po prostu pomysłowości, że czasami śmiała się z siebie: biorąc pod uwagę wysiłek, jaki w to włożyłam, myślała, mogłabym poprowadzić tory kolejowe przez górzysty kraj lub zbudować mosty na morzu.

Większość z tych dwóch lat, podczas których się do tego szykowałam, wydawała jej się marnotrawstwem czasu, cennego czasu, czasu, który liczyła w minutach, w sekundach; wiedziała jednak, że musi zachować spokój. To właśnie spokój bywa niekiedy największym ruchem. Wiedziała tyle, że znajdzie Sawithę, ale wiedziała też, że zrozumienie tego, czego nie wie, będzie wymagać ogromnej cierpliwości. Na przykład, tak naprawdę wiedziała jedynie to, że Sawitha została sprzedana jakiemuś bogatemu człowiekowi w mieście, które nazywa się Seattle. Ale nie wiedziała, gdzie to Seattle leżało, jak tam się dostać, ani nawet tego, co jest potrzebne, by pojechać do takiego kraju jak Ameryka.

Jak się przekracza granice kraju?

Kiedy Guru ujawnił jej miejsce pobytu Sawithy, Purnima nie zrobiła nic. Czekwała.

Nie miała wątpliwości, że jeśli wzbudzi jakiegokolwiek podejrzenie w okrutnym umyśle Guru – że Purnima zna Sawithę albo że jej szuka – on zniszczy każdą możliwość połączenia z nią i natychmiast wyrzuci Purnimę z burdelu. Więc czekała dobre trzy miesiące – długie, pełne frustracji miesiące – a potem, zupełnie od niechcienia, w gorący leniwy żółty poranek, kiedy nawet wentylatory potykały

się ze zmęczenia, spojrzała na niego znad ksiąg rachunkowych i kalkulatora i rzekła:

– Wyświetlają nowy film w Alankarze. Widziałam go wczoraj wieczorem. Ludzie tłoczyli się setkami. Jakąś kobietę popchnięto na ziemię. – Guru ledwo skinął głową. Żuł betel i czytał gazetę. – Innej rozdarli bluzkę. Zwierzęta.

Guru podniósł oczy znad gazety. Wzdrygnął się lekko, jak zawsze kiedy widział twarz Purnimy. Zagoiła się zupełnie, ale ta połowa, którą zalał olej, była wciąż jasnorożowa i na tle brązowej skóry wyglądała jak gnijący kwiat. Jej cała lewa strona była zniekształcona, pełna dziur jak kopalnia, odsłaniająca coś zbyt surowego, coś zbyt nagiego. Co więcej, w samym środku tego różu, obramowanego białym brzegiem, był krater, ciemny, jakby żyły w nim małe zwierzątka. W twarzy Purnimy było jeszcze coś innego, coś jeszcze bardziej niesamowitego. Myślała, że to może jej uśmiech i to, jak groteskowo wykręcał jej twarz – dzieci przerywały zabawę i patrzyły na nią w przerażeniu – więc zupełnie przestała się śmiać, ale to nie było to.

To było coś zupełnie innego: to coś było pod powierzchnią jej twarzy. Albo raczej: to coś szalało pod powierzchnią jej twarzy. Jakieś światło, jakiś ogień. I to coś płonęło. Jakby gorący olej na powierzchni skóry zastygł, skapitulował, podczas gdy w środku wzmagął się pożar. I właśnie to było naprawdę niesamowite, niespodziewane. Tragicznie było stać się ofiarą poparzenia – olejem, kwasem solnym, kłótni o posag, okrutnych teściów – ale tym, czego w tej sytuacji oczekiwano, było pokorne, pełne bólu zejście ze sceny, kobiece w swoim smutku, w wyczuciu proporcji. Innymi słowy tym, czego oczekiwano, była niewidzialność. Kobieta miała zniknąć. Ale Purnima odmówiła albo raczej nigdy nie wzięła tego pod uwagę. Chodziła po ulicy, trzymała głowę wysoko, nie nosiła mangalsutry, nie towarzyszyła jej męska eskorta, była żelazna w swoim dążeniu do celu, królewska w swoim opanowaniu. A co więcej – i to było najbardziej niesamowite ze wszystkiego – to wszystko, cały ten ogień zaczął szaleć w niej właśnie po tym, jak ją zaatakowano gorącym olejem.

Oczywiście Guru nic z tego nie widział. On widział tylko spaloną i zdeformowaną twarz i wzdrygnął się z niechęci.

– Piosenki kręcono w Szwajcarii – ciągnęła Purnima. – W Szwajcarii! W tym śniegu. Ta biedna bohaterka, ubrana tylko w cienki kawałek tkaniny, zmuszona do tańca i śpiewu w tym śniegu i zimnie!

– Powiedziałaś, że jaki był tytuł tego filmu? – zapytał.

– Chciałabym tam kiedyś pojechać – rzekła, wzdychając. – A ty?

– Do Szwajcarii? Po co? Tam są tylko góry. Słyszałem, że są góry dwie godziny drogi na północ od Delhi.

– Wiem, wiem. Ale góry w Szwajcarii są inne. Nie sądzisz?

– Nie.

Zamilkła.

– Zresztą jak bym się tam dostała?

Przewrócił stronę gazety.

– Do Szwajcarii? Myślę, że musiałybyś mieć wizę i bilet lotniczy, jak wszędzie indziej.

– Wizę?

– Pozwala ci na wyjazd z kraju.

– A jak się ją dostaje?

– Najpierw musiałybyś mieć paszport.

– Paszport? A co to jest?

Guru opuścił gazetę tak, że mogła widzieć jego oczy, i rzekł:

– Jakby ktokolwiek wpuściłby cię do swego kraju z taką twarzą.

– Tylko chciałabym odwiedzić. Żeby zobaczyć góry.

Jęknął głośno, a potem wyjaśnił jej, czym jest paszport, opowiedział o rządzie indyjskim, o wizie i o szwajcarskim konsulacie (gdziekolwiek on jest – dodał – powodzenia w poszukiwaniach), a potem o tym, jak wiele czasu to wszystko zajmuje, o dokumentach, zdjęciach, odciskach palców i...

– Pieniądze! Przede wszystkim pieniądze. I musisz je mieć, zanim kupisz bilet lotniczy, zanim tam dojedziesz. A z tego, co słyszałem, Szwajcaria nie jest specjalnie tania.

No tak, pomyślała Purnima, ale ja nie jadę do Szwajcarii.

Te wszystkie trudności jednak jej nie zraziły. I tak jak powiedział Guru, zaczęła od starania się o paszport.

Mijały miesiące. Purnima się tym nie przejmowała. Dobrze wykonywała swoją pracę i w końcu udało jej się wynająć mały pokoik w pewnym oddaleniu od burdelu, na trasie autobusów. Niekiedy chodziła pięć kilometrów piechotą, ale w gorące dni, a także w najbardziej deszczowe pozwalała sobie na motorykszę. Jadła proste posiłki, które gotowała na małej kuchence gazowej – kupowała warzywa wieczorem, kiedy wracała do domu, i mleko w kartonach, które trzymała w lodówce gospodyni. Używała tylko tyle oleju, ile było jej potrzebne do usmażenia warzyw, nigdy więcej. W niedziele chodziła na spacer po Widżajawadzie, zaglądając w witryny sklepowe, wędrując w stronę zapory Prakasam czy wspinając się do świątyni Kanaka Durgi. Nigdy nie wchodziła do środka. Kiedyś zaszalała i za dwadzieścia rupii wynajęła łódź na przejażdżkę po Krysanie. Wioślarz był gibkim młodym mężczyzną, nie miał nawet dwudziestu lat, z miedzianobrązową skórą i najczarniejszymi, najgęstszymi włosami, jakie kiedykolwiek widziała. Podbiegł do niej, kiedy szła wzdłuż nabrzeża, i zawołał:

– Popatrz na nią! Po prostu popatrz na nią! Czy nie chciałabyś się nią przepłynąć? Czy ona nie wygląda tak, jak powinno wyglądać życie?

Wskazywał na rzekę. Z jej migocącymi wodami – ich migot był mocniejszy na tle chmur ciemniejących w jej dolnym biegu – rzeczywiście lśniła jak klejnot, jak obietnica. Przekonała go, by spuścił z trzydziestu na dwadzieścia rupii, i weszła do jego rozklekotanej łodzi.

– Sam ją zbudowałeś? – spytała.

Roześmiał się. Podobał jej się jego uśmiech. Podobało jej się, że patrzył prosto w jej twarz i nie wzdrygnął się ani razu.

Skierował łódź na środek rzeki i tutaj woda nagle zaczęła się burzyć. Purnima złapała się krawędzi łodzi, kiedy chłopiec długim kijem służącym mu za wiosło pchnął łódkę z powrotem ku brzegowi. Chmury pędziły teraz w górę rzeki, a ona patrzyła na skłębione nad nimi szare masy, zderzające się ze sobą i ryczące jak lwy, i rzekła:

– Pospiesz się.

Chłopiec tylko roześmiał się i spytał:

– Boisz się?

Tak, pomyślała, boję się.

Woda teraz rzucała nimi jak monetą, uderzali w nią z łomotem i wtedy spadła pierwsza kropla deszczu. Na jej ramię, duża jak jabłko. Przez chwilę nic więcej się nie działo, przez najkrótszy moment, a potem niebo jakby zmęczyło się grą, flirtem i rozwarło się mściwie tak nagle i z taką mocą, że Purnimę rzuciło na zawietrzną łodzi. Złapała się burty, zdzierając sobie skórę z dłoni. Chłopiec teraz walczył z kołyszącymi ich nurtem. Prąd rzeki wygiął jego kij tak bardzo, że Purnima pomyślała, że złamie się w pół. Widziała mięśnie wiosłarza, mokre i napięte. Przez moment pomyślała o swoim ojcu i prawie się roześmiała, może się teraz w końcu utopię w Krysznie, nanna, powiedziała do niego. Dwadzieścia lat za późno dla ciebie.

Chłopiec w końcu wydobył ich ze środka rzeki i skierował ku brzegowi. Deszcz zdawał się słabnąć, odrobinę, choć teraz już nie było żadnej różnicy: jej skóra była tak mokra jak rzeka – mokra jak burza – mokra jak niebo. Kiedy dopłynęli do wody dostatecznie płytkiej, by było widać piasek, wyskoczyła. Poczekała na chłopca, aż przeciągnie łódź na brzeg, i odkryła, że po strachu zostało podniecenie, lekkość ciała, jakiej nigdy nie czuła, i wychyliła twarz ku niebu. Na deszcz, na resztę swojego życia.

Zapłaciła chłopcu dwadzieścia rupii, jego uśmiech stał się jeszcze szerszy, niemożliwie pociągający, a ona wróciła do domu mokrymi ulicami, szczęśliwa, choć już nigdy więcej nie zdecydowała się na podróż łodzią.

Przyszedł jej paszport. Wcześniej zaniósła formularze do lokalnego pisarza, niedaleko sądów, który je dla niej wypełnił, powiedział też, że musi sobie zrobić zdjęcia, i wyjaśnił, gdzie je złożyć wraz z formularzami. Kilka miesięcy później wróciła do sądu, z paszportem w ręce i w tłumie pisarzy znalazła tego, który pomógł jej wcześniej.

– A teraz – powiedziała do niego – jak mogę się dostać do Ameryki?

Czyli teraz wiza. Tego potrzebowała. Pisarz wyjaśnił jej wszystko, znacznie bardziej zrozumiale niż Guru, więc głęboko zamyślona wróciła do mieszkania. Ugotowała sobie trochę ryżu i pappu, zjadła je z odrobiną pikli z pomidorów, a potem ryż jogurtowy. Wymyła naczynia i usiadła przy oknie. Mieszkała na drugim piętrze, okno wychodziło na drzewo *pipalu*, a nieco dalej jakiś mężczyzna założył stoisko do prasowania. Był tam przez większość dni – chudy, ze zmęczoną twarzą, z siwiejącymi włosami, jego żelazko parowało od czerwonych węgli, długie palce zanurzały się w misce wody, spryskiwał nią fałdy koszul i spodni, by wyprasować je w kant, brzegi sari, by je wygładzić. Purnima patrzyła na niego od czasu do czasu, ale tego dnia po raz pierwszy dostrzegła, jak bardzo był skupiony, jak bardzo pochłonięty prasowaniem czego? Co to było? Dziecięca sukienka. Dziecięca sukienka – a on był nią całkowicie zaabsorbowany. Przyglądała mu się nieco dłużej, patrzyła, jak ją składa, bardzo delikatnie, a potem umieszcza na stosie uprasowanych ubrań. Wziął następne. Męską koszulę. Wtedy Purnima spojrzała w górę i w dół ulicy. Na jednym jej końcu była krowa, a na drugim bejszarski pies niosący w pysku zatłuszczoną gazetę, którą ktoś rzucił na ziemię, jakiś riksarz uciął sobie drzemkę po przeciwnej stronie ulicy. Chłodny wieczorny wiatr szeleścił w liściach *pipalu*, z pobliskiego domu czuć było zapach czegoś smażonego, może pakory. Niebo było żółte, gęste jak klarowane masło, kiedy tak przechładzało się w wieczór, w niebieski nastrój nocy i Purnima w końcu dostrzegła to, co musiała w końcu dostrzec: nie miała pieniędzy na wizę. Wydała całe swoje oszczędności i sprzedała biżuterię, którą ukradła z szafy, by zapłacić za paszport. Nie miała wystarczająco dużo pieniędzy nawet na wizę turystyczną, i wiedziała, że nie zna w Ameryce nikogo, kto mógłby opłacić jej pobyt. Zostawał

zatem Guru. I chociaż doprowadziło ją to do furii, nie widziała innego wyjścia: była od niego zależna o wiele mocniej, niż myślała, niż chciała, ale potrzebowała go teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Oczywiście nie mogła mu powiedzieć, że potrzebuje jego pomocy, bo on nigdy by jej nie udzielił. Musiała odwołać się do jedynej rzeczy, którą kochał, a której ona nie miała: pieniędzy. Okazja nadarzyła się kilka tygodni później. Sprawdziła listę wydatków w poprzednim miesiącu – rutynowe drobiazgi, jak nowy bojler dla jednego z domów, koszt naprawy zardzewiałej bramy, wydatki oficjalne, jak nowa linia telefoniczna, i nieoficjalne, jak łapówka, którą zapłacono administratorowi firmy telefonicznej, by przyspieszyć rozpatrzenie ich podania o nową linię – kiedy zauważyła ogromny wydatek, dokładnie osiem lakhów rupii, przy którym nic nie było zapisane. Żadnego nazwiska czy firmy, nawet żadnych inicjałów. Purnima zgadła, że była to łapówka dla polityka, tylko to wyjaśniałoby tę nadzwyczajną sumę i fakt, że pozostała nieoznaczona i niemożliwa do wykrycia. Podczas następnego spotkania z Guru spytała:

– Tych osiem lakhów rupii. Z ostatniego miesiąca. Wiesz, komu je wypłacono?

Przyszedł obejrzeć nową dziewczynę, która właśnie przybyła do burdelu. Córka rolnika. Ojciec popełnił samobójstwo, a matka sprzedała ją, by spłacić długi. Purnima widziała dziewczynę tylko przelotnie, siedziała samotnie w pokoju, nie mogła mieć więcej niż dwanaście czy trzynaście lat. Okrągła buzia, w nosie lśniące kóleczo. Purnima wyobraziła sobie, jak matka daje jej tę maleńką ozdobę, mówiąc, niech ci to mnie przypomina, niech ci to przypomina ojca. Ale prawdopodobnie była to tylko tania ozdóbka, tandetny świąteczny drobiazg kupiony za kilka rupii. Choć blask był prawdziwy i sprawiał, że twarz dziewczyny świeciła w ciemności pokoju jak żarzące się węgle.

Guru właśnie szedł, by ją zobaczyć, kiedy Purnima spytała go o wydatek. Stał w drzwiach, zęby i wargi miał pomarańczowe od betelu, i rzekł:

– A, te pieniądze? Pieprzeni Kuwejtczyki. Nie chcą płacić ani jednej pajsy za przewoźnika. Ci bogaci skurwiele zmusili mnie, żebym to ja zapłacił.

– Przewoźnika? Przewoźnika czego?

– Jednej dziewczyny.

Purnima spojrzała na niego.

– Jakiej dziewczyny?

– Posłuchaj, nie będę tutaj z tobą rozmawiał cały dzień. Nie potrzebujesz tego wiedzieć.

– Ale muszę zbilansować księgi. Muszę znać wydatki.

Rzucił wzrokiem w kierunku pokoju, gdzie siedziała córka rolnika, i rzekł:

– Jak będę wychodził.

Kiedy wrócił, twarz miał spokojną. Uśmiechnął się i powiedział.

– Zwykle dzielimy koszty na pół z kupującym, ale oni nie chcieli się podzielić.

Tymczasem Purnima sporo już z tego zrozumiała: młoda wiejska dziewczyna, którą kupił jakiś obcokrajowiec, z pewnością nie mogła podróżować sama. Ale kim byli ci przewoźnicy?

– Znajdują ich dla nas pośrednicy – odpowiedział Guru. – To musi być oczywiście ktoś, kto zna angielski, lotniska i te wszystkie rzeczy.

– I to tyle? Ktoś zna angielski, a oni biorą osiem lakhów rupii za dwa dni pracy?

Guru pokręcił głową z niesmakiem.

– To czyste złodziejstwo. Ale za tych osiem lakhów nie kupujesz po prostu dwóch dni pracy czy angielskiego. Tym, co kupujesz, jest dyskrecja. Albo nazwijmy to złą pamięcią.

Purnima pokręciła głową razem z nim. Ale jej myśli były gdzie indziej. Angielski, myślała. Angielski.

Tego samego wieczoru pojechała autobusem do Gowernorpetu i zaczęła się rozpytywać. Dzieciaki z koledżu powiedziały jej, że jest dobra szkoła angielskiego na Eluru Road, więc kolejnym autobusem pojechała do Divine

Nagar. Zapisła się na angielskie konwersacje, które zaczynały się w następnym tygodniu.

Pomyślała o wszystkich angielskich słowach, które znała, które znali wszyscy: *hello, goodbye, serial i cinema*. Znała też wyrazy *battery, blue, paste, auto, bus i train*. Również wyraz *radio*. Niespecjalnie pomocne w jej sytuacji. Pamiętała też wyrażenie *penal code section*, także z filmów, ze scen odbywających się w sądzie. Ono też raczej jej się nie przyda. Znała wreszcie *please i thank you*. Te mogą okazać się przydatne.

Zajęcia odbywały się trzy razy w tygodniu, od siódmej do dziewiętej wieczorem. W czasie pierwszej lekcji w większości uczyła się słów, które już znała, a tym, czego nie znała, były proste zdania, jak „Nazywam się”, „Jak się masz?” i „Mieszkam w Widżajawadzie”. To wszystko było przyjemne i ciekawe, ale pod koniec tygodnia nie nauczyła się niczego, co mogłoby jej pomóc w podróży, na lotniskach czy w spędzeniu jednego czy dwóch dni w obcym kraju. Kiedy zapytała nauczycielki, kiedy zaczną się uczyć takich rzeczy jak pytanie o drogę, czytanie informacji na lotnisku czy rozmów z urzędnikami w czasie kontroli paszportowej, młoda kobieta – która była dopiero co poślubioną mężatką, Purnima od razu to rozpoznała, bo każdego wieczoru nosiła we włosach girlandę świeżych, pachnących jaśminów i cały czas patrzyła na zegarek, a gdy zbliżała się dziewięta, zaczynała być zarumieniona od czegoś, co tylko może być oczekiwaniem, radością, niedoświadczeniem – zerknęła na nią z zaciekawieniem, odwracając wzrok od jej blizny, i odparła:

- To są konwersacje. Pani potrzebuje angielskiego dla biznesmenów.
- Dla biznesmenów? Dlaczego?
- Ponieważ to oni podróżują.

Więc Purnima przeniosła się do klasy dla biznesmenów. Było w niej pięciu mężczyzn i Purnima. Uczył ich mężczyzna w średnim wieku, może czterdziestolatek, z wydatnym nosem i egzaltowanym sposobem bycia. Skakał po klasie jak pasikonik, wyjaśniając różne słowa i ich znaczenie, wciągając uczniów

w rozmowę. Po czwartym tygodniu lekcji Purnima była zachwycona. Umiała już przeprowadzić następującą rozmowę:

- Jak się pani nazywa?
- Purnima.
- Jaki jest pani zawód?
- Jestem księgową.
- Jestem księgową – poprawił ją nauczyciel.
- Tak, tak. Jestem księgową.
- Jak minął pani lot?
- Bardzo dobrze.
- Przyleciała pani z Delhi czy z Mumbaju?
- Leciałam Delhi.
- Przyleciałam z Delhi – powiedział.

– Tak, tak. Przyleciałam z Delhi – odrzekła, uśmiechając się olśniewająco, nieświadoma, że pozostała piątka mężczyzn w przerażeniu przygląda się jej twarzy.

Kurs trwał cztery miesiące. Po jego ukończeniu Purnima знаła nazwy ważniejszych lotnisk (Heathrow, Frankfurt, JFK), znała też wyrazy *gate*, *transit*, *business*, *pleasure*, *no*, *nothing to declare* i mnóstwo wyrażen biznesowych, o których nawet nie miała pojęcia, jak na przykład *In for a penny, in for a pound*, *Let's seal the deal* i *Bon voyage* (co nawet nie było po angielsku!). Gdy szła do domu po zajęciach albo jechała autobusem, rozmawiała z mijanymi krajobrazami. „Dzień dobry, ptaszku! Uczę się angielskiego”, albo „Czy znasz angielski, drzewo?”. Raz zobaczyła kota kręcącego się po ulicy niedaleko jej mieszkania i rzekła: „Kocie! Marnie wyglądasz. Napij się mleka”. Ostatniego dnia zajęć nauczyciel dał Purnimie kieszonkowy słownik telugu-angielski w nagrodę za bycie najlepszą uczennicą w klasie. Otrzymała ją na oczach innych uczniów – żaden z nich wciąż nie przyzwyczał się do blizn na jej twarzy – złożyła ręce i rzekła:

– Dziękuję panu. Wezmę go ze sobą do Ameryki.

Kiedy kurs się skończył, nie było już nic więcej do zrobienia. Purnima zastanawiała się nad kolejnym zaawansowanym kursem dla biznesmenów, ale nie miała pieniędzy, żeby się zapisać, więc czekała, oszczędzając większość swojej pensji każdego miesiąca, i nie rozstawała się ze swoim nowym słownikiem, jakby był amuletem, zaklęciem, które zabierze ją do Sawithy wcześniej. Nie miał jednak takiej mocy. W rzeczywistości musiała czekać jeszcze pół roku, zanim ponownie zobaczyła duży wydatek. Tym razem to było pięć lakhów rupii. Żadnych imion, żadnych notatek. Chwyciła się tej okazji:

– Kolejny przewoźnik? – spytała Guru.

Jęknął.

– Wykończą mnie tymi swoimi cenami.

– Ile zarabiasz na tych dziewczynach?

– Nie twój interes – powiedział, patrząc jej prosto w oczy, jakby ją ostrzegał, jakby napominał.

Koszty muszą być wpisane osobno, powiedziała sobie w duchu Purnima, nie w księgach.

– Tak po prostu sobie pomyślałam – rzekła, ignorując jego spojrzenie – że ja mogłabym jeździć. Zawozić dziewczyny. Wtedy musiałbyś płacić tylko za bilet.

– Ty?! – odparł, a potem ryknął śmiechem. – Z tą twarzą? I bez angielskiego?

– Ale ja znam angielski. Nauczyłam się na studiach dyplomowych. Razem z księgowością.

– Co ty znowu pleciesz?

– Możesz mnie zapytać. O cokolwiek.

Guru nie znał angielskiego wystarczająco dobrze, by zapytać ją o cokolwiek ponad „Jak się nazywasz?” i „Z jakiej jesteś kasty?”, ale następnego dnia przyniósł jej angielskojęzyczną gazetę, „The Times of India” i rzekł, przeczytaj to. Przeczytała i wyjaśniła, że chodzi o dwóch członków jakiegoś plemienia w Dźharkhandzie, którzy zostali pobici na śmierć za to, że byli chrześcijanami.

Spojrzał na nią z podziwem. Najwyraźniej już ktoś, jakiś jego znajomy czy sprzedawca w kiosku z gazetami, przeczytał artykuł i powiedział mu, o co chodzi.

– Studia dyplomowe, powiadasz?

Purnima skinęła głową.

Jednak wciąż był sceptyczny, dopóki Purnima nie zaczęła mówić do niego wyłącznie po angielsku. To przekonało Guru, który angielskiego właściwie nie znał. Któregoś dnia w końcu rzekł:

– Mam jedną dziewczynę. Jedzie do Dubaju. Ale będziesz musiała dostać paszport.

Purnima natychmiast wyczuła okazję, ukryła przed nim jednak fakt, że paszport już miała. Tymczasem Guru ją ostrzegł:

– To jest niestandardowe. – A potem poprawił sam siebie: – Dokładnie rzecz biorąc, to się nie dzieje. – Wziął głęboki oddech: – Musimy wszystko trzymać oddzielnie. Więc nikt niczego nie wie, aż do samego końca. Ale dobrze, zrób to raz, a potem zobaczymy. – Przez chwilę w milczeniu żuł betel. – Nie mów do niej. Nie odpowiadaj na jej pytania. Nie rozmawiaj z nią, rozumiesz? Nie znasz jej. A przede wszystkim nie znasz mnie. Kim jestem?

– Ale o kogo chodzi?

– Właśnie. – A potem dodał: – Nie znasz mnie, nie znasz dziewczyny.

– No dobrze, ale kim ona jest?

– To córka rolnika – odpowiedział.

Pojechały w następnym miesiącu. Dziewczyna nazywała się Kumari. Jej nowe sari było żółte z zielonym brzegiem. Purnima zauważyła, że ją wymyło, namaszczone jej włosy olejkiem, na twarz nałożono talk, a w nosie wciąż migotało jej złote kółeczko, jaśniejące na rdzawym tle skóry. Wyglądała jak lalka, jedna z tych, jakie Purnima widziała w witrynach sklepowych w czasie spacerów.

Miały być siostrami jadącymi w odwiedziny do krewnych, mimo iż określenie wieku Purnimy po jej pełnej blizn twarzy było właściwie niemożliwe.

– Że też nigdy wcześniej o tym nie pomyślałem! – wykrzyknął Guru, uradowany perspektywą oszczędzenia pięciu czy sześciu lakhów, które musiałby wydać na innego przewoźnika. – Jesteś doskonała. Doskonała! I tak brzydka, że prawdopodobnie nikt nie będzie w stanie patrzeć na ciebie dostatecznie długo, by zadać ci te wszystkie pytania, których lepiej, żeby nie zadawali. – Purnima też miała taką nadzieję. A on dodał: – Piśniesz choć słówko o mnie, wypowiesz choćby pierwszą sylabę mojego imienia, a osobiście cię zabiję.

Skinęła głową na znak, że rozumie.

Guru nawet zaoszczędził pieniądze na pociąg do Chennai, bo po prostu kazał swojemu kierowcy odwieźć je na dworzec kolejowy w Widżajawadzie i tam je zostawić. Oczywiście Purnima wiedziała o wszystkim, o czym trzeba było wiedzieć na dworcu w Widżajawadzie. Kupiła dziewczynce czekoladowy baton u Higginbothama, zerknęła w stronę wnęki za stoiskiem z gazetami, a potem wsiadły do nocnego pociągu do Hajdarabadu. Stamtąd poleciały samolotem do Mumbaju, co zajęło zaledwie dwie godziny. A jednak dla nich obu był to pierwszy lot, więc kiedy w połowie rejsu trafiły się turbulencje, Kumari spojrzała na Purnimę, zielona jak zielone brzegi jej sari, i spytała:

– Czy spadniemy z nieba?

Purnima odpowiedziała jej spojrzeniem, przypomniała sobie, co Guru mówił, żeby z nią nie rozmawiać, i pomyślała, co to może zaszkodzić? I chociaż sama była przerażona, odparła:

– Oczywiście, że nie. Samoloty są jak ptaki. Nigdy nie spadają z nieba.

Z Mumbaju odbyły kolejny dwugodzinny lot do Dubaju. Kiedy przeszły przez odprawę celną i paszportową (podstemplowano ich dokumenty, nawet nie podnosząc na nie wzroku, właściwie o nic nie pytając), na przyłotach czekał na nie jakiś człowiek – pozbawiony poczucia humoru Indus. Powiedział, że samochód już czeka, i wziął ze sobą Kumari. Ale właśnie w chwili, gdy dziewczynka się odwracała, światło słoneczne padło na jej twarz, odbiło się w kółeczku, sprawiając, że całe zaśniło. I wtedy, z tym maleńkim klejnocikiem wirującym jak słońce, dziewczynka obróciła się znów do Purnimy i rzekła:

– To się ptakom zdarza. Czasami.

– Co?

– Że spadają z nieba.

Purnima patrzyła, jak odchodzi, jej oczy były ciepłe od łez. Ach, więc to tak może zaszkodzić, pomyślała.

Spędziła kilka dni w Dubaju w tanim hostelu, żeby kontrola paszportowa w Indiach nie zaczęła zadawać jej pytań. Nie wiedziała, jakie by to miały być pytania, ale Guru, dając należne jej dirhamy, rzekł:

– Zatrzymasz się tam. I z nikim nie rozmawiaj.

Łatwo było się do tego zastosować, bo nikt z nią nie rozmawiał, a po trzech miesiącach od powrotu do Widżajawady zawiozła do Dubaju następną dziewczynkę. Dwa miesiące później pojechała z kolejną do Singapuru. W końcu zaoszczędziła wystarczająco dużo pieniędzy, by zapisać się na zaawansowany kurs angielskiego dla biznesmenów. Uczył tam inny nauczyciel, kolejny mężczyzna w średnim wieku, którego nie lubiła tak bardzo jak poprzedniego, ale ucieszyło ją

to, że w klasie jest druga kobieta, ubrana w stylowe koszule i dżinsy, która już była w wielu miejscach, takich jak Anglia czy Ameryka, w interesach.

– Czyli? – zapytała Purnima.

– Komputery – odpowiedziała.

Purnima nigdy nie widziała komputera, nawet nie słyszała tego słowa, ale była zbyt przejęta, by zadawać więcej pytań.

W końcu, jakoś w połowie roku, stało się.

Kiedy Guru jej to powiedział, Purnima siedziała bez słowa. Nawet nie mrugnęła okiem. Wpatrywała się w niego, jej ciało było nagle nieważkie, szczęśliwe i pomyślała o tamtej nocy po przejeździe łodzią.

– Słyszysz mnie? To nie jest Szwajcaria – powiedział, śmiejąc się. – Ale może ci się spodobać. Wszystkim się podoba.

Ameryka. Seattle.

Potrzebowali kolejnej dziewczyny. Guru powiedział jej, że ta, którą kupili ostatni raz, była najpracowitszą sprzątaczką, jaką kiedykolwiek mieli.

– I wyobraź sobie, że była najlepsza, chociaż miała tylko jedną dłoń! – wykrzyknął.

Purnima przytaknęła, ledwie go słuchając. Jechała do Ameryki. Jechała do Seattle.

– Sawitha – powiedziała tej nocy prosto w ciemność ogarniającą pokój. – Sawitha, przyjeżdżam.

3

Przygotowania do tej podróży były o wiele bardziej skomplikowane niż do poprzednich. Znacznie surowsze zasady, powiedział jej Guru. Dziewczyna do przewiezienia miała zajęczą wargę. Jeszcze jedna wiza medyczna, wyjaśnił. A potem zaśmiał się i dodał: wy obie mogłybyście być reklamą wiz medycznych. Zebranie całej dokumentacji, jej poświadczenie i złożenie zajęło miesiące, kolejne – podróże do amerykańskiego konsulatu w Ćennaju tam i z powrotem. Mimo wszystkich starań początkowo odrzucili wizę Purnimy i musiała ponownie wystąpić o wizę turystyczną, której wydanie w ostatniej chwili opóźnili, już po tym, jak kupili bilety lotnicze, więc teraz Guru musiał pokryć opłaty za zmianę terminu lotu i łapówkę w urzędzie konsularnym; on narzekał nieustannie, ale wiedziała, że to nadal przynosi mu dochód, nawet po tych wszystkich kosztach.

Kiedy czekali na wizy, Purnima zaczęła powoli sprzedawać swoje rzeczy. Nie miała ich wiele, tylko pryczę, kuchenkę, trochę talerzy i małą walizkę, którą kupiła, by trzymać w niej ubrania. Sprzedała pryczę za sto rupii i spała na macie leżącej na podłodze pokoju. Tymczasem zachowała kuchenkę, ale obiecała gospodyni, że zostawi ją jej, gdy wyjedzie. Wyrzuciła walizkę zrobioną z lichego, pogniecionego plastiku, którą kupiła za sześćdziesiąt rupii na Maidan Bazaar, i sprawiła sobie nową.

– Zrobiona dla obcokrajowców – powiedział sprzedawca w sklepie, poklepując bok walizki.

Zaniosła ją do domu, zapakowała do niej swoje nieliczne ubrania, wyjęła pieniądze z konta bankowego – wszystko, co zaoszczędziła od czasu, gdy zapłaciła za paszport (po wymianie wyszło prawie tysiąc dolarów), i włożyła je do tajnej bocznej kieszonki w nowej walizce. A potem czekała.

O poranku, gdy miały wylatywać, pojawiło się ostatnie opóźnienie: Madhawi. Odmówiła wyjścia z pokoju. Nie było możliwości zamknięcia go od środka, ale wepchnęła szczotkę czy jakiś kij pod klamkę i odrzucała wszystkie ich prośby – nie chciała ani wyjść, ani ich wpuścić. Guru czekał, przeklinając jej matkę i ojca, a potem kolejno dochodząc aż do prapradziadków, a kiedy Purnima poprosiła, by pozwolił jej z nią porozmawiać, odparł:

– Nie. Nie będziesz z nią rozmawiać. Ty masz ją odstawić, tylko tyle.

Ale po pięciu minutach, kiedy nie otworzyła, ustąpił.

– Dobra. Porozmawiaj z nią. Powiedz jej, że ma jeszcze pięć minut, a potem wyłamiemy drzwi.

Madhawi nie wyjaśniła ani słowem madame ani innym dziewczętom, dlaczego nie chce lecieć. Purnima oparła się o drzwi i powiedziała:

– Otwórz drzwi, Madhawi. Otwórz je. Nie chcesz jechać do Ameryki? Każdy chce tam jechać.

Lekkie szuranie, a potem chlipnięcie. A potem cieniutki głos odparł:

– Chcę.

– Więc o co chodzi? Wyjdź.

– Boję się.

Purnima się cofnęła. Oczywiście, że się boi. Nie miała pojęcia, co ją czeka w Ameryce.

– Nie bój się. Ja będę z tobą.

– Ale właśnie tego się boję.

– Czego?

– Ciebie.

– Mnie?

– Twojej twarzy. Przeraza mnie. Miałam koszmary, jak byłam mała, i widziałam w nich taką twarz jak twoja.

Purnima głośno się roześmiała. A potem zamilkła.

– Madhawi – zaczęła, a potem przerwała. Czuła, jak w jej środku coś rośnie, coś gorzkiego, coś wściekłego, więc to wypłuła. – Ty idiotko! – Usłyszała, jak dziewczynka cofa się od drzwi. – Ty idiotko! – zawołała jeszcze raz i usłyszała jej chlipanie. Ależ z ciebie idiotka, pomyślała, gotując się z gniewu. Ależ z nas idiotki. Z nas, dziewcząt. Bojących się niewłaściwych rzeczy w niewłaściwych momentach. Bojących się spalonych twarzy, kiedy na zewnątrz, na zewnątrz czekają na ciebie ognie, których nie potrafisz sobie wyobrazić. Mężczyźni trzymający zapalki przy twoich tęczęwkach z benzyny. Płomienie, wokół ciebie wszędzie płomienie, lizące twoje świeżo rozkwitłe piersi, twoje pierwszomiesięczne ciało. I czeluście piekieł. Piekieł rozległych jak świat. Czekających, by cię obedrzeć, by zmienić cię w popiół i nawet wiatr, nawet wiatr... Nawet wiatr, moja miła, pomyślała, patrzy, jak płoniesz, chce tego, przelatuje nad tobą i przez ciebie. Rozsypując cię, bo jesteś dziewczyną i jesteś popiołem.

I ty się boisz mnie?

Podeszła do czekającego na nią Guru i rzekła:

– Wyłamuj. – A kiedy spojrzał na nią nierozumiejącym wzrokiem, krzyknęła:
– Drzwi. Wyłamuj!

Wyleciały po południu, w połowie września. Ćennaj–Mumbaj–Ad-Dauha–Frankfurt. We Frankfurcie godzinami czekały w zatłoczonym terminalu transferowym. Jak dotąd Madhawi unikała Purnimy jak ognia, wciśnięta w kącie przy oknie, i właściwie się nie odzywała. W samolocie prawie nic nie zjadła, czasem tylko skubnęła jakiś kąsek. Kiedy Purnima powiedziała, żeby jadła, odpowiedziała:

– Nie lubię tego.

We Frankfurcie Purnima obserwowała przychodzących i odchodzących ludzi. Podróżnych z najróżniejszych stron świata, spieszących do domu albo z domu. Poczekalnia nie miała okien, ale Purnima zerknęła w górę, aż do sufitu i pomyślała, że mogłaby poczuć zapach gór Szwajcarii, była tak blisko. A potem

spojrzała niżej i zobaczyła, że Madhawi wpatruje się w ciastka leżące na wystawie w kawiarni niedaleko miejsca, gdzie siedziały. Powiedziała:

– Zaczekaj chwilę.

A potem poszła i kupiła jej jedno.

Przyglądała się, jak dziewczynka je.

Odczuwała głęboką satysfakcję, jakby była matką Madhawi – przyglądała się, jak oczy jej zalśniły, kiedy sięgnęła po ciastko, jak odrywała słodki przysmak po kawałku, chcąc, by trwało to jak najdłużej, a potem skubała te kawałeczki z taką czystą i żarłoczną rozkoszą, że Purnima chciała wziąć jej głowę w dłonie i przytulić ją do piersi.

Doleciały na JFK wcześniej rano. Tuż przed lądowaniem Purnima pochyliła się nad Madhawi, która teraz spała, i spojrzała w dół. Zobaczyła pole gęsto usiane gwiazdami i pomyślała, że muszą lecieć głową w dół: jak gwiazdy mogą być poniżej nich? Ale potem zrozumiała, że to nie były gwiazdy, to były światła, i aż dech jej zaparło, w piersi poczuła ból na samą myśl, że jakiś kraj może być tak oświetlony, tak mocno, tak oślepiająco. Kiedy wylądowali i tłoczyli się w długiej kolejce do kontroli granicznej, i kiedy Purnima w końcu stanęła przed urzędnikiem, nagle zapomniała angielskiego. Odpowiadała, jękając się, z trudem rozumiała akcent tego człowieka. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek uczyła się właściwego języka. Ale on chyba nie zwracał uwagi na jej odpowiedzi. Był łysy, miał najgrubsze ramiona, jakie Purnima kiedykolwiek widziała, i surową twarz, a skórę tak białą, że Purnima dostrzegała małe różowe kropki w jego nosie, a także niebieskie i fioletowe naczynka na jego policzkach. Miał też delikatne różowe usta niemowlęcia i Purnima spodziewała się, że jego głos będzie miękki, ale był szorstki i głęboki, kiedy pytał:

– Jak długo pani zamierza tu być?

– Trzy tygodnie – odpowiedziała Purnima.

– Dokąd pani zmierza?

Zmierza?

- Przepraszam?
- Dokąd pani jedzie?
- Do Seattle, proszę pana.

Przyjrzał się jej twarzy i Purnima nie odważyła się uciec wzrokiem, ale nagle stała się świadoma swoich blizn w sposób, w jaki nigdy nie była w Indiach. Wbił pieczętki w ich paszportach i machnął ręką, by szły dalej. Mężczyzna w kontroli celnej był przeciwieństwem mężczyzny z kontroli granicznej. Był tak czarny, że aż się świecił. Purnima widziała błysk fluorescencyjnych świateł odbijających się w jego twarzy. Unikając patrzenia na jej twarz, zapytał:

- Ma pani coś do oclenia?
- To Purnima zrozumiała.
- Nie, nic – odparła triumfująco.

Pojechali małym pociągami, a potem, kiedy szli do kolejnego wyjścia na samolot, popychane i potrącane przez mijających je ludzi, Purnima zwolniła, by sprawdzić jego numer. Tłumy, nowość, ogrom szkła, światła i dźwięku były przytłaczające, zbliżały się już do ich wyjścia, gdy Purnima nagle zatrzymała się jak wryta. Madhawi wpadła na nią z tyłu, a jakiś człowiek z garniturze rzucił im pełne dezaprobaty spojrzenie.

- Co się dzieje? – spytała Madhawi. – O co chodzi?

Ale Purnima jej nie słyszała. Patrzyła na szklaną gablotę – na miskę owoców stojących tuż przed nią, zdruzgotana, rozbita. Wśród owoców był banan.

Wpatrywała się w niego. Nie mogła uwierzyć w jego piękno. Doskonała żółć słońca. Największy banan, jakiego kiedykolwiek widziała, o idealnym kształcie. Wyginający się jak łuk napięty strzałą jej wzroku.

- Odezwała się do niego.

Popatrz, gdzie jestem, powiedziała do banana. Zobacz, jak daleko zajechałam. Kiedyś byliśmy w Indrawalli. Pamiętasz? Byliśmy takie młode, ty i ja. A słowa wrony były naszą matką i ojcem. Popatrz, jestem tutaj. Dla ciebie. Dla ciebie przyjechałam tak daleko. Nie straciłam tej nadziei. Wiozę tę dziewczynkę z jednej

rzeźni do drugiej – ponieważ mam nadzieję. Ponieważ ona uczyniła mnie okrutną. Ale jej nie straciłam. Pamiętasz? Byłyśmy dziećmi, ty i ja. A teraz popatrz na siebie – silną i nie do złamania. W kształcie maczety mierzącej w moje serce.

Mogła tu stać całymi dniami, ale Madhawi szturchnęła ją i dwie godziny później wsiadły do ostatniego samolotu, tego, który leciał do Seattle.

Wylądowały po południu. Kiedy wyszły z lotniska, Purnima wzięła głęboki oddech, jakby oddychała po raz pierwszy od kilku dni. I chociaż w Nowym Jorku nie opuściły lotniska, czuła, że tutaj powietrze jest chłodniejsze, jaśniejsze. Niedaleko wejścia czekał na nich samochód. Czarny i elegancki.

Wysiadł z niego mężczyzna, który obrzucił je powierzchownym spojrzeniem, po czym zaniósł ich walizki do otwartego bagażnika. Jest przystojny, pomyślała Purnima, i mimo iż wyraźnie był Indusem, wyglądał zupełnie inaczej niż jakikolwiek Indus, którego wcześniej znała. Zbyt muskularny, pomyślała, zbyt smutny. Przy jego potężnej sylwetce, jego sile, ona ze swoją poparzoną twarzą i Madhawi z zajęczą wargą musiały wyglądać jak cyrkówki albo karnawałowe tancerki. A on jak ich dozorca.

Wjechali na szeroką jezdnię, przypominającą jedną z dróg prowadzących z lotniska w Singapurze, i wtedy Purnima uświadomiła sobie, jakby się budziła ze snu, jakby wychodziła na wolność z więzienia, że to jest ta ostatnia droga, ta, która zaprowadzi ją do Sawithy.

– Jak się nazywasz? – zapytał w telugu mężczyzna, z samego środka ciszy. Ale nie, to nie była cisza. W tym momencie Purnima zdała sobie sprawę, że z radia samochodowego grała muzyka, ale pozbawiona słów. To mógł być szum, niesiony przez wiatr.

– Purnima – odpowiedziała. – A to jest Madhawi.

Skinął głową, przynajmniej tak się Purnimie zdawało, a może po prostu zwiesił ją z tym okropnym smutkiem, który niósł w oczach, który owijał się mu wokół szyi.

– A ty?

Sięgnął do radia, a kiedy podgłosił muzykę, usłyszała w niej taką siłę, taką pełnię, że nieomal nią zawładnęła. Chyba to wyczuł, ponieważ spojrzął na nią, a ona zobaczyła w jego twarzy wyrafinowanie i upadek – niby starożytnych ruin, a on rzekł:

– Nazywam się Mohan.

Purnima mogła powiedzieć o nim od razu dwie rzeczy. Po pierwsze, był alkoholikiem. Widać to było wyraźnie: oczy okolone czerwonymi obwódkami, z trudem ukrywany niepokój, tuż pod skórą, ręce, które mówiły albo zwisały bezwładne, niepotrzebne, nieznające swojego przeznaczenia, dopóki nie ściskają butelki, szara skóra, szare spojrzenie, niebiańskie oczekiwanie – na następny kieliszek, na następne brzęknięcie butelki o szkło, na następny eteryczny lot. Po drugie, miał złamane serce.

I uświadomiła sobie, że te dwie rzeczy będą jej najlepszą bronią.

Poza tym zdała sobie sprawę, że w tym kraju będzie musiała komuś zaufać, a Guru wspominał tylko trzy osoby, a i to dość ogólnie. Pierwszą z nich był

Gopalradźu, patriarcha, ale Purnima wątpiła, czy człowiek, który zarządzał tą rozległą siecią mieszkań, pieniędzy i dziewczyn, mógł w jakikolwiek sposób zaprowadzić ją do Sawithy. Najprawdopodobniej zrobiłby coś zupełnie odwrotnego. Słyszała też kiedyś jakąś wzmiankę o jego bracie. Ale kim on był? Jak się nazywał? Czy byłby życzliwy? Nie było jak się tego dowiedzieć.

Więc wybrała Mohana. Nie rozmawiali już więcej w czasie drogi z lotniska. Gdy zaparkował pod jakimś motelem, wyciągnął jej walizkę w bagażnika, postawił na siedzeniu pasażera i oznajmił:

– Będziesz tu mieszkać aż do wyjazdu.

Purnima dalej siedziała w samochodzie.

– Co za dziwne miasto – rzekła, wyglądając przez szybę. – Z samolotu te wyspy przypominały pływające liście bananowca czekające na ryż.

Spojrzał na nią niecierpliwie.

– Wysiadasz?

Spojrzała na niego i pokręciła głową.

– Nie wylatujesz chyba dzisiaj?

– Nie, mój lot jest za trzy tygodnie.

– Trzy tygodnie – powtórzył, przeczesując dłonią włosy. – Przewoźnicy zazwyczaj wyjeżdżają następnego dnia albo dwa dni później.

Patrzyła na jego ręce, na smutek, który w nich trzymał, tak mocno i pewnie, jakby trzymał kieliszek, kochankę.

– Zaczęli zadawać więcej pytań. Na kontroli granicznej – powiedziała.

– Po stronie indyjskiej?

– Po obu – skłamała. – Ale mam tysiąc dolarów. Czy to wystarczy w tym miejscu?

Westchnął ciężko, poszedł z powrotem do samochodu, wrzucił jej walizkę do bagażnika i usiadł na siedzeniu kierowcy. Spojrzał na Madhawi w lusterku wstecznym – odkąd wsiedli do samochodu, Purnima ledwie słyszała jej oddech – a potem na Purnimę. Nie mogła w pełni rozszyfrować wyrazu jego twarzy. Może

odrobina ciekawości, ale także jakaś niejasna opiekuńczość, może, pomyślała, z powodu blizn na jej twarzy i szyi. Niepostrzeżenie przechyliła twarz w lewo, by odsłonić sam środek oparzeliny. Przyglądał się jej jeszcze przez chwilę, ale wbrew oczekiwaniom Purnimy nie wydawało się, by się nad nią litował. I nie wyglądał na obrzydzonego, do czego także była przyzwyczajona.

– Będę cię pilnował cały czas. Każdego dnia z tych trzech tygodni. Nie myśl, że nie będę – powiedział.

Zawiózł je jednak do małej kawalerki w innej części miasta, bardziej mieszkalnej, z oczkami niebieskiej wody między niektórymi budynkami. On i Purnima wjechali windą do wypełnionego światłem mieszkania, chociaż na zachodzie, na który wychodziły jego okna, zbierały się chmury. Mieszkanie miało drewniane podłogi i nieskazitelnie białe szafki. Purnima się rozejrzała.

– Tutaj? Możemy tu zostać – rzekła, wiedząc, że w żadnym razie nie pozwolą zostać Madhawi z nią.

– Dziewczynka idzie ze mną.

– A gdzie ona zamieszka?

– Po raz pierwszy jesteś przewoźniczką, prawda?

Chciała się uśmiechnąć, ale wiedząc, że jej twarz wykrzywi się groteskowo, tylko skinęła głową.

– Będziesz potrzebowała jedzenia – powiedział, rozglądając się po pustym mieszkaniu. – Przyniosę ci też koc i jakieś naczynia.

– Ryż i pikle wystarczą.

– Dwa domy stąd jest mały sklepik. Nie chodź nigdzie dalej. Mają tam ryż. Pikli nie. Po to musiałybyś pojechać do indyjskiego sklepu.

Wydawało się, że zastanawia się nad tym ostatnim zdaniem, i Purnima chciała go zapytać, gdzie jest ten sklep, ale wiedziała, że on nigdy jej tego nie powie – jej poparzona twarz zdecydowanie zbyt rzucała się w oczy, by Purnima mogła odwiedzać mały sklepik, miejsce spotkań i plotek indyjskiej społeczności. Kim ona jest, pytaliby, a potem szukali odpowiedzi.

– Znasz angielski? – zapytał ją po chwili.

– Tak – odpowiedziała, dumnie podnosząc głowę. – Znam.

Chyba nie wywarło to na nim żadnego wrażenia. Odpowiedział jej po angielsku:

– Przywiozę to wszystko wieczorem.

Purnimę zdumiewał brak śniegu. Środek września, ona jest w Seattle, a śniegu nie ma! Przez lata nasłuchiwała się niekończących się historii o tym, jak zimno jest w Ameryce, jak śnieg sięga po pas, jak mimo to samochody jeżdżą oblodzonymi jezdniami, wpadając w poślizg i lądując na poboczach. Musiała przyznać sama przed sobą, że odczuwa pewne rozczarowanie. Nie tylko nie było śniegu, ale panował wręcz upał. Oczywiście nie taki jak w Indrawalli czy Widżajawadzie, ale musiało być powyżej trzydziestu stopni, stwierdziła, otwierając okno w swoim jednopokojowym mieszkaniu, wachlując się i zdejmując grube brązowe męskie skarpetki, które specjalnie na tę podróż kupiła w Widżajawadzie, spodziewając się zimnego kraju.

A kiedy wracała ze sklepiku na rogu – z paczuszką ryżu, jakimiś warzywami, solą, papryczką chili, a także z opakowaniem jogurtu, kilkoma owocami, mydłem i małą butelką szamponu – nie przestawała się dziwić temu, że ten kraj jest taki pusty. Przez całą drogę minęło ją tylko kilka samochodów i jeden samolot mknący po niebie, usłyszała jakiś daleki dźwięk klaksonu, ale na ulicach nie spotkała ani jednej osoby. Ani jednej. Gdzie byli ludzie? Zastanawiała się, czy ktokolwiek tu mieszkał. A może wszyscy pojechali do innego miasta do pracy, do szkoły i na zakupy? A gdzie były dzieci? Przeszła obok niewielkiego placu zabaw, ale on też był pusty. To wszystko ją trochę przeraziło, ta cisza, ta pustka, ta samotność ulic, chodników, opuszczonych domów zbudowanych dla ludzi, którzy nigdy tu nie chodzili ani nigdy nie mieszkali. Dopiero wieczorem, gdy czekała na Mohana, zobaczyła kilka świateł zapalających się w mieszkaniach i gdzieś tam jakąś postać przechodzącą za oknem i na ich widok prawie krzyknęła z radości.

Przez całe to pierwsze popołudnie jednak nie traciła panowania nad sobą: zaciskała pięści, by się pohamować, by nie wypaść z domu i nie biegać po ulicach w poszukiwaniu Sawithy. Nie krzyczeć jej imienia. Co dobrego mogłoby z tego wyniknąć? Nic. Musiała być systematyczna, a do tego potrzebowała Mohana.

Wrócił pod wieczór ze śpiworem (pokazał Purnimie, jak go używać), poduszką i torbą, w której były garnek, patelnia, jakieś naczynia, kilka plastikowych talerzy i kubków. Purnima spojrzała na nie, ustawiła na blacie kuchennym i spytała:

– A jak się miewa dziewczyna? Madhawi?

Spojrzał na nią surowo.

– Dlaczego pytasz?

– Przejechałam z nią połowę świata.

– Nie masz z nią już nic wspólnego – powiedział. – Zapomnij o tym.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi wyjściowych. Kiedy do nich doszedł, Purnima zmusiła swój głos, by stężał, by pękł, i powiedziała:

– Wiesz, ktoś kocha te dziewczynki. Myślisz, że nie ma nikogo takiego, bo są biedne, bo je sprzedano, bo mają zajęczą wargę, ale one są przez kogoś kochane. Ktoś za nimi tęskni. Rozumiesz? One są kochane. Prawdopodobnie nawet nie umiesz sobie wyobrazić takiej miłości.

Popatrzył na nią tak, jakby chciał ją zamordować, a ona zbladła i zamilkła, ale potem jego spojrzenie zaczęło jakby odpływać, a on odpowiedział zaniepokojonym głosem:

– Wszystko z nią dobrze.

– Więc pokaż mi, gdzie mieszka. Co ci szkodzi? Zabierz mnie teraz, po ciemku. To przecież nie może być daleko stąd, prawda? Chcę tylko zobaczyć.

Wstrzymała oddech. Pomyślała, że Mohan znowu odmówi, ale po dłuższej chwili na nią spojrzał.

– Tylko raz. Ten jeden jedyny raz. A potem nie waż się już o tym wspominać.

Choć wydawało jej się to niemożliwe, ulice były jeszcze spokojniejsze niż w ciągu dnia. Otworzyła okno, by lepiej widzieć ich nazwy, ale nie dostrzegła ani

jednej; albo było zbyt ciemno, albo Mohan jechał zbyt szybko, by mogła jakkolwiek przeczytać. Te, które udało jej się dostrzec – z jej ograniczonym angielskim – po prostu były dla niej zbieraniną liter. Więc zaczęła się skupiać na tym, gdzie skręca, na numerach ulic między każdym skrzyżowaniem, na ich położeniu, na wyglądzie domów, obecności drzew. Zapamiętywała nawet doniczki z kwiatami stojące na gankach.

W końcu, po jakichś dziesięciu minutach jazdy, dotarli do długiej wąskiej uliczki, po której obu stronach stały tanie domy mieszkalne. Podjechał na jej środek, mijając jedenaście domów z lewej strony, po czym wskazał na okno na drugim piętrze i powiedział:

– Tutaj. Widzisz? Nic jej nie jest.

Przez te kilka sekund, zanim znowu przyspieszył, Purnima zauważyła każdy szczegół domu, jaki mogła dostrzec w cieniu ulicy: podartą brązową markizę nad drzwiami wejściowymi, oświetlone okna, po sześć na każdym piętrze, w nich tanie zasłony, na skraju budynku drzewo z płaskimi ciemnozielonymi liśćmi, jedna z jego gałęzi chyliła się w stronę okna, które Mohan wskazał – może w stronę okna Sawithy – gałąź wykręcała się, próbując się dostać do środka. Czy za dnia wygląda tak samo, czy to była gra świateł? Potrzebowała czegoś więcej. Zaczęła szukać gwiazdy, jakiegokolwiek gwiazdy, ale niebo było całkowicie zasłane chmurami. Stali teraz na światłach przy końcu ulicy.

– Czy gwiazdy są tutaj takie same jak w Indiach?

– Mniej więcej – odparł.

– A więc Gwiazda Polarna – spytała odprężonym głosem, jakby tylko lekko zaciekawiona, dla podtrzymania rozmowy – jest za nami?

– Nie, jest tutaj – odparł, wskazując przed siebie.

Powiedziała, ach tak, najswobodniej, jak tylko mogła, i uśmiechnęła się w ciemności.

Tej nocy Purnima próbowała zasnąć. Nie możesz wyjść w nocy, mówiła do siebie, w obcym mieście, w kraju, który nie jest twój, do którego przyjechałaś

ledwie dziesięć godzin temu, i szukać konkretnego budynku i konkretnej osoby w tym budynku. Starła się więc zasnąć. Ale nie mogła. Różnica czasu między Indiami a Seattle wynosiła dwanaście i pół godziny, więc właściwie noc była dniem, a dzień nocą, choć Purnima nie miała o tym pojęcia, po prostu czuła się wyczerpana, spragniona odpoczynku. Wierciła się i kręciła w śpiworze, zjeżdżając czasami z materaca na gładką drewnianą podłogę. Około trzeciej czy czwartej nad ranem zaczęła drzemać, ale po chwili gwałtownie się obudziła. Poczwała nagły chłód. A co, jeśli Sawitha została sprzedana do innej dzielnicy? Do innego miasta? A co, jeśli ten trop jest już martwy? Jeśli to jest koniec, a ona straciła jej ślad już na zawsze?

Jej oddech stał się nierówny, więc wstała i wypija szklanekę wody. Podeszła do okna. Padało, po szybie spływały smugi wody. Patrząc na nie w ciemności, przypomniała sobie coś, co zdarzyło się dawno temu, kilka miesięcy po tym, jak ona i Sawitha się spotkały.

To była pora monsunowa. Poszły razem na targ. Była niedziela i większość sklepów zamknięto, ale sklep z tytoniem stał otwarty. Poprzedniego wieczoru ojciec Purnimy zwinął ostatni tytoniowy liść, więc zanim udał się na drzemkę, kazał jej pójść na targ i kupić tytoniu za dwie rupie. Sawitha przyszła właśnie wtedy, gdy Purnima szykowała się do wyjścia. Obie, oczywiście, były na bosaka – Sawitha w ogóle nie miała butów, a liche sandały Purnimy (które dostała po matce) nie przydałyby się na nic, gdyby zaczęło padać: utknęłyby albo rozerwały się w błotnistym szlamie. Mimo to nie spieszyły się – niebo nad ich głowami było zachmurzone, ale nie padało. Jeszcze nie.

Purnima pamiętała, że zatrzymały się, by zajrzeć przez okno do sklepiku z bransoletkami, z równymi rzędami kolorowych szklanych kóleczek w barwach odpowiadających wszystkim odcieniom sari.

– Czy możesz sobie wyobrazić – spytała z zapartym tchem Purnima – że masz ich tyle, że pasują ci do każdego sari?

Sawitha tylko się roześmiała i poprowadziła ją obok sklepiku z betelem, sklepiku bławatnego, obok młyna zbożowego – zamkniętymi na głucho z powodu

niedzieli.

Weszły na targ, a sprzedawcy patrzyli na nie sennie. Siedzieli w kuckach na ziemi, trzymając w gotowości brudne plastikowe plandeki dla osłony przed nadchodzącym deszczem, okryją nimi głowy, a także papryki, kabaczki i kolendrę. Od razu mogli stwierdzić, że Purnima i Sawitha nie mają pieniędzy – sprzedawcy zawsze to potrafią. Przez chwilę szły za zaprzężonym w wołu wózkiem wiozącym niesprzedane produkty z powrotem na farmę i na jednym z zakrętów wypadł z niego malutki okrągły bakłażan. Sawitha zapiszczała z zachwytu, podbiegła i podniosła go.

– Zobacz, Puri! Co za szczęście!

Tak, pomyślała Purnima, co za szczęście.

Były już blisko domu, kiedy zaczęło padać. Purnima pomyślała, że powinny do niego pobiec, ale Sawitha wskazała rosnące nieopodal drzewo sandałowe.

– Nie, zaczekajmy pod nim – powiedziała.

Więc skuliły się razem pod jego gałęzmi i patrzyły na ulewę. To była tylko nawałnica i Purnima wiedziała, że prędko minie, ale miała nadzieję – w ten sam sposób, jak miała nadzieję, że garść owoców i orzechów nerkowca uratuje jej matkę od raka, od śmierci – że deszcz będzie padał przez resztę jej życia. Dlaczego? Nie miała pojęcia. To nie miało żadnego sensu. A jednak to była prawda, mimo że obie drżały z zimna. Mimo że ich włosy i ubrania ociekały wodą. A nawet mimo że jej ojciec czekał i wiedziała, że będzie wściekły, kiedy zobaczy zawilgotniały tytoń.

Wtedy wiatr zawiął silniej, a liście drzewa sandałowego zadrżały i wielkie, lodowate krople deszczu rozprysnęły się na ich szyjach i plecach. Łaskotały ich głowy. Śmiały się, śmiały i śmiały.

Deszcz padał coraz mocniej. Chłostał bezlitosnymi płachtami. Sawitha przyciągnęła Purnimę bliżej pod drzewo. By ją ochronić przed deszczem. Wtedy Purnima dygotała z zimna, ale czuła, że tak jest naprawdę: czuła się zaopiekowana, czuła się bezpiecznie.

Ale teraz, stojąc w oknie pustego mieszkania, w Seattle i trzymając w ręce pustą szklankę, Purnima zaśmiała się, na wpół drwiąco, jej wargi drżały, oczy stawały się gorące, i pomyślała: jakie to było głupie! Jakie głupie byliśmy, jak głupia ty byłaś, wściekła się nagle, myśląc, że możesz osłonić mnie przed deszczem. Przed taką rzeczą jak deszcz. Jakby deszcz był nożem, jakby był bitwą. A ty moją tarczą. Jakże głupia byłaś, jakże głupia jesteś, myślała Purnima, nieomal płacząc z wściekłości. Z gniewu na niewiedzę Sawithy, na jej doprowadzającą do szału niewinność. By w końcu znaleźć się tutaj, przekazywana jak *bidi* z rąk do rąk mężczyzn. Nie widzisz tego, że nigdy nie byliśmy bezpieczni. Ani przed deszczem, ani przed niczym. A ty, drwiła dalej, myślałaś, że wystarczy, byśmy skuliły się razem pod tym obojętnym drzewem. Jakby na ochronę przed deszczem, przed moim ojcem, przed wszystkim innym, wystarczyło, żebyśmy stały blisko siebie. Stały razem. Jakby dwa ciała – ciała dwóch dziewczynek – były większe niż jedno w obliczu deszczu, w obliczu losu, w obliczu wojny.

– Ty idiotko! – krzyknęła w ciemności i wypadła z mieszkania w noc.

Znalezienie lokum, które pokazał jej Mohan, zajęło jej ponad pięć godzin. Była przemoknięta. Wyleciała z mieszkania na krótko przez mglistym wschodem słońca, a teraz dochodziła już jedenasta. Deszcz ustał, ale jej ubranie było wciąż mokre, zimne; usiadła na schodku budynku i czekała. Oczywiście wiedziała, że Mohan przyjdzie sprawdzić, co ona robi, ale jej jedyną strategią, jaką planowała, było mruganie oczami i udawanie niewinnej. „Och – powie nieśmiało – nie wiedziałam, że muszę tu stale siedzieć. Przecież jestem przewoźniczką pierwszy raz”.

Przez całą pierwszą godzinę z budynku wyszło tylko dwóch ludzi, żaden z nich nie był Indusem. Purnima wślizgnęła się za pierwszą z nich do środka przez obrotowe drzwi i zastanawiała się, czy nie stukać do każdego mieszkania, ale kiedy podkraǳła się na szczyt pierwszych schodów, wyjrzała za róg i zobaczyła starszego Indusa siedzącego w bezbarwnym pokoju, jego krzesło było przechylone w kierunku półotwartych drzwi. Wydawał się całkowicie pochłonięty programem telewizyjnym, ale Purnima nie miała wątpliwości – on pilnował klatki schodowej. Porzuciła więc ten plan i znowu wyszła na zewnątrz. Po następnej godzinie jakiś mężczyzna zaparkował niewielką ciężarówkę przed domem i podszedł do drzwi, trzymając w dłoniach pudełko. Nacisnął jeden z guzików i rzekł do ściany „Przesyłka”, a drzwi zaczęły bzyzczeć. Wszedł do środka.

Purnima spróbowała tego samego. Nie wcisnęła guzika z 1B, bo jak się zorientowała, to były drzwi tego Indusa, ale naciskała guziki innych mieszkań. W większości nikt nie odpowiedział, może po prostu lokatorów nie było w domu. W jednym z nich odpowiedziano, a Purnima zapytała po angielsku z indyjskim akcentem:

– Czy pani jest może Induską? – Najpierw zapadła na moment cisza, a potem kobiety głos odpowiedział:

– O co chodzi? Już dostałam paczkę.

Purnima usiadła z powrotem na schodku.

Czekała aż do piątej po południu, a potem zaczęła wracać do domu. Zajęło jej to jeszcze więcej czasu, bo dwa razy się zgubiła. Po powrocie wzięła prysznic i ugotowała ryż, a kiedy usłyszała stukanie do drzwi, wiedziała, że przyjechał Mohan, by ją sprawdzić. Został dosłownie pięć minut, obejrzał pokój, potem jej twarz i wyszedł.

Następnego dnia była już mądrzejsza. Wzięła porcję ryżu na obiad i doszła do budynku o siódmej rano. Robiła tak przez trzy dni, aż w końcu uznała, że pewnie jest tam o niewłaściwych godzinach, więc czwartego dnia dotarła tam po południu i została do późna w nocy. Wiedziała, że tym razem na pewno Mohan jej nie zastanie i że tłumaczenie się nieświadomością może się okazać nie dość przekonujące, więc postanowiła, że kupi coś w drodze do domu, coś, czego rozpaczliwie potrzebowała, aby usprawiedliwić swoją nieobecność. Miała nadzieję, że to wystarczy.

Jakiś samochód zwolnił przed budynkiem. Purnima wsunęła się w cień, z daleka od świateł lamp ulicznych i padających z okien, i czekała. Nie widziała kierowcy, ale ktoś wysiadł z samochodu i kiedy zbliżał się do budynku, Purnima zobaczyła, że to jest Madhawi. Powoli weszła na podjazd, jakoś bardziej zgarbiona niż wtedy, gdy widziały się ostatni raz. Purnima czekała, aż samochód odjedzie, i kiedy się pokazała, udając troskę i zachwyt, zobaczyła, że wyraz twarzy Madhawi jest bardziej szary, bardziej zmęczony od ziemistego światła żarówki wiszącej nad wejściem, a może od całego dnia sprzątaniam.

Kiedy zobaczyła Purnimę, jej oczy się rozszerzyły.

– Akka! Co ty tutaj robisz?

Starsza siostra. Nigdy wcześniej nie nazwała jej starszą siostrą.

– Jak się czujesz? Jak oni cię traktują? Dają ci wystarczająco dużo jedzenia?

Madhawi wzruszyła ramionami.

– Dlaczego tutaj jesteś?

– Chodźmy – rzekła Purnima w nadziei, że istnieje droga powrotna. – Porozmawiajmy w środku. Napijmy się herbaty.

Twarz dziewczynki pociemniała. W jej głosie zabrzmiała panika.

– Nie. Nie, nie możesz wejść. Nikomu nie wolno wejść. Ostrzegli nas.

Purnima patrzyła na nią łagodnym wzrokiem. Nieomal się uśmiechnęła.

– W końcu to tylko ja. Mohan pokazał mi, gdzie mieszkasz, po to, bym mogła cię odwiedzić.

– Pokazał ci?

– Nie powiedział ci o tym? Ale jak sobie radzisz? Mieszkasz z innymi dziewczętami? One są miłe dla ciebie?

Znowu wzruszyła ramionami.

– Są w porządku.

– Też pochodzą z Andhra Pradeśu? Mówią w telugu? Jak się nazywają?

Madhawi rozejrzała się na boki i za siebie.

– Nie wolno mi powiedzieć.

– Zachowujesz się, jakbym była kimś obcym – rzekła Purnima wesoło. Przejechał jakiś samochód, patrzyły, jak jego czerwone światła znikają w ciemności ulicy. Wzrok Purnimy płonął od tej czerwieni, czuła, jak stojąca obok niej Madhawi trzęsie się z zimna i ze zmęczenia. – Czy jedna z nich nazywa się Sawitha? – zapytała.

– Nie.

Purnima przyjrzała się badawczo jej twarzy.

– Jesteś pewna?

– Jest mi zimno, akka. Jest mi tak zimno. Chcę wejść do środka.

Purnima złapała ją za ramię.

– Nie jestem obca, wiesz o tym, prawda? Możliwe, że jestem jedyną osobą, która nie jest obca.

Madhawi skinęła głową i podreptała do budynku.

Kiedy Purnima wróciła do domu, zatrzymawszy się w sklepiku na rogu, Mohan już na nią czekał. Robił kawę.

– Gdzie byłaś?

– Kawa? Tak późno?

– Gdzie byłaś?

– Jak długo tu jesteś? – zapytała.

– Gdzie byłaś? O tej porze?

– Potrzebowałam tego – odparła, wskazując na paczkę podpasek, którą trzymała w ręce.

– Wizyta w sklepie dwa domy dalej nie zajmuje godziny.

– Zatrzymałam się na placu zabaw, żeby odpocząć. Skurcze. – Uśmiechnęła się z zakłopotaniem, przechylając głowę.

– Nie będziesz więcej wychodzić – powiedział, nalewając kawę do dziwnego metalowego kubka z przykrywką. – Odtąd będę ci przynosił to, czego ci potrzeba.

– Zażądał obu kluczy, od budynku i od mieszkania, i schował je do kieszeni. Potem wskazał na dzbanek na kuchence. – Jeszcze trochę zostało. Jeśli chcesz.

Wystarczyło na prawie cały kubek kawy, a kiedy Mohan wyszedł, Purnima zobaczyła, że zostawił także płaszcz. Kiedy go podniosła, wypadła z niego mała książeczka. Przeszukała inne kieszenie, ale były tam tylko drobne i jakieś rachunki. Spojrzała jeszcze raz na tomik. Był dziwny – niepodobny do żadnego, które do tej pory widziała. W porównaniu z wielkimi księgami rachunkowymi był miniaturowy, niewiele większy od jej dłoni. Kiedy go otworzyła, spostrzegła, że żadna z linijek nie dochodzi do końca strony, wszystkie urywały się wcześniej i każda z nich była inaczej wyjustowana. Jakie to dziwne, pomyślała. Czy to była *Gita*? Nie, ta książeczka miała autora, miała też angielski tytuł. Była wystrzępiona, wyraźnie czytano ją wiele razy, ale jedna strona była szczególnie wymięta, zużyta, z oślimi uszami.

Purnima otworzyła tomik na tej stronie i zaczęła czytać.

Następnego dnia, po długim nocnym śnie, wypiwszy nawet poranną kawę, Purnima zaczęła rozmyślać, jakie ma możliwości. Nie dowiedziała się dużo w trakcie pobytu w Seattle, ale jedno wiedziała już na pewno: Sawitha nie mieszkała w tym samym domu co Madhawi. Dziewczynka niewątpliwie była przerażona, ale nie kłamała. Więc gdzie jest Sawitha? Rozmyślała nad tym pytaniem tak, jak rozmyślała nad nim od lat. Dowiedziała się też czegoś o Mohanie: prawda, udało jej się przekonać go, żeby pokazał jej, gdzie mieszka Madhawi, ale wiedziała też, po prostu wiedziała, tak jak wiedziała, że Sawitha jest tu, jest tutaj, że nigdy – bez względu na to, jak wiele kłamstw by wymyśliła, jak żałośnie by wyglądała – nie przekona go, by pokazał jej miejsce, gdzie mieszka jakakolwiek inna dziewczyna. A teraz dowiedziała się jeszcze jednej rzeczy o nim: lubił poezję.

Studiowała wiersz na stronie z oślimi uszami – zatytułowany *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka* – i po kilku razach stwierdziła, że go nienawidzi. A przynajmniej nienawidziła tego, co z niego zrozumiała. Kilka pierwszych linijek chyba nie było po angielsku, choć litery były te same. I mimo że nie miała pojęcia, kim są Michał Anioł, Łazarz czy Hamlet, człowiek, który pisał ten wiersz – prawdopodobnie o niedającym się wymówić imieniu z tytułu – wydawał jej się słaby. Wyjątkowo słaby. Dlaczego napisał ten wiersz? Po co się tak dręczył? Dlaczego po prostu nie wyszedł i nie zadał pytania, jakiegokolwiek by ono było? Wtedy nie musiałby tonąć na końcu. Mimo to czytała go z wielkim zainteresowaniem, zastanawiając się, co w nim widział Mohan.

Kiedy przyszedł ją sprawdzić tego wieczoru, podała mu książeczkę razem z płaszczem.

– Zostawiłeś to wczoraj wieczorem – powiedziała.

Wyglądał na zmieszanego, gdy brał od niej płaszcz z książką, którą wsunął do jednej z jego kieszeni. Purnima poczekała, aż podejdzie do drzwi, a potem rzekła:

– Chodzi o żal, prawda?

– Co?

– Ten wiersz, ta pieśń miłosna.

Odwrócił się, Purnima zobaczyła, że jego uścisk na kłamce staje się lżejszy.

– Czytałaś go?

– Dlaczego miałabym nie czytać? Lubię poezję.

– Czytałaś?

– Zaczęłam.

Odwrócił się do niej, zrobił krok z powrotem do mieszkania.

– Trochę tak. Ale chodzi też o odwagę – powiedział po chwili wahania. –

Chodzi o walkę, by znaleźć odwagę.

– A co będzie, jeśli jej nie znajdziemy? Co się stanie? Utoniemy?

Uśmiechnął się.

– W pewnym sensie.

– Nie uważasz, że ten Puffrock to słabeusz?

W tym momencie oczy Mohana zabłyśły smutkiem tak intensywnym, tak gwałtownym, że Purnima poczuła, jak ten smutek, ta gwałtowność rozbłyskują w jej własnych oczach. A potem wszystko zniknęło równie nagle, jak się pojawiło.

– Myślę, że on jest dokładnie taki sam jak ty i ja – rzekł w końcu.

Purnima patrzyła na niego. Nie, pomyślała, nie masz racji. Wcale nie masz racji. On zupełnie nie jest taki jak ja.

6

Madhawi wciąż może jej jakoś pomóc. Właśnie o tym myślała Purnima tej nocy po wyjściu Mohana. Nie miała co do tego całkowitej pewności, ale Madhawi, choć – podobnie jak wszystkie inne dziewczęta – przebywała w zupełnej izolacji, mogła przecież na początek zostać zawieziona do innego mieszkania, jakiegoś przejściowego, zanim w obecnym nie znajdzie się dla niej miejsce. A może dziewczyny czasem jeździły razem do pracy i Madhawi widziała inne, rozwożone po różnych mieszkaniach. A może rozmawiały ze sobą i któraś z nich wspomniała nazwę ulicy, sąsiedztwa, cokolwiek.

To była jej jedyna szansa.

Czekała cały następny dzień. Ponieważ nie miała już kluczy, przeprowadziła inspekcję budynku i znalazła niezamknięte tylne wyjście, przy koszach na śmieci; drzwi do własnego mieszkania będzie musiała zostawić otwarte. Oceniała, że Mohan prawie zawsze przychodzi między czwartą a ósmą po południu. Co robił całymi dniami? Ilu przewoźników musiał pilnować? Ile dziewczyn oni mieli? Czy Mohan znał Sawithę? Nie umiała odpowiedzieć na żadne z tych pytań, wiedziała tylko tyle, że musi zaczekać aż do ósmej, żeby po tym, jak on wyjdzie, wybrać się do domu Madhawi.

Tego wieczoru przyjechał później, prawie o dziewiątej, nie podając żadnego wyjaśnienia, dlaczego się spóźnił, a jednak wydawał się bardziej jej świadomy, bardziej miękki w sposobie, w jaki przyglądał się pokojowi, jej twarzy, zwiniętemu niedbale śpiworowi, kilku rzeczom leżącym na podłodze. Było tak, jakby ich rozmowa na temat wiersza obudziła w nim jakąś możliwość Purnimy, możliwość jej istnienia jako czegośkolwiek innego niż dostawcy dziewcząt.

– Potrzebujesz czegoś?

- Warzyw.
- Przywiozę je jutro.
- Zostań na kolacji.

Jego wzrok pociemniał, może z odrazy na tę propozycję, może z zaskoczenia, chociaż Purnima nagle zrozumiała, z całą jasnością, jakby po oczyszczającym deszczu, że stał przed nią człowiek bardzo samotny, który znał niewiele poza tą samotnością. Zaraz potem wyszedł bez słowa.

Madhawi przywieziono do domu po północy. Purnima znowu czekała w krzakach pomiędzy kamienicą, w której mieszkała Madhawi, a sąsiednią, bardziej na północ. Tym razem dziewczyna się nie przestraszyła, gdy nagle zobaczyła Purnimę w wąskim świetle lampy nad wejściem. Purnima spojrzała na dziewczynkę i stwierdziła, że nie ma sensu pytać, co robiła – w oczywisty sposób stwardniała. W tydzień osiągnęła stan ciężkiej, stoickiej rezygnacji. W tydzień! Jak niewiele czasu trzeba, żeby duch się ulotnił, pomyślała Purnima, jeśli tylko duch ma do tego skłonność. Nad nimi chmury zasłoniły księżyc, gwiazdy, pobliska lampa uliczna migotała.

Madhawi westchnęła.

- Znowu chodzi o tę dziewczynę?
- Spotkałaś ją? Wiesz coś?
- Proszę, akka, przestań tu przychodzić. Jeśli ktoś nas zauważy...
- Słuchaj, po prostu powiedz mi, czy wiesz, gdzie inne dziewczyny mieszkają. Którakolwiek z nich.

– Nie wiem.

– Nigdy nikogo nie odwożę do innego mieszkania? Nigdy nie jechałaś z inną dziewczyną? Nie rozmawiałaś? Nigdy nie zawieźli cię do innego miejsca?

Madhawi wzruszyła ramionami i uciekła wzrokiem.

– Było tak, prawda? Kto? Gdzie ona mieszka? Co powiedziała?

– To nie jest inna dziewczyna. Po prostu... – Madhawi znowu się wycofała, a Purnima nieomal nie wybuchła, zacisnęła pięści, żeby się opanować i nie rzucić

na dziewczynę, by wydrzeć z niej jakąś informację.

- Po prostu co? – zapytała łagodnie, uspokajając głos.
- Raz zabrał mnie do innego pokoju. Innego niż te, które sprzątam.
- Gdzie był ten pokój? Były tam inne dziewczyny? Inni ludzie?
- Nie.
- Kto cię zabrał?
- Sureś.

Kto to mógł być? – pomyślała Purnima. Brat Mohana? Stały przez chwilę cicho, Madhawi wciąż uciekała wzrokiem.

- Gdzie to było?
- Nie wiem. Nie wiem.
- Blisko stąd?
- Nie.
- Blisko lotniska?
- Nie.

Purnima szukała w myślach kolejnych punktów orientacyjnych, innych charakterystycznych elementów krajobrazu, które Madhawi mogłaby zauważyć.

- Blisko wieży? Tej wąskiej? Blisko wody? W środku tych wysokich budynków? A może obok uniwersytetu? Zauważyłaś uniwersytet?
- Akka, proszę.
- Cokolwiek... Pamiętasz cokolwiek?

Jakiś rowerzysta przejechał obok, nie zauważając ich. Wiatr szumiał w liściach pobliskiego drzewa. Purnima słyszała niewyraźny, odległy jęk, dochodzący od morza.

- Niedaleko... – zaczęła Madhawi powoli, ponuro, nieomal niewidoczna w ciemności – niedaleko było coś okrągłego.
- Okrągłego?
- Jak stadion do krykieta. Ale większy. Znacznie większy.

Skąd ta dziewczyna wiedziała o stadionach do krykieta?

– I co jeszcze?

– Nie było tam dużo ludzi. Nikogo. Był pusty.

– Cały ten kraj jest pusty.

– A budynki nie miały okien.

Purnima skinęła głową. Gdyby mogła, uśmiechnęłaby się, ale nie chciała przerażać dziewczyny. Zamiast tego spojrzała w cichnące cienie: niskie, nieruchome chmury, światło lampy ulicznej, teraz gasnące, ciche ulice, zmęczona twarz, ciało bez życia. Przypomniła jej się zachwyty w oczach Madhawi, kiedy jadła ciastko – tego dnia w zupełnie innym życiu – słodka kulka krusząca się między jej palcami. Purnima wzięła głęboki wdech, głęboki amerykański wdech i pomyślała: taki spokojny kraj, a tyle w nim płaczu. Nie przyszło jej do głowy już nic, o co mogłaby zapytać, więc, zanim odeszła, zanim poszła w noc, powiedziała: „uważaj na siebie”, wiedząc, że wszelką uwagę, wszelką troskę – o tę dziewczynę, o jej podróż – już zmarnowano, już dawno temu podarto i wyrzucono.

Zaczęła poszukiwania następnego dnia rano. Przepytawszy co najmniej tuzin ludzi, jak dostać się do stadionu, dotarła na skrzyżowanie Seneca Street i Third Avenue, a potem linią 21 pojechała tam, skąd mogła dostrzec stadion, a potem, nie wiedząc, od czego zacząć, wróciła na Third Avenue. Po jednej stronie ulicy znajdowały się magazyny, po drugiej biegły tory kolejowe. Przyjrzała się magazynom: nie miały okien, nikogo nie było ani w nich, ani wokół. Ale Madhawi nic nie wspomniła o torach, a Purnima przypuszczała, że by je zauważyła. Więc poszła głębiej między rzędy długich jednopiętrowych budynków, zaglądając w okienka znajdujące się w drzwiach garaży. Trzymała się blisko ścian, przyglądała się każdemu samochodowi, który przy nich stał, i przeszukiwała wzrokiem każdy róg. Wiedziała, że rzuca się w oczy, nawet w swoich zachodnich ubraniach i szalu zawiniętym po zabliznionej stronie twarzy, ale jedynie Mohan znał jej twarz – i to był jej największy atut. Poza tym, gdy tylko jakiś samochód

przejeżdżał obok niej, kryła się najlepiej, jak mogła, wiedząc, że jego auto zauważy z odległości kilometra.

Szła tak godzinami. Labirynt magazynów ciągnął się i ciągnął. Niektóre z ulic między budynkami nie miały nazw, więc Purnima, po zatoczeniu wielkiego koła, natrafiała na te same magazyny z drugiej strony. Straciła orientację i kiedy wyszła na jakiś plac, spojrzała na szczyty budynków widoczne z dalekiego centrum miasta, żeby odnaleźć północ. Dwaj kierowcy zwolnili – jeden w pick-upie, a drugi w niebieskim sedanie – i zapytali, czy potrzebuje pomocy. Purnima podciągnęła szal wyżej na twarz i pokręciła głową. Usłyszała odgłos pociągu towarowego i nagle pomyślała o tym pociągu w Namburu, do którego nie wsiadła. Pomyślała o strzępkach podartego biletu spadających na ziemię. Co by się stało, gdyby do niego wsiadła? – pomyślała. Kim bym się stała? Nie była przyzwyczajona do tej myśli – myśli, która nie miała końca – więc zamknęła ją, zatrzasnęła, jakby to były drzwi do nawiedzonego domu.

Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, postanowiła wracać. Gdy jechała autobusem, czuła głód i zmęczenie. Możliwe, że nie byłam nawet we właściwym miejscu, pomyślała, możliwe, że Madhawi miała na myśli zupełnie inną dzielnicę, ale minął już tydzień, odkąd Purnima tu przyjechała, i zostały jej tylko dwa. Dopiero piątego popołudnia, kiedy po godzinach wędrówki w coraz większym deszczu skręciła za róg – za szarym budynkiem reklamującym opony i inne części samochodowe – zobaczyła to: zobaczyła czarny samochód. Należał do Mohana, tyle mogła stwierdzić od razu, ale z miejsca, w którym stała, nie widziała dobrze wejścia do budynku. Przeszła długą drogę dookoła potężnego magazynu, przed którym stał samochód Mohana, i wyszła z drugiej strony, kryjąc się pod ścianą. Teraz była bliżej drzwi, ale dalej od samochodu. Był tam jeszcze jeden samochód, zaparkowany naprzeciwko auta Mohana, który, jak przypuszczała, należał albo do jego brata, albo do ojca.

Czekała, drżąc w zimnym deszczu, ale żadna dziewczyna ani nie wyszła z magazynu, ani do niego nie weszła. O trzeciej po południu Purnima wróciła na przystanek autobusowy, wiedząc, że czas wracać do domu. Wieczorem, po wyjściu

Mohana, deszcz wzmógł się jeszcze bardziej, więc zaczęła aż do następnego poranka. Kupiła latarkę i grubsze skarpetki, a kiedy przyjechała na miejsce, zobaczyła, że teraz nie stoi tam żadne auto. Na palcach podeszła do wejścia i zmrużyła oczy, żeby dostrzec coś przez przyciemnione szkło w drzwiach. Nic. Zapaliła latarkę i udało jej się zajrzeć kilka metrów w głąb czegoś, co, jak przypuszczała, było dużym pokojem, wypełnionym pudełkami z zarysami czegoś przypominającego biurko na jego drugim końcu. Nie było tam innych pokoi, to przynajmniej zobaczyła. Obeszła budynek, szukając niezamkniętego tylnego wyjścia albo rampy załadunkowej, jakie widziała w wielu innych magazynach, ale wokół tego biegła ze wszystkich stron jedynie metalowa bocznicą; nasłuchiwała jakichś dźwięków, głosów. Pomyślała, że mogłaby spróbować rozbić zamek drzwi, lecz kiedy tak stała, przyglądając się mu, jakiś samochód przejechał sąsiednią ulicą.

Jeśli rzeczywiście Sawitha tutaj mieszkała, uświadomiła sobie nagle Purnima przykucnięta przy ścianie budynku, dlaczego miałyby tu być w ciągu dnia? W ciągu dnia zapewne sprząta mieszkania.

Kiedy wróciła tam w nocy, magazyn był jeszcze ciemniejszy i spokojniejszy niż za dnia. Zastukała do drzwi, czekając, aż zapali się światło. Obeszła budynek, waląc pięściami w jego ściany. Próbowwała rozbić ciężki zamek, a potem szkło w drzwiach, ale było uzbrojone i nie pękło ani pod uderzeniami plastikowej latarki, ani pod naporem jej ciała. Gdzie ona była? Gdzie ona była? Purnima wpatrywała się w drzwi, wreszcie kopnęła je po raz ostatni i powiedziała do ciemnego, niedającego się rozbić szkła „To nie tutaj”, i odeszła.

Jadąc do domu autobusem, już po północy, popatrzyła na swoje posiniaczone ramiona, na pokiereszowane łokcie i dłonie, na rozbitą latarkę i uświadomiła sobie rzecz, o której wiedziała od dawna: jej jedyną nadzieją był Mohan.

Kupiła butelkę whisky – najdroższą, jaką znalazła w sklepiku na rogu – a potem całe popołudnie spędziła, gotując ryż, dal, curry z bakłażana (największego, jakiego kiedykolwiek widziała, w dodatku gotował się zupełnie inaczej niż te w Indiach) i kotlety ziemniaczane, chociaż gorący olej przeraził ją

tak bardzo, że zrobiła ich tylko tyle, by starczyło dla Mohana, a potem od razu wyłączyła kuchenkę. Mimo zapachu jedzenia i butelki whisky stojącej na blacie kuchennym Mohan odmówił zostania na kolacji. Wyszedł bez słowa, zanim mogła pomyśleć o czymkolwiek, co mogłoby go przekonać do zmiany zdania.

Purnima zaczęła popadać w rozpacz.

Przemierzała mały pokój, nieomal co minutę wyglądając przez okno, w górę i w dół ulicy. Przypomniała sobie swoją ulicę w Widżajawadzie i tego mężczyznę, który prasował dziecięcą sukienkę, i śpiącego rykszarza, krowy i psy grzebiące w małych kopczykach śmieci, nawoływania sprzedawców na ulicach i uderzyła ją nagła, przejmująca tęsknota za domem. Zgięła się pod jej naporem nieomal wpół, ale natychmiast się wyprostowała. Za czym tęsknisz, upomniała się, zła na siebie za ten moment słabości. Za burdelami, ćarkhami, mężczyznami i teściowymi? Za tym tęsknisz? Wygładziła bluzkę i dżinsy, które kupiła w Widżajawadzie specjalnie na tę podróż i do których wciąż nie mogła się przyzwycząić, i nagle wzięła głęboki wdech: nagle przypomniała sobie tę jedną rzecz wywołującą błysk w jego oczach, jedną rzecz dającą mu – w ciągu tych dwóch tygodni znajomości z nim – wytchnienie.

Postawiła whisky na blacie kuchennym i kiedy przyszedł następnego wieczoru, powiedziała:

– Nie będę tego piła. Równie dobrze możesz to zabrać ze sobą.

Spojrzał na butelkę i zawahał się, a kiedy ją wziął, zapytała:

– Kto to jest Łazarz?

– Co?

– Łazarz. Z tego wiersza. Z tego, który lubisz. Puffrock powiedział coś o tym, że jest Łazarzem.

Jego twarz zmiękła. Albo może to tylko jego wargi straciły nieco swojej surowości, zaciętości.

– Pamiętasz to?

– Zastanawiałam się nad tym.

– To z Biblii. Jezus przywrócił mu życie po śmierci. Po czterech dniach, jak mi się zdaje.

– Musiał przejść jakąś próbę? Jak Sita?

– Nie, myślę, że to Jezus przechodził jakąś próbę. Albo jego wyznawcy. Ale nie Łazarz.

Purnima spojrzała na niego.

– Dlaczego go lubisz? Czy dlatego, że myślisz, że Puffrock jest jak ty i ja?

– Puffrock. Tak, ale też dlatego, że to taki samotny wiersz.

– Powinieneś to otworzyć – powiedziała, wskazując ruchem głowy whisky.

Tym razem się nie zawahał. Nalał sobie pół szklanki, złotobrazowy płyn mocno pachniał głębokim lasem, dymem z ognia i czymś, czego Purnima nie mogła sobie przypomnieć, może tym sztormem, który złapał ją na Krysznie. Mohan usiadł pod oknem i postawił szklankę przed sobą. Upił łyk.

Purnima patrzyła na niego. Pomyślała, że może wyjdzie, gdy skończy pierwszą szklankę, ale on nalał sobie następną. Powiedziała do siebie, poczekaj, aż skończy tę, czekaj aż do końca.

Kiedy skończył drugą szklankę, rzekła:

– Musisz mieć sporo pracy.

Oparł głowę o ścianę. Wydawało jej się, że przytaknął, ale może tylko sobie to wyobraziła.

– Są tu inni przewoźnicy? Co robisz, jak stąd wychodzisz?

– Pracę domową.

– Pracę domową?

Unikał jej wzroku.

– Chodzę na wykłady. Na uniwersytecie. – Podniósł ponownie butelkę i przestudiował etykietkę.

– Skąd ją masz? Mam wrażenie, że powiedziałem ci, żebyś nie wychodziła z mieszkania.

– Po co? A co studiujesz?

Roześmiał się, nalewając sobie następną szklankę.

– Ten wiersz Pruffrocka. A także inne wiersze.

– Ale...

Tę szklankę wypił jednym potężnym łykiem.

– Możesz dużo powiedzieć o rodzicu na podstawie tego, co go śmieszy. Kiedy w połowie szkoły średniej powiedziałem mu, że chcę studiować literaturę, ojciec śmiał się przez trzy dni, a potem powiedział: „Inżynieria albo medycyna. Wybieraj”. To jest najlepsze w byciu induskim dzieckiem – dodał. – Możemy wybierać.

Spojrzał na nią surowo.

– On nie wie o tych wykładach. Nikt nie wie.

Potem siedzieli w ciszy, on pod oknem, ona pod ścianą obok kuchenki. Żadnego ruchu ani wewnątrz, ani na zewnątrz. Purnima zamknęła oczy. Wyczuwała, że Mohan na nią patrzy.

– Oto mój ulubiony fragment – powiedział w ciemności.

I naprawdę nastanie czas

Powtarzania pytania „Czy ja się odważę?”

Czas odwracania się, ruszania korytarzem

*W stronę schodów**

Z niezwykłą drobiazgowością wyjaśnił jej każdą linijkę, każde słowo, a także to, kiedy wiersz został napisany i jak czas, w którym go napisano, łączył się z siłami strachu, nudy i nowoczesności, tuż przed pierwszą wojną światową, powiedział jej nawet o samym autorze, jak też został imigrantem, tylko że w Anglii. A potem Purnima chciała dowiedzieć się jeszcze o Michale Aniele i Hamlecie, ale zamiast tego zapytała:

– Co jeszcze go śmieszy?

Znowu zapadła cisza, a ona pomyślała, że może zdenerwowało go to pytanie, ale kiedy otworzyła oczy, Mohan spał, wciąż trzymając szklankę.

Został jej tylko tydzień.

* T. S. Eliot, *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka*, tłum. S. Barańczak.

SAWITHA

1

Kiedy Sawitha otworzyła oczy, autobus jechał przez góry. Śniła o Mohanie. Nic szczególnego, nic, co mogłaby nazwać, nawet w tych chwilach zaraz po obudzeniu, ale czuła, że przepływał przez jej sny bez dotykania ich, jak duch czy jak zapach. Ale potem nagle się obudziła i rozejrzała gorączkowo, widząc wyraźnie drogę, góry, obce twarze. Lot. Czy biegły za nią jakieś kroki? Nie obejrzała się. Miotła się jak oszalała od przystanku do przystanku, machając na autobusy, kiedy właśnie odjeżdżały, w końcu kierowca trzeciego, który koło niej przejeżdżał, otworzył jej drzwi, Sawitha zapytała, zdyszana:

– Nowy Jork?

Kierowca się roześmiał:

– Niezupełnie. Musisz się dostać na Greyhound. Ale przejeżdżam koło dworca, wsiadaj!

Na przystanku autobusowym w centrum Seattle przystanąła i wpatrywała się w mapę Stanów Zjednoczonych. Znalazła Seattle, wiedząc, że na zachód od niego jest tylko woda, a potem zaczęła szukać Nowego Jorku. Jej wzrok biegł coraz dalej na wschód, na wschód, na wschód. Gdzie on mógł być? Pomyślała, że przegapiła go i zaczęła od początku. Tym razem znalazła go wreszcie, po drugiej stronie, na wschód niego też była już tylko woda. Zapytała mężczyznę siedzącego w okienku sprzedaży biletów:

– Ile do Nowy Jork?

– Musi pani najpierw dostać się do Spokane, a potem następnym autobusem do Nowego Jorku. – I po chwili dodał: – Trzydzieści dolarów.

Nie zrozumiała pierwszej części tego, co powiedział, ale dotarło do niej, że bilet do Nowego Jorku kosztował trzydzieści dolarów. Cała ta długa droga za

jedyne trzydzieści dolarów!

Zerknęła na drzwi wyjściowe z poczekalni. Ściskając bilet w ręce, usiadła na miejscu najdalszym od nich i nie spuszczała ich z oka.

Jak długo jej zajmie, by tam dojechać? I co zrobi potem? Jak w ogóle zacząć szukać tej kobiety o włosach koloru dżilebi z perłowymi zębami? Nie umiała sobie odpowiedzieć na to pytanie, ale kiedy już była w autobusie, oddalając się od Seattle, a jej strach i adrenalina wyciszyły się, serce przestało walić jak oszalałe, uświadomiła sobie, patrząc na sylwetki sosen na ciemnym tle gór, z drogą niczym tkaniną falującą między nimi, że czasami odejście też bywa celem, jedynym, jaki pozostaje.

Przejechali przez przełęcz Snoqualmie, chociaż Sawitha już wtedy miała zamknięte oczy. Chwilę przed tym, zanim je przymknęła, kołysanie przednich świateł autobusu objęło kępę dzikich fioletowych kwiatów rosnących u stóp samotnej sosny, zwieszającej się nad ich drżącymi pączkami jak parasolka. Potem jechali wzdłuż wody ciągnącej się po jej stronie tak długo, że Sawitha pomyślała, że może ją sobie tylko wyobraża w swojej dezorientacji pełnej majaków, jakby w delirium. Obudziła się w końcu tuż przed wschodem słońca, góry były ciemne, pokryte drzewami i dalej. Niebo miało stalowoszary odcień, gęstniało od chmur. W blasku przedświtku Sawitha zobaczyła młode sosnowe drzewka rosnące wzdłuż drogi, szarozielone kępki, które trzymały się razem i zdawały się wirować jak derwisze w porannym śpiewie ptaków, wiatru, a nawet szumie autobusu, kiedy mijał je całym pędem.

Sawitha poruszyła się na siedzeniu, mięśnie jej zeszywniały, a potem wzdrygnęła się z niepokoju: obok niej siedziała jakaś kobieta. Kiedy wsiadła? Nie przypominała sobie, żeby autobus się zatrzymywał, ale może kobieta w nocy po prostu zmieniła miejsca. Sawitha przyjrzała się jej. Spała mocno, głowę miała zwieszoną w kierunku ramienia Sawithy. Była tak młoda jak Sawitha, może nawet młodsza, z palcami obsypanymi srebrnymi pierścionkami, z wyjątkiem jednego kciuka i jednego małego palca. W trójkącie między prawym kciukiem a palcem wskazującym był jakiś tatuaż z symbolem, którego Sawitha nie знаła, delikatny,

wodnisto-niebiesko-zielony i Sawitha poczuła, patrząc na młodą twarz śpiącej kobiety, wokół której oczu i warg tworzyły się już delikatne zmarszczki, że nie było to jej zamiarem, że ona chciała, żeby tatuaż było mocno niebieski, niebieski z całą jego gęstością, głębią, jak ocean w nocy, ale się nie udało. Nic się nie udawało.

O wschodzie słońca autobus zatrzymał się i wszyscy pasażerowie obudzili się i zaczęli się tłoczyć przy wyjściu. Pierwszą myślą Sawithy było, że może już dojechali do Nowego Jorku. Wsiadła o pierwszej w nocy, a teraz było trochę po szóstej. Czy to możliwe? Ale potem spojrzała na napis nad głównymi drzwiami dworca: S-P-O-K-A-N-E. Znowu podeszła do mapy i zobaczyła, że nawet nie wyjechała jeszcze ze stanu, a co dopiero mówić o Nowym Jorku. Ogarnęło ją wielkie zmęczenie. W tym tempie dojechanie tam zajmie jej miesiące. Przetarła zaspane oczy i poszła zapytać o autobus do Nowego Jorku, ale punkt informacyjny był zamknięty do ósmej. Na tablicy z rozkładem widniały tylko dwa odjazdy: jeden do Seattle, a drugi do miasta o nazwie Missoula. Spojrzała znowu na mapę, zobaczyła, że Missoula jest na wschód, nie za bardzo, ale jednak na wschód i autobus miał odjechać za dwie godziny. Może powinna nim pojechać, a potem znowu się przesiąść? Nie wiedziała. Chciała poczekać na stacji, aż otworzą punkt informacyjny, ale zobaczyła, że stoisko z kawą w budynku dworcowym także jest zamknięte, a ona była głodna. Wyszła na zewnątrz, rozglądnęła się wokół, dokładnie obejrzała każdy samochód na parkingu, szukała czerwonego samochodu, czarnego i beżowego. Górskie powietrze było chłodne chłodem, do którego Sawitha nigdy się nie przyzwyczaiła, więc otuliła się swetrem mocniej wokół ramion. Ukradła go Padmie razem z małym plastikowym plecakiem; włożyła tam swoje ostatnie osiemdziesiąt dwa dolary, połówkę fotografii, ubrania na zmianę, prostokącik papieru i to, co pozostało z niedokończonego sari Purnimy. Owinęła je delikatnie w starą gazetę i włożyła na samo dno plecaka. Dworzec autobusowy był dwupiętrowym budynkiem z czerwonej cegły, na zewnątrz rosły w rzędzie drzewa takie same jak te, które porastały góry wzdłuż całej autostrady, za nimi stały jakieś budynki, ale nawet w połowie nie tak

wysokie jak te w Seattle. Jeszcze nie było siódmej, ale Sawitha już zobaczyła kilka przechadzających się osób, jakby donikąd nie szły, ale po prostu właśnie się przechadzały. To wydało jej się dziwne o tej porze, ale ci ludzie nie zwracali na nią uwagi, jakby była niewidzialna, i dalej spacerowali.

Na parkingu na prawo od rzędu drzew jakiś mężczyzna oparł się o żółty samochód i palił papierosa. W samochodzie siedziała kobieta, też paliła, wspierając się ramieniem o otwarte okno, ale żadne z nich nie patrzyło na siebie ani nie rozmawiało, jakby byli sobie zupełnie obcy, choć Sawitha widziała, że jego udo dotyka czubka jej łokcia. Inny mężczyzna stał przed wschodnią ścianą dworca i mrużąc oczy, czytał gazetę. Sawitha stała i patrzyła, jak światło słońca wyłania się zza odległych gór i kąpie je w swoim blasku, jego blada biała skóra zmienia się w polerowane złoto. Przeszła na drugą stronę ulicy i ruszyła w kierunku budynków, aż zobaczyła jakąś restaurację. Wkroczyła do środka i siadła przy jednym ze stolików. Leżała na nim karta, pełna obrazków, więc kiedy kelnerka przysłała, Sawitha wskazała na coś, co wydawało jej się trzema dosami ułożonymi w jednym rzędzie. Napiała się wody i czekała. Kiedy przyniesiono danie i wzięła jego pierwszy kęs (grzebiąc w nim łyżką; nie wiedziała zresztą, jak używać łyżki i widelca), zorientowała się, że to nie są dosy, zupełnie nie. Były słodkie! A w środku zamiast ziemniaczanego curry znajdowała się ta sama puchata, nieważka substancja, która była na tamtym bananowym deserze. Jakie to dziwne. Cóż to za tajemniczy kraj, pomyślała, jakże niewielki mimo całego jego ogromu. Ale danie było dobre, a ona głodna.

Zanim wyszła z restauracji, kupiła torebkę czipsów, butelkę wody i paczkę czegoś, co wyglądało na małe ciasteczka.

Wróciła na dworzec i usiadła na ławce na zewnątrz, naprzeciw rzędu drzew, ale z widokiem na ulicę i parking. Była za piętnaście ósma, a ona starała się nie zasnąć, dopóki nie otworzą okienka z biletami. Patrzyła, jak niskie, okrągłe chmury wyłaniają się zza krawędzi ziemi wraz ze słońcem. Góry na zachodzie, pieszczone teraz porannym światłem, stawały się różowe, zielone, w kolorze węgla drzewnego, nisko nad nimi płynęły chmury, jakby zbierały się i patrzyły na

te wzgórza niczym na dzieci. Sawitha patrzyła na góry i chmury, myśląc, to najwięcej, co widziałam w tym kraju. A potem pomyślała znowu o Mohanie. Ból rozkwitł jej w brzuchu i rozbiegł się cienkimi liniami, niebieski jak atrament, ku piersiom. Skupiła się więc znowu na górach, na obłokach, ale one były dalekie i zajęte swoimi sprawami. Więc zamiast tego skoncentrowała się na ulicy i parkingu. W pewnym momencie maleńki kłębek szarłatu uniósł się w powietrze, wirując jak ptak. Był nieomal przezroczysty, kręcił się w powiewie wiatru, niesiony własną ulotnością i najłżejszym wydechem wietrzyka. Sawitha zamknęła oczy – tylko na chwileczkę, powiedziała do siebie – i zapadła w lekki sen.

Obudził ją klakson autobusu, albo może czyjś głos i zobaczyła, że już jest parę minut po ósmej. Zerwała się, przeklinając siebie za to, że zasnęła, podczas gdy oni mogli już być tutaj, tutaj, i wbiegła do poczekalni. Podeszła do okienka, wyciągnęła bilet i powiedziała:

– Dzień dobry, pani. Kiedy autobus do Nowego Jorku?

Kobieta w okienku, czarnoskóra, z karminową szminką i srebrnym brokatem na rzęsach, spojrzała na bilet Sawithy. Powiedziała coś, czego Sawitha nie zrozumiała.

– Przepraszam?

Kobieta odwróciła się i wyjęła kawałek papieru. Na nim napisała „109 \$”.

– Ale ja już mam bileta.

Kobieta pokręciła głową:

– Jest tylko do Spokane. A tyle kosztuje bilet do Nowego Jorku.

Podsunęła kawałek papieru w kierunku Sawithy, a ona go wzięła. Kolejny mały prostokącik papieru.

Wyszła ze stacji.

Wzdłuż dworca ciągnęła się łukiem droga, a za nią był kolejny parking. Dalej następne budynki, kolejne parkingi. Załamana Sawitha patrzyła i patrzyła na ten niekończący się, nieprzerwany wzór, aż spostrzegła, że wciąż trzyma ten kawałek papieru, wilgotniał od potu jej dłoni. Wrzuciła go do kosza na śmieci. Od

wczesnych godzin porannych chmury zdążyły się utuczyć, płynęły teraz leniwie na wschód, Sawitha patrzyła na nie z zazdrością. Chwiejnym krokiem ruszyła ku południowemu krańcowi dworca, a potem z powrotem ku północnemu. Znowu siadła na ławce przed nim, apatycznie, zastanawiając się, co teraz zrobić. Potem wstała i ruszyła przed siebie.

Szła tak kilka minut, aż doszła do brzegu rzeki. Tutaj znowu usiadła na ławce i starała się powstrzymać łzy. Przytuliła plecak do piersi, jakby był jej jedyną nadzieją, i zrozumiała, nieomal bliska ataku serca, że rzeczywiście tak jest. Nie miała pojęcia, co robić, jak zdobyć więcej pieniędzy. Najwyraźniej nie rozumiała tego mężczyzny, który sprzedawał jej bilet w Seattle, pomyślała też, że nawet gdyby nie zjadła tych słodkich dos w restauracji, i tak by nie miała wystarczająco dużo pieniędzy. Nigdy nie miała. Poczuła przeszywający ból na końcu kikuta, ból fantomowy, który nie odzywał się już od wielu miesięcy. Potrząsnęła ręką i pomyślała, że może spróbuje się przejść, ale wtedy wróciło zmęczenie, jeszcze bardziej piekące, jeszcze bardziej pełne wyczerpania, więc po prostu siedziała i patrzyła na rzekę.

W miarę jak zbliżało się południe, coraz więcej ludzi przychodziło nad brzeg. Kilku biegaczy, jakiś mężczyzna obierający pomarańczę, grupka osób patrzących, jak ich dzieci się bawią.

Sawitha zamrugała, jakby ocknęła się z głębokiego snu. Była głodna, ale pomyślała, że powinna oszczędzać chipsy i ciasteczka. Nie miała odwagi wydawać pieniędzy, które jej pozostały. Napiła się wody z fontanny i poszła znowu na południe, dalej od dworca autobusowego, bo to tutaj by jej najpierw szukali. Skręciła za róg. Rozciągała się tam długa ulica prowadząca do jakiegoś skupiska budynków. Wzdłuż niej parkowały samochody i – kiedy wlokła się w stronę budynków – zobaczyła tablicę rejestracyjną jednego z nich. Stała w miejscu. Spojrzała w obie strony pustej ulicy, a potem pochyliła się i przeczytała powoli. Nie pomyliła się: litery składały się w słowa „Nowy Jork”. Usiadła na krawężniku tuż przy samochodzie. Co robiła? Czekala. Na co? Na nic, pomyślała, na nic nie czekam.

W brzuchu burczało jej z głodu. Poddawa się i zjadła kilka czipsów i dwa małe ciasteczka.

Po mniej więcej godzinie podeszła do niej jakaś para starszych ludzi. Kobieta miała na sobie różowe spodnie trzy czwarte i żółtą koszulkę z napisem „Nowy Meksyk, Zaczarowana Kraina”. Jedynym słowem, które Sawitha umiała przeczytać, było „Nowy”, co uznała za dobry znak. Srebrne kręcone włosy kobiety były krótko przycięte. Usta pomalowała różową szminką, która w zamyśle miała pasować do jej spodni, ale wyraźnie to nie wyszło i Sawitha pomyślała, że musiała zawsze taka być, nawet jako młoda kobieta, na granicy piękności, u wrót uroku, ale nigdy, nigdy w środku. Mężczyzna nosił bejsbolową czapkę i koszulę w kratę i z pewnością byli małżeństwem. Byli nim od wielu lat, od młodości, pomyślała, zauważając zażyłość i dystans oraz głuchą wzajemną obolałość. Kiedy zbliżyli się do Sawithy, przez krótki uprzejmy moment spojrzeli na nią pytająco, potem zobaczyli jej kikut i wtedy odwrócili się, nagle niepewni siebie, z jakimś wahaniem, do swojego samochodu. Samochodu z Nowego Jorku. Mężczyzna wyjął pęk kluczyków.

Sawitha się zerwała.

– Przepraszam pana, panią. Nowy Jork? Jedziecie do Nowy Jork?

Spojrzeli na nią ponownie, zmieszani, a potem kobieta wydała cichy okrzyk i rzekła:

– Och, kochanie, to wynajęty samochód. Nie jedziemy do Nowego Jorku. Jedziemy do Salt Lake.

Sawitha stała i patrzyła na nich.

– Pokaż jej, kotku – powiedziała kobieta. – Pokaż jej na mapie.

Mężczyzna wyjął coś ze schowka i rozwinął dużą płachtę papieru. Położył ją na bagażniku samochodu i cała trójka pochyliła się nad nim.

– Tutaj – powiedział. – Jesteśmy tutaj. – Jego palec powędrował na południowy wschód i dodał: – A tu jest Salt Lake City. Tu właśnie jedziemy.

Spojrzał na Sawithę, a ona odpowiedziała mu spojrzeniem. Ukryła kikut za plecami. Ale wydawało się, że on już go nie widzi. Wydawało się raczej, że czuł, jak bardzo jest zagubiona, jak bardzo przygnębiona. Jakby to mogło ją jakoś pocieszyć, przejechał palcem aż do samej krawędzi mapy i rzekł:

– A Nowy Jork jest tu.

Wszyscy znowu pochylili się nad mapą i teraz Sawitha uświadomiła sobie, że para jedzie właściwie na południe, nie na wschód. Ale nie chciała, żeby ją zostawili. Polubiła ich. Widać było, że są rodzicami, że znają ten rodzaj miłości, zarazem nieskończonej i beznadziejnej. Była coraz bardziej zrozpaczona, w końcu zaczęła się zastanawiać, czy nie poprosić ich o trochę pieniędzy, ale poczuła nieśmiałość, zakłopotanie; nie wiedziała, jak to zrobić. I wtedy, znowu z tym rodzajem jakiejś niepowседневnej życzliwości, kobieta popatrzyła dłuższą chwilę na Sawithę, a potem rzekła:

– Może ona mogłaby z nami pojechać, Jacob. Pojedź z nami do Butte.

Pokręcił głową.

– To nie ma sensu, Mill. Będzie wprawdzie odrobinę bliżej, ale Spokane jest dla niej lepszym miejscem. – Przerwał, po czym dodał: – A tak przy okazji, jak ci na imię?

Sawitha pokręciła głową i się uśmiechnęła.

Wskazał na siebie i rzekł:

– Jacob – powiedział, po czym przedstawił swoją żonę: – Millie. – A potem wskazał na Sawithę.

Uśmiechnęła się jeszcze raz, szerzej i powiedziała:

– Sawitha.

– Sawi-ita – rzekł.

Sawitha spojrzała na dalekie góry, wyglądały jak wartownicy, jak strażnicy wschodu. Starszy mężczyzna podążył za jej wzrokiem.

– Jak rozumiem, trochę bliżej to trochę bliżej, więc jedź z nami, jeśli chcesz.

Odwróciła się do nich. Najpierw do niego, żeby zrozumieć, co powiedział, a potem do kobiety. Uśmiechała się. Odrobina różowej szminki lśniła na jej zębach.

– Jedź z nami – powiedziała. – Wsiadaj.

I ruszyła ku tylnym drzwiom.

Sawitha stała przez chwilę, niepewna, co robić. Zrozumiała, że nie jadą do Nowego Jorku, mimo ich tablicy rejestracyjnej. W tym momencie zrozumiała też swoją przenikliwą samotność, swój pulsujący smutek – nie miała pieniędzy, nie miała jedzenia, nie miała drogi odwrotu.

Usiadła na tylnym siedzeniu samochodu.

Para rozmawiała ze sobą przez jakiś czas. W pewnym momencie kobieta zapytała:

– Skąd jesteś, kochanie?

Sawitha nie zrozumiała, o co pyta, więc odpowiedziała:

– Tak, tak.

Kobieta otworzyła torebkę orzeszków ziemnych i poczęstowała Sawithę. Mogłaby pochłonąć całą torebkę, ale grzecznie wzięła jeden:

– Dziękuję, proszę pani.

– Mów do mnie Millie – poprosiła kobieta, a potem wsparła głowę o fotel i kilka minut później już spała. Sawitha słyszała jej ciche pochrapywanie.

Przez jakiś czas mężczyzna prowadził samochód w ciszy. Teraz byli w Idaho i chmury stały się gęstsze, stłoczyły się nisko nad horyzontem i piętrzyły nad dalekimi górami, rozciągającymi się od wschodu do zachodu. Same góry, jak zauważyła Sawitha, były poprzecinane smugami błękitu i czerwieni. Jechali między górami, doliną jak misą, zieloną i żyzną, przypominającą jej pola wokół Indrawalli, karmione wodami Kryszny.

Mężczyzna wrzucił orzeszek do ust. Podniósł oczy ku wstecznemu lusterku.

– Spędziłem tutaj wiele czasu – powiedział wyraźnie do Sawithy, chociaż nie miała pojęcia, o czym on mówi. – Wędkarstwo. Bitterroot, Salmon... każdy mały

potoczek, każdy strumień. Cała moja młodość upłynęła mi tutaj, w Coeur d'Alene. – Wskazał ręką przez okno pasażera. – Właśnie tam, na dole, jest Trapper's Peak. Spiczasty, o tak. – Pokazał dłońmi, łokciami przytrzymując kierownicę. – Ale nie da się na niego zbyt długo patrzeć. W końcu cię rozerwie od środka. Tak to bywa z niektórymi górami.

Jego oczy w lusterku patrzyły w jej.

– A tak w ogóle jaka jest twoja historia? Jak doszło do tego, że skończyłaś na tym cholernym chodniku? I jak, na miłość boską, straciłaś rękę?

Napotkała jego wzrok, a potem spojrzała w dół. Podobał jej się jego głos. Podobał jej się sposób, w jaki ją przyzywał, w jaki przyzywał jej każdą – niepojmującą, błakającą się z osobna – część.

– Nie śmiałybym nawet zgadywać.

Chciała mu coś opowiedzieć, może o Purnimie czy jej ojcu, czy Indrawalli, ale nie było niczego, co mogłaby złożyć razem tak, by miało jakiś dla niego sens, więc siedziała cicho, słuchając.

– No tak, wiem, wypadki się zdarzają. Wiem o tym wszystko. Ja też miałem w tym swój udział. Mógłbym ci opowiedzieć niejedną historię. Chłopiec. – Przerwał, pokręcił głową. Oczy Sawithy się zapaliły. Zrozumiała to słowo: „chłopiec”. Zaczęła słuchać uważniej. – Mam jedną historię dla ciebie. – Mężczyzna zaczął mówić głośniej. – Jest o chłopczyku. Małym chłopczyku. Powiedzmy, w wieku około czterech lat. Z mamą i tatą mieszkali w Montanie. Tylko we trójkę. Jego ojciec był pomocnikiem na ranchu. Na jednym z tych, na których hoduje się setki, setki bydła. Na jednym z tych, na którym mogłabyś spędzić cały rok wyłącznie na naprawianiu ogrodzenia, nie wspominając już o cieleniach, szczepieniach, uboju i odstawianiu cieląt od matek. Wielki, wielki obszar. Wiesz, o co mi chodzi. I pewnego dnia, kiedy ten chłopiec skończył cztery lata, jego mama uciekła. Z jakimś komiwojażerem, który się pojawił, czy może sprzedawcą ciężkich maszyn. Trudno powiedzieć, bo zanim chłopiec zdążył powiedzieć „oj”, został wysłany do swoich dziadków w Arizonie. W Tucson. Tata

wsadził go do autobusu i samego wysłał na pustynię. I wiesz, co się stało? Powiem ci, co się stało: chłopiec znalazł swoje miejsce. Pokochał pustynię. Jego dziadkowie mieszkali w małym domku otoczonym kurzem, piaskiem i kaktusami, żadnych ogrodzeń, z podwórkiem, które kończyło się daleko, daleko, sięgało aż niebieskich, fioletowych i pomarańczowych gór. Chłopiec nigdy nie miał dość tego miejsca. Bawił się, ale najczęściej siedział i oglądał te góry. Przyglądał się im tak dokładnie, jakby oczekiwał, że jego matka wyjdzie prosto z nich. Wyjdzie, weźmie go za rękę i zabierze go. Nie z powrotem do Montany, ale głębiej w pustynię. Jakiś czas po tym, jak chłopiec przeniósł się do Arizony, dziadkowie wynajęli innego chłopca, by dla nich pracował. Starszego. Nastolatka. Po prostu kogoś, kto by przychodził i pomagał w codziennych obowiązkach. Na przykład mieli wolnostojącą szopę, którą trzeba było posprzątać. Potrzebowali też pomocy przy budowie werandy. Jej ściany miały być oplecione ostem, by osłonić ją od słońca w ciągu dnia, ale miała wychodzić na zachód: na góry i zachód słońca. Żartowali ze swoim wnukiem. Widzieli, jak wpatruje się w góry, chował się w domu tylko o najgorętszej porze dnia, kiedy słońce było dokładnie nad ich głowami. Śmiali się i mówili do niego: kiedy weranda zostanie zbudowana, już nigdy cię nie zobaczymy. Tak czy owak, ów nastoletni chłopiec, nazwijmy go Freddie, zabrał się do werandy. Zbudował ją w kilka tygodni, a potem przeniósł się do szopy i zaczął w niej pracować. Musiał widzieć wnuka wiele razy, rozmawiać z nim, nawet odpowiadać na jedno czy drugie pytanie, jakie zadał mu tamten, ale nigdy specjalnie się nim nie interesował. W końcu był nastolatkiem, a dziadkowie myśleli, że odrobina towarzystwa sprawi wnukowi przyjemność. I tak było. Naprawdę tak było. Ale trzeciego tygodnia Freddie zawołał chłopca do siebie. Właśnie zaszło słońce. Dziadkowie chłopca skończyli kolację i siedzieli na nowej werandzie, pili mrożoną herbatę i palili. Kiedy chłopiec wszedł do szopy, było tam prawie zupełnie ciemno, a Freddie namówił go, żeby podszedł z nim do kąta, wziął go za ramię i powiedział: Sza! Możesz sobie wyobrazić, co się potem stało. I działało się to prawie codziennie przez cały następny miesiąc. Cały ten czas chłopiec robił to, co kazał mu Freddie. Nigdy nie wydał żadnego dźwięku, ale

wieczorami w pustynnym spokoju słyszał dziadków siedzących parę metrów dalej na werandzie. Śmiali się, kłócili, ale na ogół po prostu rozmawiali o tym i o owym. Na przykład o pogodzie. Albo że kaktus przed domem, który zakwitł w zeszłym roku, w tym roku nie zakwitł. Albo o drobnych dolegliwościach i bólach, jakie przychodzą z wiekiem. A chłopiec natężył siły, słuchając ich z szopy, kiedy Freddie robił swoje. Chłopiec słuchał głosów dziadków. Choć prawdę mówiąc, nie byli już jego dziadkami. Stali się teraz tylko głosami, głosami, których słuchał z taką uwagą, z taką intensywnością, że powoli tracił moc mówienia. Mówił coraz mniej i coraz mniej, aż pewnego dnia, pod koniec miesiąca, w ogóle przestał się odzywać. Jego dziadkowie byli zdumieni, nigdy nie zrozumieli, co się stało. Myśleli, że to może dlatego, że matka go opuściła i że musiał przenieść się na pustynię. Ale chłopiec wiedział. Może nie wtedy, kiedy miał cztery lata, ale później. Zrozumiał, że najbardziej czarodziejskie słowa, jedyne, jakie miały znaczenie, to słowa wymawiane przez jego dziadków. Kiedy siadali na werandzie, teraz już zupełnie starzy, ich niepokój z powodu kaktusa, który nie zakwitł, z powodu chmury albo bólu w kolanie wypełniał nocne niebo. Wypełniał je jak gwiazdy. Bo wiesz, chłopiec rozumiał, nawet w wieku czterech lat, że już nigdy w życiu nie będzie siedział na werandzie jak jego dziadkowie. Nigdy nie będzie siedział z inną osobą i rozmawiał o drobiazgach. Albo o rzeczach ważnych. Albo o najprostszych. Właśnie to zabrał mu Freddie. Chłopiec to rozumiał, rozumiał to tak samo, jak rozumiał góry i jak rozumiał, że jego matka nigdy z nich nie wyjdzie.

Zapadła cisza. Cisza tak głęboka, że gdy Sawitha zamknęła oczy, poczuła podmuch ciepłego wiatru na twarzy. Skąd wziął się wiatr, pomyślała, w zamkniętym samochodzie?

– I wiesz, co jest w tym najciekawsze? – zapytał mężczyzna. – Nie to, co się stało temu czteroletniemu chłopcu. Nie to. Dorósł jak my wszyscy. Teraz jest dorosłym mężczyzną. – Przerwał, a Sawicie wydało się, że uważnie patrzy na drogę. – Przypuszczam, że sobie gdzieś żyje. Nieszczęśliwy, jak większość z nas, ale jakoś daje sobie radę. Ale wiesz, co jest najciekawsze? Najciekawsze jest to,

co się stało z Freddiem. Chłopcem, który budował werandę. W końcu poszedł na studia, wykorzystując pieniądze zaoszczędzone na tych różnych dziwnych pracach, i na którymś roku poznał ładną dziewczynę o imieniu Myra. Pobrali się. Po skończeniu studiów przenieśli się do Albuquerque, a potem do Houston. Freddie dostał pracę w kompanii naftowej, dobrze zarabiał, urodziło im się troje dzieci, dwóch chłopców i dziewczynka. I zanim byś się zorientowała, mieli już dom z pięcioma sypialniami na przedmieściach, dwa samochody, a w końcu nawet basen w ogrodzie. – Jego żona wydała lekkie chrapnięcie, poprawiła się na siedzeniu, pogrążona we śnie. Mężczyzna spojrzął na nią i mówiąc jakby do niej, jak gdyby wcale nie spała, ciągnął: – Tak jak mówiłem, Freddie miał troje dzieci. Najpierw dwóch chłopców, a potem małą dziewczynkę. Freddie junior, jego imiennik, był najstarszy. Dostał imię po swoim tacie, tak jak wszystko inne. Jeździli razem polować i łowić ryby, grali w piłkę. Freddie junior radził sobie tak dobrze, że jego drużyna Ligi Młodzików któregoś roku pojechała do nawet do Williamsportu na zawody. I pewnego lata ci dwaj chłopcy, dwaj synowie Freddiego seniora pojechali na jakiś czas do taty Freddiego i jego nowej żony w Tucson. Tata Freddiego owdowiał i ożenił się z kobietą, którą poznał w trakcie gry w golfa w Palm Springs. Dalej mieszkali w Tucson, a synowie Freddiego mieli ich odwiedzić tylko na kilka tygodni. Więc chłopcy poleciecieli samolotem, tylko we dwójkę, i wylądowali na pustyni. Brzmi znajomo? – Roześmiał się, a potem mówił dalej. – Jak możesz sobie wyobrazić, na początku się tam nudzili. Chodzili wokół domu, oglądali telewizję, grali w gry wideo. Ich dziadek miał spory kawałek ziemi, ale w przeciwieństwie do tamtego chłopca zupełnie ich nie interesował. Uważali go za nudny. Ale kilka dni później odwiedził ich jakiś inny chłopiec, mniej więcej w ich wieku, sąsiad ich dziadka, i cała trójka stała się wiernymi przyjaciółmi. Nowy chłopiec pokazał im, jak się bawić na pustyni: jak polować na helodermy, jak się ślizgać na piasku, jak kopać w poszukiwaniu jaj jaszczurek. Chłopiec z sąsiedztwa chodził do domu tylko na kolację, a czasem nawet i tego nie robił. Pod koniec dwutygodniowego pobytu Freddie junior i jego brat nawet nie chcieli wracać z powrotem do Houston. Ostatniego ich dnia na

pustyni chłopiec z sąsiedztwa przyszedł, jak zawsze, i razem wałęsali się po okolicy. Dziadek i babcia byli w domu, przygotowując kanapki na obiad. I dokładnie w tym momencie, w momencie kiedy dziadek nakładał musztardę na kromkę chleba, usłyszeli potężną eksplozję. Straszliwą. Wstrząsnęła całym domem, wytrąciła dziadkowi nóż z ręki. Obrazy spadły ze ścian, żyrandole zaczęły się kołysać. Myśleli, że to trzęsienie ziemi albo bomba. Ale to nie było to. Zupełnie nie to. Kiedy dziadek wybiegł z domu, zobaczył ogromny pióropusz dymu unoszący się na granicy jego posiadłości. Na samej granicy. I zobaczył też płomienie. Popędził najszybciej, jak się dało, a biorąc pod uwagę jego wiek, było to naprawdę szybko. Ale tak bywa, prawda? Ludzie mówią, że w chwilach nieprawdopodobnego napięcia, niebezpieczeństwa, w chwilach, które wymagają wielkich czynów, człowiek w zdumiewający sposób jest do nich zdolny: zdolny do wielkich czynów. Lecz dziadek nie był wystarczająco szybki. Wyobraź sobie, trzech chłopcy bawili się zapalkami i zbliżyli się do zbiornika z gazem. Nie chcę opisywać ci szczegółów, sama rozumiesz, ale teraz nie byli już blisko niego. Chłopiec sąsiadów miał poparzenia drugiego stopnia, młodszy brat Freddiego juniora też był poparzony, ale nie tak ciężko. Ale Freddie junior... Freddie junior miał poparzenia trzeciego stopnia. Eksplozja spaliła wszystkie warstwy jego skóry, a potem dotarła do krwiobiegu, zniszczyła organy wewnętrzne. Był w szpitalu ponad dwa tygodnie, cierpiąc straszliwie, aż w końcu umarł na sepsę. Miał trzynaście lat. A jego ojciec, Freddie senior, siedział przy łóżku syna przez te wszystkie dni. Nie chciał go opuścić i mam na myśli, że naprawdę nie chciał go opuścić, nawet kiedy chłopiec umarł, wciąż tam siedział. Mówią, że doznał jakiegoś szoku. W ciągu dwóch tygodni pobytu w szpitalu zupełnie osiwiiał, a kiedy wybił dziurę w jednym ze szpitalnych luster, jego odłamek przebił jakiś ważny nerw w jego prawym ramieniu i już nigdy nie mógł go w pełni podnieść. Oczywiście dziadek też był załamany. Oskarżał siebie. Umarł kilka lat później, ale tak naprawdę umarł znacznie wcześniej. Brat, który przeżył, też nigdy nie był już taki sam. Po śmierci Freddiego juniora na kilka miesięcy przestał mówić. Czy to nie brzmi znajomo? A kiedy w końcu zaczął, odzywał się głównie po to, by kupić

narkotyki. – Mężczyzna znowu zamilkł i takiej ciszy Sawitha nigdy nie doświadczyła: była substancją, wodą, powietrze w samochodzie stało się jeziorem światła. Uśmiechnął się w lusterku wstecznym, ale nadal nic nie mówił. Wreszcie zapytał: – Jak masz na imię? Sawi-ita? Słuchaj, Sawi-ita, ja nie jestem człowiekiem, który lubi dzielić włos na czworo, ale czy nie masz wrażenia, że to jest jakoś, sam nie wiem, niepokojące? Oczywiście, jasne, możesz powiedzieć, że te wszystkie rzeczy zdarzyły się przypadkiem, nie są ze sobą powiązane, że życie nie jest aż tak poetyckie. Może, do diabła, to wszystko była wina jego matki. Tej, która uciekła z komiwojażerem. Ja jednak postawiłbym całe swoje pieniądze na tę poezję. Na jej symetrię, jasne, ale też na jej niedoskonałość. Na jej nędzę. Na mord na jagniętach razem z lwami. Na wszystkim, co ma wartość. Zgodziłabyś się z tym? – Przerwał i znów się uśmiechnął. – Jesteś ładna, wiesz? Jesteś Induską, prawda? Wy wszyscy tak ładnie brązowiejecie na słońcu. Zauważyłem to. Naprawdę ładnie. Tak, jesteś ładna. Czyż nie, Mill?

Jego żona obudziła się gwałtownie i spytała:

– Co? Co to było?

Roześmiał się cicho, a potem zjadł kolejną porcję orzeszków ziemnych.

Wysadzili Sawithę w głównej części Butte, w Montanie. Mężczyzna rzekł:

– Stań na dziewięćdziesiątce. Rozumiesz? Na dziewięćdziesiątce. Stamtąd powinnaś się dostać do Nowego Jorku albo gdzieś w pobliże.

Potem każde z nich ją objęło, starszy mężczyzna i starsza kobieta, życzyli jej powodzenia i zostawili jej resztkę orzeszków w torbie. Kobieta pomachała jej, kiedy odjeżdżali.

– Powodzenia! – zawołała, wystawiając za okno rękę, która łopotała jak chorągiewka.

Dokąd oni jechali? Czy się spieszyli? Z pewnością jej powiedzieli, ale Sawitha ich nie rozumiała. Chciała ich zapytać, może mogłabym pojechać z wami, przez jakiś czas, ale na to także nie umiała znaleźć słów. Zostawili ją w samym centrum Butte.

Pomyślała: nie dojadą chyba aż tak daleko?

Miasto było otoczone górami. Stała na rogu pochyłej ulicy, spadającej ku południowi i zachodowi, a wznoszącej się ku północy. Na wschodzie, gdzie Sawitha skupiła spojrzenie, była kolejna wielka góra. Ale ta, w przeciwieństwie do innych, nie tworzyła całości. Jej powierzchnia była rozorana, odarta ze skóry od szczytu aż do samych podstaw, a to, co pozostało, było różowym otwartym ciałem pulsującym w nadchodzącym zmierzchu. Odwróciła się, spojrzała na pochyłe ulice i zobaczyła, że większość ceglanych budynków wokół niej była zamknięta. Serce jej zamarło.

Jadła po jednym orzeszku naraz, starając się, żeby starczyły jej na jak najdłużej, i chodziła w górę i w dół ulicami. Nie wiedziała, że wiele ulic w centrum Butte nazywało się nazwami drogocennych kamieni, minerałów, metali

i innych błyszczących rzeczy, które kiedyś były głęboko ukryte w ciałach gór otaczających miasto. Przeszła z ulicy Porfirowej na ulicę Srebrną. Na ulicy Żywego Srebra odwróciła się i stanęła przed kolejnym budynkiem z cegły, ten był oświetlony. W środku na wysokich stołkach siedzieli ludzie, śmiali się, rozmawiali i Sawitha poczuła tak mocne, tak nagłe uderzenie głodu i samotności, że aż oczy jej zaszyły łzami. Widziała talerze z jedzeniem, wysokie kieliszki prześwitujące złotym światłem, jakby i one pochodziły z kopalni na wzgórzach. Ale gdy tak stała na zewnątrz, widząc talerze ze stertami nachosów, pikantnych skrzydełek i frytek, czuła jedynie zapach stęchłego piwa: przebijał się przez cegły, przez szkło, przez spadek ulicy, przez jej drobne kształty, delikatną posturę, sięgając w głąb niej samej, przesywając ją na wylot. Sureś, pokój i butelka przezroczystego płynu. Chciała krzyknąć, chciała przebić pięścią okno, ale zamiast tego przełknęła żółć, cofnęła ją do gardła i wydała cichy dźwięk – zwierzęcia w potrzasku odległej jaskini, jamy na krańcach świata – i popędziła w dół ulicy.

Na jej końcu zobaczyła szyld: „Pokoje, 10 \$”.

Był zatęchły, prześcieradła szarawe i pomięte, niezbyt czysty. Ale na końcu korytarza znajdowała się tam wspólna łazienka z gorącym prysznicem. Sawitha wyprała ubrania w umywalce. Powiesiła je, by wyschły na małym brudnym oknie w jej pokoju. W zapadającym świetle widziała, że góry wydają się wyższe, bliższe, bardziej surowe. Na szczycie jednej z nich było coś białego i świecącego, zastanawiała się, czy to nie dipa. Kiedy zasnęła, spała bez snów, a przez całą noc trzymała plecak przyciśnięty mocno do piersi.

Gdy nadszedł poranek, zrozumiała.

Zrozumiała, że zostało jej sześćdziesiąt dolarów. Zrozumiała też, że sześćdziesiąt dolarów wystarczy jej na sześć nocy w obskurnym pokoju w Butte, niecałą jedną trzecią drogi do Nowego Jorku albo na powrót do Seattle.

Wzięła pokój na jeszcze jedną noc, a potem na jeszcze jedną.

Trzeciego poranka siedziała w restauracji na okrągłym krześle przy kontuarze, pogrążona w milczeniu. Zjadła tylko paczkowaną kanapkę i jabłko, które ukradła poprzedniego dnia. Czuła się słabo z głodu. Kelnerka przeszła obok niej z tuzin razy, nawet nie rzucając na nią okiem, w końcu Sawitha zwróciła się do niej, a potem pokazała mały talerzyk z jajkami, tost i pokrajanego banana. Kiedy kelnerka wróciła ze szklanką wody i naczyniami, Sawitha rzekła:

– Poproszę kawę.

Mężczyzna siedzący obok niej się roześmiał.

– Myślałem, że pani jest niemową – powiedział – aż tu naraz pani wyskakuje z tym „poproszę kawę”. – I dalej się śmiał.

Zapłacił rachunek i wyszedł. Jego miejsce było puste, dopóki Sawitha nie zjadła tostów, zostawiając sobie banana na sam koniec. Wtedy obok niej usiadł inny mężczyzna. Ten wyglądał na spokojniejszego, pomyślała. Był starszy, czarny, a jego wełniste włosy siwiały na skroniach, na czubku głowy zaczynał łysieć. Sawitha nigdy wcześniej nie siedziała tak blisko czarnej osoby i teraz, patrząc na ręce mężczyzny spoczywające na barze, stwierdziła, że mają prawie taki sam odcień brązu jak jej. Ona miała bardziej żółtobrązową, a on czerwono-brązową skórę. Ta myśl przyniosła jej jakąś pociechę, chociaż nie wiedziała czemu. Zobaczył, że patrzy na niego, ale nic nie powiedział.

Na jego talerzu leżała sterta czegoś, co wyglądało na uthapamy, chociaż to były tylko placki, bez cebuli, zielonego chili, pomidorów i kolendry. Polał je brązowym syropem, a potem znowu złapał jej spojrzenie i wskazując na plasterki jej banana, rzekł:

– Czasami lubię je sobie położyć na wierzchu. Albo czekoladowe chipsy, gdy jestem w frywolnym nastroju. Ale nie dziś. Dziś czuję się zwyczajnie. – Głos miał głęboki, z lekkim podziemnym dudnieniem, trochę bolesnym, ale dobrodusznym. Chyba wyczuł przyjemność, jaką sprawił jej jego głos. Dodał: – Jesteśmy oboje rybami wyjętymi z wody, prawda? Nie na miejscu. Czarny człowiek i... Induska? Nie na miejscu. Gdzie się wybierasz?

Zrozumiała słowo „Induska”. Uśmiechnęła się i przytaknęła.

– Mówisz po angielsku? Wystarczająco, żeby zamówić sobie śniadanie, znam to. Przepraszam, młoda damo! Przepraszam! – zawołał do kelnerki, gdy przechodziła obok nich. – Możemy prosić o trochę więcej kawy? – Kelnerka naląła im kawy, co ucieszyło Sawithę, nie wiedziała, że może dostać kolejną filiżankę. Była mu wdzięczna, że oprócz swojej napełnił także jej. – Rapid City. Tam jadę. Znasz Rapid City? Mam tam córkę. Mniej więcej w twoim wieku. Same z nią kłopoty. Kłopoty do kwadratu. Jak ja do tego mogłem doprowadzić? Jej matka jest biała. Może to dlatego, nie wiem. Ona po prostu urodziła się jako jeden wielki kłopot.

Nie, pomyślała Sawitha, wcale nie jest spokojny.

– Ale powiem ci coś. Nie ma tam wiele więcej do zobaczenia, ale Spearfish Canyon jest ładny. Tylko raz tam byłem. Ona nie jest osobą, która pozostawałaby długo w jednym miejscu. Ale powiem ci, że Spearfish Canyon to coś innego. Rozumiesz mnie? Będę jechał dziewięćdziesiątką. A ty?

Głowa Sawithy aż podskoczyła.

Mężczyzna zdawał się zaskoczony.

– Ty też? Ale gdzie? Dokąd?

– Nowy Jork – odparła, ledwo go słuchając. Znała te dwa słowa, znała słowa „Spearfish Canyon”.

– Nowy Jork – zarechotał. A po chwili namysłu dodał: – To chyba lepiej, żebyś pojechała osiemdziesiątką, ale tędy też w końcu tam dotrzesz, jak sądzę.

Sawitha przytaknęła w roztargnieniu. Doskonałe miejsce, mówił Mohan.

– Masz samochód? Prowadzisz? – Zrobił ruch dłońmi, jakby trzymał je na kierownicy.

Sawitha pokręciła głową.

– Autobus – odpowiedziała, szperając w plecaku.

– Autobus! Kochanie, nie ma autobusu z Butte do Nowego Jorku. Kto ci powiedział, że jest?

Sawitha spojrzała w górę, wyczuła jakiś kryzys. I gdzie było to zdjęcie? Gdzie? Patrzyła w twarz mężczyzny, zastanawiając się, czy jej też staje się ciemniejsza od gorąca. Znowu zanurkowała ręką w plecaku.

– Może lepiej zrobisz, jak pojedziesz do Rapid City. Przynajmniej jesteś na dobrej drodze. Może w końcu uda ci się złapać połączenie przez Chicago. Ale kto ci to powiedział?

Jest! Jest tutaj!

Sawitha spojrzała na niego znowu i uderzyło ją, że nie widziała nigdy nikogo tak zatroskanego jak ten mężczyzna, nie specjalnie o nią, ale o wszystkie dziewczęta w podobnym wieku, albo może o te z tym specyficznym bólem. Wyjęła przedartą na pół fotografię i pokazała mu napis na jej odwrocie.

Jego oczy się rozszerzyły. Odwrócił ją, by zobaczyć zdjęcie, a potem znowu spojrzał na napis.

– Też znasz Spearfish Canyon? – zapytał. – Masz tam znajomych? Dlaczego nie powiedziałaś? Myślałem, że mówisz, że jedziesz do Nowego Jorku. Do diabła, Spearfish Canyon jest po drodze do Rapid.

A potem spojrzał po raz pierwszy, albo Sawicie tak się zdawało, na jej kikut. Patrzył krótką chwilę, ale też nie odwrócił od razu wzroku. Oddał jej fotografię, upił łyk kawy, uśmiechnął się szeroko, wręczył kelnerce dwudziestaka, wskazując na rachunki ich obojga, i spytał:

– Chcesz jechać ze mną?

Jechać? Tak, skinęła głową, tak.

Gdy wyjeżdżali z Butte, góry wznosiły swoje kamienne iglice. Drzewa wyrastały z litej skały. Za nimi rozciągały się płaskie pogórza. Droga wiała się między rozległymi ranczami i farmami, polami usianymi belami siana. Słońce migotało w pszenicznych kłosach, zapalając ich czubki jak świece.

– Nie – rzekł mężczyzna. – Nic mogę jej nic powiedzieć. Ani, ani. Ona wie wszystko albo myśli, że wie. Taka była od zawsze, od kiedy miała dwa tygodnie: albo brać, albo dawać. Połowa jej rodziny jest biała. Ale druga połowa jest czarna.

Więc ja mówię do niej, spójrz. Spójrz, przez co przeszliśmy. Co przeżyliśmy. Jesteś częścią tego przetrwania. Tej wytrzymałości. Mówię jej, twoi praprapradziadkowie byli niewolnikami. Zbierali bawełnę w...

– Bawełnę – rzekła Sawitha, uśmiechając się szeroko, nagle zasłuchana.

– Nie uśmiechaj się – odparł mężczyzna. – Nie uśmiechaj. Nie traktuj tego jak gówno. Gdy ktokolwiek, ktokolwiek, powtarzam, wypowiada słowo „bawełna”, „plantacja”, „piekło” albo „statek”, uciekaj gdzie pieprz rośnie. Słyszysz? Myślisz, że nie jesteś czarna, ale kiedy przyjdzie co do czego, kiedy w grę wchodzi bawełna, jesteś czarna. Każdy, kto nie jest biały, jest czarny. Rozumiesz? A więc, tak jak mówiłem...

Sawitha spojrzała przez okno na pola, góry i niebo. W miarę jak jechali na zachód, górskie grzbiety miękły – doliny były jak misy złotego światła – a potem szczyty znowu zaczęły rosnać, nabierać ciała, biec ku niebu. Nie ma sposobu opowiedzenia o rzeczy, która jest doskonała, rzekł.

Przed południem mężczyzna zatrzymał się w jednym z miasteczek i podzielił się z nią kanapkami z serem, które wyjął z lodówki znajdującej się na tylnym siedzeniu. Poczęstował ją też wodą sodową, a potem rozwinął serwetkę i wsypał na nią chipsy ziemniaczane. Zaczęła jeść je jeden po drugim, ale on dał jej znak i rzekł:

– W ten sposób.

Patrzyła, jak rozkłada kanapkę, kładzie grubą warstwę chipsów na ser, na wierzch znowu chleb i gryzie ją z głośnym chrupaniem. Zrobiła to samo i po pierwszym kęsie zdecydowała, że już nigdy nie zje kanapki z serem bez chipsów ziemniaczanych w środku.

Dojechali do Spearfish późnym popołudniem. Mężczyzna zatrzymał się na stacji benzynowej, wydawał się zaniepokojony. Zapytał:

– Nie masz adresu? Albo numeru telefonu? Ale oni cię odbiorą, prawda? To miejsce jest równie dobre jak każde inne. Zapłać tam za telefon. Może twoi

znajomi znajdą ci kogoś, kto podróżuje na wschód. Może nie do Nowego Jorku, ale na wschód. Dostaniesz się tam. Dasz sobie radę, prawda?

Sawitha patrzyła na niego.

Wyjął portfel i podał jej dziesięciodolarowy banknot.

– Kup sobie coś do jedzenia – powiedział i odjechał.

Nie było jeszcze ciemno. Przez kilka minut stała na stacji benzynowej, nie bardzo wiedząc, co robić dalej. Nikt nie wjeżdżał ani nie wyjeżdżał, więc poszła za róg i spojrzała w obie strony ulicy. Naprzeciwko był salon samochodowy. Obok sklep z alkoholem. Daleko widać było niskie wzgórza, nakrapiane kępami drzew i suchej trawy. Czy to był ten Canyon? Po drugiej stronie, na południe, rozpościerała się reszta miasta, więc Sawitha ruszyła w tę stronę. Pełno tu było domów z cegły, jak w Butte, ale wszystkie były otwarte, a okna niezastłonięte. Lepiej utrzymane. Niektóre z tych budynków świeżo pomalowano, a między nimi chodzili ludzie, czasem pchali wózki z dziećmi, a te starsze biegły przed nimi. To było miłe miasto, jedno z tych, gdzie noc zapada pomału i bezpiecznie. Pomyślała, że zatrzyma się w jednym z hoteli, ale wszystkie wyglądały na drogie. Nad jednym z nich migał szyld z ceną pokoi za 79,99 dolara.

A jej zostało jej tylko pięćdziesiąt.

Odwróciła się od zamkniętych drzwi wiodących do ciepłych pokoi. Nie była jeszcze głodna, ale wiedziała, że wkrótce będzie. Weszła do małego sklepu i za dziesięć dolarów, które dostała od tamtego mężczyzny, kupiła banana, jabłko, bochenek krojonego chleba i torebkę czipsów ziemniaczanych. Włożyła zakupy do plecaka i wróciła na stację benzynową, mając nadzieję, że dostanie się z powrotem na międzystanową dziewięćdziesiątkę i do jakiegoś większego miasta z dworcem autobusowym. Po drodze minęła bank, restaurację i sklep żelazny. Zatrzymała się przed witryną galerii sztuki i obejrzała wszystkie obrazy. W samym środku pomieszczenia stała rzeźba ptaka wznoszącego się do lotu, Sawitha porównała go z jedynymi innymi wyrzeźbionymi ptakami, jakie kiedykolwiek widziała – z cukrowymi ptaszkami – i uznała, że tamte były

ładniejsze. W kolejnym budynku była następna galeria, na wystawie leżały rodzime narzuty Siuksów. Obejrzała je dokładniej – nić, śmiałość kolorów, spójność splotu, wzory, pracę krosien. Tak różne od sari, które wytwarzała w Indrawalli, pomyślała, ale tkanina wciąż taka sama. Zastanawiała się, kto je zrobił i jak daleką podróż przebyły te narzuty, by znaleźć się w tym oknie.

Zatrzymała się w pobliskim parku, usiadła na drewnianej ławce i starannie zrobiła sobie kanapkę z chipsami, upewniając się, że ułożyła ich dwie równe warstwy, a potem ścisnęła chleb wokół krawędzi, żeby nie wypadły. Następnie zjadła banana. Jabłko zostawiła na później.

Teraz na stacji benzynowej był większy ruch. Nie podbiegała do żadnego z samochodów, czekała w pewnej od nich odległości, przy drzwiach budynku, i rozmawiała tylko z tymi ludźmi, którzy się uśmiechali albo patrzyli życzliwie w jej kierunku. Jakaś kobieta z elegancko przyciętymi ciemnymi włosami zaczęła szperać w torebce, a potem spojrzała na Sawithę z uśmiechem. Sawitha też się uśmiechnęła i zapytała:

– Pani do Canyon? Pani dziewięćdziesiątką?

A wtedy kobieta jakby spanikowała i szybko, bez słowa weszła do środka. Kilka minut później z budynku wyłoniła się inna kobieta, poganiając przed sobą dwoje dzieci. Oboje trzymało czekoladowe batony, a cała trójka się śmiała.

– Przepraszam panią – rzekła Sawitha. – Canyon? Nowy Jork?

I wtedy wszyscy troje – kobieta i dwoje dzieci – stanęli i patrzyli na Sawithę, a potem wszyscy razem, wszyscy naraz spuścili wzrok i zaczęli gapić się na jej kikut. Wreszcie kobieta powiedziała:

– Przepraszam, nie mam drobnych.

I popędziła dzieci, spieszenie odchodząc.

Sawitha pomyślała, że może będzie miała więcej szczęścia z mężczyzną, więc wybrała starszego, siwego, z pomarszczoną twarzą i o przyjacielskim wyglądem. Spojrzał na nią i przytrzymał jej drzwi, myśląc, że Sawitha chce wejść do środka.

– Nie, proszę pana. Pan do Canyon? Ja mogę?

Twarz mężczyzny wyraziła zmieszanie, a potem się zamknęła w pewien dziwny sposób, Sawitha pomyślała, że jakoś się zatrzasnęła, a on rzekł:

– Idźże uprawiać swoją profesję gdzie indziej, na Boga. Tutaj przychodzą rodziny z dziećmi.

Przez dłuższą chwilę nie było nikogo. Robiło się coraz ciemniej. Weszła do środka i zapytała o toaletę. Stojący za ladą duży mężczyzna z szarymi oczami zerknął podejrzliwie na Sawithę, potem wyjął spod lady duży drewniany bloczek z przyczepionymi do niego kluczami i powiedział:

– Z tyłu na zewnątrz. – A potem dodał: – Jesteś Meksykanką?

Sawitha uśmiechnęła się i wzięła klucz. Kiedy wróciła, mężczyzna był zajęty rozmową z klientem, więc położyła klucz na ladzie obok kasy i wyszła.

Teraz, w miarę jak zapadała noc, wiatr zaczął się wzmagać. Nie był specjalnie zimny, ale smagał jej włosy, jej luźne ubranie łopotało w jego porywach. Stała niezdecydowana, patrząc na pustą drogę i wzgórze na północnym wschodzie, które już teraz nie wydawały się niskie, tylko wyniosłe i surowe. Jakaś ciężarówka wjechała na parking, jednak nikt z niej nie wysiadł. Sawitha podniosła głowę i zobaczyła pierwsze gwiazdy, za kałużami świateł stacji benzynowej była tylko zimna, niepokojąca noc. Postanowiła, że najlepiej zrobi, jeśli wróci do miasta i poszuka jakiegoś schronienia w małym parku. Podniosła plecak i zaczęła mijać dystrybutory. Drzwi ciężarówki się otworzyły. Wyszło z nich dwóch mężczyzn. Sawitha nie zwróciła na nich specjalnej uwagi, spostrzegła tylko, że było ich dwóch, a kiedy ich mijała, ogarnął ją nagły chłód, sweter Padmy nie był wystarczająco gruby, by powstrzymać noc. Dotarła do najdalszego dystrybutora, kiedy usłyszała tupot biegnących za nią stóp.

I odwróciła się – przeszła już prawie przez ostatnią kałużę światła, ale się odwróciła.

3

Pierwszy uśmiechnął się ten z twarzą niemowlęcia. Jego uśmiech był tak szczery i tak beztroski, zbliżał się tak niewinnie, że Sawitha pomyślała, iż ją obejmie, jakby była dawno niewidzianą przyjaciółką.

– Zaczekaj! – zawołał. – Hej, dokąd idziesz? Zaczekaj!

– Daj jej spokój, Charlie. – Usłyszała znudzony głos.

Wtedy za Charliem z niemowlęcą twarzą zobaczyła drugiego mężczyznę. Ten był kościsty, twarz miał chudą, długie włosy w strąkach, sięgające mu do ramion, i ciemne dziury zamiast oczu. Podchodzili do niej powoli, ale z jakimś elektrycznym napięciem, poczuła gwałtowny impuls, by uciekać, i prawie to zrobiła.

Ale wtedy, w tym samym momencie ten z niemowlęcą twarzą znalazł się tuż za nią. Poczowała alkohol, jeszcze zanim chwycił ją za ramię.

– Zaczekaj – powiedział znowu, a to słowo nie było już prośbą, lecz rozkazem. Sawitha próbowała się uwolnić z jego uścisku, ale on wzmocnił go i dalej się uśmiechał. – Popatrz na nią, Sal. Jakie to małe ładne stworzonko. Jesteś jaszczureczką? Tak, teraz. Moja, moja. Zadziorka. Mój wujek Buck dał mi kiedyś chomika, takiego samego jak ty. Kiedy miałem pięć lat. Strzelił sobie w głowę. Wujek Buck, oczywiście, nie chomik.

Roześmiał się, a mężczyzna imieniem Sal podszedł do nich, stanął w kałuży światła i w tym momencie Sawitha zrozumiała, że to nie był tylko alkohol, że napędzało ich jeszcze coś innego, coś, co wydawało się jak okrutny silnik pracujący w nich na pełnych obrotach.

– Jak masz na imię? – zapytał ten z niemowlęcą twarzą.

Sawitha zrozumiała pytanie, ale była zbyt spanikowana, żeby odpowiedzieć.

– Skąd jesteś?

Sawitha pokręciła głową.

– *No English* – powiedziała.

Natychmiast zorientowała się, że nie powinna była tego mówić.

Uśmiech Charliego stał się szerszy, chociaż jego twarz nabrała spokojniejszego, bardziej złowrogięgo wyrazu.

– Naprawdę? Nie znasz angielskiego? Hej, Sal, słyszałeś to? Ona nie mówi po angielsku!

Cała trójka stała przez chwilę, patrząc na siebie nawzajem i przez ułamek sekundy Sawitha pomyślała, że ten z niemowlęcą twarzą po prostu puści jej ramię i że będzie mogła wrócić do małego parku. Ale tak się nie stało: coś błysnęło w oczach Sala. Powiedział:

– Czekaj, czekaj. Co my tu mamy? – A potem dodał: – Podnieś to ramię, Charlie.

To było jej lewe ramię, jej kikut. Kiedy Charlie wykręcił je ku nocnemu niebu, obaj zarechotali.

– Kto to był? Kto ci odgryzł dłoń?

– Założę się, że to tygrys – powiedział Charlie, wciąż się śmiejąc, wciąż boleśnie ściskając jej ramię. – Czyż nie macie tam u siebie tygrysów?

– Zamknij się, Charlie – powiedział Sal, jego twarz nagle przybrała wyraz powagi. – Dawaj. Wsadź ją do ciężarówki.

Charlie szarpnął ramię Sawithy. Odkoczyła, jej oczy powędrowały ku pustej drodze, do wnętrza budynku stacji benzynowej, ku ladzie. Duży mężczyzna, który dał jej klucze, stał odwrócony. Otworzyła usta, by zacząć krzyczeć, ale Charlie był szybszy: przycisnął dłoń do jej twarzy. Głowa Sawithy przysunęła się do jego piersi, a jego dłoń była taka duża, że zakryła jej usta i oczy. Popchnął ją w kierunku ciężarówki i kiedy długowłose otworzył drzwi, pomyślała, że zmuszą ją, by weszła do środka, ale zamiast tego on ściągnął jej plecak z ramienia.

Pogrzebał w nim w poszukiwaniu pieniędzy, a potem cisnął go do kabiny. Sięgnął po coś, czego nie mogła dostrzec, zamknął drzwi i rzekł:

- Chodź.
- Gdzie?
- Chcesz, żeby Mel zadzwonił po gliny?
- Ale ciężarówka...
- To nie potrwa długo. Chodźmy.

Zaciągnęli ją na tył budynku stacji benzynowej. Sawitha nie mogła oddychać. Poruszała głową w jedną i drugą stronę, aż przerwa między jego palcami zrobiła się na tyle duża, że mogła zaczerpnąć powietrza. Spróbowała go ugryźć, wbiła się w jego palec zębami.

- Kurwa! – wrzasnął i uderzył ją w bok głowy.

Sawicie zadzwoniło w uszach.

– Zamkniesz się wreszcie? – powiedział Sal. Poprowadził ich do kępy topoli, niedaleko stacji benzynowej. Weszli w zarośla, a po trzech czy czterech krokach doszli do małej polanki. W świetle księżyca jaśniały puszki po piwie, widać było ślad po ognisku – nawet w tym nikłym świetle widziała, że byli tutaj wiele razy przedtem. – Daj mi to zobaczyć.

- Co chcesz zrobić, Sal?
- Powiedziałem, daj mi ją.

I teraz Sal ścisnął jej lewe ramię swoim lewym ramieniem, kościstym i zimnym w porównaniu z ramieniem tego z niemowlęcą twarzą. Nie zawracał sobie głowy tym, by zakryć jej twarz dłonią. Zamiast tego sięgnął pod koszulę i wyciągnął coś, co w świetle księżyca było czarne i błyszczące. Przyłożył jej pistolet do twarzy.

- Wydasz choć jeden dźwięk. Jeden pieprzony dźwięk. Rozumiesz?

Sawitha wpatrywała się w niego, jej myśli się uciszyły, oczy miała ogromne. Patrzyła w tę lufę, ale to w niej – to w niej był ten długi i ciemny tunel.

- Powiedziałem, rozumiesz?

Nie, nie, nie rozumiała, ale zło ma swój słownik, własny język. Przytaknęła.

– I tylko spróbuj uciekać. Spróbuj zrobić choć jeden pieprzony krok.

Zrozumiała.

Puścił jej ramię, zatoczyła się i upadła na ziemię. Nawet nie zauważyła, że ją podtrzymał.

– Wstawaj – powiedział, a kiedy to zrobiła, dodał: – A teraz dawaj. Włóż to do ust.

Patrzyła na niego, dalej nie rozumiejąc, a potem spojrzała na tego z niemowlęcą twarzą. On też nic nie rozumiał. Stali tak przez chwilę.

– Powiedziałem, weź to do ust.

Kiedy dalej stała bez ruchu, nie wiedząc, czego on od niej chce, złapał znowu jej ramię i wcisnął jej okaleczoną rękę do ust. Kikut wbił jej zęby w dolną wargę, rozcinając ją aż do krwi, ale on wciąż go wciskał.

– Otwórz usta i wsadź go sobie tam – podsunął pistolet prosto między jej oczy i usłyszała kliknięcie. – Wsadzaj.

Teraz rozumiała. Teraz noc była gwałtem zrozumienia. Gwiazdy płonęły jak kule.

Puścił jej ramię i cofnął się o krok.

Otworzyła usta. Owinęła wargi wokół kikut.

Ten z niemowlęcą twarzą zawył z zachwytem, a długowłose tylko patrzył. Skinął głową. Jego koścista biała twarz odbijała się od czerni broni, wciąż trzymanej w gotowości, wycelowanej w jej twarz.

Po chwili wybuchnął z irytacją:

– Nie tak! – powiedział. – Suko, nie tak. Sama wiesz jak.

Podszedł do niej, złapał ją za włosy i nabił jej twarz na kikut. Zadławiła się własnym ramieniem. Łzy wypełniły jej oczy. A on odciągnął jej twarz do tyłu, znowu pchnął na kikut i znowu odciągnął.

– W ten sposób.

I tak zrobiła.

Tymczasem ten z niemowlęcą twarzą już rozpiął rozporek i jęczał na granicy zmaconego pola widzenia Sawithy. Widziała ruch jego ręki.

Ale pistolet. Pistolet ani drgnął. Był nieruchomy w świetle księżyca, czarny, lśniący, spokojny, jego pióra gładko ułożone. Śmiał się.

Żyjesz – powiedziała Sawitha.

Wrona patrzyła na nią, wciąż się śmiejąc w srebrnej i gwieździstej nocy. Jej dziób wzniósł się w powietrze i tam pozostał, jego spokój naigrawał się z jej ruchów.

Złapali cię, prawda? – powiedziała wrona. Zjedli cię kawałek po kawałku. A to – to jest właśnie ostatni kawałek. Teraz, na tej polanie, z tymi nieznajomymi. Ostrzegałam cię, dodała. Ostrzegałam cię przez te wszystkie lata. W Indrawalli. Mówiłam, upewnij się, że zjedzą cię całą. Ale ty nie słuchałaś. Nie słuchałaś. I teraz popatrz na siebie. Jesteś niczym. Jesteś dziewczynką. Dziewczynką na polanie.

Ten o niemowlęcej twarzy wydał z siebie długi jęk, a ten o kościstej twarzy zaśmiał się i wrona się odsunęła, rozwinęła skrzydła i odleciała daleko, Sawitha podążyła za nią wzrokiem, ale reszta jej opadła na kolana.

I stało się: ta tkanina uprzedzona z czegoś, czego nigdy nie zrozumiała, czego nigdy nie próbowała zrozumieć, która była tym, co otulało jej serce, co trzymało je w miękkich, pomarszczonych, bawełnianych dłoniach – właśnie ta tkanina została teraz rozdarta na pół. Mężczyźni zostawili ją na polanie, a ona słyszała, jak zapalają silnik, słyszała dźwięk tego silnika, gdy odjeżdżali – dźwięk, który w końcu stał się tylko nocą. Cichą i bezlitosną.

Ale jak miałam to wiedzieć, pomyślała, leżąc na ziemi? Jak miałam wiedzieć, że to zawsze tym było: zawsze od kłębka to krosien, do tkaniny i wreszcie, tak ostrożnie, do serca.

Na wschodzie pojawiło się światło. Uniosła głowę i najpierw się uśmiechnęła, myśląc, że to świetliki w orkiestrze radości. Ale kiedy wstała, zobaczyła pędzące ku niej chmury. W kierunku Spearfish. Nie było tak ciemno, jak zapamiętała. Czy było już rano? Zahuczał grzmot. Zaczął mówić. Jedna kropla, potem dwie. Wstała z ziemi, zobaczyła porozrzucone puszki po piwie, krągły ślad po ognisku i zaczęła się zastanawiać, z której strony jest wschód.

Poprawiła ubranie, ale kiedy zrobiła krok, zwała się na ziemię jak bezwładny wór. Nogi miała zdrętwiałe. A umysł straszliwie pusty.

Czy zasnęła?

Burza nadchodziła teraz szybko. Ciężkie chmury pędziły przez prerię, nad Black Hills, wbiegając w obie Dakoty. Wpatrywała się w nie z takim zaciekawieniem, z taką tęsknotą, aż wydało się jej, że mogą się ku niej pochylić, powolne i pospieszne zarazem, i unieść ją w objęciach. Jednak one nie zwracały na nią żadnej uwagi i gromadziły się złowieszczo, coraz ciemniejsze i coraz cięższe od wody. Od zachodu, od południa biły teraz błyskawice, a niektóre też od północy. Sawitha patrzyła, błyskawice były dłońmi jej ojca, sięgającymi po nią. Nanna, powiedziała, czy ja kiedykolwiek byłam ptakiem ze skrzydłami? Wtedy uderzył piorun, a ona, potykając się, wyszła z polanki, przeszła obok budynku stacji – wiatr chłostał ją, obracał nią z siłą morza – przytrzymując się jej ścian, oślepiąca przez wiatr, przez deszcz, przez gwałtowną burzę.

Za ladą nikogo nie było. Klucz do toalety leżał tam, gdzie go zostawiła.

Otworzyła drzwi, zobaczyła swoje odbicie w lustrze w świetle wpadającym przez otwarte drzwi, zamknęła je z hukiem, gdy tylko ich dopadła, i zwała się na podłogę. I tam, wtedy, kolejny błysk świadomości. Straciła pieniądze. Straciła

ubranie. Straciła zdjęcie i mały prostokątny kartonik. Straciła nawet resztkę chleba, czipsy ziemniaczane i jabłko. Ale wśród tych wszystkich rzeczy, które straciła, które jej zabrali, to niedokończone sari Purnimy przyszpiliło ją do podłogi jak motyla.

Zaczął padać deszcz. Słyszała go, jak wspina się po blaszanym dachu niczym małe stópki biegnące dokądś pośpiesznie. Dokąd?

Na wschód, pomyślała, na wschód.

A co było na wschodzie? Nic. Tak samo jak nic nie było na zachodzie.

Zacząła płakać, a potem płacz przeszedł w łkanie, a potem łkanie stało się niskim i łagodnym buczeniem. Spojrzała wyżej, wciąż bucząc. Druga toaleta. Ona też buczała. Podczołgała się do niej i objęła ramionami zimną porcelanę. Uśmiechnęła się. Ale wtedy do jej głowy dotarł ostry fetor uryny, przeciął jej marzenia jak nożem i odrzucił ją w tył – a może to szarpanie klamki do drzwi toalety sprawiło, że odskoczyła? Nie wiedziała, ale zobaczyła teraz, jak niewiele mogła zrobić. Nad nią pojedyncza naga żarówka cierpiała we własny, brzęczący sposób. W świetle żarówki jej skóra wrzeszczała ze smutku. Jej myśli składały się i rozkładały w bólu. I dopiero tutaj, w tym białym świetle i tym okropnym smrodzie, Sawitha zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zgubiona. Jak bardzo wyprowadzona w pole. Tak, że wszystkie latarnie morskie świata, stojące rzędem jedna za drugą, nie mogły jej ocalić.

PURNIMA

1

I wreszcie doszła do wniosku: jeśli ma znaleźć Sawithę, musi ją przywołać. To jej ostatnia szansa. Rozmowa o poezji jest przyjemna i ciekawa, ale Purnimie czas się kończył, a co gorszego może zrobić Mohan? Zignorować ją? Wyrzucić z mieszkania? Zaprzeczyć, że zna Sawithę? Wsadzić ją do wcześniejszego samolotu do Indii? Trzymać ją w zamknięciu aż do jej wylotu?

Nie mogło się zdarzyć nic gorszego niż zlekceważenie tej ostatniej i jedynej broni, jaką miała.

Tego wieczoru odpuściła przygotowywanie kolacji i kiedy Mohan przyszedł, po prostu wręczyła mu szklankę. Czekając, aż upije pierwszy łyk, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

– Zostałam przewoźniczką tylko z jednego powodu. Tylko z jednego. Żeby kogoś znaleźć.

Mohan patrzył na nią kompletnie zaskoczony. Wskazał ręką jej twarz:

– Jego? Faceta, który ci to zrobił?

Purnima ledwo go słuchała. Mówiła do nikogo, teraz bez strachu, bez uczucia, jakby była sama.

– Nie, ten człowiek dla mnie nie istnieje. Szukam swojej przyjaciółki. Nazywa się Sawitha. To jej szukam, dlatego tu jestem.

Wydało jej się, że Mohan wzdrygnął się z powodu, którego nie rozumiała, i chociaż jego twarz ginęła w szarym mroku odległej ściany, Purnima poczuła, jak jego dreszcz przenika podłogę, zawieszony w powietrzu między nimi. I właśnie w tym drżącym powietrzu zapytał:

– Skąd ją znasz?

Purnima podniosła wzrok.

– Jest z mojej wioski. Ostatni raz widziałam ją cztery lata temu.

Jego twarz znajdowała się poza zasięgiem światła, daleko od niego, jakby byli zwarci w jakimś zmaganiu.

– Czy ty...?

– Nie – odpowiedział, a Purnima wiedziała, że tak.

– Muszę ją znaleźć – ciągnęła. – Potrzebuję twojej pomocy.

Zakręcił whisky w szklance. Jego ciało zeszywniało. Spojrzał na podłogę.

– Ona uciekła.

– Co?

– Dwa dni temu.

– Dwa dni temu?! – Purnima poczuła, jak krzyk, gorący pulsujący ból, rośnie w jej gardle. Dwa dni! – Dokąd? Dokąd poszła?

Cisza.

– Przecież musisz coś wiedzieć.

– Przypuszczam, że pojechała autobusem.

– Ale dokąd? Dokąd?! Te dziewczyny, one nikogo nie znają, żadnych innych miejsc. Nawet nie znają angielskiego. Ani nie mają pieniędzy.

Znowu cisza.

Myśli Purnimy galopowały. Jej bilet do Indii był przez JFK. Co robić: zostać tutaj czy jechać do Nowego Jorku? A co będzie, jeśli Mohan nie pozwoli jej zostać? Ale po co tu dalej siedzieć? Kiedy Sawitha uciekła? Jedno już wiedziała na pewno: gdyby Mohan kazał jej teraz wyjechać, po prostu wysiadłaby na lotnisku w Nowym Jorku. I by szła. Cały czas. Czy ktoś by ją zatrzymał? Czy daliby radę? A nawet jeśli by jej nie powstrzymali, to co wtedy? Dokąd by poszła? Od czego by zaczęła? Taki wielki kraj – na jak długo starczy tysiąc dolarów? Nieważne: ona ją spotka od drugiej strony. A potem pomyślała z wściekłością: była tutaj. Była tutaj cały czas, a ja jej nie znalazłam. Szukałam w złych miejscach, chodziłam po złych ulicach. Przez całe dwa tygodnie.

– Miała pieniądze.

Spojrzała na niego, jakby budząc się z głębokiego snu, zaskoczona, że on jest tutaj. O czym on mówi?

– Jakie pieniądze?

– Wzięła je. Z mojego portfela. Niewiele. Nie wystarczą jej, by odjechać daleko.

– Ale jak daleko? Gdzie?

– I połowę fotografii.

– Jak daleko mogła z nimi zjechać? Powiedz mi!

– Nie wiem, dlaczego właśnie ją wzięła.

– Fotografię? Czego?

– Pewnego miejsca, o którym jej opowiadałem. Jestem na niej jako dziecko.

– Co to za miejsce?

– Spearfish Canyon.

– Czy to miasto?

– Niedaleko miasta. W Dakocie Południowej.

– Gdzie to jest?

– W połowie drogi. Niezupełnie.

Purnima rozejrzała się, a potem znowu popatrzyła na niego.

– Co jej o tym opowiadałeś?

Mohan wzruszył ramionami. Rzekł nieśmiało:

– Nie wiem. Niewiele. Tyle, ile pamiętałem. Że to doskonałe miejsce. Że tak je zapamiętałem jako dziecko. Że jest doskonałe. To wszystko, co jej opowiedziałem. Ale wtedy, wtedy ona zadała mi najdziwniejsze pytanie.

– Jakie?

– Zapytała mnie, czy to było jak pieśń fletu.

– Pieśń fletu?

Purnima zamilkła. Jej twarz stwardniała w jakiejś decyzji, w jakimś zamiarze, zastygła powolnie jak lawa, tężała jak pustynia po deszczu. Nabrała cech krajobrazu, sił natury, płyt tektonicznych, ciśnienia, znajdowania sobie miejsca i osiedlenia się w swoim przeznaczeniu. Logika rzeczy już przestała znaczyć cokolwiek. Jedynym, co wciąż jeszcze znaczyło, była świadomość w otchłani jej brzucha, wypalająca sobie drogę przez jej ciało: Sawitha tutaj była. A jeśli nie było jej tutaj, to nie było jej nigdzie. A tego Purnima nie zniesie. Obeszła połowę koliska ziemi, wędrowała przez te wszystkie lata. I po co? Po to, by spóźnić się dwa dni? Nie. Tego naprawdę nie zniesie. Z najgłębszych ciemności powiedziała:

– Został mi tylko tydzień. A potem wsiadam do samolotu do Nowego Jorku. I już nigdy mnie nie zobaczysz. Ale zapłacę ci. Dam ci wszystkie swoje oszczędności. Zabierzesz mnie tam? Zabierzesz mnie do tego Spearfish Canyon? Nie musisz, wiem to. Ale zechcesz to zrobić?

Mohan zaczął chichotać, ale potem jego twarz się zapadła. Teraz był spokojny. Spojrzał na nią z niedowierzaniem, ale też z jakimś podziwem.

– Nie mogę. Muszę tu być. Wiesz to. Mówisz o wyjeździe za kilka dni. Nie, najpewniej nie będę mógł.

– Nie za kilka dni. Jutro. Dziś wieczorem, jeśli dasz radę.

Teraz roześmiał się głośno. Ale to był śmiech smutnej osoby, płytki, tak cienki, tak niepewny jak wiosenny lód na jeziorze.

– Nie mówisz poważnie – rzekł w końcu.

Nie miała racji: została jej jeszcze jedna broń. Miała wiersz.

– „Czas odwracania się, ruszania korytarzem / W stronę schodów”, Mohan. Odeszła dwa dni temu. Nie ma czasu. Nie ma czasu.

Pokój zaczął się kręcić. Wirował jak ćarkha. Mohan wstał chwiejnie, wziął kluczyki do samochodu, które położył na kuchennym blacie.

– Dwadzieścia godzin, wóz albo przewóz. Pakuj torbę – powiedział.

Wyruszyli następnego ranka. Przyjechał po nią o siódmej i skierowali się na wschód. Purnima zapakowała nie tylko torbę, ale wszystkie swoje nieliczne rzeczy, jakby wyjeżdżała na dobre. Dotarli do dziewięćdziesiątki i Mohan wyjaśnił Purnimie numerację międzystanowych dróg; i tak nie mieli wiele innych tematów do rozmowy. Pojechali w kierunku Mercer Island i Purnima pomyślała, że chyba jadą złą drogą, cały czas nad wodą, ale Mohan zapewnił, że wie, co robi, tędy się jedzie na wschód, na Dakotę Południową. Przejechali przez gęste zielone Góry Kaskadowe, minęli Cle Elum, George i Moses Lake, a potem wjechali do wschodniej części stanu. Teraz wzgórza rozpościerały się przed nimi jak ogromne odpoczywające kobiety. W Coeur d'Alene było więcej gór, nie tak wysokich jak Kaskadowe, ale łagodnie opadających, porośniętych lasem po obu stronach autostrady. Purnima zauważyła, że niebo otwiera się nad nimi jak kurtyna, rozpostarte w nieskończoność i niebieskie. Zabarwione na srebrno chmury, delikatne na krawędziach, gęste i szare w środku, płynęły na wschód. Wskazała na nie i powiedziała:

– Chyba zbiera się na deszcz. – A potem dodała: – Lolo. Jaka śmieszna nazwa!

Mohan wydawał się głęboko pogrążony w myślach, a bezsłowna muzyka w jego samochodzie, ta sama, którą słyszała, kiedy odbierał ją z lotniska, cały czas grała, i Purnima poczuła senność. Przejechali przez Missoulę, przez Deer Lodge, przez Butte i Bozeman. W Livingstonie zatrzymali się na kawę. Nie umawiając się nawet, oboje wiedzieli, że będą jechać całą noc. Niebo chmurzyło się coraz bardziej, ale gdy Purnima spojrzała na horyzont, pomyślała, że może zobaczyć krańce ziemi, zwijające się ku sobie, kobiece i bolesne. Gdzieś daleko, daleko pasło się bydło, obsypywało złote i zielone rozległe dywany łąk jak ziarnka

gorczycy. Domy ranczerów i kampery stały na wzgórzach w dużej odległości od siebie, tkwiły głęboko w splotach traw, z jednej strony samotne, z drugiej bojowe w swoich małych zwycięstwach nad pustką prerii. Na obiad kupili kanapki na stacji benzynowej w Garrisonie, na kolację jednak musimy się zatrzymać, powiedział Mohan, i podjechał do przydrożnej restauracji na obrzeżach Crow Agency. Zamówili kawę, która była gorąca i miała gęsty mineralny smak. Purnima wypytała go o różne dania z karty, nigdy nie widziała słów takich jak „stek”, „klops” czy „burger”, wybrała w końcu grillowaną kanapkę z serem i tłuczone ziemniaki. Mohan zamówił cheeseburgera z frytkami. Jedli, słuchając klasycznych kowbojskich piosenek puszcanych z szafy grającej, i chociaż muzyka ze słowami sprawiła Purnimie radość, nie rozumiała żadnego z nich. Ruszyli po kolacji i jechali, aż niebo za nimi stało się różowe, pomarańczowe i szare, jakby posiniaczone. Przed nimi błękit pogłębiał się, rozszerzał jak woda.

Dopiero gdy zjechali z dziewięćdziesiątki na dwieście dwunastkę, Mohan ponownie wspomniął Sawithę. Nie spojrzął na Purnimę, ale mówił w ciemność drogi.

– A co będzie, jeśli jej tam nie zastaniemy?

To było proste pytanie, a mimo to ona nie miała odpowiedzi. Czowała w gardle wzbierającą wściekłość. Dwa dni. Dwa dni. Wykrzywiła twarz w grymasie. Co będzie, jeśli jej tam nie ma? Co wtedy? Wypatrywała jej cały czas na autostradzie, kiedy przejeżdżali przez miasta, wjeżdżali na wzgórze, mijali rozległe rancza, jakby życie zagwarantowało im, że się spotkają. Jakby życie gwarantowało coś tak pięknego, tak pozbawionego wysiłku, tak cudownego jak to, że Sawitha będzie stała na szczycie jakiegoś wzgórza albo kroczyła wzdłuż jednej z uliczek tych małych miasteczek.

– Nie wiem – powiedziała i naprawdę nie wiedziała: na tym całym szerokim świecie, po tych wszystkich poszukiwaniach nie miała już miejsca, gdzie miałyby zacząć. Wtedy się rozpląkała. Nie robiła tego od lat. Ale teraz było tak, jakby ogarnął ją cały głód tych wszystkich lat, w tym jednym momencie. Dławiła się łkaniem, szlochem. – Nie wiem – powtórzyła, nie mogąc powstrzymać łez,

i skryła twarz w dłoniach. Poczowała dłoń Mohana na ramieniu, trzymał ją tak długo, aż podniosła głowę i wytarła łzy.

– Nie mogła pojechać wiele dalej – powiedział.

– Skąd wiesz?

Milczał, niezmiennie wpatrując się w drogę.

– Bo w portfelu miałem tylko około stu dolarów.

Purnima spojrzała na niego. Wytarła łzy. Wyjący za samochodem wiatr ucichł.

– A ona musiała pojechać na wschód.

– Dlaczego?

– Albo południe.

– A co z innymi kierunkami?

– Na zachód jest Puget Sound. Może tam pojechała, ale myślę, że raczej nie.

Woda jest zbyt niepewna. A do Kanady trudno byłoby się jej dostać bez paszportu.

Nie spuszczała z niego wzroku.

– Dobrze to sobie przemyślałeś, prawda?

Uśmiechnął się słabo.

– Wcale nie.

Gdy minęli rezerwy Wron i północnych Czejenów, droga skręciła na południowy wschód w kierunku miasta o nazwie Broadus. Byli już prawie na miejscu.

– Jeszcze niecałe dwie godziny – rzekł Mohan. – Zaczekamy do rana i wtedy pojedziemy do Canyon.

Purnima spojrzała na niego.

– Rano? Nie, jak tylko tam dojedziemy.

– Ale po co? Będzie ciemno.

– Ciemno jest od czterech lat.

Mohan pokręcił głową. Zamrugały pierwsze gwiazdy, chociaż Purnima widziała je przelotnie, między przepływającymi chmurami, zbierającymi się

w ciężkie kłęby na wschodzie i południu. Daleko na południu błysnęło. Dojechali w okolice Spearfish po północy.

– Już prawie jesteśmy? – zapytała, czując, że musi pójść do toalety.

– Zostało jeszcze kilka kilometrów – odpowiedział.

Kiedy wjechali na przedmieścia Spearfish, zobaczyła stację benzynową.

– Tutaj – powiedziała. – Zatrzymaj się tutaj.

W oddali świeciły światła miasta. A za nim, jak wiedziała, był Canyon.

Wjechali na stację i Purnima wyskoczyła z samochodu. Nadchodziła burza. Błyskało teraz całkiem blisko. Gwiazdy zniknęły. Czuła gęste, szare brzemię w chmurach wiszących tuż nad ziemią. Na razie wstrzymywały się z deszczem, przykucnięte na swoich miejscach.

Spojrzała w górę jeszcze raz, a potem popędziła do budynku stacji. Sprzedawca opierał grube ręce na ladzie. Na lewej miał tatuaż kobiety w minispódnicy, spoczywającej w kieliszku do martini i wymachującej długimi nogami. Purnima spojrzała na tatuaż, a potem na jego złoty łańcuch. Wreszcie przebiegła spojrzeniem po wnętrzu stacji. Nie dostrzegła toalety.

– Przepraszam.

– Z tyłu – odparł, odwracając się, wyraźnie zbrzydzonej jej twarzą. – Ale może trzeba będzie poczekać. Jakaś meksykańska dziewczyna właśnie tam poszła.

Purnima zrozumiała, że toaleta jest na zewnątrz budynku, i wybiegła z niego.

– I przynieś ten klucz z powrotem! – wrzasnął za nią.

Kiedy podeszła do drzwi, nacisnęła klamkę, ale były zamknięte. Rozejrzała się, czekając. Nie widziała ani Mohana, ani samochodu, ale słyszała dźwięk silnika na jałowym biegu. Obok stacji stało coś, co wyglądało na magazyn. Chmury burzowe były teraz dokładnie nad nią. Wiatr unosił jej włosy, rozwijał ich pasma w duże, swawolne latawce. Koło jej nogi upadła kropla deszczu, następna na jej głowę.

Ponownie poruszyła klamkę. Błysnęło. Stacja benzynowa stała się biała, jasna jak kość, a potem, jakby nagle zgaszono światło – zrobiła się czarna.

Światła auta huśtały się jak kołyska. Zmrużyła oczy, kiedy w nie zaświeciły. Czuła się tak wyczerpana, tak żywa, że cała się trzęsła. Jakiś samochód podjechał do niej. To był Mohan. Otworzył okno i zawołał:

– Sprawdziłem na mapie. Jesteśmy już blisko!

– Jak blisko?

– Kawałek na południowy wschód stąd. – Uśmiechnął się. – A ty cały ten czas czekasz?

Z nieba zagrzmiało. Oboje spojrzeli w górę, słysząc huk. W tym momencie chmury się rozerwały i lunął deszcz. Wystawiła na niego twarz, gasząc wszystkie ognie.

– Cały ten czas?

Skinęła głową. Spojrzała na Mohana. Pokręcił głową i zaczął się śmiać. Świat wydawał się cały taki lśniący, jakby wypłukał z niej wszystko: czas, organy obciążone głodem, wspomnienie śliskiej ręki wkładającej ryż z jogurtem i bananem do jej zgłodniałych ust. W końcu klamka toalety się obróciła. Purnima uśmiechnęła się, nagle nieśmiała, jakby Mohan i ona byli kochankami, którzy spotkali się w zagajniku, w ogrodzie, w wiosennym deszczu.

– Chyba już niedługo – odpowiedziała.

PODZIĘKOWANIA

Oto ci, którym pragnę wyrazić wdzięczność:

Amy Einhorn, Caroline Bleeke, Sandra Dijkstra, Elise Capron, Amelia Possanza, Conor Mintzer, Ursula Doyle, Rhiannon Smith, Rick Simonson, Charlie Jane Anders, Nancy Jo Hart, Theresa Schaefer, Nichole Hasbrouck, Sierra Golden, Mad V. Dog, Dena Afrasiabi, Jim Ambrose, Sharon Vinick, Arie Grossman, Elizabeth Colen, Hedgebrook, Helene Wurlitzer Foundation, Lakshmi i Ramarao Inguvowie, Sridevi, Venkat, Siriveena i Sami Nandamowie, Kamala i Singiresu S. Rao, a także ci, którzy stali ze mną na prerii: Abraham Smith, Srinivas Inguva i Numer 194.

Najgłębszą wdzięczność chciałabym wyrazić Barbarze i Adamowi Bad Woundom – za Park Narodowy Badlands.

SŁOWNICZEK

Amla – liściokwiat garbnikowy (*Phyllanthus emblica*), drzewo osiągające około dziesięciu metrów wysokości, uprawiane ze względu na jadalne owoce nieco przypominające agrest, używane też w tradycyjnej medycynie indyjskiej i kosmetyce

Arthi – hinduski rytuał oddawania czci bóstwu lub gościom, polegający na paleniu niewielkich lampek wotywnych

Bhadźi – popularna przekąska kuchni indyjskiej z posiekanej cebuli w cieście z przyprawami, smażonej w głębokim oleju

Bidi – indyjskie papierosy biednych ludzi, w których tytoń jest zawinięty w liście odpowiedniego drzewa (*Diospyros melanoxylon*, *Bauhinia racemosa*); cienkie, krótkie, związane na jednym końcu nitką lub sklezione

Bottu – znak malowany na czole o różnych znaczeniach

Brindźal – bakłazan

Ćapale – tradycyjne klapki indyjskie

Dal – ogólna nazwa produktów strączkowych oraz przyrządzanych z nich potraw, najczęściej w postaci gęstych zup

Dalici – „niedotykalni”, zbiorcza nazwa określająca różne grupy ludności znajdujące się najniżej w systemie kastowym i wykluczone z niego

Dhaba – szeroki okap dachu, w którego cieniu można usiąść

Dipa – lampka oliwna

Donga (lm. *dongalu*) – łotr, oszust, łajdak

Dosa – cieniutkie naleśniki z soczewicy i mąki ryżowej (często sfermentowanej), smażone na klarowanym maśle

Dži – grzecznościowa partykuła dodawana po imieniu lub nazwisku

Džilebi – rodzaj deseru z ciasta w kształcie obwarzanków zanurzonych w syropie z cukru o pomarańczowej barwie

Garu – forma grzecznościowa dodawana po imieniu

Gauri Pudża – pudża ku czci Gauri, małżonki Śiwy, jednego z dwóch najważniejszych bóstw hinduizmu, odprawiana w intencji długiego życia i dobrobytu małżonka przez kapłana w imieniu panny młodej (lub już mężatki); niezamężne panny odprawiają ją w intencji znalezienia idealnego męża

Gita – *Bhagawadgita*, jeden z najświętszych tekstów hinduizmu, będący pouczeniem Kryszny (jednego z dwóch ludzkich wcieleń boga Wisznu) udzielonym wojownikowi Ardżunie tuż przed bratobójczą bitwą opisaną w eposie *Mahabharata*. Treścią tych pouczeń są zagadnienia filozoficzne i moralne

Hanuman – król małp, pomocnik Ramy (jednego z dwóch ludzkich wcieleń boga Wisznu), w walce z rakszasą Rawaną o odzyskanie Sity

Idli – rodzaj gotowanych klusek robionych ze sfermentowanej soczewicy i z mąki ryżowej, spożywanych na śniadanie albo jako przekąska

Kadźal – czarny proszek używany do makijażu oczu

Karttikeja – hinduski bóg wojny i zwycięstwa, szczególnie ważny na południu Indii

Kryszna – ludzkie wcielenie boga Wisznu, jednego z dwóch najważniejszych bóstw hinduizmu

Kumkum – czerwony proszek używany podczas rytuałów hinduskich

Laddu – niewielkie słodkie kulki z pasty z ciecierzycy, zanurzone w syropie, obsypane migdałami i orzechami

Lakh – określenie liczby 100 000; niekiedy oznacza ogólnie bardzo dużą liczbę

Langa – długa obfita spódnica noszona z bluzeczką (*ćoli*) i szalem na ramiona (*dupatta*)

Masala dosa – naleśniki *dosa* nadziewane warzywami z przyprawami

Naksalici – zbiorcze określenie maoistycznych grup zbrojnych w Indiach, ich działalność często ma charakter terrorystyczny

Nim – miódla indyjska (*Azadirachta indica*, syn. *Melia azadirachta L.*), gatunek drzewa osiągającego wysokość nawet do czterdziestu metrów, wiecznie zielonego. Jego wszystkie części mają zastosowanie w tradycyjnej medycynie indyjskiej, a także w kosmetyce i rolnictwie

Pakora – popularna przekąska w postaci kawałków warzyw zanurzonych w cieście z mąki z ciecierzycy i usmażonych w głębokim oleju

Pakszi – dosłownie „ptak”, przenieśnię „głupek”

Pallu – szerokie, wzorzyste zakończenie jednego z końców sari

Papad – cienki i chrupki naleśnik z mąki z soczewicy, ciecierzycy, fasoli albo mąki ryżowej wymieszanej z przyprawami

Pappu – rodzaj gęstej zupy warzywnej; gdy jest zrobiona z soczewicy, stanowi odmianę dalu

Pudża – hinduski obrzęd religijny, podczas którego oddaje się bóstwu cześć, ofiarowując mu kwiaty, owoce, ryż, światło lampek wotywnych. Odprawiany jest w świątyniach i domach w czasie rodzinnych uroczystości

Pulka – rodzaj płaskich chlebków pieczonych bezpośrednio nad ogniem

Puri – rodzaj chlebków z mąki pszennej i wody smażonych w głębokim oleju, pod wpływem którego pęcznieją

Rakszasa – w hinduizmie zła istota szkodząca bogom i ludziom, często obdarzona nadnaturalnymi mocami; zła istota płci żeńskiej nazywana jest rakszasi

Rasam – rodzaj rzadkiej zupy o kwaskowatym smaku, sporządzanej z soku z owoców tamaryndowca z dodatkiem soczewicy i przypraw

Roti – rodzaj chlebków z mąki pszennej, niekiedy z dodatkiem mąki kukurydzianej lub z soczewicy, smażonych na tłuszczu

RTC – Road Transport Corporation, instytucja zajmująca się transportem publicznym w Indiach

Sadhu – człowiek duchowo wyzwolony, hinduski „święty”

Sambar – gęsta zupa z soczewicy i tamaryndowca

Sita – żona Ramy (jednego z dwóch ludzkich wcieleń boga Wisznu), porwana przez rakszase Rawanę, bohaterka eposu Ramajana. Rama odebrał ją Rawanie po wielkiej wojnie i został królem Ajodhji. Jednak Sita okryła się niesławą, gdyż wiele lat mieszkała w domu obcego mężczyzny. Aby udowodnić, że jest czysta, przeszła test ogniowy

Szalwar – nazwa zwężanych u dołu spodni noszonych z długą luźną tuniką (*kamiz*) i szalem (*dupatta*)

Uthapam – indyjskie placki ze sfermentowanego ciasta z czarnej soczewicy

Wada – rodzaj pikantnych przekąsek z różnych warzyw i roślin strączkowych

Spis treści

Karta tytułowa

Słowo od tłumaczki

Indrawalli

1

2

3

4

5

6

7

8

Purnima

1

2

3

4

5

6

7

8

9

Sawitha

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

Purnima

1

2

3

4

5

6

Sawitha

1

2

3

4

Purnima

1

2

Podziękowania

Słowniczek

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Girls Burn Brighter*

Girls Burn Brighter.

Text Copyright © 2018 by Shobha Rao.

Published by arrangement with Flatiron Books.

All rights reserved

Copyright © for the translation by Joanna Jurewicz

Wydawca prowadzący: Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Przyjęcie tłumaczenia: Ewa Polańska

Opracowanie słowniczka wyrazów indyjskich: Joanna Jurewicz

Adiustacja i korekta: d2d.pl

Projekt okładki: Keith Hayes

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Nikola Hahn

Fotografia na okładce: © Weerachai Khamfu / Shutterstock.com

Książka jest dziełem literackim. Wszystkie przedstawione w niej postacie, organizacje i wydarzenia są albo wytworem wyobraźni autorki, albo zostały użyte fikcyjnie.

ISBN 978-83-8135-831-6



www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Na zlecenie Woblink



woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek